

Fern Michaels

Brzydkie Kaczątko

(Plain Jane)

Przełożyła Anna Pajek

Dla Melby Johnson, Beth, Rona i Erica Goinsa.
A także dla Lindsey i Misty.

Prolog

Uniwersytet Stanu Luizjana
Baton Rouge, Luizjana, rok 1988

Jane Lewis zamknęła książkę i ciężko westchnęła. Jeśli nie nauczyła się do tej pory, to już się nie nauczy. Grzbietem dłoni potarła piekące oczy, przekonana, że bez trudu poradzi sobie z końcowym egzaminem. Miała zdawać następnego dnia rano. Spojrzała na zegarek i znowu westchnęła. Przesiedziała w bibliotece cały dzień i wieczór bez jedzenia. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna. Umierała z głodu. Na myśl o tym, ile przytyła, od kiedy znalazła się na uczelni, westchnęła po raz kolejny. Prawie dwadzieścia kilo. Zamierzała latem mocno nad sobą popracować i rzucić nie tylko te dwadzieścia, ale i pięć dodatkowych. Zrobi to, choćby miała to być ostatnia rzecz w jej życiu. Pewnie padnie przy tym trupem, bo rzeczywiście się roztyła.

Nagle ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się.

– Masz na imię Jane i mieszkasz w Acadian Hall, prawda?

– Tak, Jane Lewis. Znam cię z widzenia, ale nigdy nie miałyśmy okazji się poznać. – Jane wstała i wyciągnęła dłoń, żeby się przedstawić.

– Connie Bryan. Mieszkam na trzecim piętrze, ty chyba na czwartym? Może wracasz do akademika? Mogę pójść z tobą? Jest późno, a ja nie znoszę chodzić sama o tej porze. Wstyd się przyznać, ale straszliwy ze mnie tchórz.

– Oczywiście, bardzo proszę – powiedziała Jane, zbierając książki. Connie Bryan była wszystkim, czym zawsze chciała być i czym nigdy nie będzie – drobną, niewysoką blondynką, ważącą nie więcej niż pięćdziesiąt kilo i tak popularną, że wybrano ją Królową Powrotu na imprezie zorganizowanej z okazji

powrotu uniwersyteckiej drużyny futbolowej ze spotkań wyjazdowych. Jej chłopak był czołowym napastnikiem tej drużyny i chodziły słuchy, że w czerwcu mają się pobrać.

– Zdałaś już wszystko, Jane? Ja mam jeszcze jutro dwa ostatnie egzaminy i będę wolna. A ty? – spytała Connie, wyrównując krok.

Jane aż zamrugwała, zdziwiona życzliwym zainteresowaniem Connie.

– O ósmej rano zdaję ostatni. Nie powinnam mieć z nim kłopotów. To prawda, że zaraz po dyplomie wychodzisz za mąż?

– Tak. Mama właśnie planuje wesele. Powiedziała, że będzie dziś wypisywać zaproszenia. W sobotę mam ostatnią przymiarke sukni. Nie mogę się doczekać. Chcę wyjść za mąż i mieć dom pełen dzieci. Todd też tego chce. Ale zanim zaczniemy powiększać rodzinę, chciałabym rok czy dwa popracować w szkole. A ty? Jakie masz plany?

– Idę na medycynę. W Tulane. Marzę o tym. Chyba nie bardzo nadaję się na żonę, przynajmniej na razie. Chcę pracować zawodowo.

– Podziwiam cię. Mnie cztery lata college’u w zupełności wystarczą. Zastanawiałaś się już nad specjalizacją?

– Pediatria. A może interna. Nie jestem pewna. Mogę cię o coś zapytać?

Connie roześmiała się.

– Boże, jak tu ciemno! Aż ciarki chodzą mi po plecach. Cieszę się, że jesteś ze mną. O co chcesz zapytać?

Jane rozejrzała się. Zazwyczaj kampus nie był tak opustoszały, nawet późnym wieczorem. Dziś jednak panował tu spokój. Większość studentów zdała końcowe egzaminy i rozjechała się do domów.

– Nie pali się kilka lamp. Zauważyłam to już wczoraj. A tak w ogóle: jakie to uczucie, zostać Królową Powrotu?

– To druga najbardziej ekscytująca rzecz w moim życiu, po tym jak poznałam Todda i zrozumiałam, że znalazłam swoją drugą połowę. A ty, spotykasz się z kimś szczególnym?

Jane roześmiała się. Żałowała, że nie potrafi odpowiedzieć dowcipnie i błyskotliwie.

– Nie, nie spotykam się z nikim, ani szczególnym, ani żadnym innym.

– Po prostu jeszcze nie znalazłaś odpowiedniego faceta, Jane. Ale to kwestia czasu. Pewnego dnia spojrzysz w czyjeś oczy i będziesz wiedziała, że właśnie odnalazłaś swoje przeznaczenie. Todd i ja zamierzamy prowadzić cudowne, szczęśliwe życie. Wybraliśmy już dom, meble, nawet naczynia kuchenne i plecione podstawki pod talerze. Chcemy mieć czworo dzieci i mamy w nosie, czy urodzą się chłopcy czy dziewczynki, o ile będą zdrowe. Wybraliśmy już nawet imiona. Zamierzam piec ciasta i dekorować dom na święta. Zimą w każdym pokoju będzie stała choinka. Oboje uwielbiamy Boże Narodzenie. Poznaliśmy się tu na uniwerku na pierwszym roku, tuż przed feriami świątecznymi. Po prostu nie mogę się doczekać. Nie potrafię myśleć o niczym innym, a w nocy też tylko o tym śnię. Szczęściara ze mnie, prawda?

– Rzeczywiście, Connie. Oby ci się udało – powiedziała Jane szczerze. Wychynęli z ciemności niby stado skradających się wilków. Dopóki się nie odezwali, trudno było ocenić, ilu właściwie ich jest. Pięciu, uznała Jane, i jeden trzymający się nieco na uboczu. Poczowała, że jeżą jej się włosy na karku. Kolejność ustalał, rzucając monetą, przemknęło jej przez głowę, a potem zaczęła drżeć. A może to drżała Connie, która nagle chwyciła jej ramię w uścisk mocny niczym imadło?

– Patrzcie no tylko, chłopaki. Trafiła nam się prawdziwa laska. Na miarę tej szkoły oczywiście.

– Czego... czego chcecie? Zostawcie nas – wykrztusiła Connie,

nim zakryto jej dłonią usta i oderwano od stwarzającego pozory bezpieczeństwa pulchnego ramienia Jane.

– No, chłopaki, dajcie spokój. To nie jest zabawne.

Jane zdążyła tylko zaczerpnąć raptownie powietrza i już czyjaś dłoń zakryła także jej usta.

– I nie ma być zabawne, więc się zamknij. Jeśli choć piśniesz, poderżniemy ci gardło. Mamy wobec tej małej Królowej Powrotu pewne plany, no nie chłopaki?

Jane wrywała się, jak mogła, ale ramiona, które ją przytrzymały, były silne i muskularne. Zrozumiała, że nie uda jej się uciec. Przerazona i bezradna przyglądała się, jak trzy ciemne postacie wloką Connie w gęste krzaki.

– Nie możecie tego zrobić – jęknęła prosto w cuchnącą dłoń. Wiedziała, że będzie następna.

– Powiedziałem, żebyś się zamknęła. Nie interesuje nas taka beka sadła jak ty.

Jane kopnęła do tyłu. Miała nadzieję, że trafi. Ale nie trafiła.

Poczuła silne uderzenie w żołądek, a potem w klatkę piersiową. Z bólu opadła bezwładnie. Bardziej wyczuła, niż spostrzegła, że chłopak, trzymający się dotąd na uboczu, odchodzi. Przyciśnięta policzkiem do ziemi, słyszała tupot oddalających się kroków. Może nie był jednym z nich. Może pobiegł po pomoc.

Po chwili, która wydała się Jane wiecznością, napastnicy zamienili się miejscami. Poczuła, że jest wolna. Klęczała na ziemi, płacząc z bólu. Wiedziała, co spotkało Connie. Musi coś zrobić, nie wystarczy tylko jęczeć i skamleć. Przepelniona nagłym gniewem podniosła się na kolana, stanęła na nogi i wrzasnęła, ile sił w płucach. Przerażliwy krzyk niósł się daleko w ciszy wieczoru. Głowa odskoczyła Jane do tyłu, kiedy napastnik kopnął ją mocno w krzyż. Zacisnęła zęby na zakrywającej usta dłoni. Poczuła smak krwi. Ugryzła drania do kości i wypluła krew.

– Co u diabła...

– Ta tłusta maciora potrzebuje lekcji. Kto chce przelecieć Miss Piggy? – spytał obłudny głos. – Nie ma chętnych?

Jane usłyszała, że odchodzą, śmiejąc się i poklepując jeden drugiego po plecach. Zaczęła się czołgać, w stronę zarośli, dokąd zaciągnęli Connie. Objęła dziewczynę, której głowa opadła bezwładnie.

– Connie, muszę cię na chwilę zostawić. Pobiegnę po pomoc. Mogłabym zacząć krzyczeć, ale to by pewnie nic nie dało. Zaraz wracam.

– Nie! – szepnęła dziewczyna, drżąc. – Nie mów nikomu. Pomóż mi. Mogę iść. Muszę się tylko ciebie przytrzymać.

– Poczekaj, zawołam kogoś ze służby porządkowej. Oni sprowadzą policję. Musisz iść do szpitala albo do centrum kryzysowego.

– Nie! Czy oni... ?

– Nie. Nie spodobałam im się. Powiedzieli, że jestem za gruba. Próbowалам się wyrwać, ale zbyt mocno mnie trzymali. Jesteś pewna, że dasz radę iść?

– Tak. Kiedy podejdziemy do domu, pójdziesz do siebie i przyniesiesz mi coś do okrycia. Mogę zostać dziś w twoim pokoju, Jane? Moja współlokatorka jeszcze nie wyjechała.

– Oczywiście, możesz zostać. Powinien cię obejrzeć lekarz. Musisz zgłosić gwałt policji. Czy ty mnie słuchasz?

– Porozmawiamy o tym później. Na razie pomóż mi dostać się do środka i pod prysznic. Proszę, Jane.

– Ty nie... nie powinnaś zmywać dowodów, Connie. Posłuchaj, wiem, gdzie jest centrum kryzysowe. Mogę cię tam natychmiast zabrać. Proszę.

– Nie. Nie teraz. Bądź dobrą przyjaciółką i pomóż mi.

– Jesteśmy na miejscu. Zaczekaj w cieniu, pobiegnę po prochowiec. Na pewno dobrze się czujesz?

– Nie, wcale nie czuję się dobrze. Proszę, wracaj szybko.

Jane odeszła, stąpając ciężko. Od natłoku myśli kręciło jej siew głowie. Śliczna, mała Connie, ofiara zbiorowego gwałtu. Beka sadła. Tłusta maciora.

Wsiadła do windy i pojechała na swoje piętro. Przez chwilę grzebała w rzeczach, złapała płaszcz, szczotkę do włosów i butelkę po syropie, w której trzymała brandy. Używała jej podczas męczących comiesięcznych bólów brzucha. Pognała z powrotem korytarzem, nie zawracając sobie głowy zamykaniem drzwi. Winda była zajęta, pobiegła więc schodami. Studentki wchodzące do budynku gapiły się na pędzącą koleżankę. Niektóre pozdrowiały ją głośno, inne mamrotały coś pod nosem o jutrzejszych egzaminach. Jane zignorowała wszystkie i popędziła tam, gdzie zostawiła Connie.

– Masz, to brandy. Wypij dwa porządne łyki. Daj, poprawię ci włosy. W porządku. Teraz włóż płaszcz i zapnij pasek. Nie będzie widać podartego ubrania. Kiedy poczujesz, że dasz radę iść, oprzyj się o mnie. Na parterze kręci się sporo ludzi. Możesz udawać, że za dużo wypijaś.

– Ja nie piję.

– W porządku, powiemy, że się źle poczułaś. Ale nie podoba mi się to. Powinnaś dać się zbadać. Proszę, zastanów się i pozwól mi zawiadomić policję.

– Nie, Jane. Nie teraz. Po prostu wydostańmy się stąd, dobrze?

– Niech ci będzie. Ale ja się z tym nie zgadzam. Nie możemy pozwolić, by uszło im to na sucho.

– Nawet nie wiemy, jak wyglądali. Mogę ci powiedzieć, jak śmierdzieli, ale nie jak wyglądali. Jeden z nich zmusił mnie, abym przełknęła jego... no, wiesz. Zwymiotowałam, i to wprost na niego.

Jane miała ochotę się rozplakać, lecz tylko mocniej chwyciła ramię Connie.

– Jesteśmy na miejscu. Widzę parę osób. Dasz radę?

– Tak.

– No, to idziemy. Pogaszono już światła. Musi być dobrze po pół nocy. Tym lepiej. Winda jest otwarta. Chwyć się mnie mocno i ruszamy.

Na górze, gdy tylko Jane zamknęła za nimi drzwi pokoju, Connie osunęła się na podłogę i, zwinięta w kłębek, zaczęła rozpaczliwie szlochać. Jane także opadła na podłogę. Bezradnie przyglądała się płaczącej dziewczynie.

– Nie możesz pozwolić, by uszło im to na sucho, Connie. Po prostu nie możesz.

– Wiesz, jak jest, Jane. To banda brutalnych mięśniaków. Będą kłamali, zawsze tak robią. W kampusie gwałt to nic nadzwyczajnego. Poza tym, nie potrafię ich rozpoznać. No, dość tego mazgajstwa. Pomóż mi wejść pod prysznic i obiecaj, że będziesz stała na warcie, dopóki stamtąd nie wyjdę.

– Obiecuję, Connie, ale nie zmyjesz tego, co się wydarzyło.

– Mogę spróbować. Sądzisz, że gdyby Todd się o tym dowiedział, nadal chciałby się ze mną ożenić? Mowy nie ma. Nikt by nie chciał. To sprawa pomiędzy nami, Jane. Jeżeli komuś o tym powiesz, zaprzeczę. Chcę, żebyś to zrozumiała.

– Skoro tak, Todd nie jest człowiekiem, za jakiego go bierzesz. Nie sprowokowałaś napaści. Do diabła, jesteś ofiarą. Jeśli nic nie powiesz, oni zrobią to komuś innemu.

– To już nie mój problem. Z moim poradę sobie na swój własny sposób. Jutro zdaję dwa ostatnie egzaminy, a potem jadę do domu. Wszystko, co muszę zrobić, to wrzucić walizki do samochodu. Resztę swoich rzeczy odesłałam już dwa tygodnie temu. Muszę się trochę zdrzemnąć. Proszę, nie patrz tak na mnie, Jane. Chcę tylko, byś zachowała się jak przyjaciółka i mi pomogła. Jesteś pewna, że mogę dziś u ciebie zostać?

– Nie mam zapasowej pościeli, tylko tę na łóżku. Ja też zdażyłam odesłać do domu większość swoich rzeczy. Ale mam zapa-

sowy koc, no i możesz użyć prochowca jako prześcieradła.

Chcesz, żebym poszła do ciebie i przyniosła ci jakieś ubrania?

Moje ciuchy będą o wiele za duże.

– Masz drugą piżamę? O resztę zatroszczę się rano.

– Żałuję, że nie pozwoliłaś mi nic zrobić, Connie. Wcale mi się to nie podoba.

– Robię, co muszę. Możemy już iść do łazienki? Wyrzuć moje ubrania. Wszystko, nawet buty.

Jane otworzyła szufladę i wyjęła z niej dużą papierową torbę.

– Zajmę się tym.

– Szkoda, że nie poznałyśmy się wcześniej, Jane. Zanim się to stało. Dziwne... Ufam ci tak, jak Toddowi.

– A jednak chyba nie masz do niego pełnego zaufania, w przeciwnym razie pozwoliłabyś sobie pomóc. Ta paskudna sprawa mogłaby zbliżyć was do siebie jeszcze bardziej.

– Jeśli naprawdę w to wierzysz, to jest jeszcze kilka rad, które chętnie ci sprzedam. Postaraj się lepiej, by nikt nie wszedł do łazienki, kiedy tam będę.

– Obiecuję. Będę odsyłała wszystkich piętro niżej. Masz tu mydło, ręcznik i gąbkę. Zaraz przyniosę piżamę.

W pół godziny później Jane otworzyła drzwi łazienki. Przesłaniająca pomieszczenie para uniosła się i popłynęła ku drzwiom.

– Strasznie długo tu siedzisz, Connie. Powinnaś już wyjść.

– Jakoś wciąż czuję się brudna. Jeszcze tylko chwilę.

Jane podeszła do kabiny prysznica, sięgnęła do wnętrza i zakręciła wodę.

– Cała woda świata nie wystarczy, żebyś poczuła się czysta, dopóki czegoś z tym nie zrobisz. Po powrocie do domu powinnaś porozmawiać z adwokatem. No jak, pogadasz z nim?

– Nie wiem. Chyba jednak nie. To małe miasteczko. Ludzie plotkują. Jak myślisz, ile potrzeba czasu, aby siniaki z moich ud i ramion zniknęły?

– Tydzień, może dwa. Spodnie i bluzki z długimi rękawami załatwią sprawę. Ale siniaki to teraz twoje najmniejsze zmartwienie. Mam aparat fotograficzny. Chcesz, żebym sfotografowała obrażenia? Policja zawsze tak robi w przypadku gwałtu. Po prostu na wszelki wypadek, gdybyś jednak zmieniła zdanie?

– Nie zamierzam zmieniać zdania. Możesz dać mi jeszcze trochę brandy? Pomoże mi usnąć. Zamknęłaś drzwi?

– Są zamknięte. Śpij w moim łóżku, Connie. No, już, szybko.

– Nie wiem, czy zdołam kiedykolwiek odwdziżyć ci się za to, co dziś dla mnie zrobiłaś. Posiedzisz przy mnie, dopóki nie zasnę?

– Żałuję, że nie mogłam zrobić więcej. Będę tutaj, śpij spokojnie.

– Czy wiesz, co jeden z tych drani powiedział, kiedy mnie gwałcił? – wymamrotała Connie sennie. – Powiedział: milczenie jest złotem.

Ramiona Jane opadły bezsilnie. Gdy tylko usłyszała, że oddech dziewczyny się wyrównał, cała zaczęła się trząść. Miała ochotę skulić się na podłodze jak Connie i ssać kciuk. Musiała jednak pozostać przytomna i czuwać nad swoją nową współlokatorką na wypadek, gdyby ta obudziła się w nocy.

Było jednak coś, co mogła zrobić. Podwinęła rękawy oraz nogawki piżamy Connie i zrobiła kilka zdjęć ran i siniaków. Tak na wszelki wypadek.

Wrzuciła odbitki do papierowej torby, nawet ich nie obejrzawszy. A potem zrobiła coś, czego nie robiła od bardzo dawna. Zaczęła się modlić.

– Oto twój wielki dzień, malutka! – zawołała wesoło Trixie McGuire, matka chrzestna Jane. – Jak to jest, skończyć studia z piątą lokatą na roku?

– Wspaniale. Trixie, nie obrazisz się, jeżeli zostawię cię na chwilę? Muszę kogoś znaleźć, zanim to całe towarzystwo wy-

rwie się na wolność.

– W porządku, kochanie. Wrócimy z Fredem na nasze miejsca i zaczekamy. Nie musisz się spieszyć.

Jane torowała sobie drogę, przepychając się przez tłum szczęśliwych, rozgadanych i roześmianych studentów oraz ich równie szczęśliwych rodziców, dopóki nie spostrzegła kogoś, kto, jak przypuszczała, mógł znać Connie i Todda. Trąciła łokciem żywą, rudowłosą dziewczynę i zapytała:

– Widziałas może Connie Bryan i Todda Prentice’ a?

Rudowłosa dziewczyna przez dobrą minutę wpatrywała się w Jane bez słowa.

– To ty nic nie wiesz?

Jane podniosła wzrok i spojrzała na białe, kłębiaste chmurki, przesuwające się po ciemnym błękitnie nieba. Przeczucie podpowiadało jej, że cokolwiek zaraz usłyszy, z pewnością się jej nie spodoba.

– Nie wiem o czym? – szepnęła z obawą w głosie.

– Connie zabiła się dwa dni temu. Todd nie przyjechał na uroczystość rozdania dyplomów. Bardzo to przeżywa. Przyjaźniłaś się z Connie?

– Tak, tak – wyjąkała Jane. Odwróciła się i ruszyła z powrotem przez tłum. Łzy spływały jej po policzkach. Pomyślała o papierowej torbie z ubraniami i zdjęciami, które zrobiła bez wiedzy Connie. Zabrała torbę do domu wraz z resztą swoich rzeczy i umieściła w garażu Trixie. Na wszelki wypadek. W przyszłym tygodniu wróci tutaj i powiadomi odpowiednie władze. Jeśli okaże się, że wsadzi tym samym kij w mrowisko, a rodzina Connie i Todd wezmą jej to za złe – trudno. Zasługują, by dowiedzieć się, dlaczego to zrobiła. Śmierć nie powinna być daremna. Otarła łzy rękawem długiej, fałdzistej togi i zajęła miejsce w szeregu przyszłych absolwentów.

1

Rayne, Luizjana, rok 2000

Podeksytowana przyglądała się, jak idzie ku niej przez zatłoczoną restaurację. Zjawił się dokładnie o czasie, tak jak się tego spodziewała. On także był profesjonalistą z terminarzem wypełnionym umówionymi spotkaniami, doceniał więc wagę punktualności.

Doktor Michael Sorenson – wysoki, ciemnowłosa, o klasycznej urodzie – stanowił łakomy kąsek w każdym znaczeniu tego słowa. Cechowała go przy tym spokojna pewność siebie, co nie zdarzało się często i niezmiennie przyprawiało ją o szybsze bicie serca. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasu, kiedy wiele lat temu jego rodzina przeprowadziła się do Rayne.

Doktor Jane Lewis zerknęła spoza babcinych, drucianych okularów, próbując sobie wyobrazić, jak też jej matka chrzestna, Trixie McGuire, opisałaby tego poczciwego doktora. Znając Trixie, nietrudno było się domyślić, że pewnie powiedziałyby coś wprowadzającego w zakłopotanie, na przykład: Wyobrażam sobie, że natura nieźle go obdarowała. Pomimo ukończonych siedemdziesięciu czterech lat, Trixie uwielbiała wpatrywać się w miejsce poniżej sprzączek męskich pasków. Zresztą, skoro już o tym mowa, przyganiał kocioł garnkowi. Jane nie była wcale lepsza.

Po chwili Mike stał już przy stoliku.

– Miło cię znowu widzieć, Jane. Minęło chyba...

– ... naprawdę sporo czasu – wtrąciła Jane, wskazując mu krzesło naprzeciw siebie. Muskularny. Na pewno ćwiczy regularnie. I ma doskonałego krawca. Ten garnitur świetnie leży. W porównaniu z nim czuła się jak zaniedbana stara panna. Zafascynowana, przyglądała się, jak sięga po szklanę z wodą. Piękne dłonie. Duże i silne. Trixie powiedziałyby zapewne: Doskonałe,

by zgłębiać tajemnice kobiecego ciała. Jane poczuła, że się rumieni.

– A co tam u ciebie, Mike? – Błyskotliwy dialog, nie ma co.

– Świetnie, po prostu nie może być lepiej. Moja praktyka kwitnie. Przyjąłem nawet współnika, więc mogę od czasu do czasu wyskoczyć na tenisa. No i wiosną zeszłego roku kupiłem wreszcie dom. Nie uwierzysz, ale sam strzygę trawnik i nawet od czasu do czasu gotuję. Ach, zupełnie bym zapomniał. Przygarzałem też bezpańską kotkę. Nazwałem ją Kluseczka. Teraz to kotka domowa i doskonała towarzyszką. A ty, Jane? Przy okazji, gratulacje z powodu tej audycji radiowej. Doskonała robota i jaki sukces! Zazdroszczę ci.

Wiedział o audycji. To dobrze. Nie lubiła się przechwalać.

– Dzięki – odparła skromnie.

Co mogłaby mu powiedzieć o sobie? Porównała w myśli to, czego się właśnie dowiedziała, ze swoim życiem. Jej praktyka także kwitła, lecz nawet gdyby miała współnika i tak nie grałaby w tenisa. Cieszyła się, jeśli udało jej się wyrwać raz w miesiącu na gimnastykę. Podobnie jak on, miała własny dom, tyle że zamiast trawnika otaczał go ogród pełen bujnych chwastów. A jeśli chodzi o gotowanie, potrafiła wyczarować wspaniały posiłek z mrożonek, puszek i torebek. Gdy potrawa nadawała się do podgrzania w mikrofalówce, tym lepiej.

– Mam ładny, chociaż niewielki dom w starej dzielnicy Rayne. Mieszka w nim duch. A także duch psa – wypaliła i natychmiast zaczęła się zastanawiać, co ją u licha opętało, żeby wyskoczyć z czymś takim. Była zdenerwowana. Skołowana. Czy to z powodu wyglądu Mike'a, czy też dlatego, że jego spokojna pewność siebie aż tak ją onieśmiała? Przypomniała sobie, że już w liceum był przystojny i pewny siebie. Tylko że wtedy z pewnością by się z tobą nie umówił.

Mike pochylił się nad stołem.

– Duchy? Nabierasz mnie, prawda? Opowiedz mi o nich. Zawsze interesowałem się zjawiskami paranormalnymi.

Jane poruszyła się niespokojnie. Dobrze ci tak, pleciugo, pomyślała.

– To pewnie tylko takie sobie gadanie. Podobno jakiś chłopak wpadł do studni w ogrodzie, a jego pies siedział przy niej, aż zdechł z tęsknoty i głodu. Prawdę mówiąc, nie widziałam ich, chociaż czasami wydaje mi się, że Olive zachowuje się jak nawiedzona.

– Olive? Twoja córka?

– Nie – zachichotała. – Moja suczka.

– Bardzo bym chciał rzucić okiem na te duchy, to znaczy, o ile twoja rodzina nie będzie miała nic przeciwko temu.

– No, nie sądzę, żeby to przeszkadzało Olive odparła, śmiejąc się. – Mieszkam w starym domu rodziny Laroux, na skraju miasta. Kiedyś była tam plantacja ryżu. Wiesz, o który dom chodzi, prawda?

– A więc tam mieszkasz? Boże, próbowałem nabyć ten dom, zanim otworzyłem praktykę w Lafayette, ale wówczas był częścią większej posiadłości i nie można go było kupić. Wydał mi się nieco zniszczony, ale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wybulić trochę docłów na renowację, gdyby udało mi się go zdobyć.

– Uwierz mi, trzeba było znacznie więcej, żeby to miejsce w ogóle nadawało się do zamieszkania. Przypomina mi to ten film. Wiesz, Studnia bez dna.

Poczuła, że kapelusz zsunął jej się na tył głowy, więc go poprawiła.

– Nie wiem dlaczego, ale zawsze wyobrażałem sobie, że po maturze przeniesiesz się do N’awlins albo gdzieś na północ.

Nigdy bym nie przypuszczał, że będziesz chciała zostać w Rayne.

Myślał o niej.

– Dlaczego tak sądziłeś?

Podniosła wzrok i zobaczyła, że obok ich stolika czeka kelner.

– Lepiej coś zamówmy.

Kiedy Mike przeglądał menu, rozejrzała się po restauracji. To Mike wybrał lokal, ona jedynie zarezerwowała stolik. No cóż, najwidoczniej kolega po fachu lubi sobie dogadzać. Ceny były tu wysokie, wystrój elegancki, kelnerzy dyskretni, a obrusy i serwetki lniane. Wszystko w zasięgu wzroku było wypolerowane na wysoki połysk. Nie zauważyła nikogo znajomego, lecz komu z Rayne chciałoby się jechać osiemnaście kilometrów, żeby zjeść lunch w Lafayette?

– Wezmę cajuński pasztet z krabów, sos francuski i kieliszek domowego wina – powiedziała.

– Dla mnie to samo – dodał Mike. Zaczekał, aż kelner się oddali, a potem zapytał:

– Mógłbym wpaść do ciebie wieczorem? Pracuję dziś krócej.

– Wieczorem? – Nie sądziła, że mówi poważnie. – Wiesz... ja pracuję do późna, więc pewnie nie wrócę przed siódmą. Jeśli nie uważasz, że to za późno, to możesz wpaść.

Serce zabiło jej mocno na myśl, że Mike ją odwiedzi. Postarała się stłumić to uczucie.

– Przyniosę jakąś chińszczyznę. Masz piwo?

– Oczywiście, a kto nie ma? – zażartowała Jane.

– Nigdy nie wiadomo. A teraz powiedz mi, o co chodzi. Darmowy lunch to bardzo przyjemna rzecz, lecz chętnie się dowiem, co muszę zrobić, żeby na niego zapracować.

Z pewnością przywykł mówić otwarcie. Jane odchyliła się na krześle.

– Mam pacjenta, z którym nie najlepiej sobie radzę. Jest w nim coś... – Potrząsnęła głową. – Chodzi o to... nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on mnie w coś wrabia, a nauczyłam się ufać prze-

czuciom. To podręcznikowa sprawa, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– A co mu jest? Cierpi na jakąś chorobę psychiczną?

– Sama nie wiem. Powinna wiedzieć, a nie wiem. On mówi wszystko, co należy. Ja mówię wszystko, co należy. Tylko nic z tego nie wynika. – Położyła dłonie na stole. – Do tej pory spotkałam się z nim trzy razy i nadal jestem w punkcie wyjścia. Jak podejrzewam, problem może polegać na tym, że on za bardzo stara się nad sobą panować. – Upiła łyk wina. – Szczerze mówiąc, uważam, że lepiej poszłoby mu z psychiatrą płci męskiej. Pomyślałam, że może zechciałbyś wziąć udział w jednej sesji. Może zdołałbyś się zorientować, co tu jest grane. Oczywiście, jeśli pacjent wyrazi zgodę.

– Jasne. Powiedz tylko, kiedy i gdzie. Ale co mu jest, jeśli pominać to, z czym zwykle mamy do czynienia?

– Powiedział, że jego żona została zgwałcona, a on nie może sobie z tym poradzić. Przestała go podniecać i nie potrafi się nawet zmusić, by jej dotknąć. Trudno mu nawet być dla niej grzecznym. Z tego, co zrozumiałam, jest wściekły i swój gniew kieruje przeciwko żonie, ponieważ odmówiła pójścia na policję. Mam jednak wrażenie, że on kłamie, gdyż tak naprawdę wcale nie chciał, by zeznawała. Twierdzi, że zwolniła się z pracy i całymi dniami przesiaduje w domu.

– Mają jakieś dzieci? Jakąś rodzinę? Zwierzęta domowe?

– Nic o tym nie wspominał, ale nie wiem, czy można mu wierzyć. Przez cały czas głupawo się uśmiecha. Ostatnim razem aż miałam ochotę go walnąć.

Roześmiała się, by ukryć zdenerwowanie, a potem pochyliła do przodu.

– On słucha mojej audycji. Kiedyś zaczął rozwodzić się nad problemami, o których usłyszał w radiu. Powiedział, że nie zgadza się z moją opinią w pewnej sprawie. Twierdzi, że na

antenie jestem zbyt zbzikowana i roztrzepana. Dokładnie tego określenia użył: roztrzepana. Nigdy nie bywam roztrzepana – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Staram się zachowywać swobodnie i z humorem, lecz jeśli wyczuwam, że dzwoniący naprawdę ma problem, zawsze doradzam mu, aby zasięgnął porady profesjonalisty. Czasami jestem zmuszona prosić ich, by się nie rozłączali i wracam do rozmowy po zakończeniu audycji. – Nie musisz się tak bronić, Jane. Znam twoją reputację no i słuchałem audycji. Podejrzewasz, że facet chce cię w coś wrobić. Mogłabyś to bardziej sprecyzować?

Westchnęła głęboko i powiedziała:

– Chciałabym, ale nie potrafię. To tylko takie przecucie, Mike. W zeszłym tygodniu miałam wrażenie, że wszystko, co powiedział podczas sesji, zostało... przeciwiczone – dodała po namyśle. – Zupełnie, jakby czytał z kartki. Wydaje się, że ułożył sobie w myślach listę pytań, które spodziewał się usłyszeć, a kiedy pytałam o coś innego, denerwował się. Chciałam to sprawdzić, zadając dodatkowe pytania, a wtedy zamknął się w sobie i powiedział, że bym się trzymała tematu.

Usiadła wygodniej na krześle i skrzyżowała ramiona.

– A co mówi, kiedy pytasz go o żonę? – Mike był wyraźnie zainteresowany.

– Niewiele... Wiesz, zastanawiam się, czy to niejedno wielkie kłamstwo. Może on w ogóle nie ma żony. Dzwoniłam do niego do domu, ale nikt nie podnosił słuchawki. Jeśli jego żona naprawdę rzuciła pracę i przesiaduje w domu, to gdzie jest? Dlaczego nie odpowiada na telefony? Kiedy zapytałam, czy zasięgała porady psychologa, rzucił mi prosto w twarz, że to on jest moim pacjentem, nie jego żona i że sam się nią zajmie. Ja... – Już miała powiedzieć, że pojechała do domu swego pacjenta, lecz się rozmyśliła.

– Może to właśnie on ją zgwałcił. Od czasu do czasu mamy z

tym do czynienia. Jakiś przemądrzały, tępy macho wyobraża Sobie, że kobieta, którą poślubił, to jego własność. A jeśli ona stale mu odmawia, a on nie może już tego znieść? Jak myślisz, czy to typ skłonny do przemocy?

– Jak najbardziej.

– Nie obraż się, Jane, ale może jemu się wydaje, że kobietę łatwiej mu będzie oszukać. To znaczy, chciałem powiedzieć, że jeśli facet cię przeraża, zrezygnuj z niego. Nigdzie nie jest powiedziane, że akurat ty musisz się nim zajmować. Niech się nim zajmie ktoś inny.

– On nie tyle mnie przeraża, co sprawia, że ciarki przechodzą mi po plecach. Nie wahałabym się ani chwili, ale co będzie, jeśli on naprawdę ma żonę, która została zgwałcona, a teraz pogrąża się w depresji? Jak bym się czuła, gdyby coś sobie zrobiła?

– Paskudnie, to oczywiste. Oboje wiemy jednak, że w naszej profesji aż roi się od różnego rodzaju gdybania. Poza tym psychiatria to nie nauka ścisła. Nie jesteś też pogotowiem ani wróżką.

Nawet jeśli miał rację, nie to chciała usłyszeć.

– Straciłeś kiedyś pacjenta, Mike?

– Nie.

– Ja też. I nie chcę stracić go teraz. Dlaczego nie moglibyśmy uznać tej żony za moją niewidzialną pacjentkę?

– Możesz mówić i robić, co tylko zechcesz, Jane. – Teraz traktował ją protekcjonalnie.

– A co ty byś zrobił?

– Po tym, co mi powiedziałaś – pozbyłbym się go. Poświęcasz temu facetowi zbyt wiele czasu i energii, a przecież masz innych pacjentów, szczerych i naprawdę potrzebujących twojej pomocy.

Znowu ma rację, uświadomiła sobie, wspominając noce, kiedy nie mogła zasnąć, dręczona rozmyślaniami na temat Briana

Ramseya. Przedtem tylko raz zdarzyły jej się trudności z zasypianiem. Tuż po tym, jak dowiedziała się o samobójstwie Connie...

– Zakochasz się w tym krabowym cudzie – powiedział Mike, wbijając widelec w soczysty pasztet.

Jane odłamała kawałek chrupkiej skórki i przez chwilę bawiła się nią, przyglądając się, jak jej kolega po fachu pochłania lunch. Odłamała następny kawałek i rozkruszyła go w palcach. Postanowiła zrezygnować z ostrożności i opowiedzieć mu całą historię.

– Wiem, że uznasz to za wariactwo – powiedziała, wpatrując się w swój talerz – ale wybrałam się pewnego dnia do jego domu. Zadzwoiłam, lecz nikt nie odpowiedział. Obeszłam dom i zajrzałam w okna. Nic. To parterowy budynek, mogłam więc przyjrzeć się wszystkim pomieszczeniom. Wszędzie panował porządek, ale nikogo tam nie było.

Spojrzała na Mike'a i zanim zdążył coś powiedzieć, ciągnęła dalej:

– Pojechałam tam po raz drugi. I trzeci. Za każdym razem to samo. Proszę, nie potępiaj mnie za brak profesjonalizmu. Wiedziałam, że źle robię. Ale to zrobiłam. Jednak nadal pozostaje bez odpowiedzi pytanie: jeśli istnieje żona, która rzuciła posadę i ukrywa się w domu, to gdzie ona, u licha, jest?

Mike przestał jeść.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że angażując się osobiście, pogwałciłaś kardynalną zasadę w tym fachu?

Jane skinęła głową. Mike odłożył widelec.

– A jak myślisz, gdzie ona mogła być? – zapytał. Jane chrząknęła.

– Myślę... sama nie wiem, co myślę. Jeśli jest w domu, to chyba tylko w piwnicy – powiedziała, nie patrząc na niego. – Mogą mieć letnią kuchnię. Ja mam taką obok domu, w którym teraz

mieszkam. To prawdziwe błogosławieństwo w lipcu i sierpniu. Mogła tam gdzieś być i może on przetrzymuje ją tam wbrew jej woli. Sama nie wiem, Mike. Nigdy nie miałam z czymś takim do czynienia. Nic tu się nie zgadza. Mam nadzieję, że kiedy poznasz faceta zrozumiesz, o co mi chodzi. Nie mam pojęcia, co dalej robić. Nic nie przychodzi mi do głowy. Widzę, że tobie także, skoro nie potrafisz mi nic poradzić.

Mike otarł usta serwetką i odłożył ją na stół. Ciekawe, pomyślała, czy oznacza to, że problem naprawdę go zainteresował, czy też uważa, że zupełnie schrząbiłam sprawę. Miała nadzieję, że nie chodzi o to drugie.

– To brzmi jak intrygująca powieść. Kiedy masz się z nim spotkać?

– Dzisiaj o czwartej. Kończy pracę o trzeciej, potem jedzie do domu, myje się i punktualnie o czwartej dzwoni do moich drzwi. Jest właścicielem firmy przewozowej.

– Całe dzisiejsze popołudnie mam zajęte, ale mógłbym go zobaczyć w przyszły czwartek. To dałoby ci czas, żeby przygotować go na moją obecność w czasie sesji. Tylko się nie zdziw, jeśli odmówi. – Zerknął na swego roleksa.

– Nie znoszę sytuacji, kiedy zaraz po jedzeniu muszę pędzić do roboty, ale o wpół do drugiej mam pacjenta. Powinnaś zobaczyć tego faceta. Nosi na nadgarstku coś w rodzaju alarmu. Śpi z nim, bierze prysznic i, z tego, co wiem, nie zdejmuje go nawet wtedy, kiedy się kocha. W kieszeni na biodrze ma zapasową parę baterii, a w tylnej jeszcze całą paczkę. Pełny tuzin. Mówię ci, to istny króliczek z reklamy Duracella. Jeśli dopisze mi szczęście, dziś dowiem się, co jest z nim nie tak. – Odsunął krzesło. – Przestań się zamartwiać. Wszystko będzie dobrze. I nie zapomnij, jesteśmy umówieni na siódmą. Ja przynoszę żarcie, ty stawiasz piwo, zgadza się?

– Jak najbardziej.

Nic więcej nie była w stanie wykrztusić.

– Dobrze wyglądasz, Jane. Podoba mi się ten kapelusz. Do zobaczenia wieczorem.

Przyglądała się, jak kobiety w restauracji, wszystkie co do jednej, oglądały się za nim. Spodobał mu się jej kapelusz. Coś takiego!

Skończyła lunch. Przez chwilę zastanawiała się, czy zamówić deser, lecz w końcu odprawiła kelnera. Choć na myśl o czekoladowym ciastku ciekła jej ślinka, biodra mówiły nie. Położyła na stoliku kilka banknotów i wyszła, z pewnością nie odprowadzana męskimi spojrzeniami. Że też musiała przytyć te pięć kilo! Wyglądało na to, że nigdy już nie będzie nosiła małych rozmiarów ubrań, tak samo jak butów.

Wsiadła do hondy koloru pomidora i sięgnęła po telefon komórkowy. Wybrała numer stacji radiowej i zaczęła, aż odezwał się Tom Bradley, dyrektor rozgłośni.

– Tom, tu Jane. Muszę odwołać naszą dzisiejszą kolację. Coś mi wypadło. Nie, to nic poważnego, ale nie mogę się z tobą spotkać.

Włożyła kluczyk do stacyjki.

– Posłuchaj, wpadnę jutro do rozgłośni, jeśli tylko uda mi się wygospodarować trochę czasu, ale obiecuję, że nie będziesz próbował mnie na nic namówić. I tak mam po uszy roboty. Audycja raz w tygodniu to wszystko, na co mogę sobie pozwolić, a poza tym, po co majstrować przy czymś, co tak dobrze działa? Nie, nie odrzucam z góry pomysłu, żeby dobrać sobie partnera, byle nie był to Harry Lowell. Jest arogancki i zbyt dużo pije. Pomyślę o tym, dobrze?

Nacisnęła przycisk wyłączenia i wrzuciła komórkę do torebki. Może Mike byłby zainteresowany. Widać było, że cała ta sprawa wywarła na nim wrażenie. Wspólne prowadzenie audycji mogłoby wypalić, zwłaszcza gdyby to on był współgospoda-

rzem. Poza tym, mogłaby wtedy częściej go widywać i lepiej poznać. Nagle pomysł wydał jej się niesłychanie kuszący. Żałowała teraz, że nie skierowała rozmowy na bardziej osobiste tory, na przykład nie postarała się dowiedzieć, czy jest z kimś związany.

Ciekawe, kto mógłby to wiedzieć. Nie znosiła tej całej zabawy w pytania i odpowiedzi. Może zadzwoni do Trbcie i powie jej, że chce dowiedzieć się czegoś o Mike'u, ponieważ zastanawia się, czy nie zaprosić go na współgospodarza programu. Trbcie zawsze wiedziała, kto z kim. Na pewno z rozkoszą się tym zajmie. Tak, zadzwoni do niej, gdy tylko znajdzie się w gabinecie.

Jane z właściwą sobie werwą zamknęła drzwi prowadzące do kilku niewielkich pomieszczeń. W jednym z nich mieścił się jej gabinet. Zdjęła dzinsowy kapelusz ozdobiony żółtym słonecznikiem i rzuciła go przez pokój. Wylądował dokładnie na wieszaku.

– Ale mam oko! – zaśmiała się głośno, rzucając teczkę na blat antycznego owalnego biurka. Spojrzała na zegar. Jeśli zadzwoni teraz do Trixie, zajmie jej to całe osiemnaście minut, jakie pozostały do spotkania z Brianem Ramseyem. Może powinna się wstrzymać, pójść do łazienki, odświeżyć makijaż, przejrzeć notatki z zeszłego tygodnia, a przede wszystkim, ochłoniąć po spotkaniu z Mike'iem.

Na kredensie z tyłu biurka piętrzyły się schludnie ułożone stopy teczek. Naprawdę musi znaleźć sobie kogoś, kto wyręczyłby ją w papierkowej robocie, do powrotu z urlopu macierzyńskiego Lily Owens, jej prawej ręki. Może jakaś studentka z college'u, czy nawet jakaś tymczasowa pomoc biurowa. Nada się każdy, kto tylko potrafi przepisywać jej notatki, ustalać terminy wizyt, załatwiać różne sprawy i wysłuchiwać, jak użala się nad sobą. Jutro z samego rana zadzwoni w kilka miejsc i może kogoś

znajdzie.

Kiedy do umówionej wizyty zostało już tylko sześć minut, usiadła i zaczęła przeglądać notatki dotyczące Ramseya. Nie było tego wiele – wszystko, co jej powiedział o żonie, gwałcie i swoich w związku z tym odczuciach, odmowie żony, która nie zgadzała się powiadomić policji, mieściło się na dwóch stronach. Podobnie jak uwagi Ramseya na temat porad Jane dla radiosłuchaczy i jej wrażenia dotyczące pacjenta oraz przebiegu sesji.. Trochę mało, biorąc pod uwagę, ile czasu z nim spędziła. Zamknęła skoroszyt i weszła do pokoju, którego używała do rozmów z pacjentami. Natychmiast poczuła się spokojniejsza. Pokój był mały, ale przytulny, dywan gruby, a fotele głębokie i wygodne. Sama zaprojektowała wnętrze utrzymane w spokojnych, miłych dla oka barwach ziemi.

Pośrodku stało dwustulitrowe akwarium. Wolą duże ryby od małych, a wewnątrz akwarium przypominało dno morza z zatopionym skarbem. Po kilku chwilach patrzenia na ryby, nawet najbardziej spięci goście uspokajali się i odprężali.

Krzeseł, na którym siadywała podczas sesji, miało ergonomiczny kształt i było wygodne, choć nie przesadnie. I pomagało jej nie zapomnieć, że jest w pracy. Spojrzała na zegarek, a potem zmieniła natężenie światła. Zanotowała w pamięci, że trzeba podlać paprotkę. Do chwili, kiedy Brian Ramsey przejdzie przez drzwi, zostały dwie minuty. Serce zaczęło jej mocniej bić. Kiedy zadzwonił telefon westchnęła zaskoczona.

– Doktor Lewis, słucham.

Ze słuchawki dobiegł ją głos Briana Ramseya.

– Nie, to żaden kłopot. Może pan odwołać wizytę, panie Ramsey. Przykro mi, że pańska żona nie czuje się dobrze. Nie, nie obciążę pana rachunkiem. Zwykle tak postępujemy, jeśli pacjent nie odwoła wizyty na dobę przed umówionym terminem, ale tym razem zrobię wyjątek.

Przypomniała sobie, że Mike zaproponował, aby przygotowała Ramseya na możliwość spotkania z jeszcze jednym terapeutą. – A skoro już rozmawiamy – powiedziała, starając się, żeby jej głos brzmiał radośnie – chciałabym pana poinformować, że w przyszły czwartek podczas sesji będzie nam towarzyszył doktor Michael Sorenson. Sądzę, że to się panu spodoba. Jeśli nie życzy pan sobie obecności drugiego terapeuty, proszę powiedzieć mi o tym teraz. – Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Dobrze. A więc, do zobaczenia w przyszły czwartek. Mam nadzieję, że pańska żona wkrótce poczuje się lepiej.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła się wpatrywać w akwarium. Co było nie tak z panią Ramsey? To dziwne, ale mąż nigdy nie wymienił jej imienia. Zawsze mówił o niej: moja żona. Poza tym złe samopoczucie współmałżonka to jeszcze nie powód, by odwoływać wizytę. Czy dzień dzisiejszy różnił się jakoś od poprzednich, kiedy się spotykali? Tylko z jej punktu widzenia, ponieważ rozmawiała o Ramseyu z Mike’iem. Gdyby nie to, pewnie potraktowałyby odwołanie spotkania jak każde inne tego typu wydarzenie – z ulgą. Mike miał rację: angażując się osobiście, łamie zasady. Nie wolno jej myśleć zbyt wiele o Brianie Ramseyu, ponieważ kiedy to robi, myśli o Connie Bryan.

Teraz ma czas, żeby zadzwonić do Trixie.

– To ja. Jak leci, Trixie?

– Gdyby sprawy potoczyły się lepiej, musiałabym zatrudnić kogoś, by pomógł mi się tym cieszyć. Innymi słowy, wszystko gra. Zaczekaj chwilę, kochanie. Fred! – zawołała do męża. – To Janie! Podnieś słuchawkę.

Jane uśmiechnęła się i podeszła do akwarium, by przyjrzeć się dwóm ostatnim nabytkom – parze wyjątkowo dorodnych aniołów morskich, które nazwała Gracie i Slick.

Fred podszedł do telefonu.

- Janie, miło cię słyszeć, dziecko. Wpadniesz do nas?
 - Nie dzisiaj. Może jutro. Zależy, co będziecie mieli na kolację.
 - Co tylko Fred wybierze – odparła, jak było do przewidzenia, Trixie. Oznaczało to, że Fred pójdzie do najbliższego baru z daniami na wynos i coś stamtąd przyniesie.
 - Kotlety schabowe byłyby bardzo smaczne, Fred. Janie lubi kotlety. Prawda, dziecko?
 - Pewnie. Do zobaczenia o siódmej. Jutro, nie dzisiaj.
 - W porządku – powiedział Fred.
 - Trixie, wiem, że interesujesz się tym, kto przyjeżdża do miasta lub je opuszcza. Co wiesz o Sorensonach? Jadłam dziś w Lafayette lunch z Mike’iem. Nie wspomniał nic o rodzinie. A ja nie pytałam.
- Trixie zastanawiała się przez chwilę.
- Hm – powiedziała po chwili ciszy. – Rzeczywiście, coś tam o nich wiem. Jego rodzice mniej więcej rok temu przeprowadzili się do N’awlings. Rayne okazało się dla nich zbyt spokojne, a nie chcieli przeprowadzać się do Lafayette, by Mike nie pomyślał, że próbują mieć go na oku.
 - Nie wiesz przypadkiem, czy jest żonaty albo czy się z kimś spotyka? – zaryzykowała, wiedząc, że prawdopodobnie otwiera puszkę Pandory.
- Nie, nie jest żonaty – odparła Trixie ze śladem uśmiechu w głosie. Spotykał się z pewną kobietą, młodą adwokatką. Ma na imię Coletta. Vivian, matka Mike’a, powiedziała mi, że ona ma więcej wdzięku niż kosz pełen szczeniaków, lecz była zazdrosna o czas, jaki Mike poświęcał pracy. Zerwali ze sobą przed kilkoma miesiącami. Czy to ci wystarczy?
- Jane skrzywiła się. Więcej wdzięku niż kosz pełen szczeniaków oznaczało, że dziewczyna jest naprawdę super.
- Tak, owszem. Czy jest coś, o czym byś nie wiedziała?
 - Hm, niech pomyślę – odparła Trixie, jakby rzeczywiście roz-

ważała tę kwestię. – Nie, chyba nie. Dlaczego wypytujesz o Mike’a?

– Przychodzi dziś do mnie na kolację.

– Rozumiem – powiedziała Trixie domyślnie.

– Nie, nie rozumiesz. Spotkaliśmy się, gdyż zaprosiłam go na lunch. Chciałam porozmawiać o pacjencie, który sprawia mi kłopoty. Tak się złożyło, że wspomniałam o moich duchach, a on powiedział, że interesują go zjawiska paranormalne. To wszystko. Choć bardzo bym chciała uwierzyć, że go pociągam, to po prostu niemożliwe. W liceum zawsze uganiał się za dziewczynami w typie tych maskotek drużyny.

– To było w liceum, a teraz jest mężczyzną, lekarzem. Uwierz mi, niepotrzebna mu jakaś lahmia. On potrzebuje prawdziwej kobiety. Takiej jak ty, kochanie.

Jane słyszała w tle głos z telewizora.

– A tak nawiasem mówiąc, to co stało się z tym dyrektorem stacji? Chyba dobrze się z nim bawiłaś, chociaż za Boga nie potrafisz zrozumieć, co ty w nim widzisz? Facet jest brzydszy od mydła domowej produkcji.

– Wstydziłabyś się, Trixie – wtrącił piskliwie Fred. – To nie było miłe. To nie jego wina, że spadł z drzewa brzydoty, uderzając po drodze o wszystkie gałęzie. To znaczy, nie twierdzę, że nie jest miły, tylko że... musisz pomyśleć o tym, jak będą wyglądały twoje dzieci, Janie.

Jane potrząsnęła głową i przewróciła oczami.

– Nie martw się, Fred, nie zamierzam za niego wychodzić. Po prostu z nim sypiam.

Zakryła dłonią usta i zachichotała, wyobrażając sobie minę Freda.

– A poza tym, i tak wkrótce przestanę się z nim widywać. Zrobiło się nudno. Facet nie ma w sobie ani trochę werwy.

Trixie zachichotała z aprobatą.

- Jeszcze jedno, Trixie – wtrąciła Jane. – Znasz może Briana Ramseya? Ma firmę przewozową niedaleko miasta. Zastanawiałam się, czy jest stąd. Chciałabym też dowiedzieć się czegoś o jego żonie. Nie pytaj, dlaczego, dobrze? Masz może jakąś tajną teczkę w rodzaju tych, z których korzystacie, kiedy piszecie książkę i chcecie kogoś sprawdzić?
- Pewnie – odparła szybko Trixie. – Jeśli masz numer ubezpieczenia, adres, cokolwiek, co mogłoby pomóc w poszukiwaniach, podaj mi. Zobaczę, co się da zrobić. Wiesz, że możesz mi zaufać.
- A tak przy okazji, jak tam wasza nowa książka? Która to już z kolei?
- Sto czwarta. Idzie nam doskonale. Krew i flaki walają się wszędzie. Kiedy zadzwoniłaś, właśnie dyskutowaliśmy. Ja chcę, żeby krew płynęła strumieniem, a on, żeby się sączyła. Kiedy przetniesz kogoś na pół piłą łańcuchową, nie będzie się sączyła, ale lała strumieniem, prawda?
- Na samą myśl o tym Jane zrobiło się niedobrze.
- Nie licz na mnie w tej sprawie, Trixie.
- Dobrze, a tak z innej beczki – powiedziała Trixie – w co się wystroisz dziś wieczorem?
- Wieczorem? No cóż, w nic, zupełnie nic! – odparła, drocząc się z nią Jane. – Zobaczymy się jutro i wtedy wszystko wam opowiem.
- Gdy odkładała słuchawkę, usłyszała jeszcze, jak Trixie mówi do męża:
- Słyszałaś, Fred? Ona nie będzie miała na sobie absolutnie nic!
- Słyszałem, a jakże – powiedział Fred i rozłączył się.

Jane otworzyła drzwi wejściowe i uśmiechnęła się ciepło. Olive pomknęła ku niej, biegnąc susami po schodach. Jane weszła do holu, rzuciła kapelusz i torebkę mniej więcej w kierunku zabyt-

kowej ławy i przykucnęła, by wytarmosić spanielkę.

– Tak, tak, wiem, że się cieszysz – zaszczebiotała radośnie. – Ja też się cieszę. Miałaś dobry dzień? Mój był i zły, i dobry. No, właściwie, nie taki całkiem zły – mówiła, pozwalając psu lizać się po twarzy. – Hej, wiesz co? Będziemy miały towarzystwo na kolacji. Bohater moich młodzieńczych snów przyniesie chińskie żarcie. Facet ma kotkę, którą nazwał Kluseczka. I co ty na to?

– Hau.

– Tak myślałam – skomentowała Jane, spoglądając w kierunku salonu. Ojciec nauczył ją kochać stolarkę i dzięki temu większą część prac stolarskich przy odnawianiu domu wykonała sama. Obramowanie kominka, w swoim czasie bardzo oryginalne, okazało się sporym wyzwaniem, lecz odtworzyła je starannie i pomalowała. Poprzedni właściciele usunęli ozdobne gzymsy i wynieśli zachowane fragmenty na strych.

Zniesienie ich na dół, rozłożenie na podłodze i poskładanie zajęło Jane wieczność. Kopie zdjęć wnętrza domu, zachowane w siedzibie miejscowego towarzystwa historycznego, ujawniły, że kiedyś po obu stronach kominka znajdowały się półki na książki. Czując się, jakby odnalazła ukryty skarb, Jane zdjęła wierzchnią warstwę tynku i odkryła nietknięte regały. Teraz stała na nich setka książek T. F. Dingle’a, czyli Trixie i Freda McGuire’ów, rodziców chrzestnych Jane. Grzbiety książek, nietknięte i bez załamań, połyskiwały jak w dniu, gdy je tam ustawiła.

Olive stała cierpliwie u stóp pani, trzymając w pysku pluszową zabawkę i całą sobą demonstrując chęć zabawy.

Jane czuła się winna, że nie poświęciła psu dość uwagi, opadła więc na kolana i chwyciła zębami drugi koniec zabawki, rozpoczynając grę w przeciąganie. Już prawie zwyciężyła, kiedy usłyszała dzwonek. Sądząc, że to gazeciarz, zawołała przez zaciśnięte zęby:

– Proszę wejść!

– No, niech mnie, jeśli to nie jest godne uwiecznienia! – zawołał Mike od progu. – Wyglądasz, jak na reklamówce Kodaka!

Olive natychmiast puściła zabawkę. W przeciwieństwie do Jane, która nadal tkwiła na klęczkach z pluszowym zwierzątkiem w zębach. Poczerwieniała z zażenowania. Nie tak pragnęła się zaprezentować Mike’owi. Czym prędzej puściła zabawkę i wstała.

– My tylko... się bawiliśmy powiedziała.

– Właśnie widzę. I kto wygrywał, ty czy... to Olive, prawda?

– Tak, masz przed sobą Olive i to ja wygrywałam. Zdecydowanie. – Wyprostowała się i otrzepała z kurzu dłoń. – Niemożliwe, żeby już była siódma. Dopiero przyjechałam. – Spojrzała na zegarek. Wskazywał szóstą trzydzieści, – Ostatni pacjent odwołał wizytę. Pomyślałam, że nie weźmiesz mi za złe, jeśli pojawię się trochę wcześniej. Mogę posiedzieć na ganku i Zaczekać, aż będziesz gotowa.

Minął ją i wszedł do salonu.

– Widzę, że dokonałaś tu cudów, ale... – Zwinął dłoń w lunetę i zerknął przez nią. – Kto zajmował się stolarką? Powinnaś go zaskarżyć!

Olive obwąchiwała buty i nogawki Mike’a. Pewnie poczuła kota.

– Dlaczego miałabym zaskarżyć stolarza?

– To jak domek czarownicy z bajki. Wszystko tu jest krzywe. Znam bardzo dobrego adwokata.. – Podszedł do półek. – Boże święty, masz cały zbiór?

Jane potrzebowała chwili, by przełknąć ten „domek czarownicy”.

– Zbiór czego? – spytała chłodno.

– Dingle’a. Wygląda na to, że masz komplet jego książek, do tego w doskonałym stanie. Ja mam tylko około sześćdziesięciu,

ale czytałem wszystkie. Niektóre więcej niż raz. Zabiłbym, by zdobyć resztę. Kupiłaś je na wyprzedaży? Nigdy bym nie przypuszczał, że możesz gustować w tego rodzaju literaturze. Cała ta krew i flaki... – powiedział jednym tchem.

– Doprawdy? A jakież to, twoim zdaniem, książki czytuję? Olive uniosła łeb, zaalarmowana lodowatym tonem w głosie pani.

Przysunęła się chyłkiem do Mike'a, podkuliwszy pod siebie ogon.

– Te łzawe, niemądre romanse, które tak uwielbiają kobiety. Dingle to lektura dla mężczyzn. Wiesz, morderstwa i rany, krew i flaki. T. F. Dingle to jeden z pierwszych autorów, którego książki czytywałem dla przyjemności, kiedy byłem uczniem. Cały komplet! Nie mogę w to uwierzyć! Pewnie nie chciałabyś ich sprzedać, co?

– Nie, absolutnie.

– Przez lata napisałem do jego wydawcy chyba z setkę listów. Nie odpowiedział na żaden.

– To znaczy, kto?

– T. F. Dingle. Autor. Pewnie to jakiś samotnik. Słyszałem, że mieszka w chacie na odludziu i produkuje powieści, bębniąc na starym underwoodzie. Wyobrażasz sobie? Dużo bym dał, żeby dowiedzieć się, co dzieje się w głowie tego gościa. A ty? Złość Jane przeszła w pełną samozadowolenia satysfakcję.

– Nie mogę powiedzieć, żeby mi na tym szczególnie zależało – odparła, rozkoszując się chwilową przewagą.

Mike odsunął się od regałów i znowu spojrzął przez zwiniętą dłoń.

– Te półki są odchyłone od pionu o dobre półtora centymetra. Jak mogłaś ustawić książki Dingle'a na krzywym regale? Kim jest Stephen Rhodes i czemu zostawiłaś dla niego całą półkę? – zapytał, podchodząc bliżej, aby odczytać tytuły. Szybkie pie-

niądze. Szlak pieniądza. Są aż tak dobre? Małe kobietki, Prze-
minęło z wiatrem, Bliźniaki Bobbsey, Nancy Drew? Interesują-
cy zestaw. Nie kręci ci się w głowie, kiedy tu podchodzisz?

– Zamknij się, Mike – powiedziała, zdumiona własną śmiało-
ścią. – Nie chcę tego dłużej słuchać. Dla twojej informacji: Ste-
phen Rhodes pisze o pieniądzach. Jest w tym bardzo dobry. Lu-
bię czytać o pieniądzach. Nie, nie możesz ich pożyczyć, kup
sobie własne. Honoraria pisarzy zależą od liczby sprzedanych
egzemplarzy, więc autorzy nie lubią, kiedy pożyczają się ich
książki. Rhodes ma dla siebie całą półkę, ponieważ zamierza
napisać jeszcze mnóstwo książek, a ja zamierzam kupić wszyst-
kie. Być może napisze ich więcej niż Dingle. I to by było na
tyle, jeśli chodzi o mego. Pozostałe to moja ulubiona lektura.
Nie czytałeś, że Chłopcy Hardy’ego wreszcie dorośli? Zanieś
jedzenie do kuchni. Nie będziemy jeść tutaj, bo jeszcze zakręci
ci się w głowie i zwymiotujesz. Odwróciła się, czując, że Mike
depcze jej po piętach.

– Siadaj – powiedziała, wskazując krzesło z dębowym opar-
ciem. Przez jakiś czas kręciła się po kuchni, wyjmując z szafek
talerze, serwetki, sztućce i wreszcie dwie butelki piwa.

– Smacznego – powiedziała, stawiając wszystko na środku sto-
łu.

– Mam nadzieję, że cię nie uraziłem – powiedział Mike, lecz
jego uśmiech przeczył słowom.

– Trzeba znacznie więcej, niż jednego przemądrzałego psychia-
try, by mnie urazić – burknęła Jane, sięgając po smażony ryż.

– Aj – powiedział, rozcierając policzek, jakby po uderzeniu.
Zignorowała to.

– Hej, podobają mi się te papierowe talerze ...

– Nie są papierowe, lecz plastikowe. To różnica. Rozumiesz,
plastik jest twardy i nie nasiąka.

– Czemu się złościysz? Popieram wszystko, co może ułatwić nam

życie. Papierowe talerze. Jedzenie na wynos. Gosposie. Ogrodników. Jeśli tylko cię na to stać, nie żałuj sobie – oto moja dewiza.

– Masz zdanie na każdy temat?

Jego pewność siebie stopniała niczym masło. Przez chwilę wyglądał jak nieśmiały chłopiec.

– Gadam tak, kiedy się denerwuję. Już kiedy przyszedłem, byłem zdenerwowany, a potem zobaczyłem książki i trochę się zagalopowałem.

Nabrał na widelec porcję wieprzowiny w sosie słodko-kwaśnym i przeniósł na swój talerz.

Jane nałożyła na talerz nieco białego ryżu z chow mein i postawiła jedzenie na podłodze.

– Olive jest wegetarianką – wyjaśniła. – W tym nie ma glutamianu, prawda?

Denerwował się z powodu kolacji z nią. Nie wiedziała, czy powinno jej to pochlebić, czy ją zaniepokoić.

– Nie ma.

Jane otworzyła dwie butelki corony i pociągnęła ze swojej solidny łyk. Mike nie sięgnął po piwo, więc pomyślała, że chyba spodziewa się dostać szklanekę. Jakiś złośliwy duch podszeptał jej, aby sięgnęła za siebie i podała mu jaskrawoczerwony plastikowy kubek.

– Butelka wystarczy – powiedział. – Jak twoja popołudniowa sesja?

– Nie odbyła się. Ramsey odwołał wizytę na dwie minuty przed umówioną godziną. Powiedziałam mu o tobie i o następnym tygodniu. Zgodził się. A jak tam twój facet od baterii?

Mike westchnął.

– Powiedział, że kupił wczoraj akcje Duracella. Mnóstwo akcji. Całe pięć tysięcy. I znalazł dostawcę, który będzie mu dostarczał baterie raz w tygodniu. Zupełnie jak mleczarz.

Jane przetrwała informację.

– Więc dowiedziałeś się, skąd u niego ta obsesja na punkcie baterii?

– Nie, jeszcze nie. Cały czas kręci i nie odpowiada bezpośrednio na żadne pytanie.

W trakcie swej praktyki Jane pracowała z wieloma pacjentami, cierpiącymi z powodu różnego rodzaju obsesji – mycia rak, gromadzenia rozmaitych rzeczy, pedanterii. Nigdy jednak nie chodziło o baterie. Czy facet obawiał się, że wyłączy prąd? A może sądził, że baterie zapewnią mu moc i siłę?

– Czy on ma jakieś problemy ze zdrowiem?

Mike skończył żuć, a potem odpowiedział:

– Tak, odcisk na lewej stopie. Facet jest zdrowy jak byk. Po prostu promieniuje zdrowiem.

– A czym się zajmuje?

– Jest ważnym rewidentem księgowym w wielkiej spółce chemicznej. Pomachał widelcem.

– Ale nie mówmy już o nim. Na samą myśl o tym, że ciągnie ze sobą te baterie wszędzie, dokąd idzie, kręci mi się w głowie.

Opowiedz lepiej o sobie, Jane. Widywałem cię podczas różnych konferencji i słuchałem twojej audycji w radiu, ale poza tym wiem o tobie tylko tyle, ile zapamiętałem ze szkoły. Jesteś mężatką, rozwódką...?

– Nie, nigdy nie wyszłam za mąż. Nie miałam czasu się zaangażować, zbyt pochłaniała mnie praca i odnawianie domu. Co nie znaczy, że, przynajmniej od czasu do czasu, nie umawiam się na randki.

Starannie odwinęła folię z kurczaka, włożyła sobie porcję mięsa do ust i przez chwilę delektowała się jego smakiem. To było jej ulubione danie. Następne w kolejce było moo shoo, które nauczyła się przyrządzać, używając gotowych placuszków z mąki.

– Moi rodzice zmarli przed czterema laty, więc kupiłam ten

dom, aby zająć myśli czymś pożytecznym, co by mnie absorboowało. Jestem blisko z rodzicami chrzestnymi i często ich odwiedzam. No i mam Olive, a także paru dobrych przyjaciół. A ty?

– Kilka razy mocno się zaangażowałem, lecz nie doprowadziłem sprawy do końca. Ostatnim razem okazało się, że nasze oczekiwania są zupełnie różne. Rozstaliśmy się i każde poszło swoją drogą. Rodzice jej nie lubili. Mawiali, iż uważa się za tak piękną, że powinna zawisnąć na czubku choinki. Mam brata w Montanie i siostrę w Anglii. Wysyłamy do siebie emaile. Ale na ogół jestem sam z Kluseczką.

– Wtedy, w szkole, trochę się w tobie podkochiwałam – przyznała niespodziewanie Jane i natychmiast tego pożałowała. Mike odstawił piwo i podniósł głowę.

– Nie wiedziałem – powiedział, patrząc jej głęboko w oczy.

– No pewnie – odparła. – Byłeś zbyt zajęty podtrzymywaniem swojej popularności i uganianiem się za Ginger, Lonnie i pozostałymi maskotkami drużyny.

Mike wyciągnął przed siebie dłonie w obronnym geście.

– Tak! Przyznaję. Byłem wtedy strasznym głupkiem. Myślałem tylko o sobie, o tym, jak się zabawić i z kim.

– Nie ma to jak uczciwa samokrytyka – powiedziała kpiąco Jane, uśmiechając się z przymusem.

– Pewnie, tyle że już nie jestem taki. Zmieniłem się. Tak jak ty. Kiedyś byłaś cichutka, pilna i skryta.

– To dlatego, że nie miałam o sobie zbyt dobrego zdania. Moja matka była bardzo próżna, a do tego, w przeciwieństwie do mnie, ładna, szczupła i nie musiała nosić okularów. Uwielbiała podkreślać to w rozmowach z przyjaciółmi.

Mike przyglądał się jej przez chwilę.

– Jeśli cię uraziłem, bardzo przepraszam. Jane odsunęła talerz.

– Na ogół nie jadłam mięsa – powiedziała. Jedzenie było dobre,

ale jakoś nie czuła się głodna. – Chcesz obejrzyć pozostałą część domu?

– Pewnie, ale najpierw chciałbym zobaczyć studnię.

– Studnię?

– Tak, tę, do której wpadł chłopiec i gdzie pies czekał na niego, aż zdechł.

– No jasne. – Potrząsnęła głową, jakby chciała rozjaśnić umysł.

– Zamyśliłam się.

Zostawili jedzenie na stole i wyszli tylnymi drzwiami na ganek, a potem po schodkach do ogrodu. Leniwie wijąca się ścieżka prowadziła wśród zarośli, to zwężając się, to rozszerzając.

– Czekałem na tę chwilę, gdy tylko wspomniałaś o tym domu podczas lunchu – odezwał się Mike z tyłu. – Czuję, że będę dziś spał jak suseł. Najpierw kompletny zbiór T. F. Dingle’a, a teraz miejsce, gdzie być może pojawia się duch. Co za dzień! Chyba oboje powinniśmy kupić akcje Duracella. Może ten facet ma rację i coś w tym jest.

Jane się roześmiała. Po raz pierwszy od bardzo dawna śmiała się szczerze i z całego serca. Poprowadziła go ścieżką dalej, lecz nagle się odwróciła, słysząc szczekanie Olive. Zanim spostrzegła, na co się zanosí, Olive zdążyła już złapać Mike’a za kostkę.

– Zabierz ją krzyknął.

– Ollie! Puść go, Ollie – zawołała, lecz Olive zdecydowanie nie miała zamiaru jej posłuchać. Jane zrobiła więc jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy – podniosła spanielkę i siłą oderwała ją od Mike’a.

– Przepraszam – powiedziała, wykrzywiając usta. – W pobliżu studni robi się okropnie zaborcza i stara się nikogo tu nie dopuścić.

Mike podciągnął nogawkę.

– Chyba odgryzła mi kawałek nogi. – Szara skarpetka zaczęła już nasiąkać krwią. – Patrz, leci mi krew.

– To tylko niewielkie draśnięcie – powiedziała Jane, celowo bagatelizując sprawę. Jak na dorosłego mężczyznę stanowczo zbyt się ze sobą cackała. Wyjęła z kieszeni papierową chusteczkę, oderwała kawałek, splunęła na niego i powiedziała: – No, zaraz coś...

Mike opuścił pospiesznie nogawkę.

– Nie! Nie przykleisz mi tego do nogi – powiedział, cofając się.

– To zahamuje krwawienie – zapewniła, ruszając za nim.

– Dziękuję, samo mi przejdzie – powiedział, powstrzymując ją gestem.

Jane schowała chusteczkę.

– W porządku, jak sobie chcesz. Ale nie próbuj mnie zaskarżyć.

– Na miłość boską, nie miałem zamiaru. Za kogo ty mnie uważasz?

– Nie wiem. Znam tylko dawnego Mike’a Sorensona, tego, który podczas ostatniego szkolnego meczu wrzucił pod ławkę zapaloną wiązkę marihuany i który...

– Dobrze, już dobrze – przerwał jej. – Chyba po prostu będę ci musiał udowodnić, że się zmieniłem.

– I jak zamierzasz to zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Zastanowię się – powiedział, kuśtykając za nią alejką.

Jane przychodziło na myśl parę sposobów, ale nie zamierzała mu niczego sugerować. Nadal była dziewczyną o staroświeckich poglądach i wołała, by to mężczyzna próbował ją zdobyć. Co nie znaczyło, że nie żywiła pewnych nadziei. Prawdę mówiąc, przed dzisiejszym lunchem miała nadzieję, że coś między nimi zaiskrzy. Ale kiedy Mike otworzył frontowe drzwi i zobaczył, jak bawi się z Olive, jej nadzieje się rozwiały. Uznała, że nie ma nic do stracenia i zaczęła zachowywać się normalnie.

Doświadczenie podpowiadało Jane, że jej normalne ja ma nie-

wiele wspólnego z tym, za czym mężczyźni zwykli się uganiać.
Ale czy Mike Sorenson nie różnił się od innych?
Uśmiechnęła się, idąc w kierunku studni. Przynajmniej udało jej się sprawić, że zwrócił na nią uwagę. Wtedy, w szkole, chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że ona istnieje.
Wtedy było wtedy, a teraz jest teraz, pomyślała, bardzo z siebie zadowolona.

Studnia znajdowała się w rogu podwórka, dobre trzysta metrów od zarosniętego bylinami ogrodu Jane. Uśmiechnęła się, słysząc, jak z tyłu Mike przedziera się przez stopy suchych gałązek i liści. Jak to możliwe, że jej uczony kolega interesuje się czymś tak mglistym i nieuchwytnym jak duchy, pomyślała.

– No, jesteśmy na miejscu – powiedziała, machając ręką. Studnia stała się centralnym punktem jej podwórka – nie tyle z powodu duchów, co dlatego, że ze swoją wysoką kamienną cembrowiną i stożkowym drewnianym dachem porośniętym bluszczem wyglądała jak studnia życzeń z bajki.

Mike z zainteresowaniem podszedł bliżej. Zatarł dłonie, położył je na obmurówce cembrowiny i zamknął oczy.

Olive zawyła. Olive nigdy nie wyła.

Dźwięk, który wydobył się z jej gardła, był tak ponury, że Jane zjeżyły się włosy na głowie.

– Co z tobą, Olive?

Pochyliła się i pogłaskała szyję psa, by dodać mu otuchy.

– Co to za śmieci zapychają otwór? – zapytał Mike.

– Gruz. Nie chciałam, żeby historia się powtórzyła, więc kazałam go zasypać.

Olive przysunęła się bliżej nogi Jane i znowu zawyła.

– Jak Boga kocham, nie wiem, co w nią wstąpiło – powiedziała, spoglądając na spanielkę, która wpatrywała się w jej twarz, jakby próbowała powiedzieć coś ważnego.

– Psy mają szósty zmysł, wiesz o tym. Może dostrzeża coś, czego my nie widzimy – powiedział Mike podekscytowany.

Jane uśmiechnęła się pobłaźliwie. Nigdy nie kupiła tej historii o duchach, chociaż czasami sama ją opowiadała. Traktując to oczywiście jako zabawę. Spojrzała na Olive. Szósty zmysł? Nic podobnego. Bardziej prawdopodobne, że Olive zawyła, gdyż

poczuła jakiś wyjątkowo silny zapach – królika albo wiewiórki. Mijały sekundy. Żadne z nich się nie odzywało. Jane uświadomiła sobie, że cisza stała się prawie namacalna. Kiedy wyszli z domu, w ogrodzie śpiewały ptaki. Teraz wszystkie umilkły. Nie słysząc było też świerszczy. Jakby poza nią, Mike’iem i Olive nie było tu nikogo. Spojrzała na grupę starych dębów. Żaden liść nawet nie drgnął.

Ciarki przebiegły jej po plecach. Niech Mike skończy to, co robi, i wracajmy wreszcie do domu, pomyślała. Po chwili Olive zaszczekała ostro i rzuciła się na łeb na szyję ku skrajowi posiadłości.

– Też to poczułaś? – zapytał Mike, pocierając przedramiona.

– Co takiego miałabym poczuć? O czym ty mówisz?

– To było... Przeciął dłonią powietrze. – Tam było...

Spojrzał na Jane, jakby prosił, by mu pomogła znaleźć właściwe słowa. Nie potrafiła. Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Sam nie wiem. Ale cokolwiek to było, poczułem to, a twój pies za tym pogonił.

Jane uniosła brwi pytająco. Przez chwilę korciło ją, by zacząć mówić jak psychiatra podczas sesji, ale się opanowała. Mike mógłby pomyśleć, że stroi sobie z niego żarty. Lepiej pozostać sobą i powiedzieć, co myśli.

– Jest mi przykro stwierdzić, że jeden z moich kolegów zwa-riował. Tym bardziej, że dotyczy to ciebie, Sorenson. Zupełnie ci odbiło.

Pochyliła się ku Mike’owi i spojrzała mu prosto w oczy.

– Powtarzam ci: duchy nie istnieją. Olive pewnie poczuła zapach królika albo wiewiórki i pobiegła za tropem.

Mike rzucił jej miazdzące spojrzenie.

– Myśl sobie, co chcesz. Dla mnie to bez różnicy. I tak wiem swoje. Tu było coś nie z tego świata, Jane. Koniec, kropka.

Mówił poważnie. Bardzo poważnie. Cóż, jeśli chce się z nim

jeszcze zobaczyć, nie wolno jej z niego kpić.

– No dobrze – powiedziała, wycofując się przezornie. – Więc może nie zwariowałeś. Ale jeśli chcesz, żebym uwierzyła w duchy, musisz mnie przekonać, że one naprawdę istnieją. Opowiedz mi, co takiego poczułeś – powiedziała, wyciągając szyję, żeby zobaczyć, dokąd pobiegła Olive.

Mike zastanawiał się przez chwilę.

– Czułem coś jakby... obecność – powiedział, zerkając na nią z ukosa. – Wrażenie było silniejsze, kiedy Olive była przy nas. Potem poczułem zimny powiew i wtedy Olive uciekła. Nic jednak nie widziałem. Szkoda. – Uśmiechnął się do niej. – Może następnym razem.

– Następnym razem?

– Chciałbym tu jeszcze wrócić, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne... czemu nie. Może w sobotę? Moglibyśmy urządzić sobie rano piknik przy studni.

Pomyślała, że piknik będzie w sam raz. Pikniki są takie romantyczne. Oni dwoje siedzą na kocu i popijają szampana, zjadając owoce i kanapki.

– Przez cały czas, odkąd tu mieszkasz, nie zauważyłaś niczego dziwnego? – zapytał. – Czegoś, co nie dałoby się tak prosto wyjaśnić?

Jane spojrzała na niego przepaszająco.

– Nie, chyba nie, ale jak ci już mówiłam, czasami coś dziwnego dzieje się z Olive. Nieraz biegała w kółko wokół studni. Albo gnała na łeb na szyję, jak dzisiaj. Ale nigdy dotąd nie wyła. Ani razu.

Nietrudno jej było sobie wyobrazić, co powiedziałyby Trixie. Przyłącz się do zabawy. Jeśli trzeba, wymyśl coś nowego. Ale nie potrafiła się zmusić. To nie w jej stylu.

Nagle zza drzew wypadła Olive. Usiadła tuż przy stopach Jane.

Pies dyszał ciężko i trzął się, zupełnie jakby zobaczył...

– Chyba już pójde – powiedział Mike, cofając się.

– Myślałam, że chcesz obejrzeć resztę domu – mruknęła Jane. Dopiero co przyszedł. To, że chciał już iść, znaczyło, że Jane nie sprawdziła się jako gospodyni. Pieprzyć to, pomyślała.

– Obejrę wszystko w sobotę. Naprawdę chciałbym zostać dłużej, ale muszę wracać do domu i jeszcze trochę popracować. Bardzo miło spędziłem dziś czas z tobą, Jane. W restauracji i teraz, tutaj. Naprawdę dokonałaś tu cudów.

– Dzięki. Wierz mi, to było naprawdę coś.

Okrzyżyli dom. Jane usiadła na stopniach ganku i objęła za szyję Olive. Uwielbiała tę porę dnia, miękkie purpurowe cienie i spokój nadchodzącego wieczoru. Spostrzegła, że ze stopnia wystaje gwóźdź. W weekend postara się zreperować te schodki. Już wcześniej próbowała wbić gwóźdź młotkiem, ale był skrzywiony i nie chciał wejść w deskę. Jej ojciec zwykł mawiać, że przy wbijaniu gwoździ sztuka polega na odpowiednim ustawieniu nadgarstka. Cóż, jej nadgarstki jakoś nie chciały się właściwie ustawiać...

– Masz zamiar zrobić remont generalny? – zapytał.

Postawiła stopę na gwoździu, by Mike go nie zauważył. Nagle poczuła się okropnie niezdarna. Brzydkie kaczątko. Może jej matka miała rację i ona naprawdę jest do niczego. Zwyczajna Jane, która według swojej wystrojonej matki nie potrafiła nikomu się przeciwstawić. Znowu pomyślała o Connie Bryan. Westchnęła ciężko.

– Sama nie wiem, co zamierzam zrobić z tym domem. Czasami wręcz go uwielbiam, a czasem nienawidzę za to, że tyle jest tu do zrobienia. – Wstała. – Do zobaczenia w sobotę. – Odwróciła się i weszła na stopnie.

– Jane?

Spojrzała na niego przez ramię.

– Może wybralibyśmy się w przyszłym tygodniu do kina? Na przykład w czwartek, po sesji z Ramseyem. Moglibyśmy też coś zjeść, przed seansem albo po.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami i mocno bijącym sercem.

– Masz na myśli randkę? Pewnie.

Randka z Mike’iem Sorensonem. Tralala! Niech no tylko opowie Trixie. Randka. Różne rzeczy dzieją się podczas randki lub po niej.

– Tak, randka. Wiesz, przychodzę po ciebie, dzwonię do drzwi i pytam: jesteś gotowa? Właśnie tak.

Dwoma szybkimi krokami znalazł się na stopniu przy niej, ujął w dłonie jej twarz i leciutko pocałował ją w usta.

– Dziękuję, że mnie zaprosiłaś – powiedział, zaglądając jej głęboko w oczy.

– Nie ma za co – odparła, z trudem chwytając oddech. Czuła się tak, jakby język przyrósł jej do zębów. Zastanawiała się, czy włosy stanęły jej dęba. Była jak naelektryzowana.

– No dobrze – powiedział Mike, uderzając o siebie dłońmi i przestępując z nogi na nogę.

– Do zobaczenia w sobotę rano. Jane była w stanie tylko skinąć głową.

Kiedy sobie poszedł, wbiegła do domu i opadła na ławę w holu. Pocałował ją. Był to co prawda przyjacielski pocałunek, ale dobre i to. I pomyśleć, że w liceum pewnie by go zemdliło na samą myśl o tym, że miałby jej dotknąć. To zabawne, jak wszystko się zmienia. Jak ludzie się zmieniają.

Kiedy po pół godzinie ocknęła się z marzeń, w domu było zupełnie ciemno.

– Trzeba było się odezwać, Olive, zamiast pozwolić mi tak siedzieć. No chodź, zorientujemy się co i jak.

Przeszła przez wszystkie pomieszczenia, zapalając po drodze

lampy i starając się zobaczyć dom oczami Mike'a. Zwinęła dłoń w trąbkę i popatrzyła przez nią. No cóż, może i półki były o włos odchylone od pionu, ale z pewnością nie krzywe. Powieści Freda i Trixie jakoś się z nich nie zsuwały. Książki Stephena Rhodessa też stały równo w rządku. Prychnęła nieelegancko. Taki już jej los. Musiała zakochać się akurat w zrządzającym perfekcjonście. Odwróciła się i spojrzała na salon – jedyne pomieszczenie, któremu w pełni przywrócono dawną świetność. Miała nadzieję, że pewnego dnia uda jej się zastąpić obecne meble antykami.

Olive zaszczekała i wbiegła na piętro. Jane poszła za nią z zamiarem przebrania się w dres. Na podeście się zatrzymała, obejrzała w dół na salon i wyobraziła sobie dzieci, które tam stoją i szeroko otwartymi oczami wpatrują się w choinkę w wykuszu okiennym.

Nagle usłyszała hałas. Jeden ze skoroszytów wysunął się z teczki i upadł na podłogę. Dziwne, pomyślała, marszcząc brwi. Dobrze pamiętała, że przed wyjściem z gabinetu zamknęła na suwak wszystkie przegródki. Zerknęła na Olive, która ze zjeżoną sierścią spoglądała poprzez słupki balustrady na skoroszyt. Jane już miała się pochylić i pogłaskać psa, gdy nagle zabrzączał żyrandol, a na ścianach zamigotały świetlne refleksy.

Olive zaskowyczała ponuro i popędziła schodami w dół, mijając salon i hol. Jej szczekanie rozległo się echem w oszczędnie umeblowanym domu.

– Wracaj, Olive. Co w ciebie wstąpiło? – zawołała Jane. Zaczęła schodzić, nie spuszczać wzroku z kołyszącego się żyrandola.

– Do licha z tobą, Mike. Jeśli to ty coś tu pobudziłeś do życia, nigdy ci tego nie wybaczę.

Nim doszła do podnóża schodów, żyrandol przestał brzęczeć.

Mimo to ominęła go szerokim łukiem. Być może obluzowały się śruby i bolce. Podeszła do ławy, podniosła teczkę i zobaczyła,

że wszystkie przegródki są otwarte. Odrzuciła ją jak gorący kartofel i przerażona spojrzała, na leżący na podłodze skoroszyt. Ciekawość zwyciężyła. Nie bacząc na strach, wysunęła nogę i palcem stopy przysunęła skoroszyt na tyle blisko, aby odczytać etykietę. To były notatki z sesji z Brianem Ramseyem.

Ramiona Jane pokryła gęsia skórka. Przykucnęła z niechęcią, by podnieść teczkę i omal nie upadła, zwalona z nóg przez Olive, która pojawiła się nie wiadomo skąd i z rozpędu wskoczyła jej na kolana.

– Olive! Co się, u licha, z tobą, dzieje? – krzyknęła, próbując zepchnąć psa z kolan i usiąść. – Do cholery, Olive...

Nagle dotarło do niej, że pies jest przerażony. Olive dyszała ciężko i cała się trzęsła. W poczuciu winy objęła spanielkę i przytuliła do siebie.

– Już dobrze, malutka – powiedziała uspokajająco. – Nie ma się czego bać. To tylko dom osiada na fundamentach – dodała, przekonana, że pies przestraszył się brzęczącego żyrandola. Olive nigdy dotąd nie słyszała podobnego dźwięku.

Nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Spoglądając ponad głowę psa, patrzyła zafascynowana i przerażona, jak pozostałe dokumenty wysuwają się z teczek i, strona po stronie, opadają na starą sosnową ławę.

– Spokojnie, Olive, na pewno istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie... Jeszcze go nie znam, ale kiedy się nad tym zastanowię... – Zachichotała nerwowo. – To pewnie tylko przeciąg. Tak, jasne. To przeciąg.

Rozejrzała się wokół, żeby sprawdzić, czy któreś okno w salonie nie pozostało otwarte. Ale nie, wszystkie były zamknięte.

– To jakiś idiotyzm. Wstań, Olive. – Zepchnęła psa z kolan i z trudem podniosła się na nogi.

– Kiedy już to pozbieram... – Z niedowierzaniem wpatrywała się w dokumenty.

– I Wtedy obie... – Dokumenty były poskładane nie tak, jak wtedy, kiedy w pośpiechu wcisnęła je do teczki.

– Pojedziemy do domu Ramseya, oto co zrobimy! – powiedziała, pakując skoroszyt i resztę dokumentów. Zasunęła starannie wszystkie suwaki i rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy niczego nie przeoczyła. Drżącymi dłońmi powiesiła teczkę na wieszaku.

Olive trąciła ją łapą w nogę. Jane spojrzała na psa.

– Chcesz się przejechać?

Olive stanęła na tylnych łapach i pyskiem ściągnęła smycz, zwisającą z haczyka.

No dobrze już, dobrze, uspokój się – powiedziała, przypinając smycz do obroży. Jej zwariowany czworonóg uwielbiał przejażdżki samochodem bardziej niż świńskie uszy. Czasami Jane próbowała oszukać psa i wykraść się po cichu z domu, lecz Olive za każdym razem odgadywała, co się święci i przybiegała, ciągnąc za sobą smycz. Zupełnie jakby miała szósty... Nie, lepiej o tym nie myśleć. Psy są bardziej wrażliwe na zmiany pogody, wyczuwają trzęsienia ziemi i nastroje swego pana, ale nie mają żadnego szóstego zmysłu. Z Olive u boku obeszła dom i pogasiła światłą.

– Wiem, że dla ciebie to bez sensu, ale czuję, że powinnam zrobić coś w sprawie pana Ramseya. Jeśli oznacza to, że muszę się zaangażować, trudno. Pacjent jest dla mnie najważniejszy. Nie, to nieprawda – dodała, pochylając się, żeby pogłaskać Olive. – Ty jesteś dla mnie najważniejsza. – Olive spojrzała na nią wyczekująco. Podekscytowana obietnicą przejażdżki, zapomniała o strachu. Czy to nie byłoby miłe, gdybym równie łatwo potrafiła rozwiązać lęki moich pacjentów?

Pół godziny później zatrzymała samochód na parkingu za rogiem, w odległości około stu metrów od domu Ramseya.

– Zamierzam trochę powęszyć, Olive. Zachowuj się grzecznie,

gdy mnie nie będzie. Zrozumiałaś? – Wyłączyła silnik. – Zostawię otwarte okna, ale pamiętaj: żadnego wyskakiwania na chodnik, jak przed sklepem spożywczym w zeszłym roku i żadnego obliczonego na wzbudzenie litości skomlenia i szczekania. – Ujęła sukę pod brodę i spojrzała jej prosto w oczy. – Znam wszystkie twoje sztuczki. Wracam za dziesięć minut, a jeśli coś zmajstrujesz, od razu się zorientuję.

Zamknęła drzwiczki i pomachała Olive ostrzegawczo palcem przed nosem. W błogim przekonaniu, że pies zachowa się jak należy, ruszyła ku domowi Ramseya. Padało. Była to dla niej okoliczność przychylna. Podczas deszczu ludzie siedzą w domach. Minęła róg i poszła przeciwną stroną ulicy do następnej przecznicy. Minęła dom Ramseya, a potem zawróciła.

Z okien sączyło się bladożółte światło, ale lampy na zewnątrz budynku nie były zapalone. Latarnie uliczne dawały niewiele światła, zwłaszcza że dwie z nich w ogóle się nie paliły. Po chwili, przemoczona do suchej nitki, weszła, skradając się, na podjazd na tyłach domu. Wstrzymując oddech, czekała, czyjej wejście uruchomi automatyczny włącznik świateł na ganku. Nic. Brian Ramsey albo oszczędza energię, albo nie obawia się niespodziewanych gości. Z poprzednich wypraw zapamiętała, że za domem nie ma żadnych ogrodowych mebli, grilla ani węży do podlewania. Bez przeszkód dotarła do tylnych okien.

Zerkając do środka przez kuchenne okno, mogła zobaczyć nie tylko całą kuchnię, ale też mały przedpokój i część jadalni. Wszystkie pomieszczenia były równie czyste, starannie wysprzątanie i opustoszałe, jak poprzednio. Jedyna różnica polegała na tym, że dziś nad piecykiem paliło się światło, pogrążając pomieszczenie w żółtawo-pomarańczowym mroku. Odeszła od okna i z bijącym mocno sercem przesunęła się cicho i szybko wzdłuż ściany ku miejscu, gdzie – jak przypuszczała – znajdowało się okno głównej sypialni. Nocna lampka u wezgłowia

pozwoili jej stwierdzić, że łózko jest niezasłane i puste. Ruszyła ku frontowi domu, mając nadzieję, że wreszcie coś albo kogoś zobaczy.

Deszcz lał się jej za kołnierz kurtki, gdy przekradała się ku wąskiemu tarasowi przed domem, by zerknąć w okna salonu.

Drżąc z zimna i strachu, przycisnęła ręce do piersi. Błyskawicznie omiotła wzrokiem obie strony ulicy. Nikogo. Z dala dobiegło ją szczekanie Olive, a potem, jakby w odpowiedzi, ujadanie innego psa gdzieś na drugim końcu ulicy.

Uniosła się nieco i zerknęła przez okno. Brian Ramsey siedział na krytej zieloną skórą leżance, z butelką piwa w dłoni i paczką papierosów wystającą z kieszonki białego podkoszulka. Był sam.

Pamiętając, że nie należy wyciągać przedwczesnych wniosków, Jane rozejrzała się starannie po pokoju, lecz nie zauważyła nikogo. Gdzie mogła być pani Ramsey? W łazience? Jednak dwa okna z matowymi szybami, które musiały być oknami łazienki, pozostawały ciemne.

Brian spojrział w kierunku okna i Jane wstrzymała oddech.

Schyliła się i pobiegła przez trawnik, a potem wzdłuż chodnika. Biegła jak nigdy dotąd, rozpryskując stopami kałuże. Dopiero za rogiem zorientowała się, że w panice obrała nie ten kierunek.

Klnąc pod nosem zawróciła i powlokła się z powrotem do samochodu. Gdy tylko znalazła się w środku, pozamykała wszystkie drzwi i włączyła silnik. Serce waliło jej jak młotem i przez chwilę myślała, że zemdleje. Zmusiła się, aby oddychać głęboko i powoli. Powietrze ze świstem wydobywało się z jej płuc. Nie zapaliła światła, dopóki nie odjechała trzy przecznice od domu Ramsey'a.

– Nie posłuchałaś mnie, Olive – złażała psa, kiedy znalazła się na otwartej przestrzeni. – Słyszałam, jak szczekałaś. – Pies przysunął się bliżej drzwi, położył po sobie uszy i zawstydzony

opuścił nisko łeb. – Byłaś niegrzeczna. Żadnych więcej przejazdów w tym miesiącu. – Lecz była to czcza groźba – i obie o tym wiedziały.

Nie mogła uwierzyć, że przed chwilą narażała na szwank swoją zawodową pozycję, by chociaż zerknąć na nieuchwytną panią Ramsey. I co udało jej się zobaczyć? Briana Ramseya siedzącego w fotelu niczym zombi, zupełnie jak podczas ich sesji. Jeśli w ogóle miał żonę, nieszczęsna kobieta musiała spędzać życie w letniej kuchni albo ukryta w ciemnej łazience. Przy tego typu budynkach, przedzielonych biegnącym na przestrzal korytarzem, rzadko znajdowała się letnia kuchnia. Pozostawała więc tylko łazienka. Zbyt dziwaczne, by w ogóle brać to pod uwagę. Przez całą drogę do domu Jane wymyślała sobie od idiotek. – Ależ ze mnie kretyńka – powtarzała przez zaciśnięte zęby, spoglądając z ukosa na Olive. – Myślę, że on mnie widział. Przysięgam na Boga, naprawdę tak uważam. Patrzył wprost na mnie. – Westchnęła i wróciła spojrzeniem na drogę. – Gdybym nie zwiłała stamtąd, na pewno by mnie schwytał, a potem wezwał policję i kazał mnie aresztować za to, że go podglądam. O rany, kiedy już się wygłupiam, to na całego. Nigdy więcej – powiedziała, zaciskając dłonie na kierownicy. – Słyszysz, Olive! Nigdy!

Olive przysunęła się do pani i delikatnie położyła jej łapę na ramieniu.

– No, chodź – powiedziała, przyciągając psa bliżej siebie. – Ja też cię przepraszam. Nie mówiłam poważnie. Oczywiście, że wezmę cię do samochodu. – Olive przywarła do boku pani i polizała japo twarzy.

Kiedy dotarły do domu, Jane nadal była zdenerwowana. Zasuwała starannie zasłony, sprawdziła, czy wszystkie drzwi zostały dokładnie zamknięte, a potem weszła do kuchni i tak długo grzebała w szafkach, aż znalazła specjalny „napitek”, który

trzymała dla Trixie i Freda. Nalała sobie na dwa palce najlepszego bourbona z Kentucky i wychyliła jednym haustem. Kaszłąc i krztusząc się, opadła na krzesło. Ocierając co chwilę zaszawione oczy, czekała, aż bourbon zacznie działać, lecz po dziesięciu minutach wcale nie czuła się lepiej. Może papieros coś tu pomoże. Ona sama nie paliła, w przeciwieństwie do Trixie i Freda, a Trixie zwykła mawiać, że nie ma to jak porządny dymek, by uspokoić nerwy i rozjaśnić umysł. Jane trzymała paczkę ich ulubionej marki w szufladzie na wypadek, gdyby podczas wizyty skończyły im się zapasy. Zapaliła jednego, gwałtownie zakaszła i natychmiast go zgasiła. To, jaką przyjemność mogą czerpać jej rodzice chrzestni z palenia, pozostawało zagadką, której lepiej nie rozwiązywać.

Postanowiła, że rano, kiedy już przebiegnie swoje siedem kilometrów – a nie robiła tego od miesiąca – wpadnie do Trbie i Freda. Musi porozmawiać z kimś, kto umie słuchać i kto, będąc po jej stronie, potrafi zachować obiektywizm. Trixie potrafiła być obiektywna aż do bólu. Fred także.

– Dość tego, Olive. Idziemy spać. Jestem taka zmęczona, że nie potrafię jasno myśleć. – Ziewnęła i przeciągnęła się.

Spanielka odczekała cierpliwie, dopóki Jane nie pogasiła świateł, a potem wbiegła na piętro. Kiedy znalazła się na górnym podeście, przysiadła i zaszczekała krótko, jakby chciała powiedzieć: No to, chodźmy już.

Jane odprawiła wieczorny rytuał w rekordowym tempie, a potem wyjęła z szuflady swoją specjalną „piżamę snów”, jak ją nazywała. Piżama uszy ta była z niebieskiego jak niebo materiału, na którym widniały puszyste, białe obłoki. Zanim wdrapała się na wielkie łóżce z baldachimem i położyła obok Olive, wiedziała już, o kim będzie śniła. O Mike’u Sorensonie.

Jane przewróciła się na drugi bok i wyciągnęła rękę, żeby przy-

tulić Olive. Już sama świadomość, że ma obok siebie psa, niosła pociechę. Olive nie było jednak w łóżku i dłoń Jane napotkała jedynie skotłowaną pościel. Poruszyła się niespokojnie i otworzyła jedno oko. Olive siedziała na podłodze, wpatrzona w drzwi balkonowe. Kręciła głową jak wtedy, gdy Jane drapała ją za uszami.

– Cześć, doktor Lewis – powiedział ktoś chłopięcym głosem. – Nazywam się Billy Jensen, a to jest mój pies, Jeeter. Jeeter lubi Olive. Wspaniale ganił się dziś koło studni, ale o tym już oczywiście pani wie.

Jane uniosła się niezgrabnie na łokciu i z niedowierzaniem spojrzała na stojącego przy drzwiach chłopca i jego psa.

– Kim jesteś? Jak się tu dostałeś? Zamknęłam wszystkie drzwi.

– Pomyślała, że to głupie pytanie. Przecież to sen, a we śnie wszystko może się zdarzyć. I wcale nie musi mieć sensu. Ziewnęła.

– Byłabym ci wdzięczna, gdybyś sobie poszedł i dał mi spać. A tak w ogóle, która godzina?

– Czas nie ma dla mnie znaczenia. Dla Jeetera też nie.

– A dla mnie ma. Muszę wcześniej wstać. Odejdź stąd.

– Jeeter czuje się samotny, ja także. Pomyślałem, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

– W porządku, byle nie dziś w nocy. Jestem naprawdę wykończona i chciałabym, by przyśnił mi się ktoś inny.

– Tak, wiem. Ten dżentelmen, pani gość, doktor Sorenson. Przez niego śmiesznie się pani zachowuje.

– Śmiesznie? To znaczy jak?

– No, tak – powiedział, mrugając przesadnie i przewracając oczami.

– Przepraszam bardzo, nigdy się tak nie zachowuję. Doktor Sorenson to mój kolega po fachu. Nic więcej. A teraz, nie chciałabym być niegrzeczna, ale czy nie mógłbyś wynieść się z mojego

snu? Zrządę, kiedy się nie wyśpię.

– O tak, wiem o tym.

– Idź sobie!

Opadła na plecy i zacisnęła powieki.

– Dobrze, pójdę, ale najpierw powiem pani, że wiem, co pani zrobiła dziś wieczorem. Nie powinna pani tego robić. To zbyt ryzykowne. Co gorsza, zamknęła pani Olive w samochodzie. Nie mogłaby pani pomóc, gdyby jej pani potrzebowała.

– Po pierwsze – powiedziała Jane ze wzrastającym zniecierpliwieniem – nie zamknęłam drzwi na zamek, a gdybym nawet to zrobiła, Olive wie, jak je otworzyć.

Ten sen stawał się stanowczo zbyt rzeczywisty. Uniosła powieki, zamrugnęła, a potem bardzo uważnie przyjrzała się stojącemu obok drzwi chłopcu.

– Czy ja cię znam? Nie wyglądasz znajomo. Jednak musiałam cię gdzieś spotkać. Sny stanowią przecież odbicie rzeczywistości. Chodź tu, Olive.

– Wie pani, kim jestem. Jestem duchem. To ja wyjąłem skoroszyt Ramsey'a z teczki. Już od dawna pani wie, że tu jestem, ale do tej pory nie chciała się pani z tym pogodzić. Powinna pani podziękować doktorowi Sorensonowi za to, że znalazł odpowiednią długość fali i teraz możemy się porozumiewać.

– Aha – parsknęła Jane. – Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałam. To nie jest sen. Ja nie śpię. Jestem zupełnie przytomna i rozmawiam z psotnym duszkiem. Z chochlikiem.

– Tak, wszystko się zgadza. Ale proszę nie nazywać mnie psotnym duszkiem. To mnie rani.

Roześmiał się i zniknął. A kiedy znów się pojawił, siedział na skraju łóżka. Jane cofnęła się i podciągnęła kołdrę pod brodę.

– Jak to zrobiłeś? – pisała.

– Jest na to jakieś naukowe określenie, ale ciągle zapominam, jak ono brzmi. Powiedzmy, że duchy po prostu tak robią. Wie

pani, przenikanie przez ściany i takie tam inne cuda.

Jane skulona pod kołdrą cała się trzęsła.

– Chodź tutaj, Olive! Natychmiast! – Oba psy wskoczyły na łóżko. Jane złapała Olive i mocno ją objęła. – Czego... czego chcesz?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Po prostu chcę się z panią zaprzyjaźnić. Wiem, że pani się mnie boi, ale niepotrzebnie. Nie zrobię pani krzywdy.

Jane próbowała się odprężyć. To na pewno sen. To musi być sen. Cóżby innego? W milczeniu przyglądała się siedzącemu na skraju łóżka młodzieńcowi. Miał jakieś piętnaście lat, usianą piegami buzię, brązowe oczy i kręcone, piaskowego koloru włosy. Ubrany był w kombinezon i kraciastą koszulę z długimi rękawami.

– Nie wierzę w duchy, zjawy, psotne duszki i inne istoty nie z tej ziemi – powiedziała. Przewróciła się na bok i poklepała poduszkę. Miała nadzieję, że rano będzie pamiętać, co jej się śniło. Poczula, że materac się unosi, a potem coś stuknęło głucho o podłogę. Olive pozostała na łóżku.

– Dobranoc, doktor Lewis.

– Hau.

Boże! To nie Olive szczeknęła. Leżała z pyskiem wtulonym w jej pierś, więc nie mogłaby... Jane zamknęła oczy. To ci dopiero sen – pomyślała. – Pewnie bourbon sprowadził na nią koszmary. Spojrzała na zegar przy łóżku: piąta dziesięć rano. Została jej zaledwie godzina snu.

Jane wlokła się podjazdem, prowadzącym do domu Trixie i Freda. Jej nogi płonęły żywym ogniem. Czemu, u licha, tak strasznie bołą ją łydki? Pewnie dlatego, że nie biegła od miesiąca.

– Cześć, co macie na śniadanie? – zawołała, otwierając tylne

drzwi.

Trixie wyloniła się ze spiżarni. Matka chrzestna Jane była drobnutką, niewysoką kobietą o błyszczących, różowoczerwonych włosach, obwieszoną tonami złotej biżuterii. Na czubku jej nosa sterczały okulary do czytania w kolorowej oprawce, a z uszu zwieszały się olbrzymie złote koła, wystarczająco duże, by mógł przelecieć przez nie ptak. Obejmując ją, Jane jak zwykle zadumała się nad tym, jak kruche jest to ciało o suchych nogach i ramionach. Nie więcej niż czterdzieści pięć kilo, pomyślała.

– Będziesz musiała odwiedzić mnie do domu, Trix. Zupełnie straciłam kondycję. Właśnie się o tym przekonałam. Gotujesz coś czy będziemy jedli gotowe?

– Mam słodkie bułeczki z dżemem – odparła Trixie. – Wolisz truskawkowe czy jagodowe? Zresztą i tak mam tylko jagodowe.

– Parsknęła śmiechem i wsunęła ciastka do piekarnika.

– Niczego sobie strój – zachichotała Jane. – Jak go nazywasz? – Trixie roześmiała się dźwięcznie.

– Nazywam go moim strojem na wizyty na posterunku. Dzisiaj jest piątek. Zawsze pojawia się tam w piątek. Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć. Czasem wystarczy słowo czy ruch, by uruchomić wyobraźnię. Poza tym są tam przestępcy, oczywiście sami niewinni. Ich historyjki mogłyby wypełnić książkę. Opowiedz mi o wczorajszym wieczorze – poprosiła, z wprawą wyjmując bułeczki z piekarnika. Rzuciła jedną siostrzenicy.

– To nie do wiary, ale nikt w miasteczku nie wie, że to wy jesteście T. F. Dingle. Już to warte jest opisanie. Mike Sorenson był pod wrażeniem, kiedy zobaczył, że mam wszystkie wasze książki. Z wielką chęcią powiedziałabym mu, że znam jego ulubionego autora, ale nie zrobiłam tego. Dochowam sekretu.

– No dobrze, zaimponowałaś mu naszymi książkami, a potem co? – dopytywała się Trixie.

– Jedliśmy, rozmawialiśmy, a potem zabrałam go do studni, żeby zapoznał się z moimi duchami. W końcu, po to przyszedł. Interesują go zjawiska paranormalne.

– Na poważnie czy tylko był ciekawy?

– Na poważnie.

– Rozumiem. A potem... – naciskała nieubłaganie.

– Potem musiał już iść, ale zapytał, czy może przyjść jutro i zaprosił mnie do kina w przyszły czwartek – powiedziała Jane jednym tchem.

– To wszystko? – spytała Trixie, rozczarowana.

Jane ugryzła bułeczkę i wzruszyła ramionami. Z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu nie chciała mówić Trixie, że Mike ją pocałował. Praktyczna część osobowości podpowiadała Jane, że to dlatego, iż pocałunek nie był niczym więcej, jak tylko zdawkowym cmoknięciem. Jej profesjonalna strona uznała, że był absolutnie wyjątkowy.

Trixie machnęła ręką.

– Wielkie mi co. Same nudy. Jane ukryła uśmiech za bułeczką.

– Gdzie Fred?

– W łazience. A gdzie mógłby być? – Trixie przewróciła oczami, a Jane spojrzała z podziwem na półtoracentymetrowej długości sztuczne rzęsy, które jej matka chrestna przyklejała co rano. Parę lat temu jeden z kolegów Jane powiedział, że sztuczne rzęsy jej ciotecznej babki wyglądają jak stadko maszerujących tarantul. I rzeczywiście, tak właśnie wyglądały.

– Rano siedzi tam całe wieki – mówiła dalej Trixie. – Szczotkuje włosy, przeczesuje wąsy i suszy brodę suszarką.

Jane rozejrzała się po sterylnie czystej kuchni. Wyposażenie było najlepsze z najlepszych i bardzo nowoczesne. A na dodatek białe lub czarne. Tak właśnie Trixie postrzegała świat. Coś istniało albo nie. Było czarne albo białe. Jane uważała, że to nie najgorszy sposób na życie.

– Jak sądzisz, wylądujecie w końcu w łóżku? – spytała Trixie, nawet nie mrugnawszy.

Jane się roześmiała. Jakie to typowe dla Trixie. Żadnego owijania w bawełnę, żadnych niedomówień.

– Nie tak szybko, Trixie. Spójrzmy prawdzie w oczy: ten facet może mieć każdą kobietę, której zapragnie. Dlaczego miałyby pragnąć akurat mnie? Jestem za gruba, mam zbyt kręcone włosy, nie jestem uosobieniem elegancji i...

– Przestań, i to natychmiast – złajęła ją Trixie, wymachując ostrzegawczo palcem. – Zabrzmiało to tak, jakbyś opisywała konia podczas aukcji. Przywiązujesz zbyt wiele wagi do wyglądu. A tymczasem liczy się to – powiedziała, przykładając dłoń do serca. – Jesteś miła, uprzejma, sympatyczna i troszczysz się o innych. Przestań się zadrećzać. Gdyby ta wieczna królowa piękności – twoja matka – żyła, udusiłabym ją gołymi rękami. To ona wmówiła ci, że jesteś pospolita i zwyczajna. Ja nigdy nie byłam taka jak ona. Istny wrzód na tyłku. Jediną osobą, która nigdy się na niej nie poznała, był twój ojciec. Panie świeć nad jego duszą. Nikt nie był w nią tak zapatrzony, jak on.

Jane zlizęła z palców lukier.

– Och nie, on wiedział. Często rozmawialiśmy o mamie. Za każdym razem, kiedy matka sprawiła mi przykrość, próbował pomóc mi się pozbierać. A tak nawiasem mówiąc, w tym starym powiedzeniu, że kije i kamienie mogą pogruchotać kości, lecz słowa nie zrobią ci krzywdy, nie ma cienia prawdy. Słowa ranią.

– Wzięła do rąk talerz i zaniósła go do zlewu. – Lepiej zmieńmy temat, nie znoszę kiedy się o tym mówi.

– Jak powiedziałam – mówiła dalej Trixie, nie zwracając uwagi, że Jane odwrócona jest do niej plecami – twoja matka była jak wrzód na tyłku. – Sięgnęła za siebie i przysunęła bliżej leżący na ladzie stos. – Chcesz zobaczyć naszą nową książkę? Dostaliśmy wczoraj egzemplarze autorskie. Fred miał ci jeden pod-

rzucić. I, zanim zapytasz, odpowiem tak, podpisaliśmy go. – Uniosła książkę. – I co sądzisz? Okładka jest wystarczająco okropna?

Jane przyjrzała się krytycznie połyskującej obwolucie. Ozdobne litery nazwiska autora odcinały się od czarnego tła. Ich kolor harmonizował z barwą krwi, jaką ociekały zawieszona na drzewie zwłoki. Tytuł, napisany mniejszymi literami, głosił: Rozluźnij się.

– Ojej, Trixie, wisielcy nie krwawią.

– Owszem, krwawią, jeśli najpierw dobrze się ich przyciśnie. Zapowiedzieliśmy w dziale grafiki, że wisielec ma wręcz ociekać krwią. Uwielbiam to! Fred sądzi, że trochę jej za dużo.

– Nie. Wasi czytelnicy byliby rozczarowani. Znalazłby się jeszcze jeden egzemplarz? Dałabym go Mike’owi. On was uwielbia, przeczytał wszystkie wasze książki.

– Pewnie, masz.

Trixie sięgnęła po następną książkę.

– Nie podpisujcie jej. Nie chcę, żeby nabrał podejrzeń. – Spojrzała na książkę. – Nie potrafiłabym napisać książki, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Podziwiam was, Trhde. Czy zamierzacie kiedykolwiek się ujawnić?

– Nie. Wywieźliby nas stąd na taczkach. Anonimowość działa na naszą korzyść.

– A co o tym sądzą policjanci? Niczego nie podejrzewają? Stale przesiadujesz na posterunku.

– Powiedziałam im, że pracuję nad scenariuszem policyjnego serialu, ale nikt nie chce go kupić. Aż pałam się, by przekazywać mi informacje. Myślę, że każdy marzy o swoich pięciu minutach sławy. Obiecałam, że jeśli kiedykolwiek uda mi się sprzedać scenariusz, zadedykuję cały film policjantom z tego posterunku.

– Ale jesteś przebiegła, Trixie. Co zrobisz, jeśli ktoś się połapie?

– Skoro nie połapali się przez pięćdziesiąt lat, chyba nie ma się

zbytnio czego obawiać. Lecz jeśli tak się stanie, przyznam się i wszystko im powiem.

Do kuchni wszedł Fred. Miał nieco kaczkowaty chód, a jego bujna siwa czupryna została na jakiś czas ujarzmiona.

– Janie, drogie dziecko, co robisz tak wcześniej na nogach, w dodatku poza domem?

– Nie mogłam spać. Miałam naprawdę dziwny sen. – Potrząsnęła głową. – Pomyślałam, że równie dobrze mogę wstać i trochę pobiegać. Niestety, jak pewnie zauważyliście, znowu zaczęłam tyć. – Ucisnęła swego ojca chrzestnego. Fred był bardzo miłym człowiekiem, więc zrobiła to z ochotą. – Ładnie pachniesz, Fred.

– Robię to dla Trixie – powiedział Fred, śmiejąc się, aż zatrzęsło się całe jego ciało. Zdaniem Jane ze swoją puszystą białą brodą i bujnymi, równie białymi włosami Fred wyglądał jak typowy święty Mikołaj. Okulary w drucianych oprawkach dopełniały obrazu. Brakowało mu tylko czerwonego płaszcza i wysokich błyszczących czarnych butów.

– Kawa jest gorąca. Chcesz coś na śniadanie, skarbie? – spytała Trixie.

– Może być cokolwiek, z wyjątkiem owocowych bułeczek. Jadamy je od początku tygodnia – burknął Fred, chwytając się za szelki, aby podkreślić znaczenie tego, co powiedział.

– To może kilka mrożonych placuszków? Mogę wrzucić je do mikrofalówki albo tosteru. Posmarowałbyś je sobie tą pyszną galaretką i zwinął jak naleśniki. – Trixie błyskawicznie zerwała się z krzesła i popędziła do lodówki. – A tak przy okazji, Fred – dodała jak gdyby nigdy nic – jesteś o dwa rozdziały do tyłu. Masz zamiar mnie dziś dogonić?

– Dogonię, jeśli nie będziesz wchodziła mi w paradę. Chyba powinniśmy zastanowić się nad postacią Stuarta. Nie sądzę, żeby on mógł powiedzieć „bujaj się” do kogokolwiek. Gdzie

mogłaś usłyszeć coś takiego? Wyrzucam to, skarbie.

– Nie omamisz mnie czułymi słówkami, Fredzie McGuire. Ten zwrot zostaje. Ludzie tak się dziś wyrażają. Miałam do wyboru „odpierdol się” albo „bujaj”. Wybrałam to drugie, bo bardziej pasuje do Stuarta. Jeśli nie wierzysz, zapytaj Janie. – Trixie wsparła dłonie na biodrach i wpatrywała się w męża roziskrzonym spojrzeniem.

Jane wyciągnęła uspokajająco dłoni.

– Nie znam się na pisaniu powieści, ale zawsze twierdziłeś, że istotne jest to, co wskazuje na charakter postaci. Ja chyba zostawiłabym „bujaj się”, zwłaszcza w porównaniu z tym drugim wyrażeniem.

– On się starzeje – powiedziała Trixie, mrugając do Jane. – Nie ma pojęcia o wielu sprawach, które dzieją się dziś na świecie. A kiedy się przesiaduje na posterunku, tak jak ja, człowiek mimo woli usłyszy to i owo. Pisarz musi być na bieżąco. – Widząc, że Fred spochmurniał, rzuciła mu zachęcające spojrzenie. – No, chodź, daj Trixie porządnego buziaka – powiedziała, ściągając usta.

Fred posłuchał.

Jane nieraz widziała, jak przekomarzają się w ten sposób. Ktoś, kto ich nie znał, mógłby pomyśleć, że się kłóca, lecz oni nigdy się nie kłócili. Nigdy. Zbyt się kochali.

Po zjedzeniu śniadania Fred natychmiast odniósł talerz do zlewu, umył go, wysuszył i odstawił na półkę. Jane wiedziała, że dla Freda korzystanie ze zmywarki to niepotrzebna strata czasu i wody.

– Muszę wziąć się do roboty – powiedział – bo inaczej ona ucieknie mi tak daleko, że nigdy nie poznam końca tej historii. Do zobaczenia wieczorem, Janie. I nie przejmuj się drobiazgami.

Jane uśmiechnęła się.

– Na pewno nie będę.

Trixie zatrzymała męża, nim zdążył dojść do drzwi.

– To dzień wizyty na posterunku, Fred, więc jeśli będę ci potrzebna, zadzwoń. Zawołają mnie. Ale najpierw podrzucę Jane do domu. Aha, postaraj się wydrukować to, co napiszesz, żebym mogła przeczytać, jak wrócę. Schłódź też wino, kochanie, pobawimy się w dom.

Fred wytoczył się z kuchni. Brzuch trząsł mu się niczym przy-słowiowa galareta.

– Kocham tego faceta. Za dwa miesiące będziemy obchodzili pięćdziesiątą piątą rocznicę ślubu. I pomyśleć, że kiedy się pobieraliśmy, nasi znajomi twierdzili, że ten związek długo nie potrwa – zachichotała Trixie.

Trixie wrzuciła piąty bieg, spoglądając przy tym spod oka na Jane, która chwyciła się kurczowo pasa bezpieczeństwa. Trixie zdawała sobie sprawę, że jeździ zbyt szybko, ale Jane też lubiła szybką jazdę. Upodobanie do nadmiernych prędkości stanowiło jedną z wielu łączących je cech. Nie, to nie jazda zdenerwowała Jane. Coś poważnie niepokoiło jej ukochaną siostrzenicę.

– Chcesz o tym porozmawiać, malutka?

Jane zerknęła na nią spod oka. Trixie zawsze wiedziała, że coś jest nie tak. Zawsze. To po prostu niesamowite.

– Właściwie nie – powiedziała niepewnie. – No cóż, możliwe. Nie, muszę to...

– Wciąż ten sam problem? Szkoda, że nie stawiałaś temu czoła od razu. Dzisiaj byłoby po wszystkim – powiedziała Trixie, unosząc ręce w geście frustracji. W sekundę później zacisnęła dłonie na kierownicy i w ostatniej chwili wyminęła wolno poruszającą się półciąężarówkę.

– Dupek! – krzyknęła, wysunęła przez okno kościste ramię i z zaciśniętej pięści wystawiła do góry środkowy palec. – Przepraszam, kochanie, co mówiłaś?

– Nic takiego – powiedziała Jane, machnąwszy dłonią, aby zakończyć temat. Trixie przypuszczała, że ona myśli o Connie Bryan. Jane rzeczywiście myślała o Connie, prawie codziennie, ale akurat nie tego ranka. To Brian Ramsey zaprzętał dziś jej myśli. – Po prostu zbyt wiele się dzieje. Czuję się trochę pogubiona. Wiesz, jak to jest.

Trixie nie spuszczała wzroku z drogi przed sobą.

– Rozmowa dobrze by ci zrobiła. Czy właśnie nie to mówisz swoim pacjentom? Nie namawiasz ich, by rozmawiali o tym, co ich niepokoi? – Kiedy zjechały z autostrady, wcisnęła do dechy pedał gazu. Pomknęły przez ulice, kierując się na obrzeża mia-

sta.

– Tak, to właśnie im mówię – powiedziała Jane. Zobaczyła swój dom i odetchnęła z ulgą. – Jednak w tym przypadku obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

Trixie zahamowała z piskiem hamulców.

– Nareszcie w domu – powiedziała Jane, spoglądając przez okno na swą posiadłość. – Och, posłuchaj tylko – powiedziała i przechyliła się w prawo, by lepiej słyszeć śpiew ptaków. Uwielbiała te wczesnoporanne trele. Planowała w tych dniach kupić książkę, w której radzono, jak zwabić ptaki do swojego ogrodu. – Dzięki za podwiezienie, Trix. – Chwyciła reklamówkę z dwiema książkami T. F. Dingle’a i otworzyła drzwi samochodu.

– Zaczekaj chwileczkę – powstrzymała ją Trixie, sięgając do plecaka, którego używała w charakterze torebki. – Masz tu dyskietkę, o którą prosiłaś. To kopia piracka, więc lepiej się nianie chwalić. Wierz mi, za jej pomocą możesz namierzyć wszystko i każdego. Mam drugą, więc nie zwracaj sobie głowy oddawaniem.

– Wspaniale. Dzięki. Do zobaczenia wieczorem. – Jane odwróciła się, by wejść na schody.

– Janie? – zawołała Trixie z wnętrza samochodu. – Masz jeszcze tamtą papierową torbę?

Jane odwróciła się powoli i przytaknęła.

– Wiesz co? Albo wóz, albo przewóz. Inaczej mówiąc, zrób coś albo pozbądź się tych dowodów. To moja rada na dzisiejszy dzień. Do zobaczenia wieczorem, kochanie. – I zanim Jane zdążyła odpowiedzieć, odjechała, pozostawiając za sobą chmurę pyłu i tryskającego spod kół żwiru.

Jane zignorowała radę i odwróciła się, aby popatrzeć krytycznym okiem na dom. Skrzywiła się na widok oblażącej ze ścian farby i krzywo wiszących okiennic. Zamierzała odnowić dom także z zewnątrz, jednak ogrom pracy przerastał jej możliwości,

zwłaszcza że miała tyle obowiązków zawodowych. Do listy czynności do wykonania dodała w pamięci telefon do malarzy i stolarzy, aby się z nimi umówić. Zrobi to, jak tylko zadzwoni w sprawie sekretarki.

Pewnego dnia dom będzie wyglądał tak, jak sobie wymarzyła. A kiedy wszystko będzie gotowe, kupi tuzin bostońskich paproci i zawiesi je na frontowym ganku. Potem ustawi tam trzy lub cztery fotele na biegunach, a obok nich białe wiklinowe stoliki, by było na czym postawić wysokie szklanki z mrożonego szkła i małe doniczki z angielskim bluszczem. Będzie spędzała na tej werandzie niedziele, kołysząc się, popijając lemoniadę i czytając książki Freda i Trhde. Jedynym towarzyszącym temu odgłosem będzie cichy szum zawieszonych nad głową wentylatorów.

Gdy tylko weszła na schody, dobiegło ją szczekanie Olive. Nie było to zwykle powitalne poszczekiwanie, ale zajadłe ujadanie – ostrzeżenie, że dzieje się coś złego. Jane rozejrzała się dokoła. Na ciepłej drewnianej podłodze werandy wylegiwał się zwinięty w kłębek wąż.

– W porządku, Olive. To tylko wąż i obie wiemy, że nie zrobi nam nic złego, zabije tylko gryzonie, których tobie nie uda się dopaść. – Odsunęła się jednak, zastanawiając się, co by tu zrobić. Wąż ani myślał się poruszyć, a ona nie chciała mu przeszkadzać. Postanowiła zostawić go w spokoju. – Nie przejmuj się mną – powiedziała do gada. – Leż sobie spokojnie, wejdę tylnymi drzwiami.

Pół godziny później zanurzyła się w pachnącej kąpieli z kubkiem gorącej kawy w dłoni. Oparła głowę na zwiniętym ręczniku, zamknęła oczy i spróbowała pogrążyć się w czymś, co nazywała strefą neutralną, a co oznaczało, że zamierza rozkoszować się chwilą. Zwykle to działało. Ale nie dzisiaj.

Złościło ją, że od kilku tygodni czuje się okropnie. A wszystko z powodu Briana Ramseya. Co gorsza, odczuwała potrzebę, by

zwrócić się o pomoc do kogoś z zewnątrz.

Nie po raz pierwszy zastanawiała się nad tym, co robi i czy aby na pewno postąpiła słusznie, wybierając zawód psychiatry.

Zdawała sobie sprawę, że dokonała wyboru z niewłaściwych pobudek – z powodu Connie Biyan i tego, co jej się przytrafiło. Wmówiła sobie, że jeśli będzie pomagać innym, w końcu pogodzi się z tym, że nie umiała pomóc Connie.

Wróciła myślami do tamtej nocy. Pierwszy błąd polegał na tym, iż pozwoliła, by Connie wymusiła na niej obietnicę milczenia. Powinna była zdawać sobie sprawę, że Connie nie jest sobą, że nie jest w stanie podejmować rozsądnych decyzji. Prawdziwa przyjaciółka dopilnowałaby, żeby Connie znalazła pomoc. Drugi błąd popełniła, dotrzymując obietnicy również po samobójstwie Connie. Co prawda, nie mogła już wówczas jej pomóc, ale być może jej bliskim łatwiej byłoby pogodzić się z tym, co się stało, gdyby znali powody, wiedzieli, co się naprawdę wydarzyło.

Tłusta maciora.

MissPiggy.

Beka sadła.

Czy to obawa przed dalszym upokorzeniem kazała jej milczeć? Jane zacisnęła powieki. Nie miała odwagi odpowiedzieć sobie na to pytanie.

– Teraz też tego nie zrobię – powiedziała do Olive. Spanielka leżała obok wanny, rozciągnięta niczym żaba. Na głos pani otworzyła jedno oko i zerknęła na Jane. – Śpij dalej, po prostu znów głośno myślę.

Po śmierci Connie całymi latami zastanawiała się, jakim człowiekiem musiałby być Todd Prentice, żeby zerwać zaręczyny, ponieważ jego narzeczona została zgwałcona. Kilka lat temu spotkała Todda na spotkaniu absolwentów i zrozumiała obawy Connie. Todd pojawił się u boku małżonki, typowej „żo-

ny-trofeum”, jak natychmiast określiła ją w myśli Jane. Przypomniała sobie jej strój – kusa, ledwie zakrywającą pośladki suknię bez ramiączek, z dekoltem odsłaniającym plecy. Na uszycie tej kreacji z pewnością nie zużyto więcej niż metr kwadratowy materiału. Jak też ta kobieta miała na imię? Melody? Melanie? Tak, Melanie. Melanie Petitjean z zakładów farmaceutycznych Petitjean, jeśli wierzyć informacjom z listy członków zarządu Stowarzyszenia Absolwentów, do którego Todd należał. Jane знаła tę firmę i nawet posiadała nieco jej akcji. Zanurzyła się głębiej w gorącą wodę. Od imprezy na cele dobroczynne minęło już dwa albo trzy lata, a ona nadal nie wiedziała, co myśleć o tym, że Todd podszedł wówczas do niej i się przedstawił. W college[^] się nie znali. Nigdy się nawet nie spotkali. Namydliła ramiona i szyję.

– Pomóż mi to rozgryźć, Ollie. Mów do mnie. Zaszczekasz, jeśli powiem coś, co poruszy właściwą strunę, dobrze?

– Hau!

– W porządku – powiedziała, zadowolona, że Olive słucha, – Jestem psychiatrą, w dodatku dobrym, więc ...

– Hau!

– Dziękuję, ale mi przerwałaś. – Woda nie była już gorąca, ale Jane nie zwracała na to uwagi. Wreszcie naprawdę myślała, jasno i obiektywnie. Wylegiwanie się w wannie czy stanie pod prysznicem bezsprzecznie ożywiało umysł. Trixie mawiała, że najlepsze pomysły przychodzą jej do głowy właśnie pod prysznicem. – No dobrze, na czym to ja stanęłam? A, tak. Powinnam dać sobie z tym radę. – Olive nadstawiła uszu. – Odrzuciłam możliwość, że Todd jest z natury przyjacielski, ponieważ nie raczył przedstawić się Rosę, choć stała tuż obok mnie. Nie przeprowadzał też ze mną wywiadu dla biuletynu absolwentów. I choć dał mi swoją wizytówkę, nigdy się nie odezwał, co oznacza, że nie usiłował mi niczego sprzedać. A mając taką żonę, z

pewnością nie próbował mnie podrywać. – Westchnęła. Nic nowego, nieraz walczyła to w myśli.

– A jeśli – powiedziała, używając określenia, którym Trixie i Fred posługiwali się, by zaakcentować zbliżający się zwrot akcji – on wiedział, kim jestem i chciał mnie poznać po prostu dlatego, że szukał dobrego psychiatry? – Olive przekrzywiła łeb. – Nie? Więc co? Wymyśl coś, skoro jesteś taka mądra. – Olive siedziała cicho.

Jane zamknęła oczy.

– Zwariuję. Najwyższa pora coś z tym zrobić. Od dwunastu lat zmagam się z poczuciem winy. To niszczy moje życie. Szkoda, że nie potrafisz mówić, Ollie. Potrzebne mi wsparcie.

– Hau! Hau!

Jane skinęła głową, jak gdyby zrozumiała.

– Masz rację. Gdyby to moja pacjentka miała tego rodzaju problem, poradziłabym jej, by zadzwoniła do Todda, umówiła się z nim na spotkanie, a potem opowiedziała mu, co wydarzyło się tamtej nocy i zapytała, dlaczego do niej podszedł.

Na dworze zagrzmiało i Olive przysunęła się bliżej. Jane wyskoczyła z wanny i wypuściła wodę. Nie znosiła burzy i bała się grzmotów nie mniej niż Olive.

– Zapal światło, Olive!

Woda zabulgotała w rurach. Jane owinęła się starym flanelowym szlafrokiem. Pobiegła do sypialni, wskoczyła do łóżka i zanurkowała wraz z Olive pod kołdrę.

Kiedy wracała od Trixie, wcale nie zanosilo się na burzę. Ale czy na pewno? Może po prostu nie zwróciła uwagi. Teraz to bez znaczenia. Burza szalała dokładnie nad ich głowami i choć Jane zdawała sobie sprawę, że jej strach jest dziecinny i zupełnie irracjonalny, nie potrafiła go opanować. Być może, gdyby kiedyś matka nie zamknęła przed nią drzwi domu, odmawiając wpuszczenia córki, bo była brudna, nie zachowywałyby się tak.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni tamtego dnia. Burza rozpiętała się nagle, zupełnie jak teraz. W końcu przestała łomotać pięściami w drzwi i rozpląkała się skulona w rogu starej werandy. A kiedy piorun uderzył w słupek po drugiej stronie ganku i zawalił się dach, wrzasnęła i krzyczała tak długo, aż ochrypła. Ojciec znalazł ją tam po paru godzinach.

Zbyt wiele złych wspomnień. Za duże obciążenie dla pamięci. Minęło sporo czasu, nim Jane odrzuciła przykrycie i spojrzała za okno. Z okapu monotonnie spływała woda. Mżyło. To miał być jeden z tych dni.

Była za piętnaście dziewiąta, gdy Jane usadowiła Olive na siedzeniu pasażera i przypięła ją specjalnym pasem, który kupiła przez Internet. Wrzuciła do samochodu torebkę, teczkę i przystrojony kwiatami kapelusz, a potem sama zapięła pas.

– No dobrze, malutka, spadamy stąd – powiedziała i włączyła radio, aby posłuchać prognozy pogody.

Znajome głosy braci „em” wypełniły wnętrze małego samochodu. To Trixie tak ich nazwała, ponieważ nie potrafili wymówić dwóch wyrazów, nie przerywając sobie ciągłym „em”. Lecz jeśli chodzi o przepowiadanie pogody, bracia nie mieli sobie równych. I czy się ich lubiło, czy nie, ich prognozy nieodmiennie rozpoczynały dzień. Trixie i Fred nie znosili braci, ale w opinii Jane KSIG była najlepszą stacją w okręgu Acadia. Jednak gdy tylko bracia „em” wytrajkotali swoją prognozę, przełączyła radio na KATC, aby posłuchać wiadomości lokalnych. Jak zwykle poczuła wyrzuty sumienia, że nie słucha stacji, dla której pracuje – KRFG. Wieloletnie przyzwyczajenie zrobiło jednak swoje i pozostała przy KATC.

Pojechała bulwarem do North Adams, przecięła linię kolejową i jechała dalej South Adams, dopóki nie dotarła do niewielkiego budynku, w którym mieściła się jej rozgłośnia radiowa. Zapar-

kowała, przypięła Olive smycz, przycisnęła do boku torbę i teczkę, a potem skierowała się ku temu, co nazywała swoją norą.

– Jeszcze tylko pięć minut! – zawołał Tom Bradley z reżyserki.

– Ruszaj się!

Jane poprawiła ustawienie obrotowego krzesła i nałożyła słuchawki, cały czas wpatrując się w Toma poprzez dzielącą pomieszczenia szybę. Podniósł kciuk, co oznaczało, że była na antenie.

– Dzień dobry, tu doktor Jane Lewis. Rozpoczynamy audycję Porozmawiaj ze mną – powiedziała wesoło. – Przez najbliższą godzinę pozostanę na linii, by odpowiadać na wasze telefony. Jeśli macie problem, którego nie potraficie rozwiązać, podnieście słuchawkę i zadzwońcie do mnie. Jestem tu, by was wysłuchać i doradzić. Podejrzewam, że dziś będzie jeden z tych dni, kiedy nic nam się nie udaje. O, mam na linii słuchacza! Tu doktor Jane Lewis. W czym mogę panu dziś pomóc?

– Najpierw chciałbym powiedzieć, że bardzo mi się podoba pani audycja.

– Dziękuję. A z kim rozmawiam? Proszę podać tylko imię.

– Dewey.

– W porządku, Dewey. Porozmawiajmy.

– Chciałbym, żeby powiedziała mi pani, kto ma rację. Żona mówi, że skoro przez cały tydzień zajmuje się dziećmi, w weekend powinna móc robić to, na co ma ochotę. Ja twierdzę, że skoro przez cały tydzień pracuję, to też przydałby mi się choć dzień dla siebie. Co pani o tym sądzi?

Jane przewróciła oczami i popatrzyła na Toma.

– Sądzę, że oboje macie rację. Każde z was potrzebuje od czasu do czasu trochę wolnego. Ale powinniście też побыć ze sobą i z dziećmi. Dogadajcie się i zaplanujcie wszystko w taki sposób, żeby każde z was mogło spędzić jeden czy dwa dni w miesiącu

tak, jak chce. Zatrudnijcie opiekunkę i wybierzcie się gdzieś sami, jeśli nawet będzie to tylko przejażdżka we dwoje. Przejazdki są bardzo dobre, by nacieszyć się czymś towarzystwem. I co pan na to?

– Nie stać nas na opiekunkę.

– To może umówilibyście się ze znajomymi, żeby na zmianę zajmować się dziećmi. Może oni też marzą o tym, by choć na trochę wyrwać się z domu. Albo spróbujcie zaproponować im jakąś inną przysługę. Jeśli jest chęć, znajdzie się i sposób, Dewey. Na pewno coś da się zrobić, jeżeli trochę się postaracie.

– Podrzucę jej ten. pomysł. Rzeczywiście, brzmi realnie. Dzięki.

– W porządku, mam następny telefon. Powiedz mi, Stacy, co też nic daje ci spokoju w ten deszczowy poranek?

– Życie. Jest nic niewarte – dobiegł ją cichy, zmęczony głos. – Nienawidzę swojej pracy. Nie mam przyjaciół i właśnie zdechł mi kot. Chciałabym zasnąć i więcej się nie obudzić.

Jane wyprostowała się na krześle, czując jak tężeją jej mięśnie barków.

– W porządku, Stacy, jestem tu po to, by posłuchać o twoich kłopotach i pomóc ci je przetrwać. Zacznijmy od kota. Mój pies siedzi teraz obok mnie, więc nietrudno mi sobie wyobrazić, jakbym się czuła, gdyby mu się coś stało. To normalne, że cierpimy, tracąc ukochane zwierzę. Tak powinno być. Ludzie muszą opłakać stratę, by móc dojść do siebie. Proponuję, byś przygarnęła innego kota, i to od razu. Nie po to, żeby zastąpić tamtego, którego straciłaś, ponieważ to po prostu niemożliwe, ale dlatego, że jest ci potrzebne zwierzę, które mogłabyś pokochać. W schroniskach czeka wiele zwierząt, rozpaczliwie potrzebujących domu. Pomyślisz o tym?

– Nie uważa pani, że jeśli wezmę innego kota, to zdradzę pamięć mojej kotki?

– Nie, absolutnie.

– Dobrze, pomyślę o tym.

Sądząc z tonu, jakim to powiedziała, sprawa kota została przesądzona i wkrótce jakieś biedne stworzenie znajdzie dom.

– A teraz zobaczmy, co da się zrobić z pracą, której tak nienawidzisz. Porozmawiajmy o tym. Powiedz mi, na czym dokładnie polega problem.

Okazało się, że problemów jest co najmniej kilka, ale wszystkie sprowadzały się do tego, że Stacy nie znosi siedzieć przez cały dzień za biurkiem i gapić się w ekran komputera. Po pracy była zwykle tak skonana, że nie nadawała się do niczego. Mogła tylko iść do domu, zjeść byle co i czym prędzej położyć się spać. A skoro nigdy nie wychodziła, nie miała okazji nawiązać żadnych znajomości.

– W porządku, Stacy, rzeczywiście musisz poszukać sobie innego zajęcia – pracy, którą mogłabyś wykonywać poza biurem, przynajmniej częściowo. Powinnaś także zapisać się do jakiegoś klubu sportowego albo na gimnastykę. Mamy tu w rozgłośni ligę softballu i czasami przyjmujemy do drużyny dobrych zawodników z zewnątrz. Przyjedź do nas i zapisz się, najlepiej jeszcze dzisiaj. To jak? Mogę liczyć na to, że za jakąś godzinę się pojawisz?

– Zastanowię się.

V Mam inny pomysł. Chodzi o nasze centrum kryzysowe. Może zechciałabyś popracować tam jako ochotniczka? Tylko kilka godzin w tygodniu. Mogłabyś porozmawiać z innymi pracownikami i jednocześnie sprowadzić swoje życie na właściwe tory. Chcę, żebyś się zadeklarowała, Stacy. Jeśli obiecasz, że wpadniesz, będę na ciebie czekała.

– Mogłabym zostać wolontariuszką? Naprawdę?

Jane spostrzegła, że Tom coś jej sygnalizuje. Przerwa na reklamę.

– Naprawdę, Stacy – powiedziała, skinąwszy głową. – Będę na

ciebie czekała. Tu doktor Jane Lewis. Słuchacie audycji Porozmawiaj ze mną.

Jane zdjęła słuchawki i upewniła się, że nie jest słyszana.

– Masz jej numer, Tom? Bradley skinął głową.

– Jeśli się pokaże, zatrzymaj ją, dopóki nie zejść z anteny. Tom znów skinął głową.

Godzina wlokła się w nieskończoność. Odebrała jeszcze kilka telefonów, szybkich i rzeczowych, a także jeden zupełnie bez sensu. Tom podniósł palec wskazujący, by zasygnalizować jej, że ma kolejnego rozmówcę.

– Mów, Dennis. Opowiedz mi, jaki masz dziś problem.

– Byłem świadkiem przestępstwa. Mój przyjaciel został poważnie zraniony. Chciałem pójść na policję, ale on zmusił mnie, bym przyrzekł, że nic nie powiem. Nie czuję się z tym dobrze. Chciałbym, by tych przestępców schwytano, ale przyrzekłem, że będę milczał. Jak mam postąpić?

Jane odsunęła się od mikrofonu. Odkąd prowadziła audycję, ani razu nie pojawił się nikt, kto miałby problem choć trochę podobny do tego, z którym borykała się sama. Zważywszy, o czym rozmyślała rano w wannie, zbieg okoliczności wydawał się wręcz niesamowity. Ale co to mogło być innego?

– Doktor Lewis? – zapytał rozmówca.

– Jestem, Dennis. Niełatwo odpowiedzieć na twoje pytanie, ponieważ w grę wchodzi zarówno kwestie prawne, jak i moralne. Doradzałabym ci jednak, żebyś poszedł na policję, wszystko jedno, czy twój przyjaciel – a może przyjaciółka – chce tego, czy nie. Być może zniszczy to waszą przyjaźń, ale lepsze to, niż pozwolić, by ktoś ci bliski zmarnował sobie życie.

– Bałem się, że tak właśnie pani odpowie. Rozmawiałem z zaprzyjaźnionym prawnikiem i on poradził mi to samo.

– Więc wiesz już, jak masz postąpić.

Gdy zobaczyła, że Tom pokazuje jej dłoń z opuszczonym kciuk-

kiem, o mało nie westchnęła z ulgą.

– Nasza audycja dobiegła końca. Dziękuję, że mnie wysłuchaliście. Tu doktor Jane Lewis. Do usłyszenia w następny piątek o zwykłej porze. Bawcie się dobrze podczas weekendu i nie zapominajcie o trzech zasadach: szacunek dla siebie samych, respektowanie praw innych i odpowiedzialność za swoje działania. A jeśli dla części słuchaczy zabrzmiało to zbyt poważnie, mam dla nich prostą wskazówkę: Nie ufajcie nikomu, kto całuje z otwartymi oczami.

– Dobra robota, Jane – powiedział Tom, wychylając głowę z reżyserki. – Ta dziewczyna, Stacy, jest w holu. Posłuchaj, co byś powiedziała na kolację i kino w ten weekend?

Jane uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Dzięki, Tom, ale uważam, że nasze stosunki weszły we właściwą fazę. Lubię twoje towarzystwo, ale obawiam się, że nigdy nie będzie między nami niczego poza przyjaźnią więc nie ma sensu dalej się umawiać.

– Nie umówiliśmy się więcej niż sześć razy, Jane. Skąd możesz, u licha, wiedzieć, że nigdy nie poczujesz do mnie nic więcej? Ileż to razy powtarzała swoim pacjentom, by nie wdawali się w romanse ze współpracownikami? Takie związki z reguły kończą się rozstaniem. Że też nie posłuchałam własnej rady, zgaśniła się w myśli.

– Po prostu wiem, Tom. Przykro mi. Nie chodzi o to, że cię nie lubię. Przyzwoity z ciebie facet, ale – niestety – nie dla mnie.

– A jest ktoś inny?

Czy był ktoś inny? Czy Mike Sorenson liczy się jako „inny”?

– Nie w tej chwili. Mam nadzieję, że moja decyzja nie wpłynie na nasze stosunki. Uwielbiam prowadzić tę audycję. Zastanawiałam się nawet poważnie, czy nie zwiększyć częstotliwości do dwóch godzin tygodniowo, ale...

– Nie, nie – zaprotestował, potrząsając głową. – Praca to praca.

Z tym nie będzie problemów.

Jane zdawała sobie sprawę, że Tom zgadza się z nią wyłącznie z powodu audycji i właśnie dlatego o niej wspomniała. Gdyby tak bardzo się nie upierał, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby posłużyć się zawołowaną groźbą.

– Gdzie formularze zapisu do drużyny softballowej? Chcę jeden dać Stacy.

Tom wyjął formularz z koszyka na biurku.

– Przydałby nam się rezerwowany miotacz.

– Dzięki za wyrozumiałość – powiedziała z pozorną szczerością.

Wiedziała, że nie zaszkodzi, jeśli trochę połaskocze próżność

Toma i pozostawi go w dobrym samopoczuciu.

– Do zobaczenia za tydzień.

– Tak, za tydzień i opiekuj się nią Olive.

Tnxie McGiure wkroczyła na posterunek z wysoko uniesioną głową, jakby to miejsce należało do niej. I w pewnym sensie tak właśnie było, zważywszy, jak szczerze ona i Fred zasilali policyjny fundusz podczas wszelkiego rodzaju imprez, mających na celu zbiórkę pieniędzy. Cenne elementy wyposażenia: cyfrowe kamery czy sprzęt elektroniczny najnowszej generacji zawsze przysyłali anonimowo. Trixie nie lubiła, kiedy ludzie zbyt rozwodzili się nad jej hojnością.

– Dzień dobry, pani Trixie, jak leci w ten paskudny deszczowy poranek? – zapytał oficer dyżurny Jake Ramos. – Ma pani dziś dla nas jakieś truskawkowo-rabarbarowe pyszności? – zapytał, z lubością poklepując się po brzuchu.

– Masz tu dwa paczki z rabarbarowo-truskawkowym nadzieniem, Jake – powiedziała Trixie, rzucając na biurko paczkę z ciastkami. – Coś się dzieje?

– No cóż, jeśli by w ten sposób określić fakt, że Maude Lassiter znowu przyłała Luke’owi i niemal przebiła nim ścianę tylko dlatego, że wrócił zalany o trzeciej nad ranem, to owszem, dzie-

je się. Zamknęliśmy go w areszcie. Powinniśmy zamknąć także ją, ale zwała tylnymi drzwiami. Koło południa na pewno się pojawi, żeby wpłacić kaucję za męża, a wtedy my jak zwykle palniemy jej kazanie. Przez parę dni Lukę będzie zachowywał się jak należy, a potem wszystko się powtórzy. A co u ciebie? Jakież nowe propozycje?

– Już wkrótce, Jake – skłamała Tracie z zimną krwią. – Jak tam depesze? Co w N’awlings?

– Spokój, Trixie, zupełny spokój.

– Cholera! – poskarżyła się Trixie, wbijając zęby w pączek. Siedziała z nosem w czekoladowym kremie, kiedy drzwi posterunku otworzyły się i do środka weszło, przepychając się, czterech mężczyzn pogrążonych w ożywionej rozmowie. Prawie się kłócili.

– O co im chodzi? – spytała, pochylając się do ucha Jake’a.

– Bob Henry przechodzi do FBI, co oznacza, że jego pies Flash zostanie oddany do adopcji. Każdy z tej czwórki chce go wziąć. Flash to najlepszy pies policyjny w Luizjanie. Wydział i tak chciał w przyszłym miesiącu wysłać go na emeryturę, ale skoro Bob odchodzi, będą musieli podjąć decyzję wcześniej, niż się spodziewali.

– To ci musi być pies!

– Jest dobry w akcji, zgoda, ale niezbyt towarzyski. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego ktoś mógłby go chcieć. Z tego, co wiem, potrafi być naprawdę wredny.

Trixie zastanowiła się i błyskawicznie oceniła sytuację. Ci mężczyźni z pewnością nie chcą mieć domowego pieska. Zrobią z Flasha psa stróżującego lub myśliwskiego, a może nawet będą trzymać go na łańcuchu.

– Ile?

Jake spojrzał na nią, zdumiony.

– Ile co?

- Za ile chcą go sprzedać, Jake.
- On nie jest na sprzedaż, Trixie. Po prostu chcielibyśmy znaleźć mu dobry dom. ‘
- Trixie wskazała kościstym palcem czwórkę głośno rozprawiających mężczyzn.
- Żaden z tych palantów nie zapewni mu dobrej opieki. Oboje o tym wiemy. Nasz ostatni pies zdechł ze starości kilka lat temu i dotąd nie myśleliśmy o tym, żeby wziąć następnego. Flash to pies, jakiego oboje z Fredem potrzebujemy. Ile, Jake? Podaj cenę.
- Jake otarł usta wierzchem dłoni.
- Trixie, ten pies waży więcej od ciebie. Nie poradzicie sobie z nim. To nie domowy pieszczołek, ale pełnoprawny funkcjonariusz policji z własną odznaką i numerem. Prawdziwy ekspert, jeśli chodzi o wykrywanie narkotyków i broni. Słucha tylko Boba.
- Pięćset dolarów – powiedziała krótko Trixie.
- Jest twój! – zawołał Jake, uderzając dłonią w biurko. Krem czekoladowy rozprysnął się na wszystkie strony.
- Trixie parsknęła śmiechem. Najwidoczniej oferta zrobiła na nim takie wrażenie, że zapomniał, co trzyma w dłoni.
- Jake wstał i z rozbawieniem zaczął czyścić mundur z resztek czekolady.
- Chłopcy, możecie przestać się kłócić. Flash zostanie zaadoptowany przez tę oto Trixie.
- Mężczyźni zaczęli gderać i protestować, lecz Jake uciszył ich szybko informacją, że Trixie zgodziła się zapłacić pięćset dolarów za przywilej adoptowania Flasha.
- Jeśli coś pójdzie nie tak, szef obedrze mnie ze skóry, Trixie. Oznacza to, że kiedy raz weźmiesz Flasha, jest twój. Jeśli uznasz, że przeceniliście swoje możliwości, nie będziesz mogła go zwrócić.

– Dam sobie radę – powiedziała z większą pewnością, niż naprawdę czuła. W końcu to tylko pies. Naprawdę martwiła się tylko tym, jak zareaguje Fred, kiedy jego żona pojawi się w domu z policyjnym psem u boku. Lepiej o tym teraz nie myśleć, postanowiła.

– Gdzie on jest?

– Właśnie go tu wiozą. Napijesz się kawy? Tuż przed twoim przyjściem zaparzyłem świeżą.

Tracie skinęła głową, zastanawiając się, co też powie Fredowi. Wzięła kubek z rąk Jake'a, przytknęła do warg i pociągnęła niewielki łyk.

– Jest dokładnie taka, jak lubisz, Trixie – cztery łyżeczki cukru i mnóstwo śmietanki.

Usłyszała Flasha, nim jeszcze go zobaczyła. A to, co usłyszała, sprawiło, że z trudem powstrzymała się, by nie odstawić kubka na biurko i nie schować się pod blat.

– Jeszcze możesz zmienić zdanie, Trixie – powiedział Jake, spoglądając na nią z ukosa.

– Poradzę sobie, Jake. Zobaczmy, jak on się zachowa.

– Dobrze, ale jest coś, o czym zapomniałem ci powiedzieć.

Flash słucha tylko komend po niemiecku. Możesz kupić sobie jedną z tych kaset do nauki języka Berlitz'a i przejść przyspieszony kurs.

Otwarto drzwi. Trixie skuliła się, gdy zobaczyła najwspanialsze zwierzę, jakie kiedykolwiek widziały jej oczy.

– To owczarek belgijski – poinformował ją Jake. – Urodzony i wychowany w Holandii. Waży pięćdziesiąt parę kilo.

Pies naprężył smycz, którą trzymało dwóch funkcjonariuszy. Z tyłu szedł jeszcze jeden, ciągnąc za sobą na wózku dwa kartonowe pudła.

– To jego wyposażenie, sierżancie.

– Jego wyposażenie? – wykrztusiła Trixie.

– Tak, wyposażenie – potwierdził Jake. – Kamizelka kuloodporną, specjalne smycze, specjalne jedzenie, specjalne witaminy, parę zabawek, szczoteczka do zębów i szczotka do czesania, cząłki do przycinania pazurów, krople do oczu, odznaka i parę innych rzeczy. Ma także łóżko, koc i ręczniki. No rozumiesz, Trixie, wyposażenie.

Pies zaczął skomleć, naprężając smycz.

Choć Trixie nieszczególnie знаła się na psach, jej zdaniem Flash nie wyglądał na szczęśliwego.

– Co z nim? Wydaje się zdenerwowany.

– Był trzymany w zamknięciu, od kiedy Bob wyjechał. Chyba czuje się opuszczony. Miał tylko Boba. I pewnie mu się nudzi. Lubi swoją pracę, patrolowanie, dźwięk syren i całe to podniecenie, związane z akcją. Teraz pewnie ma mętlik w głowie. Nie wie, co powinien czuć i myśleć.

– Rozumiem – powiedziała Trixie, przyglądając się psu z bezpiecznej odległości.

– A tak przy okazji, Bob mówił, że on nie lubi kobiet. Powinnem od razu ci o tym powiedzieć, ale jakoś wyleciało mi to z głowy.

Trixie uniosła wysoko brwi.

– Powiesz mi, dlaczego, Jake?

– Jakaś pijana dziwka rzuciła w niego lutownicą. Na szczęście miał na sobie kamizelkę, więc tylko trochę przypaliło mu się futro. Lepiej zacznij się zastanawiać, jak zabrać go do domu, Trixie.

– Właśnie się zastanawiam – mruknęła. Nigdy dotąd niczego się nie bała i nie miała zamiaru pozwolić, aby przestraszył ją pies, nawet jeżeli ważył sto pięćdziesiąt parę kilo i wyglądał jak wilk. Fred kiedyś zarzucił jej, że jest niemila jak diabli. Być może, choć tym razem takie zachowanie przyniesie więcej pożytku niż szkody. Spojrzała na funkcjonariuszy.

– Puśćcie go – powiedziała ze spokojem, którego bynajmniej nie czuła.

– Instrukcja tego nie przewiduje, Trixie.

– Może i nie, ale właśnie tak to teraz będzie wyglądało. Zamierzam usiąść na ławie i ani drgnąć. Zobaczmy, co się stanie.

– Puśćcie go – polecił Jake.

Po chwili olbrzym ruszył na obchód pomieszczenia. Biegał od jednego do drugiego, obwąchując wszystkich po kolei. Czekał na swoją kolej, Trixie zagryzła wargi. Nagle pies podkulił ogon i położył po sobie uszy. Skoczył ku niej i aż się pośliznął, wyhamowując gwałtownie. Trixie nawet nie mrugnęła.

– Nie mam lutownicy, Flash – powiedziała, zniżając głos. – W ogóle nie mam nic w rękach. – Uniosła dłonie, by mu pokazać, że są psute. – Tak, jesteś prawie tak duży jak ja i z pewnością więcej ważysz, ale wcale się ciebie nie boję – powiedziała z uśmiechem.

Pies przekrzywił głowę. Słuchał jej, mimo to miał podkulony ogon i uszy położone płasko na łbie.

– Potrzebuję pięciu minut sam na sam z tym stworzeniem.

Niech wszyscy wyjdą.

– Jesteś pewna, Trixie? – spytał Jake, zaniepokojony.

– No już, wynoście się – poleciła. A kiedy wyszli, spojrzała Flashowi prosto w oczy. – Przykro mi, że straciłeś pana, ale musisz dalej żyć. Mogę zapewnić ci cudowny dom z wielkim podwórkiem i mnóstwem drzew, żebyś miał gdzie podnieść nogę, a także patio, byś mógł wygrzewać się na słońcu. Fred i ja zaopiekujemy się tobą i pokochamy cię tak, jak na to zasługujesz. I dam ci słowo, że nie będę cię karmiła tym sztucznym jedzeniem, które wygląda jak kozie bobki. Ale musisz przyjąć do wiadomości, kto tu jest szefem. Ja, wielkoludzie, ja – Trixie. Ja tu rządzę szepnęła. Pies przysunął się bliżej, obnażając kły. Nie wyglądało na to, by przekonała go gadka Trixie. Przeciwi-

nie, zachowywał się tak, jakby zaraz miał zatopić kły w jej szyi. Zastanawiając się gorączkowo, opadła na klęczki. Teraz znajdowała się na jednym poziomie z olbrzymim owczarkiem. Była tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech. Pachniał miętą. Pewnie to jakaś psia pasta do zębów. Flash poruszył nieznacznie łbem, więc Trixie zrobiła to samo i jednocześnie kłapnęła sztuczną szczęką, wysuwając ją do przodu.

– Widzisz? – powiedziała. – Jeśli mnie ugryziesz, ja zrobię to samo. Kapujesz? Nie będę ci smakowała, jestem stara i żyłasta, nie nadaję się do żucia. – Owczarek wydał odgłos przypominający ni to skomlenie, ni to skowyt. – No już, chodź tutaj, ty wielki mięczaku! I daj się przytulić Trixie. – Wyciągnęła rękę i podrapała psa za uszami, postawionymi teraz na baczność. Flash wyciągnął łeb i polizał japo twarzy. – Dobry piesek – powiedziała i pozwoliła jeszcze raz się polizać. – Co byś powiedział, gdybyśmy zwinęli się stąd i pojechali do Burger Kinga? Tylko pomyśl o tych wszystkich bigburgerach, które tam na ciebie czekają! Przynieś smycz. Nie możemy się bez niej pokazać, bo ktoś mógłby dostać zawału. – Wstała. – Jake, wychodzimy! Jake wyłonił się z głębi posterunku, a za nim pozostali. Niepokój na ich twarzach ustąpił miejsca zdumieniu, gdy zobaczyli, że Flash siedzi przed Trixie ze smyczą w zębach.

Trixie mrugnęła i uśmiechnęła się, a potem przypięła smycz do obroży.

– Myślę, że on już mnie uwielbia. Może zanieślibyście cały ten sprzęt do samochodu? Czek przyślę wieczorem, dobrze?

– Pewnie – powiedział Jake. Spojrzał na Trixie spod opuszczonych powiek i dodał: – Pewnego dnia powiesz mi, jak to zrobiłaś, dobrze?

– Tylko do niego mówiłam. – Poklepała Flasha po łbie. – Chyba wszystko będzie w porządku. Polubiłam tego psa. Naprawdę. Założę się o pięć dolców, że w ciągu dwóch tygodni zapomni o

Bobie Henrym.

– To paskudny zakład. Trixie ruszyła do drzwi.

– Powiniście postarać się o jakiś odświeżacz powietrza, chlópaki. Cuchnie tutaj. Ile razy mam wam to powtarzać? Czasami aż nie chce się do was przychodzić.

Jake przewrócił oczami i wypchnął wózek z wyposażeniem Flasha za drzwi. Kiedy tylko umieścił pudła w samochodzie, Flash wskoczył do niego i zaczął buszować w swoich rzeczach.

– Jesteś pewien, że mam tu wszystko?

– Jasne. Bob sam to spakował. Jego nowy adres i numer telefonu są na książeczce. Prosił, żeby do niego zadzwonić i powiedzieć mu, co tam u Flasha. Zadzwonisz, Trixie?

– Masz to jak w banku. Do miłego, Jake.

Przez całą drogę do domu Trixie spoglądała to na szosę przed sobą, to na olbrzymiego psa z tyłu. Kiedy zatrzymali się przed okienkiem dla kierowców w Burger Kingu, nie zareagował. Zawartość pudeł interesowała go bardziej niż to, co działo się za oknem. Kiedy sprzedawca podał im torbę z burgerami, nawet nie pofatygował się, by ją powąchać.

– Zaparkuję i będziesz mógł zjeść – powiedziała, skręcając na parking. – Wiem, że to wszystko jest dla ciebie nowe, ale Fred i ja zapewnimy ci naprawdę dobre życie. Skłamałam, gdy powiedziałam Jake’owi, że nasz ostatni pies zdechł ze starości. Nigdy nie mieliśmy w domu zwierzęcia. Zbyt wiele podróżyowaliśmy. Ale zawsze chcieliśmy je mieć. Uwielbiamy Olive. To spanielka. Ty też na pewno ją polubisz. – Rozwinęła pierwszego burgera.

– Spójrz, oto bigburger jak się patrzy, bez tego całego śmiecia, jedynie z kawałkiem porządnej wołowiny – Flash tylko na nią spojrzął. – Nie chcesz? – Wzruszyła ramionami. – No cóż, może później. Jedźmy do domu, poznasz Freda.

A kiedy pies nadal się nie ruszał, wysiadła, obeszła samochód,

otwarła tylne drzwi i wdrapała się do środka. Pogłaskała wielki łeb.

– Wszystko będzie dobrze, Flash. Obiecuję.

Przez chwilę przemawiała do psa łagodnie, a potem ujęła go pod brodę i pocałowała w nos.

– Wiem, co czujesz. Może włączymy radio i posłuchamy, jak doktor Jane Lewis udziela swoich cennych rad?

Zamknęła tylne drzwi samochodu i stała tak, przyglądając się psu przez zaciemnione szyby. Poczwała, że coś ściskają za gardło. Czy popełniła błąd, przygarniając policyjnego psa? Czy Fred będzie na nią zły? Tak, ale tylko przez chwilę. Bo potem on także zakocha się w tym zwierzaku i będzie martwił się o niego nie mniej od niej. Razem na pewno dadzą sobie radę. Jak zwykle.

Jane jęknęła, przewracając się na drugi bok, i wtuliła twarz w poduszkę. Po wczorajszym bieganiu bolały ją ścięgna i mięśnie. Jęknęła ponownie, gdy uświadomiła sobie, że musi się obudzić. Dziś miało się wydarzyć coś ekscytującego. Tylko co takiego? Zakopując się głębiej w pościel, próbowała sobie przypomnieć. Cokolwiek to jest, będzie musiało poczekać, postanowiła. Ona musi się wyspać. Zresztą, na dworze jest jeszcze ciemno. Nikt o zdrowych zmysłach nie wstaje przed świtem, zwłaszcza w sobotni poranek.

Przesunęła nogę, szukając Olive. Suka spała na zwykłym miejscu. Jeszcze jeden powód, żeby nie wstawać. Westchnęła z zadowoleniem, przewróciła się na bok, podciągnęła wyżej kolana i już miała zapaść z powrotem w sen, gdy usłyszała skomlenie, a potem coś głucho uderzyło o podłogę.

Usiadła, przekonana, że strąciła Olive z łóżka.

– Och, Ollie, ja... – Olive usiadła i spojrzała na nią. – Myślałam... Co to...?

Uniosła brwi i zerknęła na podłogę obok łóżka. Pusto. Odsunęła przykrycie, przerzuciła nogi przez krawędź i poczuła pod stopami coś jakby... futro.

Krzyknęła cicho i przeskoczyła to coś – czymkolwiek było.

– I co tak bardzo panią przestraszyło, panno Jane? – dobiegł ją czyjś rozbawiony głos.

Odwróciła się i zobaczyła tego samego chłopca, którego widziała już kiedyś we śnie. Tym razem siedział na bujanym fotelu.

– Ja... ty... Na co ja, u licha, nadepnęłam?

– To był Jeeter. Zepchnęła go pani z łóżka.

Jane spojrzała na podłogę, ale nie zobaczyła psa. Przetarła oczy i ziewnęła.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłam mu krzywdy – powiedziała, wracając do łóżka.
- Co pani robi?
- A jak myślisz? Wracam do łóżka. Jeszcze nie czas wstawać. Chłopiec zeskoczył z fotela i zablokował jej drogę.
- Nie może pani wrócić do łóżka. Wkrótce będzie pani miała gościa.
- Odejdź, dobrze? Jestem zmęczona. Miałam ciężki tydzień i potrzebuję wypoczynku. Bez snów, jeśli łaska.
- To nie jest sen. Jeeter i ja jesteśmy duchami – powiedział chłopiec, wykrzywiając twarz przy słowie „duchami”.
- Pewnie, a ja Madonną. Zmiatajcie stąd! Skreśliła w prawo i wyminęła chłopca.
- Jeśli wróci pani do łóżka, będzie pani śniła – ostrzegł. – Ten sam sen. Ostatnio zbyt dużo pani o tym myśli. Wolałbym, żeby się pani aż tak nie przejmowała, panno Jane. Zatrzymała się raptownie i spojrzała przez ramię.
- A kto mówi, że się przejmuję?
- Przejmuje się pani dosłownie wszystkim. Musi pani przestać. To zabija radość życia. A jeśli chce pani, żebym to powiedział, proszę bardzo: przejmuje się pani z powodu Connie Bryan i Todda Prentice’a. I martwi się o panią Ramsey.
- Jane przeczesала dłońmi kręcone włosy.
- Skąd o tym wiesz? – spytała z desperacją w głosie, która wcale się jej nie podobała.
- Wiem różne rzeczy. – Spojrzał w kierunku drzwi prowadzących do holu. – Na przykład to, kilka minut ktoś zadzwoni do drzwi. Proszę się ubrać.
- Jane usiadła na skraju łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach. Te koszmary zbyt dają się jej we znaki. O ile większość ludzi może normalnie funkcjonować, śpiąc osiem godzin na dobę, Jane potrzebowała co najmniej dziewięciu. Jeśli spała krócej, przez

resztę dnia była w naprawdę podłym nastroju.

Ktoś dzwonił do drzwi. Pierwsze taktę Zabierz mnie na bal rozległy się w ciszy domu. Po co właściwie kupiła dzwonek, który wygrywał trzynaście różnych melodii, zamiast starego, poczciwego bimbam? Widocznie, kiedy zamawiała go z katalogu, musiała akurat być w jednym z tych swoich wariackich nastrojów. Prychnęła i włożyła stary szlafrok. Kto mógł dzwonić do jej drzwi – spojrzała na zegarek – za piętnaście siódma? Ktokolwiek to jest, niech lepiej przedstawi dobry powód albo narazi się na wybuch porannej wściekłości Jane.

– Chodź, Olive.

Chwyciła w przelocie kwiecistą przepaskę, związała z tyłu kręcone włosy i zbiegła ze schodów tak szybko, jak tylko zdołały ją nieść obolałe nogi. Dzwonek zadzwieczał ponownie.

– Dobrze już, dobrze, idę – zawołała. Czy to nie chłopiec ze snu powiedział jej, że dzwonek zaraz zadzwoni?

Przemknęła przez hol, dopadła drzwi i zaczęła mocować się z oporną zasuwą.

– Ktokolwiek tam jest, musi mieć sporo odwagi, żeby pokazać się tu o tej porze!

Wyszczrzyła zęby i otworzyła drzwi, gotowa zmierzyć się z natrętem.

– Jane. Obudziłem cię? Przepraszam – powiedział Mike, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Mike Sorenson? Na dworze jest jeszcze ciemno. Nie przyszedłeś aby trochę za wcześniej?

– Widzę, że nie jesteś rannym ptaszkiem – powiedział, uśmiechając się kątem ust. Otworzył moskitierę i wszedł do środka.

– Nie, nie jestem – powiedziała stanowczo Jane, spoglądając na przystojnego kolegę. Miał na sobie spodnie khaki i jasnożółte polo. Jedno i drugie wyprasowane. Poznała po kantach na spodniach i zagięciach na rękawach koszuli. Buty wyglądały na

znoszone i wygodne.

– Co tak pachnie? – spytała, pociągając nosem. – Alpejskie coś tam, prawda?

– Gwiazdkowy prezent od mojej matki. Patrz, przyniosłem śniadanie. – Podniósł wyżej białą torbę z cukierni. – Świeże pączki, sok i kawa.

– Myślałam, że mamy zrobić sobie piknik gdzieś tak około dziesiątej?

– Rzeczywiście, ale odkąd stąd wyszedłem, przez cały czas myślałem o tyra, co wydarzyło się koło studni. Nie mogłem dłużej czekać. Mam nadzieję, że się nie gniewasz...

Jane machnęła niecierpliwie ręką.

– Skąd, nie ma problemu. Chodź, zjemy śniadanie. – Ruszając do kuchni dodała:

– Skoro przyniosłeś jedzenie, musisz zapewnić też obsługę. Chyba powinnam ci powiedzieć, że lubię sok w cienkich kieliszkach do wina, kawę pijam tylko w filiżankach z porcelany, a pączków nie ruszam, jeśli nie leżą na pasującym do filiżanki talerzyku. Papierowe serwetki też się przydadzą. Wszystko jest w szafce nad zlewem.

– Lubisz wydawać polecenia, prawda? Jane się skrzywiła. Nie raczyła odpowiedzieć.

– Nie ma jeszcze siódmej, Mike. Obudziłeś mnie z głębokiego snu. Czego się spodziewałeś, pełnego makijażu i wyprasowanej lnianej sukienki?

Z pewnością nie zdobyłaby tytułu Najmilszej Dziewczyny Miesiąca. Poznawał ją od najgorszej strony. Jeśli wytrzyma z nią, dopóki nie napije się kawy i znów nie stanie się człowiekiem, będzie to istny cud.

I wiele powie jej o tym, jakiego rodzaju facetem jest Mike.

– Naprawdę, bardzo przepraszam, Jane. Powinienem był zadzwonić. Nie wiem, czemu uznałem, że lubisz wcześniej wsta-

wać. – Poszedł za Jane do kuchni i podsunął jej krzesło. –

Usiądź sobie, a ja się wszystkim zajmę.

Ależ on sprawnie działa – pomyślała Jane – i to w obcej kuchni.

Po krótkiej chwili usiadł naprzeciw niej.

– Nienawidzę samotnych śniadań, a ty? Jane wzruszyła ramionami, – Nie przywiązuję zbytnej wagi do śniadań. Jadam głównie słodkie bułeczki, a i to w biegu. Czasem jabłko w samochodzie. Tego typu rzeczy. Co chciałbyś dzisiaj robić? To znaczy, jak tylko znowu stanę się człowiekiem – dodała, sącząc kawę.

– Chciałbym dokładniej zbadać teren i wnętrze domu. Czy ci Laroux zostawili wszystko? Ludzie zwykle tak robią, kiedy uważają, że ich rzeczy to śmiecie. Kiedy byłem tu z pośrednikiem, pokazał mi strych. Pamiętam, że było tam mnóstwo wszelkiego rodzaju kłopotów: starych ubrań, zabawek, pudeł...

– I nadal tam są. Nigdy się przez to nie przekopałam, choć mam taki zamiar. Równie dobrze mogę to zrobić dzisiaj. Wezmę parę worków na śmieci. Będziemy mieli czas, żeby porozmawiać o moim pacjencie?

– Jasne. Kiedy tylko zechcesz.

– A jak tam twój facet z bateriami?

Mike uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wczoraj wieczorem zadzwonił i powiedział, że zamawia paczkę tych o największej mocy. A kiedy zapytałem, dlaczego to robi, odparł, że podoba mu się ten kręcony drucik ha czubku, a poza tym człowiek nigdy nie ma w domu dosyć baterii. Nawiasem mówiąc, akcje Duracella skoczyły o dwa punkty. Przyśłał mi wydruk.

– Ten człowiek wcale nie wydaje się nieszczęśliwy – zauważyła Jane, popijając kawę z delikatnej filiżanki.

– Z tego, co wiem, jest ze swego życia całkiem zadowolony. Ma jednak obsesję i chciałby ją przewyciężyć. Cieszyłbym się bardzo, gdyby reszta moich pacjentów była równie szczęśliwa

jak on.

– Wtedy zostałbyś bez pracy.

– No tak, to prawda. Ale wiesz, poza nim nie znam nikogo, kto byłby naprawdę szczęśliwy. Wszyscy, którzy pobrali się tuż po ukończeniu college’u, albo są już rozwiedzeni, albo na najlepszej drodze do rozwodu. Nikt dziś nie próbuje ratować zagrożonego małżeństwa. Kiedy byłem, studentem, postanowiłem, że najpierw zajmę się swoją karierą, a dopiero potem się ożenię. Trzymam się tego. Przynajmniej wiem już dokładnie, jakiej kobiety pragnę. A co z tobą, Jane?

– Ja... co ze mną? – zająknęła się. Ciekawe, o jakiego rodzaju kobiecie mówił. – Ja też wołałam najpierw zająć się karierą. Jutro przebiegnie piętnaście kilometrów, choćby miały jej odpaść łydki.

– A co do mężczyzny, jakiego bym chciała... sama nie wiem. Byłam zbyt zajęta, żeby się nad tym zastanawiać. Prowadzę bardzo przyjemne i ciekawe życie.

Spojrzał na nią domyślnie.

– Tak właśnie mówią ludzie, kiedy są samotni. Ja też tak mówię.

– Jego twarz się wypogodziła. – I co sądzisz o moim śniadaniu?

– zapytał, zmieniając temat.

– Całkiem niezłe, jak na kupne jedzenie.

Mike pochylił się ku niej.

– Wiesz co? Ja tu posprzątam, a ty weź prysznic i ubierz się.

Chcesz, żebym umył te filiżanki ręcznie czy wkładasz je do zmywarki? – Wyprostował się i oparł dłonie na stole. – Naprawdę się we mnie podkochiwałaś?

Jane o mało się nie zakrztusiła kawą.

– Zawsze jesteś taki narwany? To trudne do zniesienia. – W oczach Mike’a zabłysło rozbawienie. Jane odstawiła filiżankę. –

Po pierwsze: tak, musisz umyć je ręcznie. Po drugie: nie mam zmywarki. I po trzecie: żartowałam z tym podkochiwaniem.

Powiedziałam to, by podbudować twoje ego. – Odsunęła krzesło i wstała. Wychodząc z kuchni, powiedziała: – A przy okazji, mam coś dla ciebie. To nowy T. F. Dingie. Leży na stoliku w holu.

– Nie żartuj! Nawet nie wiedziałem, że się ukazał. Dzięki, Jane. Mógłbym cię za to ucałować.

Zatrzymała się na progu i spojrzała przez ramię.

– Więc co cię powstrzymuje? Znieruchomiał z filizanką w pół drogi do ust.

– He?

Jane, która rzuciła tę uwagę, nie zastanawiając się, sądziła, że Mike odpowie jej żartobliwie. Po wyrazie jego twarzy poznała, jak bardzo go zaskoczyła. Wszystko, co teraz mogła zrobić, to brnąć dalej i mieć nadzieję, że się uda.

– Powiedziałeś, że mógłbyś ucałować mnie za to, że zdobyłam dla ciebie tę książkę, a ja zapytałam, co cię powstrzymuje.

– Chcesz, żebym cię pocałował?

– Zapomnij, że to powiedziałam. – Rzuciła mu miażdżące spojrzenie. – Odpowiednia chwila minęła i teraz możesz co najwyżej pocałować mnie w tyłek, ty... doktoruku od wariatów! – burknęła, szybko wybiegając.

Mike wstał i już miał pójść za nią kiedy nagle, nie wiadomo skąd, wyłoniła się Olive i chwyciła go zębami za nogawkę.

– Zawołaj ją, Jane!

– Sama cię puści, gdy tylko się przekona, że nie zamierzasz zrobić mi krzywdy. Na twoim miejscu bym się nie ruszała. Wróć za godzinę albo coś koło tego.

– Za godzinę! Daj spokój, Jane! – zawołał, lecz Jane tylko się roześmiała w odpowiedzi. Usiadł z powrotem na krześle. Olive puściła nogawkę i także usiadła, nie spuszczać wzroku z Mike'a.

– To dobrze, że Jane ma ciebie do obrony. Założę się, że ona

wkurza mnóstwo ludzi. Powiedz mi, czy trudno z nią na co dzień wytrzymać?

Olive przekrzywiła łeb i wydała odgłos, przypominający ni to skomlenie, ni to warczenie. Dla Mike'a zabrzmiało to zdecydowanie potwierdzająco.

– Chyba poczuła się urażona. Bardzo chętnie bym ją pocałował, ale myślałem, że żartuje. Rany, nawet miała cukier na wargach. Pycha – powiedział, oblizując się i patrząc na obserwującą go Olive. – Może spróbuję później. – Olive przekrzywiła łeb w drugą stronę. – Wiesz, co w niej lubię? – mówił dalej Mike. – Jest jedną z tych kryształowo przejrzystych osób. Żadnego udawania i ani cienia pretensjonalności. Ciekawe, czy naprawdę się we mnie podkochiwała. Na litość boską, przestań tak na mnie patrzeć! Nigdzie się nie wybieram!

Kiedy po pół godzinie Jane zeszła wreszcie na dół, Mike siedział tam, gdzie go zostawiła. Obok czuwała Olive.

– W porządku, Olive. Dobry piesek. Uściśnijcie sobie dłonie i pogódźcie się. – Pies posłusznie wyciągnął porośniętą długą sierścią łapę, którą Mike odważnie uściśnął. – Olive, udowodnij doktorowi Sorensonowi, że nie żywisz już wobec niego wrogich uczuć. Tylko tym razem zachowaj się jak dama.

Uśmiechnęła się, kiedy spanielka, wsparta przednimi łapami na kolanach Mike'a, polizała go po policzku. – Ach, jaka grzeczna dziewczynka – zachwyciła się Jane. – Teraz twoja kolej, Mike. Ona czeka, żebyś ją pocałował.

Mike potrząsnął z wolna głową.

– Nie. Powtarzam, nie zamierzam całować psa. Jane wzruszyła ramionami.

– Jak wolisz, lecz jeśli tego nie zrobisz, ona nie pozwoli ci wstać. Spróbuj, jeśli chcesz.

Powiedziawszy to, obróciła się na pięcie, aż zawirował jej war-kocz i ruszyła ku drzwiom.

– Kiedy będziesz się zastanawiał, ja popędzę na strych i zacznę wyjmować rzeczy. – Na potwierdzenie potrząsnęła workiem na śmieci, który wyjęła z szafki w holu.

Mike przewrócił oczami.

– Dobrze już, dobrze. Zrobię to. Nadstaw pysk, Olive. Ominął mokry nos i pocałował spanielkę w czoło.

– To ja ją tego nauczyłam – stwierdziła Jane z dumą, gdy Olive wypadła z kuchni.

Twarcz Mike’a poczerwieniała ze wstydu.

– Nawet nie myśl o tym, żeby powiedzieć któremuś z naszych kolegów, co przed chwilą zrobiłem, Jane Lewis.

– Nie omieszkam wspomnieć o tym podczas tegorocznego zjazdu psychiatrów w Nowym Jorku – zachichotała Jane. – Wiesz, potęga miłości może przejawiać się na wiele sposobów. Zwierzęta, zwłaszcza psy i koty, kochają bezwarunkowo. Nic ci się nie stało, a Olive poczuła się lepiej. Zapomnijmy już o tym, dobrze? – Odwróciła się i ruszyła ku schodom.

– Pod jednym warunkiem – odezwał się Mike z tyłu. Jane, która zdążyła już wejść na stopień, odwróciła się.

– Nie sądzę, żeby twoje położenie pozwalało na stawianie warunków, ale słucham.

– Że powiesz mi prawdę; wtedy, w szkole, podkochiwałaś się we mnie czy nie? – zapytał, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Jane roześmiała, się głośno.

– Być może, przez dzień czy dwa. Choć z drugiej strony, to, było tak dawno, że może chodziło o Hugheya Monroe?

– Przez dzień? czy dwa? – zapytał z niedowierzaniem, podnosząc głos. – Za kogo ty mnie wtedy, u licha, brałaś?

– No cóż, byłeś raczej żaloszny – odparła, rozkoszując się tą małą potyczką nie mniej od niego. – To dlatego moje zadurzenie nie trwało dłużej.

– Żaloszny? W jakim sensie?

– Nadęty. Zarozumiały jak diabli. Przypuszczam, że nie bez powodu. Każda dziewczyna w Masie sprzedałaby się za jeden twój uśmiech.

– Każda poza tobą, prawda?

– Zgadza się – skłamała. Jane, otwierając drzwi, prowadzące na strych. – No, jesteśmy. Na pewno chcesz się w tym grzebać?

– Jak najbardziej.

Zapaliła światło i zaczęła wspinać się po wąskich, stromych stopniach.

– Nie byłam na górze od czasu przeprowadzki. Schody . trzeszczały pod jej . ciężarem..

– Mam nadzieję, że nie ma tu myszy. Nie lubię ich.

Na strychu pachniało kurzem i stęchlizną. Wszędzie walały się stosy książek. W kącie sterczał porzucony manekin. Pod okrągłym witrażowym oknem stały drewniane paki i garbate kufry. Jane spojrzała na worek i roześmiała się głośno. Jedna torba to za mało. Mike znalazł się na górze zaraz po niej.

– O rany! Wspaniale. Nie mogę uwierzyć, że nawet tu nie zajrzałaś. Jane westchnęła.

– Powiedziałaś ci, że byłam zajęta.

Podeszła do okna.

– Nie, wiem, czego szukasz, więc nie mam pojęcia, od czego . zacząć.

– Ja też tego nie wiem – powiedział, bezwiednie zmiierzając w stronę kufrow. – Może znajdziemy jakąś starą Biblię. Niegdyś na pierwszej stronie zapisywano w niej narodziny i zgony. Wspomniałaś, że ta rodzina wymarła, prawda?

– Tak mi powiedziano.

Jane zajęła się przeglądaniem kufra ze starymi ubraniami. Dla ochrony przed kurzem owinięto je starannie starym pledem.

Znalazła dwuczęściowy strój wieczorowy z ciężkiego, czarnego materiału. Stanik sukni ozdobiony był! dżetami. O ile się nie

myliła, suknia musiała pochodzić mniej więcej z 1885 roku. Musiała mieć dużą wartość. Z pewnością nie należało jej wyrzucać. Być może podaruje ją kiedyś muzeum albo jakiemuś towarzystwu historycznemu.

Trzy godziny później Mike krzyknął z radości.

– Znalazłem Biblię. Mogłem się spodziewać, że będzie schowana na dnie ostatniego kufra, jaki otworzę.

Jane uśmiechnęła się. Mike był tak podekscytowany. Kiedy ostatni raz krzyczała z radości? Zapewne w dzieciństwie, a może i to nie. Być może sama powinna wydać kilka okrzyków radości, aby pokazać mu, że nie jest starą nudziarą.

Mike przyniósł Biblię bliżej okna.

– To chyba to, o co nam chodzi, ale atrament tak wyblakł, że ledwie mogę cokolwiek odczytać. Mówiłaś, że chłopiec, który wpadł do studni, miał około piętnastu lat?

– Aha, – To, chyba duże b, pierwsza litera imienia. Nazwisko zaczynałoby się na J. Zapewne piszący maczał pióro, nim zaczął pisać kolejny wyraz i dlatego pierwsze litery są znacznie wyraźniejsze.

Jane odłożyła suknię do kufra, zakryła ją, a potem podeszła do okna.

– Czy: to nazwisko mogłoby brzmieć Biily Jensen? – Poczula, że jeżą jej się włosy na głowie.

– Tak, chyba tak – potwierdził Mike, wpatrując się w stronicę. – Nie, nie chyba. Na pewno. Skąd wiedziałaś? – zapytał, spoglądając na nią.

– Coś mi się śniło... dwa razy. Przynajmniej wtedy uznałam to za sen – odparła, pocierając dłonią policzek. – Za każdym razem w moim śnie pojawiał się chłopiec, może piętnastoletni. Powiedział, że nazywa się Billy Jensen i że jest duchem. – Machnęła niecierpliwie ręką. – To głupie. Pewnie zaraziłeś mnie tymi pomysłami o duchach, kiedy byłeś tu pierwszy raz.

Mike uniósł lewą brew.

– Możliwe. Mówiłaś, że był tam też pies. Jane gapiała się bezmyślnie przed siebie.

– Jeeter – powiedziała gwałtownie. – Ma na imię Jeeter. To kundel. – Spojrzała na Mike’a i spostrzegła, że bardzo uważnie się jej przygląda.

– Skończyłem – powiedział po chwili. – Weźmy tę Biblię na dół. Masz szkło powiększające?

Jane skinęła głową.

– Wiem, że w to nie uwierzysz, ale chyba na coś się natknęliśmy. Mógłbym ucałować cię za to, że pozwoliłaś mi tu przyjść. Czuję się jak za młodych lat w bożonarodzeniowy poranek. A może nawet lepiej.

Jane zignorowała go i ruszyła ku schodom.

– Nie tak szybko, doktor Lewis! – Mike chwycił ją, obrócił i pocałował tak, jak jeszcze nikt dotąd. Głęboko pogrzebane uczucia ożyły, elektryzując ją. Gdy poczuła jego język w swoich ustach nogi się pod nią ugięły.

– O rany – powiedział Mike, odsuwając się, by nabrać oddechu.

– Nie miałem pojęcia.

– O czym? – spytała, oddychając głęboko.

– Że ty będziesz... że ty... – Znow porwał ją w ramiona i przycisnął wargi do jej ust.

Następnym razem to Jane odsunęła się pierwsza – nie dlatego, że chciała, ale ponieważ usłyszała dochodzące z kąta skrobanie.

– Zejdźmy już lepiej na dół – powiedziała, spoglądając przez ramię Mike’a.

– Najpierw odpowiedz na jedno pytanie. Czy słyszałaś dzwony i anielskie chóry?

– Nie. Ale słyszałam to – uniosła dłoń i pokazała kąt, gdzie szara myszka chrupała coś cichutko koło kufra.

Mike obejrzał się, a potem spojrzał znowu na Jane.

- Więc żadnych dzwonów i anielskich chórów?
- Może następnym razem – zachichotała, schodząc po schodkach. – Umyj się w łazience dla gości. Wchodzi się do niej z korytarza. Spotkamy się na dole. Nie napiłbyś się dobrze słodzonej herbaty?
- Z rozkoszą.
- Doskonale.

Jane uśmiechnęła się i pospieszyła do sypialni, by się odświeżyć i dojść do siebie. Ugaszenie ognia, jaki rozpałił w jej ciele Mike, będzie z pewnością wymagało czegoś więcej niż tylko przemycia twarzy zimną wodą. Dotknęła palcami warg, wspominając pocałunek. Nigdy nie przypuszczała, że pocałunek – zwyczajny pocałunek – może rozbudzić taką namiętność. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy opowie o tym Trixie. Oczywiście, gdy już przestanie słyszeć dzwony i anielskie chóry.

Jane właśnie kończyła przygotowywać herbatę, kiedy do kuchni wszedł Mike. Jedno spojrzenie na jego twarz powiedziało jej, że wszystko pomiędzy nimi uległo zmianie. Beztroskie kumplostwo odeszło bezpowrotnie. Mike patrzył na nią, jakby jej nigdy przedtem nie widział. Poczula budzące się gdzieś w głębi ciała gorąco. Wędrowało wyżej i wyżej, aż wreszcie Jane się zaczerwieniła. Do licha, ona przecież nigdy się nie rumieni, nigdy!

- Wolisz, żebyśmy usiedli na ganku od frontu czy z tyłu domu? W garażu mam kilka ogrodowych krzeseł, jeśli ci się chce, możesz je wystawić. Stoją tuż obok drzwi.
- Stopnie wystarczą. Możemy oprzeć się o słupki. Wypijemy herbatę i, jeśli chcesz, porozmawiamy o twoim pacjencie. Albo o tym, co wydarzyło się na górze. Chciałbym dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. O tym, jak dorastałaś. O latach spędzonych w college’u. No wiesz, to co zwykle.
- A ja myślałam, że chcesz przyjrzeć się Biblii. Wyjęła z szuflady szkło powiększające.

– Nie ma pośpiechu. Dopiero dziesiąta, mamy przed sobą cały dzień, prawda?

Cały dzień – pomyślała – mój Boże. Czy będzie więcej kradzionych pocałunków? A może skończymy w łóżku?

– Jeśli opowiem ci o sobie, mimo woli zaczniesz poddawać moja osobowość analizie. Wiem, jak to jest.

– Nawet nie przyszłoby mi to do głowy. – Łyknął herbaty. – Lubię taką herbatę. Na zachodzie nie wiedzą, jak ją przyrządzać. Pewnie w ogóle nie mają pojęcia, co to takiego. Po prostu wrzucają słodzik do mrożonej herbaty i na tym koniec. Ta jest taka, jak trzeba. Moja mama parzy podobną. Słyszysz, jak papłę bez sensu? To przez ten pocałunek. Jeśli nie przestaniesz wpatrywać się we mnie w ten sposób, pocałuję cię znowu i nic, nawet całe stado skrobających głośno myszy, nie zmusi mnie, żebym cię puścił.

– Nie ma czegoś takiego, jak stado myszy – powiedziała, wkładając mu do kieszeni szkło powiększające. – Wyjdźmy na ganek, tam jest chłodniej.

Kiedy ulokowali się wygodnie na najwyższym stopniu, Jane zaczęła mówić:

– Moje dzieciństwo nie było wspaniałe. Prawdę mówiąc, było raczej okropne. Matka pragnęła ślicznej dziewczyneczki, którą mogłaby stroić we wstążki i falbanki i chwalić się nią przed znajomymi. Zamiast tego urodziła mnie. Nic dziwnego, że ukrywała mnie przed wszystkimi, jak tylko mogła. Okazałam się wielkim rozczarowaniem. Pamiętam, że zanim skończyłam dziesięć lat, za wszelką cenę starałam się ją zadowolić, potem po prostu dałam sobie spokój. Chyba nawet tego nie zauważyła. Była dyżurną królową piękności – Miss Luizjany, Miss Święta Ryżu, Święta Żab, Kamelii czy Langusty. Do licha, zostawała miss każdego festynu, jaki tylko odbywał się w okolicy, a wiesz, jak my kochamy nasze festyny. I nigdy nie pozwalała nikomu o

tym zapomnieć. Co do ojca, to był cudowny. Bardzo się starał, ale dziewczynka potrzebuje matki. Byłam gruba, przeciętna, pyskata i nosiłam okulary ze szklami grubymi jak denka od butelek. Mimo to tata mnie kochał. Podobnie jak moi rodzice chrzestni, którzy byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Próbowali jakoś mi pomóc. Ale wiesz, jak to jest. Zawsze pragniemy tego, czego nie możemy mieć. A ja chciałam mieć kochającą matkę. Tymczasem ona potrafiła jednym spojrzeniem sprawić, że czułam się winna. Jakby to była moja wina, że jestem przeciętna, pozbawiona wdzięku i tak dalej. Poczucie winy to okropna rzecz, Mike. Wiem, o czym mówię. Miałam mnóstwo okazji, żeby się o tym przekonać.

– Masz rację – powiedział Mike i wziął ją za rękę. – Ale spójrz tylko, kim się stałaś. Założę się, że gdyby matka mogła cię teraz zobaczyć, wyskoczyłaby ze skóry, żeby tylko się tobą pochwalić.

Jane potrząsnęła głową.

– Nie. Dla niej liczyła się tylko uroda. Po pogrzebie byłam zmuszona przejrzeć i uporządkować jej rzeczy. Znalazłam całe pudła kosmetyków do makijażu i perfum. Miała rzeczy, o których nawet nie wiedziałam, że istnieją. Wywlokłam z szopy starą beczkę, wrzuciłam to wszystko do środka, polałam naftą i podpaliłam. Potem zrobiłam to samo z jej modnymi, kreacjami, wyszukanymi torebkami i drogimi butami. Myślałam, że kiedy skończę, wreszcie pozbędę się tego skręcającego wnętrza poczucia winy. Ale to nie pomogło. Może nawet jeszcze pogorszyło sprawę...

Pamiętam, jak raz spytała mojego ojca, jak to możliwe, żeby królowa piękności urodziła takie brzydkie kaczątko, a on odpowiedział, że w jego rodzinie aż roi się od brzydkich kaczątek, z nim włącznie. Nigdy mu tego nie wybaczyła. Kiedy miałam dziewięć lat, podsłuchałam, jak tata powiedział, że chciałby

mieć jeszcze jedno dziecko. Nie zgodziła się, ponieważ nie chciała ryzykować, że będzie podobne do mnie. Nie wydaje mi się, żeby od tamtej pory rodzice choć raz się kochali. Pewnie dlatego tata miał potem tyle romansów.

Mike ścisnął jej dłoń.

– Rzeczywiście, przeszedł niezłą szkołę. To dlatego poszedł na psychiatrię?

W głowie Jane rozbrzmiał ostrzegawczy dzwonek. Jeżeli nie będzie miała się na baczności, za chwilę zdradzi mu prawdziwy powód, dla którego wybrała właśnie ten zawód. Nie była pewna, czy jest na to gotowa. Ledwie się znali. Z drugiej strony, może to by jej pomogło. Tylko Fred i Trixie wiedzieli, a oni, choć jej współczuli, nie byli w stanie w pełni zrozumieć, dlaczego prześladowało ją poczucie winy.

– Matka na pewno była jednym z powodów, ale nie najważniejszym. A co z tobą? – spytała, zmieniając temat, żeby uniknąć odpowiedzi.

– Nie obudziłem się pewnego dnia przekonany, że będę psychiatrą. Dochodziłem do tego stopniowo. Chyba ten zawód był mi po prostu przeznaczony. Umysł ludzki jest niezgłębiony. Odkryłem, że fascynuje mnie, dlaczego ludzie postępują tak, a nie inaczej i podejmują takie, a nie inne decyzje. Weźmy choćby mojego fanatyka baterii. Wiem, że jest owładnięty obsesją, lecz nie wiem, co ją spowodowało. Pewnego dnia dowiem się tego i wtedy być może będę mógł mu pomóc. Odpowiedź gdzieś tam jest, tylko ja jeszcze na nianie wpadłem. A co ty o tym sądzisz? Jane zastanawiała się przez chwilę.

– Źródła obsesji mogą być bardzo różne. Być może rodzice podarowali mu zabawkę na baterie, lecz zapomnieli je podłączyć. Albo zabawka robiła zbyt wiele hałasu, więc wyrzucili baterie. Nie wiem. Próbowaleś hipnozy?

– Jeszcze nie, ale myślałem o tym.

- Pewnie wtedy wszystko się wyjaśni.
 - Tak, najprawdopodobniej.
 - Mogę cię zapytać, jaka byłaby twoja reakcja w pewnej hipotetycznej sytuacji?
 - Wal – powiedział, wzruszając ramionami.
 - Gdybyś był żonaty lub zaręczony i twoja żona czy narzeczona została zgwałcona, potrafiłbyś jakoś się z tym pogodzić czy odsunąłbyś się od niej?
- Zagryzł dolną wargę i przez chwilę patrzył zamyślony na ulicę.
- Szczerze mówiąc, nie wiem. Chciałbym, powiedzieć, że stanąłbym wtedy przy jej boku i ją wspierał, ale ponieważ coś takiego nigdy mi się nie przytrafiło, nie jestem pewien.
- Jane złożyła dłonie i, dotknęła nimi brody.
- Spróbujmy inaczej. Czy gdyby zgwałcono kobietę, którą kochasz, uznałbyś, że została zbrukana?
 - Nie sądzę. Być może dlatego, że jestem psychiatrą. Wiem, że wiele związków rozpada się, ponieważ mężczyźni nie potrafią sobie poradzić z tym czy z owym. Pamiętam jednego palanta, który uważał, że jego żona świadomie sprowokowała gwałt. A musisz wiedzieć, że nie skończyło się na gwałcie. Została pchnięta nożem. Jak mogłaby świadomie sprowokować coś takiego?
 - Skoro już miałeś do czynienia z podobnym przypadkiem, spróbuj wyjaśnić mi, jak to działa. Jak w takim przypadku wygląda schemat rozumowania? – Nie czuła, że wbija sobie paznokcie w ramię, dopóki Mike nie nakrył jej dłoni swoją.
 - Spokojnie, Jane. Powiedz mi prawdę. Mówisz o pacjencie czy o sobie?
 - Przede wszystkim – i zanim o to zapytasz – muszę ci powiedzieć, że ja nigdy nie zostałam zgwałcona, ale moja przyjaciółka
 - tak.
 - Bliska przyjaciółka?

A kiedy potrząsnęła głową zapytał:

– Zameżna czy może zaręczona?

– To drugie. Bała się powiedzieć o tym narzeczonemu, gdyż była pewna, że chłopak z nią zerwie. Próbowалам przekonać ją, że nie ma racji, ale teraz wiem, że prawdopodobnie się myliłam. Nie sądzę, by wielu mężczyzn potrafiło pogodzić się z tym, że ich kobieta została zgwałcona, – Kiedy to się zdarzyło? I gdzie?
– W kampusie uniwersytetu stanowego, w noc przed końcowymi egzaminami. Facetów było pięciu. Trzech z nich ją zgwałciło.

– Byłaś tam wtedy?

Jane skinęła głową. Wspomnienie tamtej nocy nigdy nie zbladło. Każdy szczegół na trwale wbił się w jej pamięć. Pamiętała wszystko – poza twarzami napastników.

– Tak byłam tam. Próbowалам jej pomóc, ale zatkali mi usta i przytrzymali mnie. Nie zgwałcili mnie, jeśli chcesz wiedzieć. Byłam zbyt brzydka i gruba. Jeden z nich nazwał mnie Miss Piggy. – Umilkła, by zebrać siły. Tyle czasu minęło, odkąd po raz ostatni opowiadała tę historię, a mimo tego mówienie o tym nadal sprawiało jej ból. – W końcu udało mi się krzyknąć i to ich spłoszyło.

– Czy twoja przyjaciółka bardzo ucierpiała? Jane westchnęła ciężko.

– Nie, a przynajmniej nic mi nie powiedziała. Próbowалам nakłonić ją, by poszła na policję, do szpitala czy choćby do centrum kryzysowego, ale nie chciała o tym słyszeć. Nalegała, że bym zabrała ją do akademika. Kiedy już tam dotarliśmy, powiedziała, że czuje się brudna i chce wziąć prysznic. Widziałam, jak była posiniaczona. Sponiewierana od stóp do głów. Mogłam się tylko domyślać, przez co musiała przejść.

– Jestem pewien, że zrobiłaś, co mogłaś. W końcu i tak każdy musi sam podjąć decyzję. Wiesz o tym.

– Nie jestem pewna, Mike – powiedziała, spoglądając na swoje złożone dłonie. – Ona nie była wówczas w stanie myśleć. To ja powinnam była się uprzeć i zapewnić jej pomoc. Zamiast tego pozwoliłam, by zobowiązała mnie do milczenia. Od tamtej pory nie ma dnia, żebym tego nie żałowała. Zabiła się na dwa dni przed wręczeniem dyplomów.

– Chryste. – Mike zamknął oczy i przesunął dłonią po włosach.

– Tak mi przykro, Jane.

– Zawsze się zastanawiałam, czy posłuchała mojej rady i opowiedziała o wszystkim narzeczonemu. Z pewnością nie oplakiwał jej zbyt długo. Ożenił się w rok później. Jego żona to nie lada zdobycz. Mają troje dzieci – tak, jak wymarzyła sobie Connie. Kiedy się dowiedziałam, co zrobiła, początkowo zamierzałam o wszystkim powiedzieć jej rodzicom. Mieli prawo wiedzieć. Nie zrobiłam tego jednak, tak jak nie zaniósłam na policję ubrań Connie, chociaż przysięgam, że to zrobię. Myślałam, że na ubraniach może znajdować się nasienie, co pomoże znaleźć gwałcicieli. Nie ma dnia, żebym nie wyrzucała sobie, iż tego nie zrobiłam. A potem ten bałwan przychodzi do mnie i zaczyna użalać się nad sobą, bo jego żona została zgwałcona. To poczucie winy mnie dobija.

– Bierzesz na siebie zbyt wielki ciężar, Jane. Nie zrobiłaś nic złego. Czy tego nie widzisz?

– Nie, Mike, powinnam wtedy być bardziej stanowcza. Ona była taką piękną dziewczyną, do tego miłą i życzliwą. Moja matka na pewno chciałaby mieć taką córkę. Tej nocy Connie powiedziała mi, że jej matka właśnie wypisuje w domu zaproszenia na ślub. Musisz przestać się obwiniać – powiedział Mike, przyciągając ją do siebie.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Trzeba było pojechać do Sli-dell i zobaczyć się z jej rodzicami. A wiesz, dlaczego nie pojechałam? – spytała Jane, starannie wymawiając każde słowo. –

Nie chciałam, aby ktokolwiek dowiedział się, dlaczego te dranie mnie nie zgwałciły. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Boże, w końcu powiedziałam to głośno. Westchnęła z ulgą. – Może byś już sobie poszedł. Dość wyznań jak na jeden dzień – powiedziała głosem, w którym dźwięczało zdenerwowanie.

– Mam sobie iść? Dokąd?

– Nie masz ochoty stąd uciec? Ja właśnie... dosłownie obnażyłam przed tobą duszę. Wyjawiłam mój straszny brzydki sekret. Musisz być... jak brzmi to słowo? Zniesmaczony?

Mike wpatrywał się w nią, jakby Jane nagle wyrosła druga głowa.

– Nie jestem zniesmaczony i nie mam ochoty stąd iść. Chciałbym pomóc ci uporać się z bólem i poczuciem winy. Uważam, że powinnaś odwiedzić rodziców przyjaciółki. Przekaż im torbę z ubraniami i niech sami zdecydują, co chcą z tym zrobić. Decyzja nie należy do ciebie, Jane. Mogłabyś też porozmawiać z jej byłym narzeczonym. Jeśli chcesz, pojedę z tobą. Myślę, że to by ci doskonale zrobiło.

– A wiesz, to zabawne. On podszedł do mnie podczas imprezy charytatywnej dla absolwentów. Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Znałam go tylko ze słyszenia. Był czołowym napastnikiem w drużynie futbolowej. A tu nagle, bach, podchodzi do mnie i zaczyna rozmowę.

– Jak sądzisz, dlaczego to zrobił?

– Sama chciałabym to wiedzieć. Mike opróżnił szklanę.

– Herbatę wypiliśmy, więc zmienmy temat i porozmawiajmy o tym, co wydarzyło się między nami na strychu.

Wyraz twarzy Mike'a świadczył, że spodziewa się protestu.

Jane musiała przyznać, że czuje się lepiej. Wyznanie prawdy o Connie dobrze jej zrobiło. Przed nią długa droga, ale teraz czuła, że jest nadzieja. Otrząsnęła się w duchu i uśmiechnęła się.

– Dobrze. Najpierw ty.

– Musisz przyznać, że to, czego doświadczyliśmy, to nie był zwykły pocałunek. On był...

– Znaczący – pomogła mu.

– Tak. Efektowne – zgodził się.

Czy zadziałała wyobraźnia, czy słońce naprawdę świeciło jaśniej i grzało mocniej? Przytuliła się do Mike'a i położyła mu głowę na ramieniu.

– Próbujesz złamać mi serce, Mike'u Sorensonie?

– Przenigdy, droga pani.

– Powiniennem już jechać – powiedział Mike dużo później.

Resztę dnia spędzili, włączając się po domu i badając teren wokół niego.

– Czeka mnie długa jazda. Spojrzał na stary zegar w salonie.

– Rzeczywiście. Całe dwadzieścia kilometrów bez świateł na skrzyżowaniach i po niemal pustej szosie. To ci dopiero wy-czyn.

– Aha.

– Próbujesz dać mi do zrozumienia, że chciałbyś zostać na noc? Zegar wybił północ.

– Mógłbym spać na sofie – powiedział z nadzieją.

– Pewnie. Jest wygodna. Mam prześcieradła frotte, miękkie i miłe w dotyku niczym jedwab. Dostałam je od Trixie. A także poduszki i zapasowe koce. – Przytknęła palec do brody, jakby się nad czymś zastanawiała. – Ale ty nie masz ubrania na zmianę, szczoteczki do zębów ani przyborów do golenia – dodała ze złośliwą radością.

– Mogłabyś pożyczyć mi jakiś stary dres i jedną z tych bezpłciowych koszulek z krótkim rękawem? Na pewno masz zapasową szczoteczkę i wiem, że golisz nogi. Mógłbym użyć twojej golarki. To wystarczy.

– A co z bielizną?

– Nie ma problemu – powiedział z wielką pewnością siebie. – Zrobię to, co zwykle robią chłopcy w college’u: przewrócę slipy na drugą stronę. Robiliśmy tak, kiedy nie chciało nam się prac. No i nie byliśmy w tym zbyt dobrzy. Wszystko, co wtedy miałem, było jasnoniebieskie, ponieważ miałem białe rzeczy razem z džinsami.

– Mów szczerze. Nie zamierzasz spać na sofie, prawda?

– Rzeczywiście.

– Prawie się nie znamy, Mike. A co, jeśli jutro okaże się, że to pomyłka?

– W moim słowniku nie istnieje żadne: „a co”. Kiedy tylko zobaczyłem cię w restauracji, w tym śmiesznym, oklapłym kapelusiku, od razu wiedziałem, że chcę się z tobą kochać. A kiedy uśmiechnęłaś się do mnie, poczułem to... to... no, nie wiem, co to było, ale z pewnością coś.

– Wiem, ja też to poczułam. I muszę ci się do czegoś przyznać. Też słyszałam dzwony i anielskie chóry.

Zgasiła światło, wzięła go za rękę i poprowadziła po schodach na górę.

Drżąc ze zdenerwowania, wrzuciła do samochodu teczkę, torbę, tenisówki i kapelusz. Gwizdnęła ponaglająco na Olive, która nadbiegła w podskokach.

– Pospiesz się, malutka. Trixie powiedziała, że potrzebuje nas obu. Chodź, zapnę cię i pędzimy.

Gdy tylko silnik zaskoczyła Jane wcisnęła pedał gazu, skręciła tak ostro, że samochód pochylił się na bok i popędziła szosą. Przez całą drogę nie zwalniała poniżej 120 kilometrów na godzinę.

Co tam się mogło stać? Kiedy Trixie zadzwoniła, wydawało się, że płacze.

– Przyjedź szybko, Janie, malutka. Jesteś mi potrzebna – wykrztusiła przez łzy. Dotąd chyba nawet nie wiedziała, co to łzy. Była najszczęśliwszą, najbardziej zadowoloną z życia osobą, jaką Jane знаła. A przy tym twardą jak skała i – kiedy trzeba – uszczypliwą. Fred. Coś musiało stać się Fredowi. O, Boże, proszę, tylko nie Fred, błagała w myślach. Choć Trixie była taka twarda, bez Freda rozpadłaby się na kawałki.

W pięć minut później nacisnęła ostro na hamulce i podjechała pod frontowe drzwi domu Trixie.

– Pospiesz się, Olive. Dobra dziewczynka. – Olive pomknęła ku drzwiom, a tuż za nią jej pani. W środku, tuż za drzwiami wejściowymi, siedziała na podłodze Trixie, trzymając na kolanach łeb wielkiego psa. Fred pochylał się nad nimi i widać było, że oczy ma wilgotne.

– Boże, co tu się stało? – spytała Jane, spoglądając to na jedno, to na drugie. Ulżyło jej, gdy zobaczyła, że obojgu nic nie jest.

– Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Skąd się tu wziął ten pies? Olive podeszła do belgijskiego owczarka, położyła się tuż przed nim i popatrzyła mu w oczy, jakby chciała się przedsta-

wię. Łzy spływały po policzkach Tracie.

– Nie powinnam była go brać – załkała. – Dopiero co wyszedł weterynarz. Niczego nie stwierdził. Fizycznie wszystko jest z nim w porządku, ale nie chce jeść i przez cały czas tylko leży. – Pochyliła się nad psem i objęła go. – Zrobiliśmy wszystko, co tylko przyszło nam do głowy, by czuł się szczęśliwy, ale on tęskni za swoim panem. Myślę, że ma złamane serce.

Jane podeszła bliżej.

– Skąd go wytrzasnęliście?

Trixie podniosła na nią wzrok. Oczy miała podkrążone.

– Przywiozłam go ze sobą z posterunku. Szkoda, że go wówczas nie widziałas, Janie. Był dziki i silny jak wilk. To prawdziwy pies policyjny, z własną odznaką, numerem, kuloodporną kamizelką i całą resztą. Jego opiekuna przeniesiono i ktoś w departamencie zdecydował, że trzeba psa wysłać na emeryturę, więc zaczęli rozglądać się za chętnymi. Policjantom aż ślina ciekła na jego widok, ale ja po prostu nie mogłam dopuścić, żeby któryś z nich go wziął i zrobił z niego psa myśliwskiego albo stróża.

Uznałam, że jeśli ja go przygarnę, to oboje z Fredem zapewnimy mu dobrą opiekę i będzie szczęśliwy. Ale zobacz tylko, jak on wygląda. Boję się, że jeśli się z tego nie otrząśnie, zdechnie. Pomyślałam, że ty, jako psychiatra, być może wpadniesz na jakiś pomysł.

Olive podczołgała się bliżej i polizała owczarka po pysku. Najwidoczniej zdawała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Obejrzała się na Jane, a wyraz jej oczu mówił jasno: Zrób coś! Jane przyklękła obok Trixie.

– Nie wiem, jak działa umysł psa, z wyjątkiem Ollie, ale ją mam od szczeniaka. Dzwoniłaś do jego opiekuna?

Trixie skinęła głową.

– Powiedział, że pewnie brakuje mu roboty.

– No więc, masz odpowiedź. Musisz z powrotem zaprząć go do

pracy. Pomyśl tylko, Trixie – mówiła dalej, siadając po turecku.

– Jak ty byś się czuła, gdyby nagle odebrano ci komputer, wszystkie twoje pomoce naukowe i powiedziano, że jesteś za stara, żeby pisać? Też byś się załamała, prawda?

Fred usiadł na krześle obok.

– Myślę, że ona ma rację, Trix. Trixie zdawała się zastanawiać.

– Dobrze, załóżmy, że masz rację – powiedziała po chwili. – Jak mam zapewnić mu robotę, Janie? Jesteśmy pisarzami, nie policjantami.

– I jako pisarka masz chyba wyobraźnię, prawda? Posłuż się nią. Do czego on jest przyzwyczajony? Dojazdy policyjnym samochodem z włączoną syreną? Noszenia kamizelki? Jego opiekun prawdopodobnie nosił mundur i broń. Z tego, co słyszeliśmy o policyjnych psach, używa się ich do tropienia złoczyńców, wyszukiwania narkotyków i materiałów wybuchowych. Macie tu sporo miejsca – powiedziała, rozkładając ramiona, aby podkreślić to, co mówi. – Moglibyście kupić jedno z tych migających światełek na dach, klakson wygrywający melodyjki i uganiać się po okolicy za wymagowanym przestępcą. Wypożycz mundur policjantki. Wiem, że macie tu trochę broni, więc przypnij kaburę i do dzieła!

– Naprawdę myślisz, że to pomoże, Janie? – spytała Trixie.

– Oczywiście, Trix, tak właśnie myślę. Mogłabyś nawet pojechać na parking policyjny i kupić stary radiowóz. Założę się, że dopóki nie wyjedziesz nim na drogę, będziesz mogła robić, co tylko zechcesz. Wiesz co? Każę mojej nowej sekretarce odwołać wszystkie wizyty i pojedę z tobą na posterunek. Olive może zostać tu z... jak wabi się ten pies?

– Flash – odparła Trixie. – Kupimy ten radiowóz. On jest zbyt inteligentny, żeby nabrać się na jakieś podróbki.

– Doskonale, ruszajmy. Trixie wstała z podłogi.

– Fred, twoja kolej. Wyjmij rzeczy Flasha, ułóż tak, żeby je wi-

dział i przypnij sobie rewolwer. Kiedy wrócę, bierzemy się do roboty!

Flash uniósł nieco łeb, jakby czuł, że coś się szykuje.

Olive zaszczeła.

Na posterunku Trixie musiała użyć wszystkich swoich umiejętności, aby przekonać dyżurnego sierżanta, że przyszła w interesach. Kiedy w końcu przyrzekła, że opłaci koszty imprezy bożonarodzeniowej i fety z okazji Czwartego Lipca, stała się właścicielką w pełni wyposażonego samochodu policyjnego oraz dwóch torebek marihuany, którą planowała ukryć gdzieś na farmie, by Flash mógł jej szukać. Wszystkie nudne formalności, związane z przejęciem i ubezpieczeniem samochodu, miały być załatwione w najbliższych dniach; Obietnica Trixie, że kiedy już dotrze do domu, nie będzie poruszała się radiowozem po drogach publicznych, zakończyła sprawę i dobito targu. Toby Ellis podarował Trixie swój stary, znoszony mundur, a Chuck Traśk parę wysokich butów.

Trixie i Jane wymaszerowały ramię w ramię z posterunku.

– A jeśli to nie zadziała, Janie?

– Myślę, że zadziała. Naprawdę tak uważam, Trixie.

– Nie minęły nawet dwa tygodnie, a oboje z Fredem zakochaliśmy się w tym psisku – powiedziała Trixie, wsiadając do znajdującego się w opłakanym stanie radiowozu. – Wiesz, najpierw trochę się go bałam. Fred też. Kiedy stoi, wygląda naprawdę imponująco. – Janę już miała wsiąść do swego samochodu, gdy Trixie zawołała:

– Zaczekaj, Janie, mam plan. Pojadę za tobą i zaparkuję tak, żeby Flash mnie nie zauważył, a potem przekradnę się na górę, Ubiore w mundur i pokażę mu się w pełnej gali. Ty mogłabyś pojechać w pole i ukryć jedną z tych torebek. Dragą schowam w sejfie. Jest hermetyczny, więc może Flash jej tam nie wyczuje. Która godzina?

– Druga. Czemu pytasz?

– Flash pracował od trzeciej do jedenastej. Mogłabym przysiąc, że świetnie wie, kiedy jest trzecia. Mamy więc godzinę, by przygotować przedstawienie. Naciśnij na gaz, Janie – powiedziała żywo Trixie, włączając silnik.

Dokładnie o trzeciej Trixie pojawiła się w salonie. Było na co popatrzeć. Brwi Freda powędrowały aż pod same włosy. Jane westchnęła, zaskoczona, a Olive pozwoliła sobie na serię piskliwych, nerwowych szczęknięć.

Trixie, olśniewająca w czarnym policyjnym zbyt na nią obszer- nym mundurze, z pasem, opinającym jej szczupłą talię, poklepała kaburę i zawołała:

– Do nogi, funkcjonariuszu Flash! Pora wziąć się do pracy!

Obróciła się kilka razy, aby Flash mógł przyjrzeć się błyszczą- cym butom i odzianym w mundurowe spodnie nogom. Po chwili pies dzwignął się i zaszczekał.

– Powiedziałam, idziemy!

Jane zachichotała, kiedy osłabiony Flash ruszył niepewnie do drzwi, ślaniając się na drżących łapach.

– Stój! Stój! – krzyknęła Trixie. – Pełne wyposażenie! To ozna- cza kamizelkę. Do mnie!

Fred zasłonił sobie dłonią usta, powstrzymując śmiech. Trixie tymczasem zapinała psu kamizelkę.

– Ktoś powinien to sfotografować – mruknęła Jane półgłosem.

Trixie otworzyła drzwi i Flash pomknął jak strzała prosto do radiowozu.

Olive stanęła na progu i zaskomlała.

Trixie tymczasem wcisnęła do opora pedał gazu i z wyciem sy- reny, migając światłami, ruszyła drogą ku otaczającym dorn polom. Po chwili do uszu Jane i Freda dobiegł odgłos wystrza- łów.

– Do licha, powinienem był z nią pojechać – burknął Fred. – Na

pewno doskonale się bawi.

Jane objęła go w pasie i przytuliła.

– Następnym razem twoja kolej. Fred odwzajemnił uścisk.

– Jesteś piekielnie dobrym psychiatrą. Myślę, że mogłabyś rozszerzyć praktykę na psy.

– Nie sądzę – zachichotała Jane. Z drugiej strony, jeśli będzie musiała radzić sobie z typami w rodzaju Briana Ramseya, być może będzie to jakieś wyjście.

– Znam Trixie już tyle lat – powiedział Fred, zamyślony – i jeszcze nigdy nie widziałem, żeby płakała. A teraz płacze co dzień, od kiedy przywiozła do domu Flasha. Nawet sypia na dole w kuchni. Trzyma na kolanach jego wielki łeb i śpiewa. Gotowała mu steki, kurczaki, wątróbkę – wszystko – żeby tylko skusić go do jedzenia. Byłaby diabelnie dobrą matką, mówię ci. Jane spojrzała ukradkiem na Freda i dostrzegła w jego oczach uczucie. Oddałaby wszystko, aby choć raz zaznać tego rodzaju miłości.

– Jasne, Fred. Nie wiem, co bym bez was zrobiła. Każdy z nas potrzebuje kogoś, kogo mógłby kochać i być przez niego kochanym. – Przez chwilę tulili się do siebie w milczeniu. – Myślę, że Flash dojdzie do siebie. To był tylko niepokój wywołany zmianą trybu życia i rozstaniem z dotychczasowym opiekunem. Chyba nie będę wam już dziś potrzebna, a Olive wygląda tak, jakby zaraz miała z podniecenia dostać ataku, więc lepiej już pojadę.

– Jak tam twój nowy facet? – zapytał Fred, odprowadzając ją do samochodu.

– Wszystko układa się doskonale. Prawdę mówiąc, nie mogłoby być lepiej. Naprawdę go lubię, no i mamy tyle wspólnego: naszą pracę, przyjaciół, stare domy. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Z początku nie bardzo dogadywali się z Olive, ale teraz już wszystko w porządku. Wiesz, jak opiekuńcza potrafi być

Ollie. Parę dni temu spytałam go, czy nie chciałby zostać współgospodarzem mojej audycji. Zgodził się, co oznacza, że będą mogli zwiększyć częstotliwość do dwóch godzin tygodniowo, tak jak od początku chcieli. Nie jesteśmy pewni, czy będziemy prowadzili audycję na zmianę, czy razem, jak ta para, która rozmawia na antenie o sprawach finansowych. Szef ogłosi o tym zdecyduje. Ja wołałabym to pierwsze rozwiązanie. Byłoby ciekawsze dla słuchaczy i bardziej zmuszające do myślenia. Poza tym, mogłabym częściej go widywać. W tym tygodniu przedstawię Mike'a jako występującego gościnnie eksperta. Pozwolę mu odpowiedzieć na kilka pytań, żeby słuchacze się z nim oswoili.

– A co z tym pacjentem, o którym wspominałaś niedawno?

– Znowu odwołał wizytę. Powiedział, że musi wyjechać z miasta. Jutro ma przyjść, więc zobaczymy. Nie martw się o mnie, Fred, dam sobie radę.

– Poza Trixie to ciebie kocham najbardziej na świecie, Janie. I nie chcę, byś zmarnowała choćby minutę, zamartwiając się o kogoś takiego jak on.

– Dam ci znać, jak mi poszło. Ucałuj ode mnie Trixie. – Otworzyła drzwi samochodu i Olive wskoczyła do środka. – A przy okazji, jak tam następna książka?

– Tym razem głównie ja odwałam robotę, ale nie mam nic przeciwko temu. Trixie tak bardzo martwiła się o Flasha, że nie była w stanie myśleć o morderstwach i ranach. I tak wiem, co ona by napisała. Po prostu zabiera mi to trochę więcej czasu. Ale jeśli Trixie jest szczęśliwa, to reszta nie ma znaczenia.

Jane uściśnęła go na do widzenia, a Olive usiadła na siedzeniu kierowcy i podała Fredowi łapę. Fred uściśnął ją i powiedział:

– Opiekuj się nią, Olive.

Trixie przyklęła w zaroślach. Owczarek stał obok niej. Jego

wielkie ciało drżało, a nozdrza rozdymały się z niecierpliwości. Czekał na znak.

– Ruszaj, chłopcze!

Flash pogalopował przez pole, pokonując jednym susem większą odległość niż Trixie pięcioma. Nagle stanął.

Trixie wyjęła broń z kabury i zdyszana przykucnęła na jedno kolano, a potem wypaliła w powietrze.

– No – mruknęła pod nosem – ktoś z pewnością powinien to uwiecznić. Kiedy pies węszył dookoła, pomyślała o kombinezonie ochronnym i treningu, który Flash będzie musiał regularnie odbywać, by nie wyjść z wprawy. Jak ona znajdzie czas na pisanie?

– Chyba właśnie przeszłam na emeryturę – mruknęła znowu. Gwizdnęła ostro i wielki pies natychmiast do niej podbiegł. – Znalazłeś coś? – Pies skierował się do samochodu. – Chyba nie – powiedziała do siebie, idąc za nim. – Spróbujemy gdzie indziej. To gdzieś tam jest, chłopcze.

Flash ulokował się z tyłu radiowozu. Choć dyszał z wysiłku, oczy mu płonęły, a uszy dziarsko sterczały. Widać było, że wreszcie jest w swoim żywiole. Trixie uśmiechnęła się, a potem włączyła światła oraz syrenę i skierowała samochód z powrotem drogą, którą przyjechali. Później, rozmawiając z Fredem, powiedziała, że mogłaby przysiąc, iż Flash aż westchnął z zadowolenia. Nagle przyhamowała ostro i zatoczyła dwa ciasne koła.

– Chyba coś widziałam, Flash! – Zatrzymała samochód i otworzyła pilotem tylne drzwi. Pies natychmiast wyskoczył i pognał przed siebie. Trixie powlokła się za nim, pozostawiając włączone światła i wyjąca przeraźliwie syrenę. Załadowała nowy magazynek i wystrzelała go do ostatniego naboju. Powtarzała to do chwili, kiedy poczuła się tak zmęczona, że już nie była w stanie ciągnąć dalej tej zabawy. – Nie powiodło nam się dzisiaj, ma-lutki. Może jutro będziemy mieli więcej szczęścia. Oczywiście,

o ile jeszcze będę żyła – mruknęła po cichu. – Chodź, chłopcze. Wracajmy do domu. Powiemy Fredowi, że znów jesteś sobą. Swoją drogą, bystra ta moja chrzestna córka, prawda?

Było już dobrze po północy. Trixie wychyliła dwie butelki piwa sapparo i zapaliła papierosa. Flash ulokował się na sofie pomiędzy nią a Fredem. Nigdy dotąd tego nie robił. Fred karmił go preclami, a Trixie mówiła.

– Wiesz, Fred, tak sobie myślałam... Starzejemy się i Bóg jeden wie, że mamy więcej pieniędzy, niż jesteśmy w stanie wydać. Chyba chciałabym odejść na częściową emeryturę. Dzisiaj bawiłam się lepiej niż kiedykolwiek od bardzo dawna, a skoro już tego zasmakowałam, chciałabym dostać więcej. Chcę spędzać więcej czasu z Flashem i cieszyć się nim.

– Chcesz rzucić pisanie, Trixie? Chyba nie mówisz poważnie. To całe twoje życie. I moje też.

Lecz Trixie miała odpowiedź na każde pytanie.

– To dlatego, że nigdy nie mieliśmy czasu, by zająć się czymś innym. Pozwoliliśmy, żeby wydawca zmuszał nas do pisania jednej książki za drugą. Kiedy ukazało się kilka pierwszych bestsellerów i oni zorientowali się, ile mogą na nas zarobić, trzeba było postawić warunki. Mielibyśmy czas, aby żyć. Tak, Fred. My nie żyliśmy naprawdę.

– Więc co proponujesz, kochanie? – zapytał Fred, zdumiony.

– Nie mam zamiaru odmrozić sobie uszu, żeby zrobić komuś na złość, więc może ty nadal byś pisał, a ja tylko redagowałabym tekst? Moglibyśmy porozmawiać z Frasierem i, powiedzieć mu, że ograniczamy się do dwóch książek rocznie, a jeśli mu się to nie podoba, niech pocałuje się tam, gdzie słońce nie dochodzi. Fred patrzył na nią, oniemiały – Ja, no cóż... – zająknął się.

– Wiem, że to trochę zbyt nagle, ale kiedy wzięłam tego psa, stało się ze mną coś dziwnego. Poczulałam się tak jak wtedy, gdy

przygarnęliśmy Janie. Była taka zgorzkniała, tak wrogo nastawiona. Rozpaczliwie pragnęła po prostu położyć się i umrzeć, zupełnie jak przed chwilą Flash. Ocaliliśmy ją, Fred. Ty i ja. Ale ona nas już nie potrzebuje, a ja, do licha, lubię czuć się potrzebną. Nawet jeśli chodzi tylko o psa. Jesteśmy starzy, Fred. Nie wiem, ile jeszcze czasu przyjdzie mi chodzić po tym świecie, ale chciałabym poświęcić go na zrobienie czegoś pożytecznego. Na przykład dla tego psa, Lepiej nie potrafię ci wyjaśnić, co czuję. Mogłabym pracować rankami i nieco podrasowywać tekst, ale to wszystko, czym się mam zająć od tej pory. I co ty na to?

– Myślę, że już najwyższa pora! – zawołał, chwytając ją i obejmując. – Nie mogę się doczekać, kiedy zadzwonię do Frasiera i przekażę mu nowiny. Szkoda, że nie mamy jednego z tych telefonów z ekranem, na którym można zobaczyć rozmówcę. – Odsunął się od Trixie. – Jesteś pewna, że nie chcesz wycofać się całkowicie?

Trixie potrząsnęła głową.

– Nie, a przynajmniej jeszcze nie. Uważam, że powinniśmy to zrobić stopniowo. Przejście od trzech do dwóch księżek rocznie na razie wystarczy.. – Dopła piwo. – Wiem, że nie będę się mogła włóczyć z Flashem po polach dłużej niż rok czy dwa. Mam już siedemdziesiąt ileś tam lat – wymamrotała do pustej butelki. Przytuliła się do olbrzymiego psa. – Szkoda, że go nie widziałeś, Fred. On uwielbia dźwięk syren i błyskające światła. Żyje tym. Zamierzam zadzwonić do sierżanta Ramosa z administracji i wziąć od niego numer telefonu faceta, który trenuje policyjne psy. Zapłacę mu małą fortunę za to, żeby przychodził tu raz w tygodniu trenować Flasha. Dla większego realizmu damy Flashowi Olive do towarzystwa. – Rozmyślała gorączkowo, wpatrując się w przestrzeń przed sobą.

– Jestem z tobą, pączusku. Na sto procent. Bardzo polubiłem to

psisko i cokolwiek czyni je szczęśliwym, uszczęśliwia też mnie. To dobrze, że Janie zna się na swojej robocie, bo cienko byśmy teraz śpiewali.

Oboje przytulili Flasha. Trixie wstała.

– Więc kto dziś myje Flashowi zęby? Ja czy ty?

– Ja to zrobię – zaoferował się Fred. – Idź do łóżka, a my z Flashem posiedzimy tu sobie jeszcze i obejrzymy powtórkę Casablanki.

– Mógłbyś też wyczyścić mu łapy. Coś mi się zdaje, że będzie chciał z nami sypiać. Do zobaczenia rano, Fred. – Pochyliła się, żeby go pocałować, lecz zamiast tego pocałowała mokry nos Flasha.

– Hej, Romeo – oburzył się Fred. – To moja dziewczyna!

Jane wpatrywała się w akwarium. Powoli opuszczało ją napięcie. Mike zaraz tu będzie, pomyślała. Serce podskoczyło jej w piersi. Upiła łyk zielonej herbaty, nie spuszczać wzroku z tarczy małego zegara, stojącego tuż obok jej krzesła. Jak dotąd, Brian Ramsey nie odwołał wizyty, ale była dopiero za piętnaście czwarta. Potrafił zadzwonić na ‘trzy minuty przed czwartą, więc jeszcze mógł to zrobić.

Rozległ się dźwięk brzęczyka interkomu.

– Doktor Sorenson jest tutaj – krzyknęła bardzo nieprofesjonalnym tonem jej nowa sekretarka.

Jane wzdrygnęła się, nacisnęła guzik i powiedziała:

– Wprowadź go, Wynono, i proszę, nie krzycz tak, kiedy zapowiadasz czyjeś przyjście.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł Mike.

– O rany! – powiedział, oglądając się za siebie. – Skórzany kombinezon, nastroszone włosy, zielona szminka i kolczyk w uchu – wyliczył, opadając z uśmiechem na krzesło.

– Wygląd może mylić. To geniusz organizacji i czarodziejka

ksiąg. Dzięki niej prawie wyszłam na prostą. – Pochyliła się do Mike’a. – Choć wolałabym, by ubierała się trochę bardziej klasycznie. Po prostu staram się na nią nie patrzeć – szepnęła. – Zostanie tu tylko do powrotu Lily. Napijesz się kawy czy herbaty? Wynona robi doskonałą kawę.

– Dobrze, poproszę o kawę. I co ci podpowiada przecucie, czy tym razem twój pacjent odwoła spotkanie?

– Uważam, że wręcz przeciwnie. Powiedziałam mu, że jeśli jeszcze raz zadzwoni w ostatniej chwili, obciążę go rachunkiem. To mu się nie spodobało. – Wręczyła Mike’owi kubek. – Szczerze mówiąc, uważam, że to rodzaj gry. On się ze mną bawi. Przeglądałeś moje notatki. Co o tym wszystkim sądzisz? Mike pochylił się nad rozdzielającym ich stolikiem.

– Szczerze?

– Jasne. Co za dziwaczne pytanie – powiedziała, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

– Uważam, że łączysz go ze sprawą gwałtu, dokonanego na twojej przyjaciółce. Musiał powiedzieć coś, co poruszyło czułą strunę w twojej pamięci. Ale mogę się mylić. Kiedy się pojawi, zobaczymy, jak to rozegrać. W najgorszym razie wykopiemy go stąd i zapoznamy z moim specjalistą od baterii, który, nawiasem mówiąc, przekazał właśnie całe tony swych ulubionych zabawek dwóm różnym szkołom. Zapyłaj, dlaczego to zrobił, Jane.

– Dlaczego, Mike?

– Żeby móc kupić więcej baterii, oczywiście. Czy to ci się wydaje logiczne?

– Absolutnie.

– To dobrze, znów nadajemy na tej samej fali. – Spojrzał na akwarium. – Podoba mi się, że wolałaś mieć duże ryby, zamiast całego stadka małych. Ponazywałaś je jakoś, prawda?

– Pewnie. Ta tutaj to Gracie, a tamta długa to Slick. – Jane podskoczyła na dźwięk brzęczyka.

– Przyszedł pan Ramsey – powiedziała Wynona miękkim, seksownym głosem.

Jane przewróciła oczami i wcisnęła guzik.

– Dziękuję, Wynono, wprowadź go, proszę. Aha, i przygotuj doktorowi Sorensonowi filiżankę kawy. Dwie kostki cukru, bez śmietanki. Zapytaj też pana Ramseya, czy miałby ochotę czegoś się napić.

Po chwili drzwi otworzyły się i Jane wstała.

– Cieszę się, że mogłeś przyjść, Brian. Usiądź, proszę, wygodnie. – Kiedy tylko Ramsey usiadł, dokonała prezentacji. – Jak już mówiłam, doktor Sorenson będzie przez jakiś czas towarzyszył mi w trakcie naszych spotkań, jak również w rozgłośni, podczas audycji. Zapoznał się już z dokumentacją i dziś to on poprowadzi sesję. Ja będę się tylko przyglądała i robiła notatki. Mike rozpoczął sesję od zwykłych pytań, które, jak wiedziała, były tylko przygrywką. Jednak w miarę upływu czasu metody Mike’a zaczęły wywierać na niej coraz większe wrażenie. Nie podobał jej się tylko sposób, w jaki Brian na nią spoglądał. Przypomniała sobie, co powiedział Mike. Ciekawe, czy to prawda, pomyślała. Nie mogła się doczekać, kiedy przewidziane na sesję pięćdziesiąt minut dobiegnie wreszcie końca.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę – mówił tymczasem Mike. – Powiedział pan, że sytuacja nie uległa zmianie? To znaczy, nie robił pan żadnych wysiłków czy też żona nadal trzyma pana na dystans?

– Moja żona spakowała się i wyjechała do matki.

– Jej matka mieszka gdzieś w pobliżu?

– W Nowym Orleanie. To niezupełnie w pobliżu. A ponieważ muszę pilnować interesów... Ale dzwoni do mnie.

– A pan do niej?

– Nie.

– Nie? Coś mi tu nie pasuje. Przyszedł pan do doktor Lewis, by

panu pomogła. Rozmowa to pierwszy krok. Wspólne ułożenie planu leczenia – drugi, a praca nad tym, co pan uważa za swój główny problem – trzeci. Zgodnie z tym, co znalazłem w jej notatkach, doktor Lewis zasugerowała, że powinien pan przejść wszystkie trzy etapy. Dlaczego pańska żona wyjechała?

Ramsey poprawił się na krześle.

– Wyjechała, bo nie umiałem zapomnieć o tym, co ją spotkało.

– Zastanawiał się pan, co może być tego powodem?

– Pewnie.

– I co pan wymyślił?

– Nie jestem pewien, czy ona nie zrobiła czegoś, co zachęciło tamtego do gwałtu. Wie pan, kobiety spoglądają prowokująco, wykonują różne gesty, drocą się z mężczyznami. Wysyłają wszelkie możliwe sygnały, a kiedy tylko wykonasz ruch, natychmiast cię powstrzymują. Mimo że jest pan psychiatrą, jest pan także mężczyzną, więc wie pan, jak to działa.

Jane zapisała wszystko słowo po słowie, zastanawiając się, dlaczego Ramsey nie udzielił jej takiej odpowiedzi. Zadawała praktycznie te same pytania.

– Zachęcające spojrzenia to nie zaproszenie do gwałtu. Żadna kobieta nie pragnie zostać zgwałcona, wzięta przemocą. – Mina Ramseya wyrażała głębokie powątpiewanie. – Co by pan zrobił, gdyby ktoś pana zgwałcił? Proszę mi wierzyć, mężczyźni także bywają gwałceni i to wcale nierzadko.

Ramsey wpatrywał się w Mike'a szeroko otwartymi oczami.

– To by dopiero był dzień, gdyby jakiemuś facetowi udało się mnie zgwałcić. To po prostu niemożliwe, doktorku. Nigdy! – wybuchnął. – Gdyby jakiś facet choć spojrzął na mnie nie tak, jak trzeba, dałbym mu popalić.

– Ile pan waży? Jakieś osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć kilo? A pańska żona?

– Do licha, nie wiem. Może sześćdziesiąt parę. Nie jest gruba,

ale i nie smukła jak trzcinka.

– Jak rozumiałem, uważa pan, że pańska żona powinna była walczyć z napastnikiem? – Ramsey skinął głową, a Mike kontynuował: – Najprawdopodobniej przewyższał ją wagą o dobre dwadzieścia czy dwadzieścia parę kilo. Jeżeli nie brała lekcji samoobrony, jakie, pańskim zdaniem, miałyby szanse? A co by było, gdyby walcząc, jeszcze bardziej go rozwścieczyła? Mógł ją nie tylko zgwałcić, ale i zabić. – Milczał przez dłuższą chwilę, a potem dodał: – Czy pan przypadkiem nie wolałby, żeby w ogóle panu o tym nie powiedziała?

Ramsey spojrział na akwarium, a potem na filiżankę w swojej dłoni. Podniósł gwałtownie głowę i spojrział na Mike'a.

– Nie. Tak. Boże święty, nie wiem. Wiem tylko, że bardzo chciałbym, żeby to się w ogóle nie wydarzyło.

Mike zamachał gwałtownie dłońmi.

– Więc po co pan tu przyszedł? Powinniście najpierw odbyć parę sesji razem, a potem jeszcze kilka osobno. Z tego, co widzę, marnuje pan zarówno swój, jak i nasz czas, nie mówiąc już o pieniądzach z ubezpieczenia. I co pan na to, panie Ramsey? Ramsey odstawił filiżankę.

– Żona nie doniosła policji o gwałcie. Chciała, ale ją powstrzymałem. Mieszkamy w małym miasteczku. Prowadzę tam interes. Ludzie o niczym innym by nie mówili. I jakby to wyglądało? Wie pan, jak ludzie plotkują. Zrujnowałoby mnie to finansowo.

– Rozumiem. W grę wchodzi kwestie finansowe. Skoro wszystko wskazuje na to, że nie zdoła pan się z tym uporać, czy brał pan pod uwagę możliwość rozwodu?

– Myślę, że oboje chcemy uwolnić się od tego małżeństwa – odparł Ramsey, spoglądając na Jane.

– Mielicie jakieś problemy, nim żona została zgwałcona?

– Niewielkie. Nic poważnego.

– Chcielibyśmy, by na następnej sesji pojawił się pan z żoną. W ten sposób moglibyśmy oczyścić przedpole. Jeśli to panu nie odpowiada, będę zmuszony zasugerować doktor Lewis, by zrezygnowała z pana jako pacjenta i pozwoliła panu poszukać pomocy gdzie indziej.

– Wie pan co? To chyba dobry pomysł – powiedział Ramsey, wstając. Kiedy sięgał po marynarkę, Jane spostrzegła, jakie ma duże i silne dłonie. Ręce piłkarza. Ale zastanawiała się skąd jej to przyszło do głowy. Wzdrygnęła się. Otworzyła okno i stanęła w strudze wpadającego do pokoju ciepła.

– Kiedy zobaczysz się z Toddem Prentice’em, pozdrów go ode mnie, Brian – wypaliła niespodziewanie.

Ramsey zatrzymał się wpół kroku i odwrócił. ‘ Jego twarz przybrała chytry wyraz.

– Nie omieszka – powiedział, przeszywając ją zimnym spojrzeniem.

Janes zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

Obyło się bez pożegnań i uścisków dłoni. W jednej chwili Ramsey był z nimi i już go nie było.

Jane gapiała się przez okno. Odpowiedź Ramseya i wyraz jego twarzy nie dawały jej spokoju. A więc znał Todda Prentice’a. Gdy wymieniła jego nazwisko, tak naprawdę nie spodziewała się, że odkryje jakieś powiązanie. Co to mogło znaczyć?

Mike podniósł ramiona.

– W tym facecie jest coś takiego... Teraz już wiem, co miałaś na myśli, kiedy mówiłaś, że ciarki chodzą ci po plecach. – Wstał i podszedł do niej. – Kim jest Todd Prentice?

Jane objęła się ramionami. Miała, wrażenie, że całe jej ciało drży.

– To ten piłkarz, za którego miała wyjść Connie. Mówiłam ci o nim, Mieszka w Crowley. – Już miała powiedzieć mu o swoich podejrzeniach, dotyczących ewentualnego powiązania pomiędzy

oboma mężczyznami, lecz się rozmyśliła.

Mike skinął głową.

– Rzeczywiście, Chyba nawet wspomniałaś, jak się nazywa. – Objął ją od tyłu i mocno przytulił. – Ramseya mamy z głowy, więc nie musisz się już nim przejmować. I tylko mi nie mów, że się nie przejmowałaś. Jesteś sztywna jak kij. Skoro to był twój ostatni pacjent na dzisiaj, może napilibyśmy się czegoś i trochę odprężyli?

– To dobry plan powiedziała Jane, odwracając się. – Możesz mnie zabrać na obiad. Na deser zapraszam do siebie. Jesteś gotów trochę pofiglować?

– Tylko jeśli założysz czarne podwiązki i ten śmieszny kapeluszik – szepnął jej do ucha Mike.

Jane, z twarzą czerwoną jak burak, wyciągnęła rękę ponad jego ramieniem i zgasiła światło.

– Pozamykaj wszystko, Wynono i nie zapomnij podlać roślin, nakarmić ryb i umyć dzbanka. Do zobaczenia jutro. Miłego popołudnia.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Mike zaczął ją przyciskać.

– I jak? – zapytał.

– Co jak?

– Zgadzasz się czy nie?

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– W porządku, jeśli zgodzisz się stanąć goły jak cię pan Bóg stworzył pośrodku łóżka, śpiewając Jingle Bells i potrząsając tym i owym. Dlaczego tylko ty masz mieć frajdę?

Mike’owi opadła szczęka.

– Powiedz mi, że nie miałaś na myśli tego, co właśnie powiedziałaś. Powiedz, że żartowałaś.

– Ja nigdy nie żartuję, doktorze Sorenson. Więc, jak będzie?

– Muszę się zastanowić – odparł Mike, prowadząc Jane do swojej corvetty o niskim zawieszaniu.

- Nie, musi pan zdecydować teraz, doktorze. Kapelusz jest w moim samochodzie, a my w twoim.
Mike uderzył głową o kierownicę.
- Przynieś ten przeklęty kapelusz.
- Och, super! – powiedziała Jane, z trudem opanowując rozbawienie. Kiedy tylko wysiadła, parsknęła głośnym śmiechem. Mike ponownie uderzył głową w kierownicę. Chciałby wiedzieć, co takiego było w tym kapeluszu, że na jego widok natychmiast twardniało mu to i owo.
- Piękna z ciebie kobieta, Jane Lewis – powiedział Mike cicho, prawie z czcią.
- Jane się zarumieniła, zmieszana. Nikt dotąd nie nazwał jej piękną. Nie bardzo wiedziała, jak na ten komplement zareagować. Uśmiechnęła się. Być może, kiedy jest się zakochanym, inaczej postrzega się obiekt swoich uczuć. Nie wątpiła, że kocha Mike’a Sorensona. Dziwiło ją tylko, że zakochała się w nim tak szybko. Od kiedy spotkali się w restauracji, minęły zaledwie dwa tygodnie!
- Pragnę cię bardziej, niż jakąkolwiek kobietę przedtem – powiedział Mike, odsłaniając się przed nią całkowicie. – Chyba cię kocham, Jane Lewis – szepnął ochryple.
- Ja chyba też cię kocham, Mike’u Sorensonie. Mike napotkał jej zdecydowane spojrzenie.
- Jak to się mogło stać? Dopiero co się poznaliśmy, a czuję się tak, jakbym znał cię całe moje życie. Jezu, tak mnie rąbnęło, że nie mogę się doczekać, by po pracy jak najszybciej być u ciebie. Jane poczuła, że się rumieni. Dotąd żaden mężczyzna nie powiedział jej, że ją kocha. Zaczęła już nawet wątpić, czy to w ogóle możliwe.
- Nie wiem, jak to się stało. Po prostu stało się, i już. A jeśli chcesz wiedzieć, ja też nie mogę się doczekać, kiedy do mnie przyjdiesz. Jeśli to chwilowe, trudno, niech będzie i tak. Jeśli

miałoby trwać dłużej, tym bardziej się zgadzam. Chcę być z tobą, Mike.

Mike przyglądał się jej. Jane to osoba jedyna w swoim rodzaju. Kobieta bezpretensjonalna. Rzadki okaz, pomyślał. Nie próbowała nim manipulować ani go zwodzić. Wszelkie przebiegłe sztuczki, za pomocą których inne kobiety starały się omamić mężczyzn, stanowczo nie były domeną Jane. Jest uczciwa do szpiku kości i szczerza, nawet zuchwała. A on naprawdę ją kocha. Czuł to w głębi serca.

– Tak sobie myślałam – zaczęła Jane trochę niepewnie – jakby to było, gdybym obudziła się rano obok ciebie i nie musiała nigdzie się spieszyć.

Wstrzymała oddech, spodziewając się, że Mike spojrzy na nią, niemile zaskoczony, lecz kiedy nic takiego nie nastąpiło, mówiła dalej ze wzrastającą pewnością siebie:

– Zastanawiałam się też, jakby to było mieć z tobą dziecko. Jakim byłbyś ojcem, stanowczym czy łagodnym i wyrozumiałym? Czy zmieniałbyś pieluchy i szykował butelki? Kołysał dziecko do snu i wstawał do niego w środku nocy? Przytulał mnie i mówił, że dziecko jest równie piękne jak jego mama?

– Strasznie dużo było tego rozmyślania... Uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

– Aha.

– No cóż, ja też trochę myślałem – powiedział, przyciągając ją bliżej. – Na przykład o tym, że jesteś uosobieniem kobiety, jakiej szukałem przez całe życie. Jesteś szczerza, uczciwa i zrównoważona. Poza tym podoba mi się sposób, w jaki traktujesz swojego psa i swoich rodziców chrzestnych. Lubię, kiedy Kochamy się tak powoli, leniwie. Uwielbiam to, że się nie powstrzymujesz. I że wyznałaś mi swój sekret. Chciałbym też mieć sekrety, by móc się nimi z tobą podzielić.

Oczy Jane przesłoniły łzy.

– Nie mógłbyś powiedzieć nic miłszego. Myślę, że zapamiętam to na zawsze. Dziękuję ci.

Mike zatopił spojrzenie w jej oczach. Widząc, że usta Jane rozchyliły się w oczekiwaniu, dotknął ich wargami, smakując słodycz pocałunku. Po chwili żar ogarnął całe jego ciało, a puls gwałtownie przyspieszył. Niemal słyszał, jak serce tłucze mu się w piersi.

Czas przestał istnieć. Każdą cząstką swojej istoty Jane pragnęła na zawsze pozostać w uścisku ramion Mike'a. Gęste, jasne rzęsy przesłoniły jej oczy, kiedy, wydawszy kilka urywanych westchnień, śmiało przycisnęła usta do jego warg, oddając mu siebie, całując go namiętnie i starając się, aby ta chwila na zawsze pozostała w jej pamięci.

Czuła, że teraz Mike naprawdę należy do niej, bez względu na to, jak długo będzie trwał ich związek. Znalazła wreszcie mężczyznę, który potrafi sprawić, że czuje się w pełni kobietą.

Palce Mike'a delikatnie tańczyły w jej włosach. Dokładnie wiedział, co czuje Jane. Nie chodziło tylko o potrzeby ciała. Tęsknota duszy także domagała się zaspokojenia.

– Kocham cię – wyszeptał.

Jane odnajdywała go ustami, brała w posiadanie dłońmi, a jej namiętność rosła w miarę, jak uświadamiała sobie, ile potrafi dać mu przyjemności. Jego męskość, twarda i delikatna zarazem, drżała pod dotykiem jej dłoni, niecierpliwie oczekując spełnienia. Jego ręce ani na moment nie opuszczały jej ciała, szukając, badając, dotykając. Pragnęła po prostu leżeć na plecach, oddając się mu, lecz jednocześnie miała ochotę go posiąść, wbić go sobie w pamięć i poznać tak, jak nie poznała dotąd żadnego mężczyzny. Jego ciało, zamiast być dla niej czymś obcym, wydawało się równie znajome, jak jej własne, drżące teraz z rozkoszy.

Namiętność, jaką w niej wzbudzał, przerażała Jane.

- Teraz, Mike, proszę, teraz – westchnęła, czując, że umrze, jeśli dręcząca przyjemność potrwa choć chwilę dłużej. Leżeli potem obok siebie, spleceni nogami, Jane położyła głowę na piersi Mike’a, on zaś gładził w milczeniu jej ramię i piersi, rozkoszując się ich krągłością. Wargami pieścił delikatnie jej brwi.
- Jesteś wspaniałą kochanką – powiedział głosem nadał ochrypłym z namiętności.
- Jane westchnęła, szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd. Kto mógłby chcieć więcej? Ona mogła! Diabełek na jej ramieniu podszeptnął jej, by powiedziała:
- Wstawaj, wielkoludzie. Obiecałeś, że będziesz śpiewał i tańczył na łóżku. Chcę zobaczyć, jak, no... potrząsasz i dzwonisz. Mike zacisnął powieki i zrobił minę, jakby ktoś właśnie ugodził go nożem w brzuch.
- Jane, miej serce. Nie jestem w stanie niczym potrząsać.
- A gdybym włożyła mój, jak go nazywasz, kapelusik i podwiązki, czy to by pomogło? – Jane zsunęła się z łóżka i sięgnęła po kapelusz.
- Ach – powiedziała, wciskając go sobie na gęste loki. Wyciągnęła przed siebie nogę i założyła podwiązkę.
- Mike wsparł się na łokciu.
- Chcę, żebyś spaliła ten kapelusz, Jane. Przysięgnij, że jutro go spalisz.
- W porządku, a teraz tańcz! Ale z życiem!

Jane przekręciła się na bok i uniosła lekko powieki. Zerknęła na zegar, a potem na pustą połowę łóżka. Przynęła bliżej poduszkę Mike'a i powąchała ją. Musi go wreszcie spytać, jakiej wody po goleniu używa. Zapach był równie seksowny, jak sam Mike. Uśmiechała się jeszcze, gdy nagle zadzwonił telefon. Przekonana, że to dzwoni Mike, aby powiedzieć jej dzień dobry, zanuciła radośnie:

– Halo?

– Doktor Lewis?

Uśmiech prysnął z twarzy Jane jak zdmuchnięty.

– Przy telefonie – odpowiedziała. Nie miała pojęcia, z kim rozmawia.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Jestem Emily Quinn, sekretarka doktor Sharon Thomas. Doktor Thomas jest w szpitalu. Nastąpiła perforacja wyrostka i wczoraj przeprowadzono operację. Czuje się dobrze, ale martwi się o swoich pacjentów. Prosiła, bym zadzwoniła i zapytała, czy nie zechciałaby pani zastąpić jej przez kilka tygodni w przychodni, gdzie przyjmuje darmowych pacjentów. Wszyscy, poza jedną osobą, to rutynowe przypadki. Gdyby się pani zgodziła, mogłabym podrzucić pani do biura dokumentację, po drodze do pracy. Doktor Thomas przyjmuje między szesnastą a osiemną.

Jane nie wahała się.

– To będzie wymagało pewnych przetasowań, ale tak, da się zrobić.

– Dziękuję, doktor Thomas będzie bardzo wdzięczna.

– Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? – spytała Jane.

– Nie, ale powiem jej, że pani pytała. Aha, gdyby miała pani ochotę posłać jej kwiaty, jest w sali numer 206 i ma słabość do stokrotek. Wpadnę około ósmej. Jeszcze raz dziękuję, doktor

Lewis.

Jane odłożyła słuchawkę i spuściła nogi z łóżka. Zerknęła na buty do biegania i dres. Mogłaby przebiec ze dwie mile i mimo to zdążyć do biura na ósmą.

– Do diabła z tym – powiedziała, ruszając pod prysznic. Poleci Wynonie, by zamówiła dla niej automatyczny deptak. Mogliby korzystać z niego na zmianę. Spadanie z niego i kochanie się na podłodze także byłoby miłe. Nawet bardzo miłe. Uśmiechając się, weszła pod strumień wody. Myślała o tym jeszcze, gdy parkowała hondę przed domem Trixie.

– No, Ollie, Trixie urządza dziś dzień dobroci dla psów, więc czeka cię wspaniała zabawa z Flashem. Wpadnę po ciebie, kiedy będę wracała do domu. Uważaj z tym olbrzymem, dobrze? – Nacisnęła klakson i zaczekała, aż otworzą się drzwi domu. Flash wypadł na podjazd i podbiegł do Olive, by się przywitać. Jane przyglądała się, jak ta niedobrana para obwąchuje sobie ogony. Oto prawdziwa miłość – zachichotała w myśli. – Może my, ludzie, moglibyśmy nauczyć się paru rzeczy od psów. Zapytam Mike’a, co o tym sądzi.

Jane dotarła do biura w tym samym czasie, co Wynona. Zaparkowały obok siebie i poszły razem. Po drodze Jane objaśniała dziewczynie, jakie zmiany trzeba będzie wprowadzić w planie jej zajęć.

– Wkrótce pojawi się panna Quinn. Zrób, co się da, z moim planem, a jeśli uda ci się odwołać kilka spotkań, tym lepiej. Zadzwoń do doktora Sorensona i przypomnij mu, że ma być w rozgłosni piętnaście minut wcześniej. Potem zadzwoń do przychodni i poinformuj ich, że przejmuję pacjentów doktor Thomas. Jestem pewna, że już wiedzą, ale zrób to i tak. A kiedy tylko panna Quinn położy ci na biurku dokumentację pacjentów Sharon, natychmiast mi ją przynieś. I proszę o kawę, jak tylko znajdziesz chwilę czasu, żeby ją zaparzyć. Aha, zanim zapomnę:

zadzwoń do kwiaciarni Sadie i każ im wysłać kosz stokrotek do szpitala, pokój 206. A właściwie, niech wysła dwa kosze. Jestem pewna, że doktor Sorenson też chciałby wysłać jeden od siebie. Upewnij się tylko, że nie będą wyglądały tak samo.

Niech zapiszą to na mój rachunek.

– Tak, psze pani. Już biorę się do roboty. Chce pani pączki do kawy?

– Moje kubki smakowe mówią tak, ale moje biodra – nie. Żadnych pączków, ani żadnych innych ciastek. Czy ten kolczyk wpięty w brew nie sprawia ci bólu?

Wynona podniosła rękę, żeby dotknąć kolczyka.

– Nie – powiedziała, przesuwając złote kółko w górę i w dół. – Mam też jeden w pępku. Żaden nie boli.

Jane skrzywiła się. Przypomniała sobie, jak histeryzowała, kiedy zachciało jej się przekłuć uszy. Nalegała, by Trixie z nią poszła, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– Powiedz mi, Wynono, po co ci to? Dlaczego tak się okaleczasz?

– Dla mnie to nie jest okaleczenie, ale przejaw wolności ducha. Mojemu chłopakowi się podoba. Sam ma ich sześć. – Wynona wyjęła z torebki klucze. – Czy pani nigdy nie zrobiła niczego pod wpływem impulsu? Kiedy się zestarzeję i będę siedziała w fotelu na biegunach, otoczona wnukami, chciałabym móc im powiedzieć, że doświadczyłam mnóstwa wspaniałych, szalonych rzeczy. – Otworzyła drzwi i weszła za Jane do środka.

– Rozumiem – powiedziała Jane, potrząsając głową, jakby chciała pozbyć się niewidocznej pajęczyny. Pomyślała o Lily Owens, schludnej i atrakcyjnej, wyglądającej jak każda normalna dziewczyna z sąsiedztwa. – Wracaj szybko, Lily – powiedziała do siebie cichutko, wchodząc do gabinetu.

Wynona włączyła górne światła.

– Nie, nie rozumie pani, ale to nie szkodzi. Przyniosę kawę, jak

tylko będzie gotowa.

Jane skinęła głową, zamykając za sobą drzwi. Wynona była zdecydowanie łatwiejsza do zniesienia, kiedy już miało się za sobą filiżankę kawy. W dwadzieścia minut później na biurku Jane zabręczał interkom.

– Przyszła panna Quinn.

– Dziękuję, Wynono, przyślij ją do mnie. Panna Quinn wyglądała równie normalnie jak Lily. Jane obeszła biurko, aby przywitać się z sekretarką, ubraną w spokojny kostium o barwie głębiej szarości.

– Kiedy poinformowałam doktor Thomas, że zgodziła się pani zaopiekować jej pacjentami w przychodni, bardzo jej ulżyło. Powiedziała, że wie, iż oddaje ich w dobre ręce. – Panna Quinn uśmiechnęła się i położyła na biurku Jane stos teczek. – Jak już mówiłam, większość jej pacjentów to rutynowe przypadki. Tylko pani Vance wymaga szczególnej uwagi. Jej stan psychiczny jest bardzo niestabilny, więc będzie pani musiała pozostawać osiągalna telefonicznie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chciałaby mnie pani jeszcze o coś zapytać?

– Nie, przeczytam dokumentację i jeśli będę miała pytania, zadzwonię do pani. Gdyby widziała się pani z doktor Thomas, proszę ją pozdrowić i życzyć szybkiego powrotu do zdrowia.

– Oczywiście. – Panna Quinn ruszyła do drzwi. – A skoro już rozmawiamy. ... Bardzo podoba mi się pani audycja – rzuciła przez ramię. – Słucham jej, jeśli tylko mogę. Moja mama uważa, że jest pani najlepsza. Chyba nawet dzwoniła do pani raz czy dwa w sprawie mojego braciszka – dodała, przewracając oczami.

– To bardzo miłe – odparła Jane, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Dziękuję, że mi pani powiedziała.

Weszła Wynona z kawą. W porównaniu z panną Quinn... nie,

ich nie dawało się porównać. Wynona była dziś ubrana w ciemnozielony kombinezon z olbrzymim złotym emblematem na piersi. Jane pomyślała, że dziewczyna wygląda jak wielki strąk fasoli, który zaczyna żółknąć, bo zbyt obficie go podlewano.

– Żałuję, że nie mam dość odwagi, żeby się tak ubierać – powiedziała panna Quinn, gdy za Wynona zamknęły się drzwi. Jane spojrzała na młodą kobietę z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

– Trzeba iść z postępem, doktor Lewis. W końcu, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Tylko że doktor Thomas nie zatrudniła by nikogo, kto by tak wyglądał. Liczy się wizerunek. Stale to powtarza.

– I ma rację – skinęła głową Jane, jakby potakując nieobecnej koleżance. – Wynona pracuje tu tylko czasowo, dopóki moja stała sekretarka nie wróci z urlopu macierzyńskiego. Uważam, że w całym tym gadaniu o swobodzie ducha nie ma nic złego, tyle że gabinet lekarski to nie miejsce, by demonstrować jego przejawy. Chociaż przyznaję, czasami ja też żałuję, że nie mam odwagi sobie odpuścić i ubrać się oraz uczesać tak, jak lubię. Ale nigdy dotąd nie złamałam zasad. Dorastałam w przekonaniu, że moje pełne imię to Zwyczajna Jane.

– To i tak lepsze w porównaniu z tym, jak nazywano mnie. Sztynniaczka Emily.

Młoda kobieta pomachała Jane na do widzenia i wyszła.

– Za wszystkie Sztynniaczki Emily i Zwyczajne Jane tego świata – powiedziała Jane, unosząc filiżankę.

Po chwili była już tak zaczytana w dokumentacji, dotyczącej Berty Vance, że nie zauważyłaby nawet, gdyby za oknem wybuchła bomba. Kiedy skończyła czytać długi raport, zamknęła teczkę i odchyliła się na oparcie krzesła. Betty Vance była tak załamana psychicznie, że w każdej chwili mogła popełnić sa-

mobójstwo, Poza tym przyjmowała ogromne ilości valium. Jane zamknęła oczy i zaczęła poważnie zastanawiać się nad tym przypadkiem. Czy powinna obrać kierunek wytyczony przez Sharon, czy też spróbować czegoś nowego? Nie była zwolenniczką podawania valium czy jakichkolwiek innych leków, o ile nie było to absolutnie konieczne. Praca z pacjentem otumanionym lekami nie miała, jej zdaniem, sensu. Może nie powinna zajmować się Betty Vance. Nigdy nie rozpuszczała swoich pacjentów, chyba że chodziło o dzieci. W większości przypadków sześciomiesięczna kuracja powinna była przynieść efekty. Jednak trafiają się wyjątki. Być może Betty potrzebowała częstszych spotkań – nie raz w tygodniu, ale dwa lub trzy razy. Lecz skoro była pacjentką z przychodni, która nie płaciła za leczenie, nie było to możliwe.

Do licha, pomyślała. Sprawa Betty Vance będzie zaprzętała jej myśli przez cały dzień, co oznacza, że musi się bardzo postarać, by sprawnie poprowadzić audycję. A skoro Mike też będzie obecny, musi wykazać się szczególną bystrością i ciętym dowcipem. Westchnęła i sięgnęła po filiżankę.

– Wynono, jeszcze kawy!

Kiedy Mike wszedł do małego, zatłoczonego studia, twarz Jane rozbłysła uśmiechem niczym stuwatowa żarówka.

Mike rozejrzał się wokół. Minę miał cokolwiek zmieszaną.

– Spodziewałeś się czegoś innego? – spytała. Boże, on wygląda tak, że mogłabym go zjeść.

– Sam nie wiem. Może czegoś większego, bardziej imponującego. Moja ubikacja jest większa niż to studio. Nie przeszkadza ci ta ciasnota?

– Tylko jeśli nic ciekawego się nie dzieje. Zazwyczaj po prostu nie mam czasu, żeby zastanawiać się nad otoczeniem. Jestem zbyt zajęta słuchaniem i rozmową. To tylko godzina. Myślisz,

że odświeżacz powietrza coś by tu zmienił?

– Żartujesz? Odświeżacze tylko maskują przykre zapachy. Nie moglibyśmy oddychać.

Jane udała obrażoną.

– Nie jesteś pod wrażeniem? Mike wzruszył ramionami.

– Lepiej nie daj tego po sobie poznać. Tom sądzi, że to – zatoczyła szeroki łuk ramieniem – istny raj. Ma nawet na biurku plakietkę z napisem SHANGRILA. Przy okazji, posłałam w twoim imieniu kwiaty Sharon Thomas. Jest w szpitalu. Perforacja wyrostka. Przejęłam jej godziny w przychodni, co oznacza, że będę dziś pracowała do późna.

– I tak nie mógłbym się z tobą zobaczyć – powiedział Mike z żalem. – Mam spotkanie w klubie rotariańskim, a potem idę na kolację ze starym kumplem ze szkoły. Nie widziałem się z nim od lat. Na śmierć o tym zapomniałem, dopiero sekretarka przypomniała mi dziś rano. Mógłbym postawić ci hot doga po audycji, jeśli masz czas.

– Z rozkoszą zjem hot doga u Roya. Oczywiście, z wszystkimi dodatkami.

Jane uśmiechnęła się, zajmując miejsce.

– Będziemy dziś mówić o uczuciach – powiedziała, przechodząc do spraw zawodowych. Sięgnęła po słuchawki. – Obserwuj Toma. Odpreż się, a wszystko pójdzie jak po maśle – dodała, czekając na sygnał rozpoczynający program.

– Tu doktor Jane Lewis, dzień dobry. Mówię do was z żabiej stolicy świata. Ale pewnie zdążyliście już się dowiedzieć, że Rayne znane jest ze swoich żab. Zaczynamy audycję Porozmawiaj ze mną. Jest tu dziś doktor Mike Sorenson, nowy współgospodarz programu. Będziemy rozmawiali o uczuciach – miłości, nienawiści, radości, gniewie. Zadzwońcie do nas pod numer 1-800-888 ROZMOWA. Na linii jest już Shelly. Mów, Shelly.

– Dzień dobry, doktor Lewis. Wydaje mi się, że kocham mojego psa bardziej niż mojego chłopaka i trochę mnie to martwi.

Jane spojrzała na Mike'a i uśmiechnęła się.

– Jak długo masz tego pasa, Shelly?

– Pięć lat. Przeżyliśmy razem wzloty i upadki. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła, kiedy umarł mój ojciec.

– W porządku, a jak długo jesteś ze swoim chłopakiem?

– Sześć miesięcy.

– I też razem przeżywaliście wzloty i upadki?

– Nie, ostatnio prowadzę raczej spokojne życie.

– Na twoim miejscu bym się nie przejmowała. To naturalne, że kochasz swojego zwierzaka, zwłaszcza jeśli przeżyliście razem trudny okres. Moja spanielka też bardzo dużo dla mnie znaczy. Jest moją towarzyszką, powiernicą i spowiednikiem. Kocha mnie bezwarunkowo, a obcowanie z nią dostarcza mi wiele radości. Im dłużej ty i twój chłopak będziecie ze sobą, tym większa szansa, że wasze wzajemne uczucia się rozwiną. Ale nigdy nie próbuj porównywać tego, co czujesz do chłopaka, z tym, co czujesz do psa. To związek jedyny w swoim rodzaju. Masz prawo kochać psa tak mocno, jak tylko chcesz. Jedyny problem polega na tym, że twoja druga połowa może się poczuć zazdrośna. Gdyby tak się stało, zadzwoń do mnie, a jeśli sprawy potoczą się gładko, kochaj swego psa całym sercem i przestań się przejmować. Mamy następnego rozmówcę. Mów, Dan.

– Hej, posłuchajcie – dobiegł ich burkliwy męski głos. – Czy strach to też uczucie?

Jane uniosła kciuki.

– Tak, Dan – powiedział Mike, pochylając się do mikrofonu. – Strach to bardzo silne uczucie. Czego się boisz?

– No dobrze, człowieku, pewnie pomyślisz, że zwariowałem, ale i tak ci powiem: widuję ducha. Cholernie mnie to przeraża.

Mike wyprostował się. Jego zainteresowanie wzrosło.

– Potrzebuję więcej informacji, Dan. To duch mężczyzny czy kobiety, mniej więcej w jakim jest wieku i gdzie go widzisz?

– Hej, wierzysz mi, człowieku?

Mike dobrze rozumiał niepewność Dana.

– Oczywiście, że ci wierzę. Sam interesuję się zjawiskami paranormalnymi. A teraz opowiedz mi o duchu.

– To kobieta, kobieta w średnim wieku. Jest w mojej łazience. Widuję ją, kiedy się gołę, ale tylko wtedy. Otwiera usta, jakby chciała mi coś powiedzieć, ale ja nic nie słyszę.

– Próbowalesz się do niej odezwać?

– Do ciała, nie.

– Przede wszystkim, zapewniam, że nie ma się czego bać. Duch nie może cię skrzywdzić. Powtarzam. Nie może zrobić ci nic złego. Zapytaj ją, czego chce, dobrze? Dasz radę to zrobić?

– Tak, ale czego ona może chcieć?

– Z jakiegoś powodu nie jest w stanie przedostać się na drugą stronę. Powiedziałbym, że umarła, zanim zdążyła pozatławić wszystkie swoje sprawy. Pozostawiła za sobą coś niedokończono i dlatego teraz jej duch nie może zaznać spokoju. Ona chce, żebyś jej pomógł, Dan. Zrób to, co powiedziałem, a potem zadzwoń do nas i o wszystkim nam opowiedz, dobrze?

Mike uśmiechnął się do Jane.

– Mam teraz na linii Georgię. Mów, Georgio.

– Cześć – powiedział dziewczęcy głos. – Podobają mi się dwaj chłopcy ze szkoły, ale nie wiem, którego wybrać.

– Ile masz lat, Georgio? – zapytał Mike.

– Szesnaście.

– Nie musisz wybierać. Umawiaj się z oboma, nie ma w tym nic złego.

– Ale mama mówi, że powinnam wybrać jednego.

– Możesz poprosić mamę do telefonu, Georgio?

Przez chwilę nadsluchiwali, jak dziewczyna namawia matkę, by

wzięła od niej słuchawkę.

– Jestem – powiedziała w końcu kobieta. – Nie pochwalam chodzenia z dwoma chłopakami naraz.

– Ona ma dopiero szesnaście lat, droga mamó – powiedział Mike. – Jest o wiele za młoda, by podejmować zobowiązania. A umawianie się z jednym chłopcem to swego rodzaju zobowiązanie. Proszę, pozwól jej trochę pobrykać. Czas, kiedy będzie musiała podejmować życiowe decyzje, nadejdzie aż nazbyt szybko.

– Sama nie wiem – powiedziała matka.

– Jeśli zaczniesz spotykać się z jednym chłopakiem, zostanie uznana za jego dziewczynę. A kiedy tak się stanie, inni chłopcy przestaną ją zapraszać, co oznacza, że nie będzie miała okazji umawiać się z nikim innym.

– Tu doktor Lewis. Chciałabym dodać coś do tego, co powiedział doktor Sorenson. Po pierwsze, całkowicie się z nim zgadzam. Myślę, że dla dziewczyny w wieku Georgii to ważne, by mogła spotykać się z różnymi chłopcami. To pomoże jej się zorientować, jakiego partnera chciałaby mieć przy sobie w późniejszym życiu. Poza tym, jeśli będzie spotykała się z jednym chłopakiem, szansa, że w końcu zaczną ze sobą żyć, jest o wiele większa i...

– Dobrze, już dobrze, wygraliście – powiedziała strapiona matka i odłożyła słuchawkę.

– Halo, doktor Lewis? Tu jeszcze raz Georgia. Dzięki – szepnęła dziewczyna.

– Proszę bardzo. Powodzenia. Mówi Jane Lewis, a oto mój partner, współgospodarz programu, doktor Sorenson. Słuchacie audycji Porozmawiaj ze mną.

Rozpoczęły się reklamy, więc Jane i Mike mogli trochę odetchnąć.

– To było całkiem zabawne – powiedział Mike. – Dobrze nam

idzie razem. Wiedziałem, że tak będzie. Wszystko, co robimy razem, robimy dobrze.

Mrugnął i spojrzał na nią uwodzicielsko.

– Chili, cebula, kiszona kapusta, musztarda. Ledwie widać spod nich kiełbasę – mruknął Mike, wbijając zęby w swojego hot doga z samą tylko musztardą. – Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która je takie rzeczy i nie przejmuje się, że coś może kapnąć jej na ubranie albo że pobrudzi sobie twarz. Kocham cię, Jane Lewis. Za to, że jesteś taka, jaka jesteś. Swoją drogą, myślałem, że nie jadasz mięsa.

– Bo nie jadam. Lecz kiedy w grę wchodzi hot dogi... zupełnie brak mi silnej woli.

Jane oblizła wargi i spojrzała na drugą stronę ulicy, gdzie pół-tonowa ciężarówka w kolorze burgunda ruszała właśnie z piskiem opon. Przez chwilę mignęła jej twarz kierowcy. Brian Ramsey. Ale czy na pewno? Wyglądał jak Brian, ale ostatnio wydawało się jej, że widzi go za każdym rogiem, co przecież było niemożliwe.

Kobieta prowadząca na smyczy pudła miniaturkę pochyliła się przy słupie telefonicznym, trzymając w dłoniach zmiotkę i łopatkę. Nic w tym niezwykłego. Sam Wallace, zamiatający chodnik przed swoim sklepem żelaznym, także należał do codzienności. Pomachała Sarze Titus, starej nauczycielce, która uczyła ją w pierwszej klasie.

Spojrzała w górę. Niebo mocno pociemniało i na zachodzie zbierały się burzowe chmury. Pod koniec dnia pewnie zacznie padać. Zapowiadał się deszczowy wieczór. Z niechęcią pomyślała o spędzeniu go w samotności, zwłaszcza jeśli miał być deszczowy. Co, u licha, robiła wieczorami, nim Mike pojawił się w jej życiu? Mogłaby wybrać się na farmę, odwiedzić Trixie i Freda. Może zaproszą ją na kolację, kiedy przyjedzie odebrać Olive. Z drugiej strony, mogłaby wrócić do domu i skończyć

nową książkę Trixie i Freda lub włączyć komputer i przejrzeć dyskietkę, którą dostała od Trixie. Albo połączyć się ze sklepem internetowym i zobaczyć, co tam mają ciekawego. Spojrzała na Mike'a i uśmiechnęła się.

– Już za tobą tęsknię.

– Ja też. Posłuchaj, muszę iść, bo się spóźnię. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Jane niemal się spodziewała, że Mike pocałuje ją na środku ulicy. Przez chwilę wyglądał tak, jakby rzeczywiście miał zamiar to zrobić, ale szybko spostrzegł, że przygląda się im Jasper Dewey.

– Przystojny młodzian – zarechotał, kiedy Mike odszedł. – Jak tam twoja mama, dziecko?

Tak, przystojny z niego młodzian i w dodatku mój. Mama odeszła jakiś czas temu, ale dziękuję, że pan zapytał. Życzę miłego dnia – powiedziała i ruszyła w odwrotnym kierunku. Wszyscy wiedzieli, że pocziwina Jasper zupełnie zdzieciniał na starość i nie był stanie zapamiętać nawet tego, czego dowiedział się przed minutą. Prędzej czy później któryś sklepikarz zabierze go do domu i przekaże pod opiekę żony, która zdziwi się fałszywie, że stary zdołał uciec i zawędrował aż tak daleko. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że Matilda często do tego dopuszcza, żeby choć przez godzinę móc pooglądać w spokoju mydlane opery. Przed udaniem się do przychodni Jane zadzwoniła do Wynony i dowiedziała się, że wszystko idzie swoim trybem, nie ma żadnych nagłych wezwań, a następna sesja została wyznaczona na piątą. Rozłączyła się i wybrała numer farmy. Trixie podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

– Z Olive wszystko w porządku? Nie sprawia wam kłopotów?

– Boże, nie. Doskonale bawią się z Flashem.

– To dobrze.

– Posłuchaj, Janie, wyświadczyć mi przysługę. Kiedy będziesz

wracała, zatrzymaj się przy sklepie ze sprzętem radiowym i kup mi skaner policyjny oraz zestaw przenośnych radiotelefonów.

– Jasne. Nawet nie ośmielę się zapytać, po co ci one.

– Dla Flasha, oczywiście. Tak jakbyś nie wiedziała.

– Jadę teraz do przychodni – powiedziała Jane. – Jedna z moich koleżanek wylądowała w szpitalu, więc muszę zaopiekować się jej pacjentami. Będę zajęta do późna. Jeśli gotujesz coś na kolację, zostaw trochę i dla mnie.

– Dziś Fred gotuje. Ja z Flashem bierzemy się do roboty.

R-O-B-O-T-Y. Flash umie literować wyrazy, Janie. Olive jedzie z nami. Zadzwoń do mnie na komórkę, kiedy dotrzesz na farmę, to ci ją podrzucę. I nie zapomnij o radiotelefonach.

– Nie zapomnę. Uściskaj ode mnie Olive.

– Nie omieszkam. Koniec, bez odbioru.

Jane schowała telefon do torebki. Koniec, bez odbioru. Najwyraźniej te słowa Trixie przeznaczone były dla Flasha. Jane chichotała przez całą drogę do kliniki, rozmyślając o tym, jaki też kłopot Trixie ściągnęła sobie na głowę, przygarniając to psisko. Ale Trixie zawsze miała wielkie serce.

Przychodnia mieściła się w niewielkim budynku z czerwonej cegły, porośniętym od frontu bluszczem. Pięćset sześćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni podzielono na pokoje trzy na trzy metry, plus wielki hol recepcyjny. Wnętrze urządzone zostało w sposób, delikatnie mówiąc, spartański. Kilka akwareli i trochę roślin w doniczkach z pewnością dodałoby mu przytulności, pomyślała Jane. Jak ludzie z problemami emocjonalnymi mają nie czuć się przygnębieni w tej ponurej atmosferze? Przychodnie, leczące pacjentów za darmo, nie mają pieniędzy na ozdóbki, mawiała zwykle Trixie. I miała rację.

Jane wpisała się do książki przyjsć. Poczekałnia musiała być już niezłe zatłoczona, gdyż w wąskim korytarzu stało sześcioro pacjentów, czekających na swoją kolej. Zaprowadzono ją do ma-

tego pomieszczenia bez okien, wyposażonego jedynie w biurko, obrotowy fotel, kosz na papiery i krzesło dla pacjenta. Otworzyła teczkę i wyjęła skoroszyty z dokumentacją pacjentów doktor Thomas. Ułożyła je schludnie przed sobą, obok umieściła swój zielony notatnik, długopis i była gotowa na przyjęcie pierwszego pacjenta.

Przez półtorej godziny mówiła i słuchała. Dla każdego pacjenta przeznaczono trzydzieści minut i teraz została jej już tylko Betty Yance.

Kiedy spóźniona o dziesięć minut pacjentka weszła do gabinetu, Jane spojrzała na nią i natychmiast spróbowała pokryć zmieszanie głośnym kaszlem. Betty Vance mogłaby być sobowtórem Connie Bryan, oczywiście, gdyby umyła i ułożyła włosy, umalowała się i założyła coś, w czym wcześniej nie spała. Wszystko w niej wydawało się być pozbawione życia. Była też o wiele za szczupła, a jej spojrzenie puste i pozbawione wyrazu. Emanowała znużeniem. Na dodatek bez przerwy bawiła się zwitkiem ligninowych chusteczek.

– Jestem doktor Lewis. Chciałabym, byś mówiła mi Jane. Nie przeszkadza ci, że będę zwracała się do ciebie po imieniu?

Doktor Thomas leży w szpitalu, więc przejęłam na jakiś czas jej obowiązki. Wyjaśniono ci to w recepcji, prawda?

– Zadzwonili do domu, żeby mi powiedzieć. Chociaż właściwie, to nie mój dom. Zatrzymałam się u przyjaciela. Nazywam się Elizabeth Marie Vance, ale, oczywiście, możesz mówić mi Betty.

– Czy to przyjaciel przywiózł cię tutaj?

– Tak. Przez te lekarstwa czuję się strasznie słaba i otumaniona, więc wolę nie prowadzić.

– Pokaż mi, co bierzesz.

Jane spochmurniała, widząc, jak bardzo Betty drżą ręce. Ledwie była w stanie otworzyć torebkę.

Przez chwilę grzebała w jej wnętrzu, a potem podała Jane trzy fiołki. Jane skrzywiła się. Spojrzała na nalepki, a potem na otwarty skoroszyt.

– Miałas brać tylko valium. To, że bierzesz także te inne tabletki, sprawia, że jesteś roztrzęsiona. Zbyt wiele leków. Mogłaś wyrzucić sobie krzywdę.

Odłożyła fiołki na biurko.

– Nie będziesz już teraz brała leków, Betty. Przeczytałam twoją dokumentację i uważam, że pora spróbować czegoś innego.

– Mam nie brać leków? Potrzebuję ich, żeby spać. Inaczej przez całą noc tylko siedzę i myślę.

– Kiedy ostatni raz poszłaś na spacer? Ułożyłaś sobie włosy? Kiedy zrobiłaś coś dla siebie? Jak bardzo zeszczupiałaś? Czy w ogóle zależy ci na tym, żeby wyzdrowieć? – spytała Jane stanowczo, choć grzecznie.

– Oczywiście, że mi zależy – odparła młoda kobieta. Wydawała się zdziwiona pytaniem. Nagle jej twarz złagodniała. – Może to niezupełnie prawda. Czasami mi zależy, czasami nie. Na ogół chciałabym po prostu nie żyć. Nie potrafię... ja nie... dlaczego jest pani dla mnie taka surowa? Przecież się staram.

Jane pochyliła się, opierając dłonie na skraju biurka.

– Staralaś się sześć miesięcy temu, ale, jeśli wierzyć temu, co tu wyczytałam, dzisiaj znajdujesz się w punkcie wyjścia. Dopóki jesteś pod moją opieką, koniec z prochami, chyba że okażą się absolutnie niezbędne. Jeśli to ci nie odpowiada, możesz wstać i wyjść, ale zapewniam cię, że nie poczujesz się przez to lepiej. Chcę z tobą porozmawiać. Chcę, żebyś mi wszystko opowiedziała, bez względu na to, jak bardzo okaże się to bolesne.

Wiem, że rozmawiałaś już z doktor Thomas i że wszystko jest w aktach, ale chciałabym, żebyś opowiedziała to mnie. Potrafię ci pomóc, Betty, jeśli tylko mi na to pozwolisz.

Jane czuła się tak, jakby znów powtórzyła się historia Connie

Bryan. Jedyna różnica polegała na tym, że ta dziewczyna żyła i mogła mówić. Kiedy skończyła swoją bolesną opowieść, zamilkła, wpatrując się w Jane pustym, szklanym spojrzeniem. Jane oblizwała wargi. Musiała postępować ostrożnie. Czy stać ją na to, by ryzykować, zmieniając zasady terapii? Sharon twierdziła, że pacjentka jest bardzo rozchwiana emocjonalnie. Nie tak rozchwiana, jak kiedyś Connie, pomyślała Jane. W końcu, zdecydowała się zasięgnąć pomocy specjalisty. To znaczy, że ma w sobie odwagę i bojowego ducha, a także wolę przetrwania.

– Dlaczego nie poszłaś na policję?

– Ponieważ mężczyzna, z którym się spotykałam, powiedział... powiedział... to by nie było dobre dla niego. Dopiero co razem zamieszkaliśmy. To małe miasteczko. Ludzie plotkują. Pokazują palcem i szepczą. Posłuchałam go, choć nie powinnam. On też się ode mnie odwrócił. Nie potrafi się zmusić, żeby mnie dotknąć. Budzę w nim odrazę. Ma to wypisane na twarzy. Więc się wyprowadziłam. Ale on nie chce zostawić mnie w spokoju.

Boję się go. Jest starszy ode mnie.. Nie, żeby wiek stanowił przeszkodę, ale... Krótko mówiąc, spakowałam manatki i pojechałam do ciotki do Nowego Orleanu. Ciotka ma jednak nastoletnie dzieciaki, nie mogłam znieść ich obecności, a ona mojej. Zadzwoiłam do przyjaciela, żeby po mnie przyjechał. Zatrzymałam się w jego domu. Mogę tylko płakać i zadręczać się myślami. On też pewnie ma mnie dosyć. Miałam dobrą posadę w Lafayette, ale straciłam ją, bo jestem zbyt roztrzęsiona, żeby pracować. Wydałam już prawie wszystkie oszczędności i na dodatek kończy mi się ubezpieczenie. Nie wiem, co robić. Przez cały czas się boję. Nie mogę ani na chwilę zostać sama.

Jane patrzyła, jak młoda kobieta szlocha, chowając twarz w zwitek” trzymanyh w dłoni chusteczek.

– Nie uważasz, że pora podwinąć rękawy i znów przejąć kontrolę nad swoim życiem? Nie możesz wymazać tego, co się

zdarzyło. To się zdarzyło i musisz jakoś sobie z tym poradzić. A pierwszą rzeczą, jaką powinnaś zrobić, jest zgłoszenie gwałtu policji. Potem trzeba będzie porozmawiać z ludźmi z centrum kryzysowego, choćby okazało się to nie wiem jak bolesne. Zdaję sobie sprawę, że minęło już sześć miesięcy i wszelkie dowody uległy zniszczeniu, ale twoje słowo będzie się liczyło. Nie będzie łatwo. Ale jeśli naprawdę chcesz odzyskać kontrolę nad swoim życiem, musisz o to walczyć. Pomogę ci, na ile potrafię. Tylko żadnych więcej prochów. Dasz sobie z tym radę?

– Nie wiem. Mogę tylko spróbować. A co jeśli... jeśli on zadzwoni i będzie chciał się ze mną zobaczyć?

– Mówisz o mężczyźnie, z którym mieszkałaś? – spytała Jane, zdumiona pytaniem.

– Tak.

– Nie rozumiem, czemu tak się go boisz. Zadzwoń do niego i powiedz, że nie chcesz się już z nim widywać. Że wszystko skończone. Ludzie robią to bez przerwy. Czy on bywa brutalny? Powiedziałaś, że nie chciał zbliżyć się do ciebie ani cię dotykać. To by znaczyło, że dla niego to też koniec. Jesteś w nim Zakochana? Musisz powiedzieć mi coś więcej.

Betty odchyliła się na krzesło. Wyglądała na wyczerpaną. Zdawało się, że mówienie to dla niej zbyt duży wysiłek.

– Brian nigdy mnie nie uderzył. Ale ma gwałtowny charakter. Łatwo traci cierpliwość, gdy coś nie idzie po jego myśli. Nie jestem w nim zakochana. I chyba nigdy nie byłam. Na jakiś czas oszołomił mnie prezentami, kwiatami i wystawnymi kolacyjkami. Jest niewiarygodnie inteligentny. I ocytany. Chciał, żebym za niego wyszła, ale ja nie byłam gotowa. Mam dwadzieścia dziewięć lat i, nie . zrobiłam jeszcze połowy rzeczy, które sobie zaplanowałam. Zgodziłam się jednak z nim zamieszkać. Od początku wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Próbował mnie zmienić. Nie podobały mu się moje ubrania, fryzury, a nawet to,

w jaki sposób prowadzę samochód. Nie bardzo potrafię gotować, więc wziął to na siebie. Rozrzucam wokół ubrania, a on jest pedantem. Lubię tańczyć, a on nie. Pochlebiał mi, wydawał na mnie pieniądze i to mnie zaślepiło. Prawda wygląda tak, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Nikt spośród moich przyjaciół go nie lubił. Tyle że, dzięki niemu, oni już nie są moimi przyjaciółmi. Z wyjątkiem Chucka.

Jane zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Gdyby zapytała Betty wprost, czy Brian, o którym mówiła, to Brian Ramsey, musiałyby jakoś to wyjaśnić. Rozpaczliwie usiłowała przypomnieć sobie, jakie reguły postępowania obowiązują w takim przypadku. Czowała, że drżą jej nogi.

Jeśli się nie opanuje, załamie się nerwowo w obecności pacjentki. Nie pytaj, nakazała sobie. Udawaj, że nie słyszałaś imienia. To nie mógł być ten sam Brian. Ramsey był żonaty. Problem dotyczył jego żony. Ta dziewczyna nie była mężatką. W sąsiednich okręgach muszą być setki Brianów. Nie doszukuj się czegoś, co nie istnieje. No, dalej, Jane.

– Chciałabyś mi coś jeszcze powiedzieć, Betty?

– Chyba nie.

– Czy napastnicy nie wydali ci się pod jakimkolwiek względem znajomi? Zastanów się. Było wtedy zimno czy gorąco? Jaki zapach im towarzyszył? Czulaś materiał, z jakiego uszyte były ich ubrania? Czy którykolwiek z nich coś powiedział, albo wykonał gest, który zapamiętałaś? Czy nic w ich dłoniach cię nie uderzyło? Nie musisz odpowiadać teraz, ale chcę, żebyś o tym pomyślała. Jeśli chcesz, możesz omówić sprawę z przyjacielem. Jest mężczyzną, więc może coś ci podsunie. Musisz wyrzucić to z siebie. Wiem, że to nie będzie łatwe, ale z pewnością konieczne. Dam ci moją wizytówkę. Możesz dzwonić o każdej porze, wszystko jedno, w dzień czy w nocy. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zawsze znajdę czas. Obiecuję. I, jeśli chcesz,

mogę umieścić cię w grafiku wizyt na każdy dzień: rano, w porze lunchu albo pod koniec dnia. Bezpлатnie. Zgoda?

– Dlaczego to dla mnie robisz? Nie jestem nawet twoją pacjentką. Jane o mało nie wyskoczyła z historią o Connie, zdołała jednak w porę ugryźć się w język.

– Ponieważ chcę ci pomóc. Chcę, żebyś na powrót przejęła kontrolę nad swoim życiem. Chcę zobaczyć, że znowu tańczysz. I budzisz się z uśmiechem na twarzy. Złe czasy minęły. Musisz patrzeć w przyszłość. Twoje życie zależy wyłącznie od ciebie. Wyłącznie od ciebie. Mogę ci pomóc, kobiety w centrum kryzysowym mogą ci pomóc, ale to ty musisz wykonać główną robotę. Przyszłaś tu, co dowodzi, że nie jesteś zadowolona z tego, jak żyjesz teraz. Ludzie troszczą się o ciebie, Betty. Naprawdę.

– Jutro jest sobota, a potem będzie niedziela. Weekendy są najgorsze. Nie wiem, dlaczego.

– Ponieważ wtedy rodziny są razem. Pary wspólnie spędzają czas. Wydaje się, że każdy kogoś ma. Weekend to dwa dni wolne od pracy. Ale mogę otworzyć jutro biuro, jeśli zechcesz przyjść. Porozmawiamy dłużej. Chciałabyś, żebym poszła z tobą na policję? Muszę najpierw wstąpić do sklepu ze sprzętem radiowym, ale potem mogłybyśmy pojechać na posterunek. Zostanę z tobą, kiedy będziesz składała zeznanie. A potem pojedziemy do centrum kryzysowego, gdzie cię zarejestrują i przydzielą ci osobę, która będzie się tobą opiekowała. Po wszystkim podrzucę cię do domu. To moja wizytówka. Pamiętaj, zawsze możesz do mnie zadzwonić, w dzień czy w nocy.

Betty sięgnęła po wizytówkę, nie odrywając wzroku od trzech flakoników z lekarstwami.

– To tylko kula do podpierania się, Betty. Jeśli chce się chodzić o własnych siłach, w końcu zawsze przychodzi moment, gdy trzeba odrzucić kule. Przechowam te lekarstwa. Jeśli będziesz

chciała je odzyskać, oddam ci je.

– Jak długo to potrwa? – spytała Betty niespokojnie.

– Nie wiem, Betty. To zależy od ciebie i od tego, jak ciężko będziesz pracować.

– W porządku.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Ostatnie. Czy twoim zdaniem Br... mężczyzna, z którym mieszkałaś, cię kocha?

– Tak sądzę. Powiedział, że przypominam mu kogoś, kogo kiedyś znał. Czy to ważne?

Przez jedną szaloną chwilę Jane wydawało się, że krew zacznie się gotować w jej żyłach.

– Nie jestem pewna. – Nie zadawaj więcej pytań, Jane. Zostaw to.

– Powiem Chuckowi, że pani mnie odwiezie. Chciałaby pani go poznać?

– Tak, Betty. To musi być ktoś szczególny, skoro tak bardzo się o ciebie troszczy.

– Jest prawdziwym przyjacielem. Kiedy złożę zeznanie, wszyscy się dowiedzą – powiedziała Betty i znowu się rozpląkała. Rzeczywiście, przynajmniej niektórzy. Ale musisz sobie uświadomić, że nie zrobiłaś nic złego, Betty. Mam pomysł. Powiedz mi, co o tym sądzisz. Może, kiedy już załatwimy sprawę w centrum kryzysowym, wpadniemy do schroniska i weźmiemy dla ciebie psa? Duże, sympatyczne psisko, które będzie ci wdzięczne, że zabrałaś go z klatki i dałaś mu nowe życie. Tak, jak samej sobie. I wiesz co? Znam kogoś, kto mógłby pomóc ci wytresować psa, ale musiałabyś tam dojeżdżać. Codziennie. Droga do nowego życia pełna jest przeszkód i zakrętów. Jesteś gotowa, żeby spróbować?

– Zrobię, co tylko będę mogła. Naprawdę. Ale obiecaj mi, że pozostaniesz w pobliżu, gdy będę składała zeznania.

– Będę przy tobie przez cały czas. A co z centrum kryzysowym?

Dasz radę?

– Tak.

– Pies?

– To najłatwiejsze. Tak.

– Więc na co czekamy?

Kiedy Jane dotarła wreszcie do domu, była dziesiąta wieczór. Bolał ją każdy nerw i każde ścięgno. Powlokła się do kuchni i pociągnęła spory łyk bourbona prosto z butelki. Oczy zaszyły jej łzami. Rozkaszła się gwałtownie i zakrztusiła. Olive zaskomlała u jej stóp. Gdy tylko przestała kaszleć, zapaliła papierosa z gościnnej paczki i znowu zaniosła się kaszlem. Olive, zdenerwowana, wspinała się po jej nogach.

– Wszystko w porządku, Olive – wykrztusiła. – Po prostu przechodzę kryzys. Muszę się odprężyć i uspokoić. Zrobię herbaty, a potem usiądziemy sobie w salonie i opowiem ci, jak minął dzień.

Olive rozplaszczyła się na podłodze, wodząc za Jane spojrzeniem swoich brązowych oczu.

Kuchnia, staromodna, duża i pełna przytulnych zakątków, była ulubionym pomieszczeniem Jane. Dziś jednak cała przytulność świata nie byłaby w stanie sprawić, by Jane poczuła się lepiej. Zastanawiała się, czy napalić w kominku, czy też od razu położyć się do łóżka. Miło byłoby posiedzieć przy ogniu na starym bujanym fotelu, który Trixie kupiła dla niej na wyprzedazy i sączyć w spokoju ziołową herbatę. Bujak był wystarczająco obszerny, aby pomieścić też Olive. Mogłyby przytulić się do siebie. Musiałaby tylko wyrzucić z niego jaskrawoczerwone poduszki. Ale po co? – krzyknęło coś w jej głowie.

By przeglądać na okrągło skoroszyt z dokumentacją Betty Van-
ce.

Rozpaliła ogień w kominku, zaparzyła herbatę, otuliła się sztydelkowym wełnianym pledem i usiadła. Olive usadowiła się obok i położyła jej łeb na kolanach.

Właśnie czytała dokumentację po raz trzeci, kiedy poczuła na ramieniu dotyk czyjejś dłoni. Odwróciła się, sądząc, że to Mike,

ponieważ Olive nie zadała sobie trudu, by choć spojrzeć w górę.

– Wpadła pani na coś, prawda, panno Jane? Podoba mi się ta kuchnia. Czasami, kiedy jest pani w pracy, siadam sobie w fotelu. Żałuję, że nie mogę pani pomóc.

– Ja też tego żałuję, Billy. To był okropny dzień, pod wieloma względami. Zaczynam powątpiewać w swój zdrowy osąd. Dla kogoś, kto zajmuje się tym, co ja, to bardzo niedobrze. Posłuchaj. Zakładając, że jesteś duchem – w co, oczywiście, nie wierzę – nie mógłbyś... no wiesz..., przemieścić się tu czy tam i sprawdzić coś dla mnie? Zawsze mi mówiono, że we śnie wszystko jest możliwe. Więc jak, dałbyś radę to zrobić?

– Po co? – zapytał Billy, podskakując, żeby usiąść na kuchennej ladzie. Machał przy tym nogami w takt muzyki, którą najwidoczniej słyszał.

Jane zamknęła oczy.

– Ponieważ dzieją się dziwne rzeczy. Przynajmniej tak uważam. Denerwuję się, że mogę przeoczyć coś ważnego, jakąś informację. Jestem roztrzęsiona – stwierdziła wojowniczym tonem.

– Twoja pacjentka nie jest zamężna – powiedział Billy.

– Chyba raczej mój pacjent.

– Brian Ramsey nie jest już twoim pacjentem. Poza tym, rzeczywiście, on nie jest żonaty.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

Zostało to powiedziane z takim przekonaniem, że Jane aż zamrugała. Pozwalasz, by sprawy wymknęły się spod kontroli. To niedobrze. Jesteś lekarzem. Jeśli nie zapanujesz nad nerwami, przegrasz.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Szkoda, że aż tak bardzo nie lubisz swojej pracy.

– Nie to, że jej nie lubię. Po prostu czasami wydaje mi się, że to nie dla mnie. Tylu ludzi na mnie polega, a ja nie jestem w stanie

bez przerwy im pomagać i być do dyspozycji. Wzięłam na siebie zbyt wiele obowiązków. Jestem zmęczona i potrzebuję odpoczynku.

– Przede wszystkim powinnaś zająć się jedną sprawą i ją zakończyć. Zdecyduj, od czego zaczniesz, i pracuj nad problemem, dopóki go nie rozwiążesz. Masz jakieś teorie?

– Na pęczki – powiedziała, podnosząc oczy. – Masz rację. Zacznę od Briana Ramseya. Od niego wszystko się zaczęło. Zabiorę się do tego jutro rano.

– A co z doktorem Sorensonem?

– Co z nim?

– Przyjmiesz jego pomoc?

– Jeszcze się nie zdecydowałam. Która godzina?

– Nie wiem. Już ci mówiłem, że po tej stronie czas nie ma znaczenia. Olive zaszczeakała i zeskoczyła z fotela. Jane nagle się przebudziła.

Zobaczyła, że tylne drzwi otwierają się i Olive wychodzi. Ze strachu o mało nie wcisnęła się w czerwone poduszki. Drzwi zamknęły się za spanielką. Jane spojrzała na zegarek. Było kwadrans po północy. Jak lii długo spała? Nie była pewna, o której dokładnie usiadła i jak długo przeglądała dokumentację Betty, ale musiało jej to zająć ze dwie, trzy godziny. Czy Mike dzwonił? Wykręciła szyję, by spojrzeć na automatyczną sekretarkę, ale nie zobaczyła migającego światełka. Nikt nie zostawił wiadomości.

Nie idę do łóżka, nie ma mowy, zdecydowała, wyglądając przez kuchenne okno. Żałowała, że nie potrafi przestać snić o Billym. Westchnęła. Równie dobrze może zająć się czymś pożytecznym. Nastawiła ekspres do kawy. Czekając, aż się zaparzy, włączyła komputer i wsunęła do niego dyskietkę, otrzymaną od Trixie. Kiedy go wyłączyła, dochodziła trzecia nad ranem. Przed nią piętrzyła się sterta wydruków. Miała numer ubezpieczenia

Briana Ramseya, była więc w stanie sporo się o nim dowiedzieć. Nie zdziwiło jej, że ukończył Uniwersytet Stanu Luizjana ani że grał w drużynie Bengalskich Tygrysów. Domyśliła się tego, patrząc na jego dłonie i budowę ciała. Niezwykłe było natomiast to, że chociaż dostał się na uniwersytet dzięki stypendium piłkarskiemu, ukończył go z dobrą oceną.

Obok wydruków z informacjami o Ramseyu leżały kartki dotyczące Betty Vance. Zdobyła je dzięki znajomości jej numeru ubezpieczenia oraz Internetowi. Było ich mniej niż informacji dotyczących Ramseya, ale i tak okazały się pomocne. Przynajmniej nie będzie błędziła w ciemnościach.

Odniosła kubek do kuchni i pomyślała o Mike’u. Na pewno śpi. Oczywiście, że śpi. Jest trzecia nad ranem. Czy śni o niej? Dlaczego nie zadzwonił? To do niego niepodobne. Zwykle, kiedy coś obiecywał, dotrzymywał słowa. Umyła dzbanek, napełniła go znowu, żeby był gotowy na rano i usiadła, by zapalić papierosa.

Kiedy na kuchennej ścianie zatańczyły światła samochodu, zerwała się na równe nogi. Mike! Podbiegła do drzwi, lecz zamiast Mike’a zobaczyła zniszczony samochód policyjny Trixie. Radiowóz zatrzymał się z piskiem opon, migając czerwono-niebieskim światłem. Kiedy z ciemności wyłoniła się, szczerkając, Olive, Jane uświadomiła sobie, że zapomniała wpuścić ją do domu.

– Jesteśmy na nocnym patrolu – zawołała Trixie, przekrzykując wyjąca syrenę.

– Nie żartuj! – krzyknęła Jane w odpowiedzi. Podeszła do samochodu i wsunęła głowę do wnętrza.

– Ani mi to w głowie! – odparła Trixie głośno i stanowczo.

Włączyła radio. – Jestem u Janie, Fred. Tak, wszystko w porządku. Zaraz wracam. Koniec, bez odbioru.

– Boże święty – powiedziała Jane. – Kiedy wy sypiacie?

– Nie śpimy. Ucinamy sobie drzemki. Nacisnęła przycisk, otwierający tylne drzwi.

– Biegnij, Flash!

Olbrzymi pies wyskoczył z samochodu i puścił się pędem przed siebie, a Olive pognęła tuż za nim.

– Obiecałaś, że nie będziesz poruszać się po drogach publicznych.

– I tak, i nie.

– Słucham?

Trixie wyłączyła syrenę.

– Obiecałam. I nie poruszam się po drogach. Przyjechałam na przełaj przez pola. Dlaczego nie jesteś w łóżku? Wiesz, która godzina?

– Tak, owszem. To po prostu jedna z tych nocy – powiedziała. – A, przy okazji, zanim zapomnę. Betty, ta młoda kobieta, którą przejęłam po Sharon... Znalazła dla siebie przemiłego psa, złotego labradora imieniem Golda. Właściciel suki zmarł i nie miał jej kto wziąć. Od razu przyłgnęła do Betty. Jest trochę wytrącona z równowagi, ale dojdzie do siebie. Wygląda na to, że będziesz miała jeszcze jednego psa, by dotrzymywał Flashowi towarzystwa podczas treningu.

Trixie spojrzała Jane prosto w oczy.

– Myślisz, że mi odbiło, prawda? I nie czekając na odpowiedź, dodała: – Chyba nie mogę wziąć ci tego za złe. Ale wiesz co? Wszystko mi jedno. Nigdy w życiu się tak dobrze nie bawiłam. Flash jest po prostu niesamowity. Znalazł pierwszy woreczek z narkotykiem. Fred przepakował marihuanę i znowu ją schował. Ukrył też trochę pieniędzy. Teraz, kiedy tu jesteśmy, ukrywa w krzakach torby turystyczne i walizki z kilkoma dorcami w każdej. Flash jest niewiarygodnie uzdolniony, jeśli chodzi o odnajdywanie pieniędzy.

– Wcale nie myślę, że zwariowałaś – powiedziała Jane obron-

nym tonem. – Być może jesteś nieco ekscentryczna, ale nie szalona. Uważam, że to, co robisz, jest wspaniałe! Ocaliłaś życie funkcjonariuszowi policji. Nigdy nie widziałam szczęśliwszego psa, no i zupełnie go poskromiłaś. Ty też nigdy nie wydawałaś mi się szczęśliwsza. Zatem, wszystko w porządku. Masz szczęście, że możesz sobie na to wszystko pozwolić. Jestem z wami – powiedziała Jane, wsunęła rękę do wnętrza samochodu i uściśnęła dłoń Trixie.

– Gdzie twój facet?

Jane wzruszyła ramionami. Trixie machnęła lekceważąco ręką.

– Trochę tajemniczości nigdy nie zaszkodzi.

Jane wgramoliła się do samochodu i zasunęła szybę w oknie.

– Miałam zadzwonić do ciebie rano i poprosić o przysługę, ale skoro już tu jesteś... Chciałabym, żeby Betty Vance spędziła u was weekend. Jej stan jest bardzo niestabilny i nie chcę zostawić jej samej. Zabrałabym ją do siebie, ale zamierzam pojechać do Baton Rouge i trochę poszperać na uniwerku. Coś mi się przyśniło i uświadomiłam sobie, że wreszcie muszę doprowadzić sprawę do końca. A to oznacza powrót na, jak je nazywam, miejsce przestępstwa. Zabiorę z sobą Glive, żeby nie przeszkadzała, kiedy pojawi się Betty i obcy pies. Gdyby któreś z was mnie potrzebowało, dzwońcie na komórkę. Wydaje mi się, że jeśli Betty będzie z wami, nie stanie jej się nic złego. Nie chcę jednak, żeby myślała, że nie może się ze mną skontaktować. Ona jest trochę najeżona, ale ma w sobie siłę, która, mam nadzieję, pomoże jej się dźwignąć. Po prostu musi wiedzieć, że komuś na niej zależy. Ta dziewczyna potrzebuje dokładnie kogoś takiego jak wy, Trixie.

– To jedna z najmilszych rzeczy, jakie kiedykolwiek od ciebie usłyszałam, Janie. Nigdy jeszcze nie byłam tak zadowolona ze swego życia. Zważywszy, w jakim jestem wieku, to prawdziwy cud.

Przez dłuższą chwilę siedziały w milczeniu, czekając na psy i przysłuchując się rozmowom, prowadzonym na policyjnej częstotliwości. Z oddali, od strony autostrady, dobiegał szum przejeżdżających ciężarówek.

Jane próbowała zebrać myśli. Chciała zapytać o coś jeszcze, ale nie była pewna, jak Trixie zareaguje. Był tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Należało zapytać.

– Trixie, co byś powiedziała, gdybym ci się przyznała, że myślę o tym, by porzucić praktykę i w ogóle wycofać się z psychiatrii?

– Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź, Trixie popatrzyła na Jane, jakby chciała przeniknąć myślami w głąb jej duszy.

– Jeśli wziąć pod uwagę, że większość psychiatrów nie jest w pełni normalna, zapytałabym: dlaczego dopiero teraz? Życie jest krótkie, Janie. Jeśli chcesz być szczęśliwa, musisz robić to, na co masz ochotę. Jeśli nie pogwizdujesz z radości, idąc do pracy, to znaczy, że powinnaś zmienić zawód. Tak przynajmniej mawiali starożytni Rzymianie – dodała błyskotliwie. – Swoją drogą, zastanawiam się, jak na to wpadli.

Jane pochyliła głowę i spojrzała na swoje dłonie.

– Myślę, że zajęłam się tym z niewłaściwych powodów. To nie było powołanie arii nic w tym rodzaju. Mike powiedział, że on po prostu wiedział, że chce być psychiatrą i że ta świadomość stopniowo rosła. Ja nigdy nie miałam przekonania, że powinnam zajmować się akurat tym. Wmówiłam to sobie, zapewne z poczucia winy.

– Obwiniłaś wtedy nie pomogłaś swojej szkolnej przyjaciółce? Jane skinęła głową, a Trixie spytała:

– Jeśli zrezygnujesz z praktyki, to czym się będziesz zajmować? Jane westchnęła.

– Nie wiem. Wiem tylko, że medycyna to zajęcie nie dla mnie. Powinnam była uświadomić to sobie dawno temu, kiedy nie mogłam się zdecydować, jaką obrać specjalizację. Najpierw

chciałam być pediatrą, potem internistą, a w końcu zostałam psychiatrą. Głównie dlatego, że wydawało mi się, iż pomagając innym, w jakiś sposób pomogę też Connie. Ale teraz widzę, że poniosłam klęskę.

– Och, Janie, malutka. O czym myślałaś? Jane potrząsnęła głową.

– Nie wiem jeszcze, jaki zawód powinnam wybrać, ale teraz to i tak bez znaczenia. Zanim podejmę decyzję, zrobię, co sobie obiecałam i spróbuję pomóc Connie. To, że ona nie żyje, nie ma znaczenia. Czuję, że muszę coś zrobić, tak jak ty czułaś, że musisz zrobić coś dla Flasha, Boże, spójrz tylko, do czego się posunęłaś, by uratować to zwierzę. Ja nie zrobiłam prawie nic, żeby uratować Connie, a przecież ona jest człowiekiem. A przynajmniej była.

Jane odwróciła się do okna i przez chwilę rozmyślała w milczeniu.

– Janie – powiedziała Trixie miękko. – Mieliśmy z Fredem wpaść do ciebie w niedzielę, żeby o czymś porozmawiać.

Jane spojrzała na nią wilgotnymi od łez oczami.

– Wiesz, że przez wszystkie te lata zarobiliśmy mnóstwo pieniędzy. Ulokowaliśmy je w różnych funduszach powierniczych. Kiedy nas zabraknie, ty je dostaniesz. Zastanawialiśmy się, czy miałybyś coś przeciwko temu, żebyśmy uszczknęli nieco tych pieniędzy, , wydzierżawili kawałek twojego terenu, ponieważ sąsiaduje z naszym i założyli szkołę dla psów policyjnych. Prawdziwą szkołę. Zatrudnimy trenerów, będziemy sami kupowali psy, a potem wyszkolone przekazywali wydziałom policji w całym kraju. A kiedy przejdą na emeryturę, moglibyśmy zabierać je z powrotem i pozwolić im dożyć końca swoich dni na farmie.

Łzy popłynęły po policzkach Jane.

– Oczywiście, że nie miałabym nic przeciwko temu. Zawsze

wam powtarzam, że nie potrzebuję waszych pieniędzy. Tatusz dobrze o mnie zadbał, a ja sama też sporo zaoszczędziłam ze swoich zarobków. Prawda wygląda tak, że w ogóle nie muszę pracować. Jeśli prosicie mnie o błogosławieństwo, to wam je daję. Zamierzacie też prowadzić hodowlę?

– Wszystko, od a do z. Chciałabyś się przyłączyć? No wiesz, kiedy, albo raczej, jeżeli zrezygnujesz z praktyki.

Jane nie zastanawiała się ani chwili.

– Tak, do licha, pewnie. Bardzo chciałabym robić właśnie coś takiego.

– A co z twoją praktyką? I z audycją?

– Planowałam zająć się tym po Nowym Roku. Mój kontrakt z rozgłośnią wygasa trzeciego stycznia. Mogłabym sprzedać praktykę, a Mike przejąłby prowadzenie audycji. Jest do tego stworzony. Hej, moglibyśmy pomyśleć o stworzeniu swego rodzaju audycji dla właścicieli psów. Spójrz tylko, do czego prowadzą dyskusje w środku nocy!

– Co za przypadek! Ty nie spałaś, a ja przyjechałam. Doskonałe zgranie w czasie – zaśmiała się Trixie.

– Ale nie zamierzacie całkiem zrezygnować z pisania?

– Nie od razu. Zgodnie z kontraktem musimy napisać jeszcze dwie książki. Nie mówiliśmy ci o tym wcześniej, ponieważ nie byliśmy pewni, czy coś z tego wyjdzie, ale agent właśnie sprzedał pakiet ostatnich piętnastu książek wytwórni filmowej z Hollywood. Zadzwonili do Freda i powiedzieli, że o szóstej kontrakt wchodzi w życie. To oznacza pięć milionów dolarów, Janie. Oczywiście, władze federalne na pewno wyciągną łapę po swoje, do tego dochodzą podatki stanowe i prowizja agenta, ale i tak zostanie dosyć pieniędzy, żeby zrealizować projekt. W razie czego, gdyby sprawy źle się potoczyły lub gdyby trzeba było nagle zainwestować, są jeszcze pieniądze z funduszy.

– Moje gratulacje, Trixie! Jestem z ciebie taka dumna, że chyba

zaraz pękne. Nie wydaje ci się, że ja zbyt łatwo się zniechęcam?

– Ty? Nigdy!

– Ale czy Mike tak nie pomyśli, kiedy opowiem mu o swoich planach?

– Jeśli tak zrobi, to znaczy, że nie jest dla ciebie odpowiednim facetem. Aaa, oto mój partner. Pora się ruszyć – powiedziała Trixie, wysiadając. Jane także wysiadła.

– Hura! Patrz Janie, Flash znów to zrobił! Dobry piesek! – Trixie podniosła plastikową torebkę, w której znajdowały się bibułki i trochę jakiejś nieznannej substancji. – O, dwa banknoty dziesięciodolarowe! Ten pies to czarodziej, jeśli chodzi o wy-czuwanie pieniędzy. Radzi sobie z tym równie dobrze, jak z odnajdywaniem narkotyków. Do samochodu, funkcjonariuszu Flash! Starczy na dziś. – Flash zaszczekał i wskoczył do radio-wozu.

– Ten pies to istny cud. – Olive stała cierpliwie, jakby też chciała zostać nagrodzona. – Pora na ciasteczka Oreo. Bob Henry powiedział mi, że zawsze dawał mi ciasteczko na zakończenie służby, a w czwartek wieczorem zabierał go do Burger Kinga.

– Nie ma to jak dobra przekąska. Olive dostaje smakołyki przez cały czas. Ona uwielbia wegetariańskie burgery. – Jane pochyliła się i pogłaskała łeb Olive. – Wkrótce się rozwidni. Świetnie, że wpadłaś, Trixie. Czuję się tak, jakby spadł mi z pleców wielki ciężar. I co, zgadzasz się zaopiekować Betty Vance podczas weekendu?

– Przyślij ją. O której wyruszasz do Baton Rouge? – Trixie przypięła Flasha do tylnego siedzenia, a potem obeszała samochód i usiadła na miejscu dla kierowcy.

– Kiedy tylko wezmę prysznic i się przygotuję. Zadzwoń do Betty z drogi.

– No to do zobaczenia. Przyjemnej podróży – powiedziała

Trixie. Włączyła błyskającą lampę, zapaliła silnik i pognąła przez pole.

Jane z uśmiechem obserwowała radiowóz, dopóki nie zniknął jej z oczu.

– Olive – powiedziała, spoglądając na psa – formalnie rzecz biorąc, właśnie zrezygnowałam z pracy. Czuję się taka lekka, że chyba mogłabym fruwać. Chodź, zrobimy sobie śniadanko. A potem pojedziemy do mojej Alma Mater i zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć o moim byłym pacjencie. Może do-trzemy nawet do Sidell.

– Hau.

Jane zatrzymała samochód na parkingu dla gości i przez chwilę siedziała nieruchomo, spoglądając na rozciągający się przed nią kampus.

– Mieszkałam tutaj, Olive. Spędziłam tu cztery lata życia, studiując i chodząc tymi ścieżkami. I chyba byłam szczęśliwa, aż do tamtej feralnej nocy. A może tylko tak mi się zdawało.

Chodź, malutka, przejdziemy moją zwykłą trasą, a potem zaczekasz na mnie, kiedy pójde do biblioteki.

Poranek był spokojny i wokół spacerowało niewielu studentów. W sobotę rano zwykle odsypiano piątkowe imprezy. Tylko najbardziej pilni studenci, tacy jak kiedyś ona, byli już na nogach. Jacy byli młodzi! Czy ona kiedykolwiek była aż tak młoda? Oczywiście. Teraz poczuła się tak słaba i bezbronna, że miała ochotę uciec do samochodu i skulić się na tylnym siedzeniu. Poczucie winy niemal ją dusiło. Zaczepnęła gwałtownie powietrza.

Jakoś udało jej się dotrzeć na dziedziniec. Tutaj, tuż przed nią, wznosił się trzypiętrowy budynek Biblioteki im. Troya H. Middletona. Zagapiła się na rowery, przypięte łańcuchami do krzaków mirtu. Dawno temu ona też tak przypinała rower. Popa-

trzyła teraz na krzewy, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu, a potem spojrzała na ścieżkę, którą szła wtedy z Connie. Jedyną różnicę, stanowiła pora roku. Wtedy był ciepły wiosenny wieczór, kwitły azalie i drzewa oliwne, napełniając powietrze słodkim aromatem, podobnym do zapachu gumy do żucia. Nagłe zachciało jej się usiąść na ławce, ale nie było na to czasu. Być może później, nim wróci na dziedziniec, przespaceruje się po placu apelowym.

Od czasu do czasu spoglądała w górę, żeby przekonać się, czy latarnie jeszcze tam są i czy nie zostały rozbite. Były na swoim miejscu. Zatrzymała się i rozejrzała wokół, sprawdzając, gdzie się znajduje. Wszędzie jak okiem sięgnąć widać było europejskie w stylu dachy, kryte czerwoną dachówką. To właśnie te dachy były jednym z powodów, dla których wybrała uniwersytet stanowy. Nadstawiła uszu, gdyż zegar na wieży zaczął wybijać godzinę. Jego wspaniałe dźwięki rozlegały się co piętnaście minut. Jane spojrzała na swój zegarek. Co do sekundy.

Idź dalej, Jane. Zrób to, co kazałaś zrobić Betty Vance. Przywołaj wspomnienia. Bez względu na to, jak bardzo okażą się bolesne, przywołaj je. Może coś sobie przypomnisz.

Pierwszym, co sobie przypomniwała, było uczucie niższości w stosunku do Connie – ślicznej, popularnej Connie, Królowej Powrotu. Zapytała wówczas Jane, czy spotyka się z kimś szczególnym.

Nie, nie spotykam się z nikim, ani szczególnym, ani żadnym innym – brzmiała odpowiedź.

Po prostu jeszcze nie znalazłaś odpowiedniego faceta, Jane. Ale to kwestia czasu. Pewnego dnia spojrzysz w czyjeś oczy i będziesz wiedziała, że właśnie odnalazłaś swoje przeznaczenie. Todd i ja zamierzamy prowadzić cudowne, szczęśliwe życie. Wybraliśmy już dom, meble, nawet naczynia kuchenne i plecione podstawki pod talerze. Chcemy mieć czworo dzieci i ma-

my w nosie, czy urodzą się chłopcy czy dziewczynki, o ile będą zdrowe. Wybraliśmy już nawet imiona. Zamierzam piec ciasta i dekorować dom na święta. Zimą w każdym pokoju będzie stała choinka. Oboje uwielbiamy Boże Narodzenie. Poznaliśmy się tu na uniwerku na pierwszym roku, tuż przed feriami świątecznymi...

Rzeczywiście, Connie, szczęściara z ciebie. Oby ci się udało – powiedziała wówczas.

Odruchowo zatrzymała się w tym samym miejscu, gdzie stały wtedy z Connie. Poczwała, że ogarniają panika.

Hej! – zawołał jakiś głos w jej głowie.

Jane wciągnęła gwałtownie powietrze, odwróciła się i spojrzała na miejsce, z którego, jak pamiętała, dobiegł ją wówczas głos. Niemal widziała czające się w cieniu sylwetki: pięć tuż za nią, po prawej i jedną nieco dalej, poza grupą. Wszyscy wysocy, o szerokich ramionach i sylwetkach piłkarzy. Poczwała, że jej żołądek aż skręca się ze strachu i gniewu. ‘

Patrzcie no tylko, chłopaki. Trafiła nam się prawdziwa łaska. Na miarę tej szkoły, oczywiście.

Pamięć tego, co zdarzyło się później sprawiła, że Jane zaczęła się cała trząść. Słyszała, jak Connie pyta ich, czego chcą, a potem zobaczyła, jak trzej z nich odciągają dziewczynę w krzaki. No, chłopaki, dajcie spokój – krzyknęła – to nie jest zabawne. Usłyszała głuchy stukot i przypomniała sobie, że upuściła książki.

I nie ma być zabawne, więc się zamknij. Mamy wobec tej małej Królowej Powrotu pewne plany, no nie, chłopaki?

Wspomnienia były tak realne, że niemal czwała, jak jeden z nastników otaczają ramieniem i trzyma w uścisku tak mocnym, że ledwie mogła oddychać. Walczyła wówczas, wyrwała się i odpychała przytrzymujące ją ręce, ale na próżno.

Skrzywiła się i odsunęła o krok, kiedy przypomniała sobie, jak

jeden z nich uderzył ją w żołądek. Nogi załamały się pod nią. Opadła na ziemię. Ciemna sylwetka szóstego chłopaka ledwie majaczyła w ciemności. Był wyższy i szerszy w ramionach niż pozostali. Przypomniała sobie, że się oddalił, uciekł, a ona pomyślała, że pobiegł sprowadzić pomoc.

Wspomnienia przesuwały się przed oczami Jane niczym obrazy w kinie. Jeden za drugim. Trzej dranie, którzy zaciągnęli Connie w krzaki, wracają, poklepując jeden drugiego po ramionach.

Zgwałcili Królową Powrotu, hura!

Podobnie jak tamtej nocy, oczy Jane napełniły się łzami. Poczula, że rodzi się w niej gniew. Przypomniała sobie, jak wstała i pchnęła gwałtownie najbliższego chłopaka, przewracając go na ziemię.

Ta tłusta maciora potrzebuje lekcji, powiedział jeden z pozostałych. Kto chce przelecieć Miss Piggy? Nie ma chętnych? < Jane oddychała przez chwilę głęboko, próbując się uspokoić.

Takie ugryzienie powinno było zostawić ślad, pomyślała, tuląc do siebie Olive. Przez dłuższą chwilę siedziała na trawie, zastanawiając się, porządkując myśli i analizując.

– Wracamy do samochodu, Olive. Pójdę do biblioteki i sprawdzę, kto uprawiał wówczas zapasy lub grał w drużynie futbolowej.

Otworzyła samochód, ulokowała w nim Olive i dała jej gryzak.

– Żebyś nie ośmieliła się otworzyć tych drzwi! To nie zajmie mi dużo czasu.

Kiedy wróciła do samochodu, było już prawie południe. Za sobą usłyszała zgrzytliwy dźwięk hamującego tramwaju. Odwróciła się, aby uwolnić kolejne wspomnienie. Jeździła tym tramwajem prawie codziennie, gdy chciała dostać się z jednego końca kampusu na drugi. Nagle wydało jej się, że było to całe wieki temu.

Olive pisnęła z radości na widok pani.

Jane wsiadła do samochodu i wyjęła jabłko, które chwyciła w przelocie, wychodząc rano z domu.

– Nie. To moje jabłko, Olive. Ty dostałaś gryzak, pamiętasz? Cicho, chciałabym rzucić okiem na te wydruki.

Olive uspokoiła się i zaczęła wyglądać przez okno.

– Spójrz na to, Olive. Aż trudno uwierzyć. Brian Ramsey studiował rok niżej ode mnie. Był obrońcą w drużynie futbolowej. Reszta obroniła dyplom w tym samym roku, co ja. Mam tu informacje o każdym z nich, ale nie zamierzam ich teraz czytać. Zaczekam, aż znajdziemy się domu. Wszyscy byli mocno zbudowani, ale żaden nie dorównywał Ramseyowi. Założyłabym się też, iż żaden z nich nie miał tak wielkich dłoni. Wzięłam adresy z książki absolwentów. Mam tu ich wszystkich: zapaśników, członków drużyny i graczy rezerwowych. Mieszkają do dziś w Luizjanie. Czeka mnie sporo roboty, ale zamierzam się przez to przedrzeć. No i jest jeszcze ta torba. Musiałam mieć jakiś cel, że ją zatrzymałam. Jeszcze szybki spacerek i ruszamy do Slidell.

Olive maszerowała przy nodze. Jane zmierzała ku siedzibie Stowarzyszenia Studentów i placowi apelowemu. Szła przez środek kampusu, rozglądając się na prawo i lewo. Oto budynki David Boyd Hall, Charles E. Coates Hall, James W. Nicholson Hall. Fontanna naprzeciw Thomas W. Atkinson Hall wyglądała tak samo i nadal wyrzucała w powietrze wodę. Ileż to razy siedywała tutaj na ławce, rozmyślając o życiu. Szła dalej, przystając co kilka kroków, by Olive mogła powęszyć albo przykucnąć. Czerwony znak informował, że Dyskoteka Tima nadal działa. Podeszła do środka dziedzińca, aby pogapić się z podziwem na rosnące tam wspaniałe drzewo. Podczas czterech lat studiów sfotografowała je chyba z pięćdziesiąt razy. Ciekawe, gdzie się podziały te zdjęcia, pomyślała. Pewnie leżą zapakowane w jakimś pudle w garażu.

– Widzisz to coś, co rośnie wokół pnia, Olive? Nazywa się aspidistria, czyli żelazne liście. Nie da się tego zniszczyć. Żyje w nieskończoność. Myślę, że dość już zobaczyłam. Pora się zbierać.

Mike Sorenson wbiegł po schodach, wyłowił z kieszeni klucz i otworzył drzwi domu Jane. W środku panował podejrzany spokój. Przynajmniej Olive powinna się już pojawić.

– Gdzie jesteś, Jane? – zawołał donośnie. – Przyniosłem świeże pączki!

Nie słysząc odpowiedzi, wbiegł szybko na piętro. Spochmurniał na widok starannie zasłanego łóżka. Było zbyt wcześnie, żeby łóżko, w którym ktoś spał, mogło być zasłane. Jane zwykle robiła to tuż przed wyjściem. Sprawdził ręczniki w łazience. Były wilgotne, a wnętrze kabiny prysznicowej nadal mokre. Do licha. Nie wspominała, że ma zamiar wyjść tak wcześnie.

Zszedł na parter i zajrzał do kuchni, skąd widać było tylne podwórko, gdzie Jane zwykle zostawiała samochód. Gdy tylko wszedł, zobaczył notatkę, opartą o ślój z ciasteczkami.

Mike!

Postanowiłam pojechać do Baton Rouge, aby sprawdzić parę rzeczy. Nie jestem pewna, czy dzisiaj wrócę. Być może pojedę jeszcze do Slidell, a jeśli tak, nie będę w domu wcześniej niż jutro rano. Myślałam, że do mnie zadzwonisz. Tęskniłam za rozmową z tobą. Zabieram Olive. Zostaw numer telefonu komórkowego, pod którym będziesz dziś uchwytany. Jeśli trafi się okazja, zadzwonię.. Ostatniej nocy podjęłam kilka ważnych decyzji. Chciałabym z tobą i o nich porozmawiać.

Jane

Mike otworzył torbę z pączkami. Rozmyślał gorączkowo, zaja-

dając słodczyce. Nagle oblał go zimny pot. Czyżby te decyzje miały coś wspólnego z nim? Czy Jane gniewała się, ponieważ nie zadzwonił tak, jak obiecał? Przeczytał kartkę drugi raz. Tekst brzmiał zbyt oficjalnie, poza tym Jane nie podpisała jej: „Kocham, Jane”. Gdyby on pisał do niej kartkę, na pewno tak by ją podpisał. I nie zacząłby wiadomości wyłącznie od imienia. Napisałby: „Droga Jane”. Dlaczego nie napisała: Drogi Mike’u? Pot spłynął mu po czole, więc otarł go rękawem koszuli. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Pójść do domu? Zaczekać tu na nią? Mógłby wziąć z garażu skrzynkę z narzędziami i poprawiać jakieś krzywe sprzęty. Albo włączyć komputer i popracować. Parsknął. Nad czym miałby pracować? Nie miał żadnych zaległości, więc pozostało mu jedynie odbierać telefony. Może powinien zadzwonić do rodziców. Albo rozejrzeć się za duchem, który podobno nawiedza ten dom. Z drugiej strony, może lepiej byłoby pójść po prostu do domu i porządnie się wyspać. W końcu zdecydował się włączyć komputer. Nim usiadł za biurkiem, zapamiętał, gdzie co leży. Jeśli coś poruszy, będzie mógł potem odłożyć to na miejsce. Ludzie nie lubią, kiedy przestawia się ich rzeczy. On sam po prostu tego nie znosił. Spojrzał na stertę wydruków. Dzisiejsza data. To znaczy, że Jane pracowała po północy. Z kieszeni komputera wystawała piracka dyskietka. Nie czując się ani trochę winny, zaczął przeglądać wydruki. Kiedy skończył, odchylił się na obrotowym krześle. Z pozoru wydruki zawierały jedynie informacje na temat Briana Ramseya i Berty Vance. Najwidoczniej jednak Jane doszukała się w nich czegoś, co skłoniło ją do wyjazdu. Poczuł ukłucie strachu. Spojrzał na stos kartek, zawierających informacje na temat Betty Vance. Kim, u licha, jest Berty Vance? – Tęsknię za tobą, Jane Lewis – mruknął pod nosem, a potem odchylił się głębiej i przymknął oczy.

Trixie McGuire spojrzała przez stół na męża, zaciskając mocno palce na kubku z kawą.

– Nie podoba mi się wygląd tej kobiety, Fred. Nie jestem lekarzem, tak jak Janie, ale żyję już dość długo i to, co widzę, bardzo mnie martwi. Ona jest zupełnie wytrącona z równowagi. Nie potrzebuję żadnego podręcznika ani dokumentacji, by wiedzieć, że ta kobieta przysporzy Janie kłopotów. A nawet nie jest jej pacjentką. No, właściwie, jest i nie jest. – Podniosła kubek i już miała się napić, kiedy przyszła jej do głowy pewna myśl. – Mam złe przeczucia, naprawdę fatalne. Jestem prawie pewna, że wkrótce wydarzy się coś złego i wszyscy wpadniemy w poważne tarapaty. A co ty o tym myślisz, kochanie?

– Myślę, że powinniśmy dać jej szansę – powiedział Fred, wyciągając rękę, żeby poklepać dłoń Trixie. – To szkliste spojrzenie to skutek zażywania lekarstw. Sześć miesięcy na prochach też zrobiłoby z ciebie zombie. Jane uważa, że może się z tego wyciągnąć. – Cofnął rękę i uśmiechnął się do żony, by dodać jej otuchy.

– Zauważ tylko, ona posłuchała Janie. Wzięła sobie psa i przyjechała do nas na farmę – powiedział, wskazując za okno. – Popatrz, jak mocno trzyma smycz. Ten pies zapewnia jej poczucie bezpieczeństwa. – Spojrzał znowu na żonę. – Nie twierdzą, że się mylisz, Trix. Martwię się o Janie i o to, co ci powiedziała. Zamierza ot tak, bez namysłu, poddać się i zrezygnować z kariery. Jest dobra w tym, co robi. To cholerna szkoda, że chce się wycofać z zawodu.

Trixie westchnęła z rezygnacją.

– Musimy wierzyć w jej rozsądek. Ma głowę nie od parady. Inaczej nie ryzykowałyby z tą dziewczyną. A co się tyczy tego, o czym wspomniałeś przedtem – ona po prostu stara się prze-

zwyciężyć poczucie winy, wywołane tym, co przytrafiło się jej koleżance. Jeśli nas potrzebuje, będziemy przy niej. Jesteśmy już starzy, Fred. Zbyt długo siedzieliśmy spokojnie na naszych szacownych tyłkach, pisząc książki, i teraz nie bardzo wiemy, co się dzieje w prawdziwym świecie. Stale o czymś zapominamy. Trzęsą nam się ręce. Dzięki Bogu, nasze umysły pozostały sprawne. Musimy zrobić coś dla Janie, zanim nadejdzie nasz czas.

Fred chwycił obronnym gestem kwieciste szelki i poprawił okulary.

– Mów o sobie, Trixie. Ja zamierzam żyć wiecznie. Musimy tylko przestać wtrącać się w sprawy Jarie, chyba że sama nas o to poprosi. , – Powinnam pilnować swego nosa, tak? To po prostu niemożliwe, więc lepiej od razu o tym zapomnij. Denerwujesz mnie, a na pewno nie chciałbyś mnie denerwować, prawda, Fred? – Trzasnęła kubkiem o stół, aż kawa chlusnęła na blat. Jej oczy błyszczały gniewnie.

Fred jęknął.

– Daj spokój, Trix. Oboje wiemy, że nie potrafisz gniewać się na mnie dłużej niż dziesięć minut. Po prostu nie chciałbym, żebyś zrobiła coś pochopnie i zaczęła walić głową w mur. – Odsunął krzesło. – Muszę już iść do roboty. A tak nawiasem mówiąc, to czy udało nam się w końcu ustalić, jaka siekiera – tępa czy ostra – jest w stanie spowodować większy upływ krwi?

– Zajrzyj do mojego zeszytu, pod hasło „krew”. Myślę, że tępa spowodowałaby większe krwawienie. Nie mogę o tym teraz myśleć, Fred.

– To może pomyślałabyś o trzech tabletkach Viagry, które zostały w buteleczce? – zapyta!, uśmiechając się szelmowsko.

Trixie także się uśmiechnęła.

– Masz trzy?

– Tak. Załóż to coś z brylancikami na ramieniu – powiedział,

mrugając do niej.

– Trzy! Myślałam, że wszystkie już zużyliśmy. Widzisz, Fred, tak to właśnie wygląda. Musiałam być bez okularów, kiedy patrzyłam na butelkę.

Fred znowu pociągnął za szelki i spytał, zerkając na żonę poządlowie:

– I jak, czy wiemy w końcu, co by się stało, gdyby każde z nas zażyło po jednej tabletkę?

– Owszem. Jedno z nas zesłoby z tego świata przed świtem. – A, rzeczywiście, zapomniałem.

– Tak właśnie by się stało, Fred. Zmień pościel. Weź tę w różowe kwiatuszki. Będzie tak, jakbyśmy kochali się na łące obsypanej różami.

Fred nie potrzebował dodatkowej zachęty. Wymaszerował z kuchni, pogwizdując i trzymając się za szelki.

Trixie pomachała mu ręką i poszła na tylną werandę, gdzie ulokowali się: Flash, Betty Vance i Golda.

– Przyjemnie tutaj, prawda?

– O, tak. Kto zajmuje się ogrodem? Nigdy nie widziałam tylu kwiatów o tej porze roku.

– Raz w tygodniu przychodzi ogrodnik. Zajmuje się wszystkim. Jak ci się spało bez tych pigułek, kochanie?

– Marnie. To dlatego brałam pigułki na sen, valium i to lekarstwo, którego nazwy nie jestem w stanie wymówić. Doktor Lewis powiedziała, że trochę to potrwa, zanim mój organizm uwolni się od działania leków. Ale ja chyba po prostu boję się zasnąć. Nie chcę, żeby mi się to znowu przyśniło.

Trixie zastanawiała się przez chwilę.

– Sny nie wyrządzą ci krzywdy, Betty. Musisz przestać bez przerwy o tym myśleć. Chyba niedostatecznie się starasz. Być może nigdy ci się nie uda. Niektórzy podświadomie czepiają się tego rodzaju wspomnień. Czasem tylko po to, by mieć wymów-

kę, że nie robią nic ze swoim życiem. Mam nadzieję, że ty do nich nie należysz – wypaliła Trixie, nie owijając w bawełnę. Betty spojrzała na nią z ukosa.

– Nie, nie należę – zapewniła gorąco. – Zanim zostałam napadnięta, moje życie było równie dobre, jak każdego innego. Miałam wspaniałą pracę, pieniądze w banku, samochód, meble i mieszkanie. Łatwo wam mnie pouczać, ale jeśli nie przeżyliście czegoś takiego, jeśli nie zostaliście zgwałceni przez jakiegoś łobuza, podczas gdy jego kumpel przykładał wam nóż do gardła, nie powinniście nikogo osądzać.

Trixie skinęła głową. Nie czuła się urażona, ani trochę.

– Ta mała przemowa świadczy o tym, że masz charakter, Betty. Nieźle mnie złąjałaś. To dobrze – dodała, poklepując dziewczynę po kolanie. – Jane nie myliła się co do ciebie. Ona uważa, że masz w sobie dość siły, by przez to przebrnąć. Pytanie tylko, dlaczego się nie starasz? Przeżyłaś, a to oznacza, że należysz do tych, których niełatwo złamać. Żyjesz. Mogłabym powiedzieć ci, ile kobiet nie miało tyle szczęścia. Moim zdaniem, lepiej żyć, niż być martwym. Ale to wyłącznie moja opinia, Betty.

– No, nie wiem. Czasami łatwiej jest się poddać.

– A co się stanie, kiedy przyjaciel w końcu będzie miał cię dosyć? Wierz mi, to tylko kwestia czasu. Dokąd wtedy pójdziesz? Co z sobą zrobisz?

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, że sesje w centrum kryzysowym pomogą. Doktor Lewis zgodziła się spotykać ze mną codziennie. Mam nadzieję, że mi to pomoże.

– Ja też na to liczę. Ale nie możesz zdawać się wyłącznie na innych. Jeśli chcesz zostawić za sobą ten koszmar, to przede wszystkim ty musisz podjąć wysiłek. – Pochyliła się i pogłaskała Golde. – Znalazłaś sobie miłego psa. Flash też chyba ją polubił.

Betty objęła ramionami psa i przytuliła go.

– W nocy spała ze mną w łóżku. Chyba jest przerażona. I pewnie tęskni za właścicielem.

– Tak, wiem coś o tym. Flash tak bardzo tęsknił za swoim poprzednim opiekunem i za pracą, że omal go nie straciliśmy. Ale jak widzisz, teraz czuje się zupełnie dobrze. Oczywiście, ciężko nad tym pracujemy. Jednak uszczęśliwianie go sprawia nam tyle radości... – Trixie wstała. – Jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić, Betty? Może zjesz lunch?

– Chętnie. Posiedzę sobie tu jeszcze trochę na słońcu, a potem, jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, zabiorę Goldę na krótki spacer. Chyba zanosi się na burzę. Facet od pogody powiedział, że po południu będzie padać.

– I chyba miał rację – powiedziała Trixie, spoglądając na kłębiące się po wschodniej stronie nieba chmury. – Zawołam, kiedy przygotuję lunch. Musimy cię podtuczyć. Jesteś prawie tak koścista, jak ja.

Miała nadzieję, że Betty się uśmiechnie, a może nawet roześmieje, ale dziewczyna tylko gapiła się na ogród, machinalnie gładząc psa.

Gdy Trixie znalazła się w kuchni, westchnęła bezsilnie. Ta dziewczyna nie ma zamiaru przestać się zadrećcać. Zrobi, co jej się każe, ale na tym koniec. Janie, malutka, będziesz z tym miała trochę roboty.

Dochodziła czwarta. Jane skręciła w otoczoną drzewami ulicę, przy której stały zadbane, dwukondygnacyjne budynki, cofnięte nieco od chodnika. Było tu mnóstwo zielonych niczym pole golfowe trawników. Miła ulica, pomyślała. W sam raz, by na niej dorastać. Ciekawe, czy Connie jeździła tutaj na rolkach i czy jeździła rowerem do szkoły. Żałowała, że tego nie wie. Czy miała przyjaciół w sąsiednich domach, a może na pobliskich ulicach? Zanotowała sobie w pamięci, by spytać, gdzie znajduje

się cmentarz. Tyle przynajmniej mogła zrobić – położyć kwiaty na jej grobie.

Spoglądając przez okno samochodu, sprawdzała numery na skrzynkach pocztowych. A kiedy znalazła ten, którego szukała, wstrzymała oddech. Czy dobrze zrobiła, przyjeżdżając tutaj? Miała nadzieję, że tak.

Zresztą, to bez różnicy. Musiała zrobić to, co zaplanowała i co powinna zrobić już wiele lat temu.

Gdzieś nad jej głową przetoczył się grzmot. Wiatr gwizdał w konarach drzew, gdy szła krętą ścieżką otoczoną z obu stron starannie przyszyżoną trawą. Ile razy Connie przemierzała tę samą drogę?

Ganek był bardzo ładny, w rodzaju tych, jakie jej opisał Mike. Były tu zielone maty z łyka, wygodne białe bujaki z kolorowymi poduszkami i małe stoliczki, na których stały jakieś rośliny. Ciekawe, czy ktokolwiek tu czasem siada, pomyślała. Wyposażenie wyglądało na nowe, ledwie używane. Wiatraki nad głową wirowały, choć nie obracał nimi prąd. Wiatr się wznagał, a długa weranda była niczym tunel powietrzny. Jeszcze trochę i doniczki z paprociami pospadają i się potłuką. ;

Nerwowo przełknęła ślinę i zadzwoniła do drzwi. Deszcz lunął z pociemniałego nieba. Drzwi otworzyła kobieta do złudzenia przypominająca postarzałą Connie. Była drobną blondynką o modnej fryzurze. O ile Jane mogła sobie przypomnieć, pracowała jako pielęgniarzka. Jej mąż był nauczycielem. Teraz prawdopodobnie oboje są już na emeryturze.

– Pani Bryan?

– Tak.

– Jestem Jane Lewis. Byłam przyjaciółką Connie – powiedziała, podając kobiecie swoją wizytówkę.

– Proszę, niech pani wejdzie. Mąż dłubie przy czymś w warsztacie. Jestem pewna, że będzie chciał panią poznać. Zaraz po

niego pójdę. To zajmie tylko minutę. Napije się pani kawy? Dopiero co zaparzyłam.

– Chętnie, dziękuję bardzo.

Jane rozejrzała się po saloniku. Jest wygodny, pomyślała od razu. Zaciśnęła powieki, próbując wyobrazić sobie Connie, jak leży na podłodze, czyta książkę i spogląda od czasu do czasu na telewizor. Prawdopodobnie grywała na stojącym w kącie pianinie, na którym umieszczono fotografie, pokazujące ją od niemowlęcia, aż po college. Nad kominkiem wisiał wielki portret dziewczyny w jasnożółtego koloru sukni, jaką nosiła na studenckich balach. Jane znowu przełknęła ślinę. Rodzice Connie są teraz prawdopodobnie w warsztacie, szepczą i zastanawiają się, czemu zjawiała się u nich po tylu latach. Proszę cię, Boże, niech to, co robię, okaże się właściwe.

– Doktor Lewis, to mój mąż, Quentin. Ja mam na imię Adele. Proszę, niech pani usiądzie. Zaraz podam kawę.

– Proszę mi mówić Jane.

– W porządku, Jane – powiedział spokojnie Quentin Bryan.

Był niski, przysadzisty i zupełnie łysy. Nie wygląda sympatycznie, ani odrobinę – pomyślała Jane, zastanawiając się, czy by nie czmychnąć.

– Nie przypominam sobie ciebie, Jane. A może zawodzi mnie pamięć?

– Nie, nigdy się nie poznaliśmy, proszę pana.

– Co cię sprowadza do Slidell?

– Przyjechałam prosto z uniwersytetu. Byłam tam dziś po południu. Przez wszystkie te lata chciałam tu przyjechać, ale nie mogłam zebrać się na odwagę. Muszę coś państwu powiedzieć. Powinnam te była zrobić wiele lat temu, ale obiecałam Connie, że będę milczała.

Twarz mężczyzny poczerwieniała.

– Młoda damo, chyba lepiej będzie, jeśli poczekaasz z tym, co

masz do powiedzenia, aż zjawi się tu moja żona.

W jego głosie było tyle chłodu, że Jane zadrżała, mimo iż miała na sobie zapięty po szyję sweter.

– Już jestem, Quentinie. Z czym pani do nas przyjechała, doktor Lewis?

Jane chrząknęła.

– Nim zacznę, czy mogliby mi państwo powiedzieć, dlaczego Connie odebrała sobie życie?

Łzy napłynęły do oczu Adele.

– Niewierny. To stało się w nocy. Quentin znalazł ją rano, kiedy nie zeszła na śniadanie. Nie jesteśmy w stanie się domyślić, co ją do tego skłoniło. Tuż po rozdaniu dyplomów miała wyjść za mąż, była bardzo zakochana. Todd był tak załamany, że nawet nie pojechał na uroczystość wręczenia dyplomów. On też nie wiedział, co się stało. To był szok dla nas wszystkich. :

Jane wzięła głęboki oddech.

– Ja znam ten powód – powiedziała najspokojniej, jak mogła. – Właśnie dlatego przyjechałam. – Oblizwała wyschnięte wargi. – Wieczorem przed końcowymi egzaminami wracałyśmy razem z biblioteki. Sześciu chłopaków wyszło z zarośli i sterroryzowało nas. Trzej z nich chwycili Connie i zaciągnęli w krzaki, gdzie ją zgwałcili. Próbowałam wszystkiego, by jej pomóc, ale zbyt mocno mnie trzymali – mówiła, spoglądając wprost na ich przerażone twarze. – Potem błagałam ją, by pozwoliła się zabrać do centrum kryzysowego albo na policję, ale odmówiła. Zmusiła mnie, bym przyrzekła, że nikomu o tym nie powiem. Z jakiegoś powodu była przekonana, że Todd już by jej nie chciał i że zerwałby zaręczyny. Tę noc spędziła w moim pokoju. – Umilkła i ze współczuciem przyglądała się, jak ojciec Connie otacza ramieniem płaczącą żonę. – Connie życzyła sobie, bym wyrzuciła jej ubrania. Nie chciała, żeby przypominały jej tamtą koszmarną noc. Włożyłam je do papierowej torby i zachowałam, bo pomy-

ślałam, że jeśli kiedyś zmieni zdanie i będzie chciała pójść na policję, przydadzą się jako dowód. Nadal mam tę torbę, a DNA na ubraniu z pewnością nadaje się do badań. Przywiozłabym ją ze sobą, ale zdecydowałam się odwiedzić państwa dopiero, kiedy znalazłam się na uniwersytecie.

– To niedorzeczne! – wybuchnął Quentin Bryan. – Dlaczego nam pani to robi? Jaki może mieć pani powód, by tu przyjeżdżać i znowu to rozgrzebywać? Nie chcę tego słuchać, moja żona też nie. Gdyby Connie została zgwałcona, powiedziałyby nam. Była dobrym dzieckiem, nie miewała sekretów. Do licha, powiedziałyby nam.

Adele wzięła męża za rękę.

– Spokojnie, Quentin – powiedziała cicho, lecz stanowczo. – Ja chcę tego wysłuchać. Muszę wiedzieć. – Odwróciła się do Jane.

– Kiedy Connie wróciła z college’u, nie była już taka jak przedtem. Rozmawiała z nami, a nawet uśmiechała się od czasu do czasu, ale wyglądała tak, jakby uszło z niej całe życie. Straciła zainteresowanie weselem i powiedziała, że nie wybiera się na rozdanie dyplomów. Nie podała powodu. Nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi, Todd także nie. Zrobił wszystko, co możliwe, aby wyciągnąć ją z tego, co nazwał psychicznym dołkiem. Sądził, że być może, egzaminy końcowe nie poszły jej najlepiej. Quentin się myli. Nigdy nie powiedziałyby nam o czymś takim. Czy... czy zna pani nazwiska tych chłopaków?

– Nie rozpoznałam ich, było zbyt ciemno. Nie paliło się kilka latarni. To dlatego wracałyśmy razem z biblioteki.

– Co skłoniło panią, by do nas w końcu przyjechać? – zapytał Quentin oschle.

Jane złożyła dłonie na kolanach.

– Uznałam, że macie państwo prawo wiedzieć. Nie chciałam, żebyście wyrzucali sobie, że to któreś z was zrobiło lub powiedziało coś, co skłoniło Connie do tego kroku. Że w jakiś sposób

ją zawiedliście. Żałuję, że nie przyjechałam wcześniej, ale... no cóż, nie zrobiłam tego. Wtedy, tuż po śmierci Connie, chyba byście mi nie uwierzyli. – Pochyliła się lekko do przodu. – Wiecie, że Todd Prentice się ożenił? Nie czekał nawet roku. Jego żona jest bardzo bogata z domu i mają troje dzieci: Joshuę, Alicję i Petera.

Adele wciągnęła gwałtownie powietrze.

– To imiona, które Connie wybrała dla swoich dzieci. Odwróciła się i przywarła do męża.

Jane zmarszczyła brwi.

– Widziałam go kilka lat temu, podczas imprezy charytatywnej na rzecz uniwersytetu. Wiedziałam, kim jest, choć nigdy nie poznałam go osobiście. Z jakiegoś tajemniczego powodu podszedł wtedy do mnie. Pomyślałam wówczas, że to bardzo dziwne – i nadal tak myślę.

– Ale co to ma wspólnego ze śmiercią Connie? – zawołał Quentin. – Odebrała sobie życie. Na miłość boską, nie może pani pozwolić jej spoczywać w pokoju?

Adele łkała cicho, wtuliwszy twarz w zwitek chustek, które wcisnął jej mąż.

– Uspokój się, Quentin. Chcę usłyszeć wszystko. – Drżącymi dłońmi sięgnęła po filiżankę. – Przez całe lata obwinialiśmy siebie za śmierć Connie – powiedziała. – To taka ulga dowiedzieć się, że nie zrobiliśmy nic niewłaściwego. Ale jestem ciekawa. Cała ta sprawa z Toddem, tym, że się ożenił, ma dzieci i że odszukał panią podczas imprezy. Widocznie uważa pani, że to ważne, inaczej nie wspominałaby pani o tym. Co pani podejrzewa, doktor Lewis?

Jane westchnęła głęboko.

– Właściwie nie wiem, pani Bryan. Ja też szukam odpowiedzi. I ulgi. Nigdy nie przestałam żałować, że nie zmusiłam Connie, by poszukała pomocy. Trzeba było to zrobić choćby siłą. Przez cały

czas prześladuje mnie poczucie winy. – Upiła łyk kawy. Postanowiła powiedzieć wszystko, absolutnie wszystko. Kiedy już opuści dom Bryanów, wołałaby tu nie wracać tylko dlatego, że o czymś zapomniała. – Jestem psychiatrą. Niedawno zgłosił się do mnie pewien pacjent. Grał w futbol na uniwersytecie. Było w nim coś... coś się nie zgadzało. Powiedział, że jest żonaty. I że jego żona została zgwałcona, a on nie może się zmusić, by jej dotknąć. Jednym słowem, zachowywał się dokładnie tak, jak, zdaniem Connie, zachowałby się Todd Prentice, gdyby dowiedział się o gwałcie. Wczoraj w nocy włamałam się do bazy danych i odszukałam wszelkie informacje, jakie tylko mogłam znaleźć na temat mojego pacjenta. Dziś rano pojechałam na uniwersytet i zdobyłam kopie zdjęć wszystkich członków drużyny futbolowej z okresu, kiedy obie tam studiowałyśmy. Nie potrafię tego udowodnić, ale uważam, że ci, którzy zaatakowali Connie, byli piłkarzami. Sądzę, że mój pacjent był jednym z nich. Nawiasem mówiąc, on już nie jest moim pacjentem. I nie jest żonaty.

Zacisnęła dłonie, a potem skrzywiła się i powiedziała:

– Broniąc się, ugryzłam jednego z nich i to do kości. Musi mieć teraz bliznę. To właśnie chciałam wam powiedzieć.

– Powinna była pani trzymać się od nas z daleka. Nie musieliśmy wiedzieć o całym tym bagnie – warknął opryskliwie pan Bryan.

– Jeszcze jedno słowo, Quentin, a przysięgam, wyjdę tymi drzwiami i więcej nie wrócę.

Quentin Bryan wyszedł z pokoju, burcząc coś pod nosem z wściekłości. Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi.

– I co ma pani zamiar z tym zrobić, doktor Lewis?

– Sama chciałabym wiedzieć. Ta wizyta dużo mnie kosztowała. Chyba pojedę teraz do domu i jeszcze raz wszystko sobie prześlę. Mój umysł nie pracuje teraz zbyt jasno. Ale nie zamie-

rzam tak tego zostawić. Doprowadzę sprawę do końca, bez względu na to, jaki on będzie. Po prostu chciałam, żebyście państwo o tym wiedzieli.

– Skąd... skąd pani wie, jak Todd nazwał swoje dzieci? – spytała Adele.

– On mieszka w Crowley. Zadzwoiłam do niego rano i podałam się za ankieterkę przeprowadzającą wywiady na temat popularnych imion dziecięcych. Gosposia wytrajkotała je natychmiast.

– Chciałaby pani zobaczyć pokój Connie, doktor Lewis?

– Tak.

– Byłam tam dzisiaj rano. Nie ruszaliśmy w nim niczego. Nie traktujemy go jak świątyni czy ołtarzyka ku jej czci. Po prostu do tej pory nie mogłam się zmusić, żeby... żeby...

– Rozumiem, pani Bryan.

Pokój był dokładnie taki, jak sobie wyobrażała. Plakaty na ścianach i typowy, dziewczęcy telefon. Na wieszaku wisiał kostium maskotki drużyny z wystającymi z rękawów pomponami. Niżej widać było łyżwy i łyżworolki. Wszędzie stopy książek. Na łóżku leżał szlafrok, poniżej stały ranne pantofle. Na podłodze obok biurka spoczywała sterta magazynów „Ms” i „Cosmopolitan”. Na biurku stał przykryty komputer. Jednym słowem, był to pokój osoby żyjącej pełnią życia, bezpieczny i przytulny.

– Tę narzutę zrobiliśmy razem, gdy miała dziesięć lat. Uwielbiała szyć. Chciała zabrać ją ze sobą do nowego domu. Quentin i ja kupiliśmy nową maszynę do szycia na prezent ślubny, bardzo nowoczesną. Nigdy nawet jej nie rozpakowała. Quentin wyniósł ją na strych. Connie powiedziała, że Todd był rozczarowany. Liczył, że damy im pieniądze.

– Nie mam zbyt dobrego zdania o Toddzie Prentice – stwierdziła Jane szorstko.

– My także. Lecz Connie go wybrała i była taka szczęśliwa!

Zaplanowała całe ich wspólne życie. Wątpię, by to małżeństwo okazało się udane. On tak szybko się ożenił. Rok to niezbyt długa żałoba.

Jane weszła głębiej do pokoju.

– Czy Connie zostawiła list?

Adele potrząsnęła głową.

– Sprawdziliście państwo komputer?

– Boże, nie! Powiedziałam już pani, po prostu zamknęliśmy drzwi tego pokoju. Nie wchodziłam tutaj od lat. Dokładnie mówiąc, od czterech. Quentin też nie.

– Miałaby pani coś przeciwko temu, żebym zabrała te dyskietki?

– spytała Jane, wskazując na plastikowe pudełko z tuzinem kolorowych dyskietek. – Oczywiście, zwrócę je. Może na nich coś być, choć niekoniecznie.

– Bardzo proszę, ale nie wspominajmy o tym Quentinowi. Proszę schować je do torebki. Jak pani uważa, powinnam opróżnić ten pokój?

– Tylko, jeśli naprawdę pani chce. Na początek mogłaby pani nie zamykać drzwi. A kiedy poczuje się pani gotowa, zrobi pani, co będzie musiała.

– Mój mąż to dobry człowiek, doktor Lewis. Connie była jego ukochaną córeczką. Wie pani, co ludzie mawiają o córeczkach tatusia? Była nią i jeszcze kimś więcej. Zabierał ją na ryby, na biwaki i Wycieczki. Razem myli samochód. Po prostu ją uwielbiał. Po jej śmierci tak się załamał, że nie był w stanie pracować i musiał przejść na emeryturę. Ja pracuję, bo dzięki temu mogę zająć czymś myśli. Ale za rok ja też będę emerytką.

Jane schowała dyskietki do torby i odwróciła się.

– Pójdę już. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie tu jest cmentarz? Chciałabym położyć kwiaty na grobie Connie.

– Pójdę z panią. To niedaleko. Jane potrząsnęła głową.

– Dziękuję, ale chcę to zrobić sama. Muszę przeprosić pani cór-

kę. Mam nadzieję, że zrozumie.

Adele Bryan skinęła głową.

– Chyba... chyba zostawię te drzwi uchylone. Na razie. Może jutro otworzę je trochę szerzej. Jestem wdzięczna, że pani przyjechała. To musiało być dla pani trudne. A co do cmentarza, to pójdzie pani...

Nagrobek był kwadratowy i prosty. CONSTANCE BRYAN, UKOCHANA CÓRKA – głosił wryty napis. Żadnych dat ani rzeźb. Nic, tylko skromna marmurowa płyta. Jane położyła kwiaty, kupione w sklepie spożywczym po drodze. Uklękała, nie bacząc na deszcz. Mówiła, dopóki nie zabrakło jej słów.

– Wiem, że cię tu nie ma, Connie. Wiem, że twoja dusza przebywa teraz zupełnie gdzie indziej, ale częśćka ciebie, ta, którą znałam tak krótko, wie, że tu jestem. Wrócę. Nie wiem, kiedy ani po co, ale gdy to zrobię, będę znała odpowiedzi. Jestem ci to winna.

Wstała z trudem. Czowała się przemarznięta do szpiku kości. W samochodzie, powitana gorąco przez Olive, natychmiast podkreśliła ogrzewanie. Siedziała, drżąc, w zaparowanym wnętrzu, a łzy spływały jej strumieniem po twarzy. Czy kiedykolwiek czuła się aż tak bezradna? Wytarcie oczu i nosa ani trochę nie poprawiło jej nastroju.

Spojrzała na telefon komórkowy na desce rozdzielczej. Pora zadzwonić do Trixie i Mike'a.

– Jak leci, Trixie? Z Betty wszystko w porządku? Były jakieś problemy?

– U nas wszystko gra, Janie. Gdzie jesteś, skarbie?

– W Slidell, na parkingu przy cmentarzu. Przyjechałam tu z Baton Rouge. Rodzice Connie nie wiedzieli o gwałcie. Nie mieli o tym pojęcia. Opowiem ci, kiedy wrócę. Gdzie jest teraz Betty?

– Niedawno przyjechał po nią przyjaciel. Rano grała z Fredem

w warcaby, a potem czytała gazetę i bawiła się z psami. Zjadła porządny lunch i zabrała Goldę na spacer. Wróciła, kiedy zaczęło padać. Nie mówiła zbyt wiele i nie rwała się do pomocy. Odpowiada na pytania, ale to wszystko. Koło trzeciej wyszłam na trochę z Flashem. Słuchaj, muszę kończyć, bo wysiada mi bateria. Trzeba ją podładować.

Jane włożyła kluczyk do stacyjki, wrzuciła bieg i włączyła wycieraczki. Czekając, aż para zniknie z szyb, wybrała numer Mike'a.

– Cześć, to ja, Jane.

– Gdzie ty się, u licha, podziewasz? Masz pojęcie, która godzina? Cały dzień czekam na twój telefon. Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, nie uprzedzając mnie, przysięgam, że ci wleję.

– Obiecanki, cacanki – powiedziała Jane leniwie. Zależy mu na mnie. Naprawdę mu zależy.

– Gdzie jesteś?

– Wyjeżdżam z cmentarza w Slidell. Musiałam się pożegnać. Wracam do Rayne. Tu leje jak z cebra, więc będę jechała powoli. Powinam być w domu na dziewiątą. Ciepła kolacja i butelka dobrego wina byłyby mile widziane. Wstąp do Roya i kup coś, dobrze?

– Nic ci nie jest, Jane? Twój głos brzmi jakoś dziwnie.

– Chyba nie. Wreszcie odważyłam się przywołać wspomnienia, Mike, i przypomniałam sobie parę rzeczy. Potem wybrałam się do Bryanów i powiedziałam im o wszystkim. Adele Bryan pozwoliła mi zabrać dyskietki Connie. Mam nadzieję, że coś na nich będzie.

Gdzieś z tyłu zatrąbił klakson.

– Posłuchaj, straszny tu ruch i muszę patrzeć na drogę, więc kończę. Tęskniłam za tobą i wiele o tobie myślałam.

– Pojechałbym z tobą, Jane. Mogłaś wplątać się w coś niebezpiecznego. Znow zaangażowałaś się osobiście. To niedobrze.

– Inaczej nie potrafię, Mike. Do zobaczenia. Kocham cię – do-
dała nieśmiało.
– Gdybyś wiedziała, jak się martwiłem... ja też cię kocham. Tak
bardzo, że aż palą mnie uszy. Nigdy nie powiedziałem tego
żadnej kobiecie. A co ciebie pali, Jane?
Jane nie odpowiedziała. Roześmiała się tylko i przerwała połą-
czenie.

Rzuciła mu się w ramiona i ścisnęła tak mocno, że jęknął.
– Nie widziałam cię prawie dwa dni, Mike.
Całowała go, aż uszczypnął ją, by go puściła, a wtedy zaczął
oddychać spazmatycznie, udając, że brakuje mu powietrza.
– No, teraz wiem, że nie zapomnisz o mnie, kiedy będę brała
prysznic i myła głowę. Może potem włożę tylko szlafrok na
gołe ciało? Zjemy kolację i hop do łóżka.
– Czytasz w moich myślach, Jane.
– Co na kolację?
– Pieczony kurczak, sałatka coleslaw, frytki i trochę sosu. To
dla mnie. Ty dostaniesz gotowane na parze warzywa z seza-
mem, kaszę i napój z jagód.
– To, co wzięłeś dla siebie, jest bardzo tłuste?
– Oczywiście. Stół już nakryty. Mogę umyć ci plecy, jeśli
chcesz.
– Dawno nie jadłam niczego naprawdę tłustego. Może będę
miała ochotę skubnąć trochę od ciebie – powiedziała, zerkając
pożądliwie na kuchenkę. Odwróciła się, wzdychając.
– Nie musisz myć mi pleców, ale potem możesz je trochę po-
masować. Pomknęła ku schodom.
– Włóż wino do lodówki – zawołała przez ramię. – Nie zajmie
mi to wiele czasu.
Odrzuciła głowę, pozwalając, aby gorący, mocny strumień wo-
dy z prysznicia raz jeszcze dokonał cudu. Nie mogła sobie przy-

pomnieć, kiedy ostatni raz było jej tak dobrze. Mogłaby wczłgać się do łóżka i spać przez całą dobę. Może potem poczułaby się znowu jak człowiek.

Dotrzymała obietnicy i wkrótce wyłoniła się spod prysznic, wyszorowana od stóp do głów, pachnąca pudrem, z włosami ściągniętymi opaską. Włożyła stary, wygodny flanelowy szlafrok i zerknęła w lustro, wie, że tu jestem. Wróć. Nie wiem, kiedy ani po co, ale gdy to zrobię, będę znała odpowiedzi. Jestem ci to winna.

Wstała z trudem. Czowała się przemarznięta do szpiku kości. W samochodzie, powitana gorąco przez Olive, natychmiast podkręciła ogrzewanie. Siedziała, drżąc, w zaparowanym wnętrzu, a łzy spływały jej strumieniem po twarzy. Czy kiedykolwiek czuła się aż tak bezradna? Wytarcie oczu i nosa ani trochę nie poprawiło jej nastroju.

Spojrzała na telefon komórkowy na desce rozdzielczej. Pora zadzwonić do Trixie i Mike'a.

– Jak leci, Trixie? Z Betty wszystko w porządku? Były jakieś problemy?

– U nas wszystko gra, Janie. Gdzie jesteś, skarbie?

– W Slidell, na parkingu przy cmentarzu. Przyjechałam tu z Baton Rouge. Rodzice Connie nie wiedzieli o gwałcie. Nie mieli o tym pojęcia. Opowiem ci, kiedy wrócę. Gdzie jest teraz Betty?

– Niedawno przyjechał po nią przyjaciel. Rano grała z Fredem w warcaby, a potem czytała gazetę i bawiła się z psami. Zjadła porządny lunch i zabrała Goldę na spacer. Wróciła, kiedy zaczęło padać. Nie mówiła zbyt wiele i nie rwała się do pomocy. Odpowiada na pytania, ale to wszystko. Koło trzeciej wysłałam na trochę z Flashem. Słuchaj, muszę kończyć, bo wysiada mi bateria. Trzeba ją podładować.

Jane włożyła kluczyk do stacyjki, wrzuciła bieg i włączyła wycieraczki. Czekając, aż para zniknie z szyb, wybrała numer Mi-

ke'a.

– Cześć, to ja, Jane.

– Gdzie ty się, u licha, podziewasz? Masz pojęcie, która godzina? Cały dzień czekam na twój telefon. Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, nie uprzedzając mnie, przysięgam, że ci wleję.

– Obiecanki, cacanki – powiedziała Jane leniwie. Zależy mu na mnie. Naprawdę mu zależy.

– Gdzie jesteś?

– Wyjeżdżam z cmentarza w Slidell. Musiałam się pożegnać. Wracam do Rayne. Tu leje jak z cebra, więc będę jechała powoli. Powinam być w domu na dziewiątą. Ciepła kolacja i butelka dobrego wina byłyby mile widziane. Wstąp do Roya i kup coś, dobrze?

– Nic ci nie jest, Jane? Twój głos brzmi jakoś dziwnie.

– Chyba nie. Wreszcie odważyłam się przywołać wspomnienia, Mike, i przypomniałam sobie parę rzeczy. Potem wybrałam się do Bryanów i powiedziałam im o wszystkim. Adele Bryan pozwoliła mi zabrać dyskietki Connie. Mam nadzieję, że coś na nich będzie.

Gdzieś z tyłu zatrząbił klakson.

– Posłuchaj, straszny tu ruch i muszę patrzeć na drogę, więc kończę. Tęskniłam za tobą i wiele o tobie myślałam.

– Pojechałbym z tobą, Jane. Mogłaś wplątać się w coś niebezpiecznego. Znow zaangażowałaś się osobiście. To niedobrze.

– Inaczej nie potrafię, Mike. Do zobaczenia. Kocham cię – dodała nieśmiało.

– Gdybyś wiedziała, jak się martwiłem... ja też cię kocham. Tak bardzo, że aż palą mnie uszy. Nigdy nie powiedziałem tego żadnej kobiecie. A co ciebie pali, Jane?

Jane nie odpowiedziała. Roześmiała się tylko i przerwała połączenie.

Rzuciła mu się w ramiona i ścisnęła tak mocno, że jęknął.

– Nie widziałam cię prawie dwa dni, Mike.
Całowała go, aż uszczypnął ją, by go puściła, a wtedy zaczął oddychać spazmatycznie, udając, że brakuje mu powietrza.
– No, teraz wiem, że nie zapomnisz o mnie, kiedy będę brała prysznic i myła głowę. Może potem włożę tylko szlafrok na gołe ciało? Zjemy kolację i hop do łóżka.
– Czytasz w moich myślach, Jane.
– Co na kolację?
– Pieczony kurczak, sałatka coleslaw, frytki i trochę sosu. To dla mnie. Ty dostaniesz gotowane na parze warzywa z sezamem, kaszę i napój z jagód.
– To, co wzięłeś dla siebie, jest bardzo tłuste?
– Oczywiście. Stół już nakryty. Mogę umyć ci plecy, jeśli chcesz.
– Dawno nie jadłam niczego naprawdę tłustego. Może będę miała ochotę skubnąć trochę od ciebie – powiedziała, zerkając pożądliwie na kuchenkę. Odwróciła się, wzdychając.
– Nie musisz myć mi pleców, ale potem możesz je trochę pomasować. Pomknęła ku schodom.
– Włóż wino do lodówki – zawołała przez ramię. – Nie zajmie mi to wiele czasu.
Odrzuciła głowę, pozwalając, aby gorący, mocny strumień wody z prysznicza raz jeszcze dokonał cudu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz było jej tak dobrze. Mogłaby wczłgać się do łóżka i spać przez całą dobę. Może potem poczułaby się znowu jak człowiek.
Dotrzymała obietnicy i wkrótce wyłoniła się spod prysznicza, wyszorowana od stóp do głów, pachnąca pudrem, z włosami ściągniętymi opaską. Włożyła stary, wygodny flanelowy szlafrok i zerknęła w lustro, zastanawiając się, jaką też komediową postać przypomina. Nie doszedłszy do żadnego wniosku, wzruszyła ramionami i lekkim krokiem zeszła do kuchni, gdzie cze-

kał na nią Mike.

– Fuj, to tłuste jedzenie wygląda rzeczywiście okropnie – powiedziała, grzebiąc w swoich gotowanych warzywach. Porwała frytkę z talerza Mike’a, a potem kurcze udko i pochłonęła je w mgnieniu oka!

– Jesteś wegetarianką tylko, kiedy ci to pasuje. Weź więcej frytek. I opowiedz mi o dzisiejszym dniu.

Chwyciła talerz z frytkami, nim zdążył się rozmyślić.

– Nie dziś wieczorem, Mike. Jestem wykończona. Nie chcę myśleć o niczym, poza nami.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Zbyt angażujesz się w tę sprawę, Jane. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Zaczynam się o ciebie martwić.

– Nie chcę o tym dzisiaj rozmawiać, Mike. Ty prowadzisz praktykę po swojemu, ja po swojemu. Nie umiem ot tak, po prostu się wyłączyć. Żałuję, że nie jestem taka jak ty i nie potrafisz oderwać się od pracy. – Pomyślała, że to kłamstwo. W przypadku innych pacjentów jakoś jej się to udawało. Tego właśnie nie cierpiała u lekarzy. Po jakimś czasie obojętnieli. Przrzekła sobie, że z nią będzie inaczej. – Może powinnam była zostać ogrodnikiem albo stolarzem. No i pewnie byłabym całkiem niezłym hydraulikiem – dodała. Oczy same jej się zamykały.

– Pora spać, Jane. Wstawię wszystko do zlewu na wypadek, gdyby Olive zachciało się w nocy wędrować po domu. Dokończ jedzenie.

Jane zjadła kolację, a potem weszła na górę. Gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, już jej nie było. Zasnęła kamiennym snem, nim Mike zdążył umyć zęby.

Olive usiadła na podłodze i zaczęła mu się przyglądać.

– W porządku, Olive. Posiedzę sobie na fotelu i popilnuję pani. Chcesz usiąść obok mnie?

Olive stanęła na tylnych łapach, a przednie oparła mu na kola-

nach.

– No, chodź – powiedział, sięgając po nią. Ułożył sobie spanielkę na kolanach i zaczął machinalnie gładzić japo głowie. Psy to wspaniali towarzysze, ale Olive jest jedna na milion, pomyślał.

Zamknął oczy i westchnął z zadowoleniem. Otworzył je raptownie w chwilę później, gdyż Olive zeskoczyła z fotela i wypadła z pokoju, machając z podniecenia ogonem.

– Cześć, doktorze Sorenson. Jak się pan dziś ma? Mike przetaił oczy.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Billy Jensen, Olive pognała za moim psem, Jeeterem. Co noc bawią się razem. Jeeter od dawna nie miał przyjaciela.

Nie widzę żadnego psa – mruknął Mike.

– Czasami pozostaje niewidzialny. Nie wiem, dlaczego. Musimy porozmawiać, doktorze Sorenson.

– O czym? Jesteś tym duchem, prawda?

– Powiedzmy, że nie pochodzę z tego świata.

– To na pewno nie sen?

– Na pewno.

– To o czym chciałbyś rozmawiać? Zamieniam się w słuch.

Chłopiec zachichotał.

– To by znaczyło, że cały powinien pan być uszami. A ja widzę tylko jedną parę.

Mike nie mógł się powstrzymać. Poruszył uszami jak wtedy, kiedy był chłopcem.

– Mów, Billy.

Na sąsiedniej farmie Trixie McGuire przytuliła się do męża.

– To było przyjemne, Fred. Bardzo przyjemne. A wszystko dzięki tej małej pigułce – dodała, spoglądając na flakonik, sto-

jący na nocnej szafce. Czy mylił ją wzrok, czy też w buteleczce nadal znajdowały się trzy pastylki?

– Fred, w buteleczce nadal są trzy pigułki. Nie rozumiem tego.

– Trixie, kochanie. Nie mógłbym cię okłamać. Fred uniósł się na łokciu.

– Ale powiedziałeś, :, . myślałam... to znaczy, że za każdym razem... Że ty nigdy... ?

Potrząsnął głową.

– Ani razu. Nie potrzebuję ich. Chciałem, żebyś myślała, że je zażywam. Nie pytaj mnie, dlaczego. Może przez to, że jakiś czas temu nie bardzo mi wychodziło. Nie chciałem, żebyś przestała się mną interesować, Trixie.

– Fred, to by się nigdy nie stało. Jeśli w jakikolwiek sposób dałam ci do zrozumienia...

– Nie dałaś. To chodzi o mnie. To ja zacząłem sądzić, że nie jestem już mężczyzną, którego poślubiłaś. Chciałem, by było jak zawsze. Posuwamy się w latach, ale nie czuję się stary. I wcale nie chcę się tak czuć. To te pigułki sprawiają, że czuję się stary, Trixie.

– Nie miałam pojęcia, że tak to odbierasz. Powinien był mi powiedzieć. Fred, nie może być wciąż tak samo. Jesteśmy już po siedemdziesiątce.

Wysychają w nas soki. Próbowaliśmy to ignorować, ale fakt pozostaje faktem. Nie wzięłaś ani jednej?

– Wyrzuciłem resztę do kanalizacji – przyznał. Trixie przysunęła się bliżej.

– Jesteś niesamowity, Fred. Żadne młode byczki nie mogą się z tobą równać. Wyrzuć tę przeklętą buteleczkę. Będzie, co ma być. Dopóki jesteś blisko mnie i jesteśmy razem, tylko to się liczy. Możemy już iść spać?

– Myślałem, że nigdy nie zapytasz, mój kochany pączusku.

– Uwielbiam, kiedy tak do mnie mówisz, Fred.

Flash zaszczeakał i oparł swe potężne łapy o brzeg łóżka. Trixie odwróciła się.

– W porządku, malutki, wskakuj. Skończyliśmy na dziś. Przytulila psa.

– Dobry piesek, tak, my też cię kochamy – mruzczała.

Jane stała przy zlewie, pijąc pierwszą tego dnia filiżankę kawy. Spojrzała na kalendarz. Dwa tygodnie do Bożego Narodzenia i trzy do Nowego Roku. Zamknęła na chwilę oczy. To będzie trudny tydzień. Wyczerpujący. Tydzień podejmowania decyzji. A nadal nie znalazła żadnego interesującego prezentu dla Mike'a, Trixie i Freda. Może powinna pójść na zakupy dzisiaj, zaraz po uroczystym lunchu, w którym ona i jej koledzy brali udział co roku. Z drugiej strony, nie była w nastroju do zakupów. Nie miała ochoty szukać prezentów ani choinki, której zażyczył sobie Mike. Chciał też udekorować świątecznie dom. Nazwał to ich wspólnym przedsięwzięciem. Jane westchnęła na myśl o pracy, jakiej to wymagało. I gdzie tu sens? I tak nie będzie ich tutaj, by się tym cieszyć. Wigilię spędzali z Trixie i Fredem, a następnego dnia rano musieli wstać, ponieważ wybierali się na Boże Narodzenie do Nowego Orleanu, do rodziców Mike'a. Serce Jane zabiło mocniej. A jeśli jej nie polubią? Lub jeśli ona ich nie polubi?

Jane nalała sobie drugą filiżankę kawy i pomyślała, że nie bardzo ma ochotę uczestniczyć w dzisiejszym lunchu, a wszystko z powodu Sharon Thomas. Zadzwoiła do gabinetu Jane poprzedniego dnia, powiedziała, że muszą porozmawiać i zapytała, czy mogłyby to zrobić bezpośrednio przed lunchem. W jej głosie dało się wyczuć chłód i złość. Jane domyślała się, że miało to coś wspólnego z faktem, iż Berty Vance nie mogła się zdecydować, którą z nich wybrać. Co do Jane, to uważała ona Betty po prostu za przyjaciółkę. Zwróciła Sharon teczkę z dokumentacją jej choroby, gdy tylko koleżanka pojawiła się z powrotem w pracy. Mimo to Betty przyszła na farmę i zadzwoniła do Jane, by porozmawiać o swoim psie. Zdaniem Jane, trudno było to uważać za podkradanie pacjentki.

Mike twierdził co prawda, że powinna przeciąć wszelkie więzy, łączące ją z Betty, by nie mieszać pacjentce w głowie. Ale Mike nie wierzył w osobiste zaangażowanie lekarza w stosunku do pacjentów. Zdaniem Jane, przecięcie wszelkich więzów Betty odebrałaby jako odrzucenie. Coś, czego Jane nigdy nie robi. A jeśli Sharon Thomas ma jej to za złe, to trudno.

Jane dołała sobie kawy. Błąd, teraz przez cały ranek będzie biegła do ubikacji. Ponieważ gabinet był zamknięty na przerwę świąteczną, przeznaczyła poranek na masaż, wizytę u fryzjera, manicure i pedicure. Wróci do domu akurat na czas, by się wykąpać i przebrać w nową sukienkę, którą kupiła specjalnie na tę okazję. Oczywiście, zakładając, że ośmieli się wystąpić w tak prowokującym stroju. Trixie pomogła jej wybrać ten ciuch z czarnego jedwabiu, ponieważ sukienka bardzo ją wyszczuplała. – Wyglądasz w niej jak ołówek, kochanie – powiedziała. Złoty pasek o skomplikowanym kształcie podkreślał smukłą teraz talię Jane. Od kiedy poznała Mike’a, udało jej się zgubić sześć kilo. Z początku uważała, że sukienka ma zbyt prosty krój i jest za obcisła, jednak Trixie uświadomiła jej, że materiał, miękko owijając się wokół jej kolan, wspaniale podkreśla kształt nóg i bioder. Diamentowa brosza w kształcie żaby, którą zamierzała przypiąć sobie na ramieniu, dopełni stroju. Pantofelki na wysokich obcasach i torebka Chanel na złotym łańcuszku, prezent od Trixie na ostatnie urodziny, z pewnością powalą Mike’a na kolana. Zacisnęła kciuki na szczęście, modląc się w duchu, aby jej nowa fryzura okazała się tak twarzowa, jak oczekiwała. – Olive, mam przeczucie, że Mike zamierza dać mi pierścionek zaręczynowy w te święta – powiedziała, czując jak poprawia jej się nastrój. – Oczywiście, to nic pewnego, ale chyba się nie mylę. Idziesz dziś do Trixie, więc przygotuj swoje zabawki i smycz. Sprawdzę w komputerze pocztę i możemy ruszać. Włączyła komputer i przez chwilę czekała, aż pokaże się logo

programu. Ciekawe, czemu zawracam sobie tym głowę akurat teraz, pomyślała. Wysłała zapytanie do wszystkich przyjaciół Connie, jakich tylko udało jej się odnaleźć. Nikt nie odpowiedział. Wszystkie jej wysiłki zdawały się spełzać na niczym. Spojrzała na plastikowe pudełko z dyskietkami, które przywiozła ze Slidell. Nie było na nich nic ważnego, może z wyjątkiem jednej, która wymagała podania hasła. Hasła, którego nie знаła ani ona, ani rodzice Connie. Równie dobrze na dyskietce mogło w ogóle nic nie być i wtedy pozostanie jej tylko Brian Ramsey. – Powinnam sprawdzić tego łobuza Todda Prentice’a – mruknięła do Olive, która czekała cierpliwie, trzymając w zębach surową kość. – Dlaczego do tej pory się nim nie zajęłam? Zrobię to jutro, albo nawet dzisiaj, kiedy tylko wrócę. Mam przeczucie, że tatuś Joshuy, Alice i Petera tkwi w tym po samą cholerną, tłustą szyć. – Olive zaszczekała. – Tak, tak, wiem. Znowu za bardzo się angażuję. I co z tego? Wkrótce będzie po wszystkim, ale przedtem dotrę do prawdy, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Wyłączyła komputer i zamknęła pudełko z dyskietkami Connie. Przesunęła je na skraj biurka. W ostatniej chwili chwyciła zieloną szklaną żabę, którą dostała od Beth Goins i postawiła figurkę na pudełku. Teraz nie wyglądała już tak złowroźnie.

Jane spojrzała na swoje odbicie w sięgającym podłogi lustrze. Czy to wysmukłe, modnie przyodziane stworzenie to naprawdę ona? Przez chwilę wirowała przed lustrem, śmiejąc się radośnie. Sukienka sprawiała, że wyglądała szczupło, szczuplej niż kiedykolwiek. Zapinane na paski pantofelki były naprawdę szalone. Obracając się to w lewo, to w prawo, by przyjrzeć się swoim nogom ze wszystkich stron, uświadomiła sobie, że są zgrabne. Ale to nowa fryzura okazała się strzałem w dziesiątkę. Włosy znacznie skrócono, sprawiając, że opadały na czoło i uszy

masą puszystych loków. Fryzjerka najpierw trochę je ścienio-
wała, a potem wtarła nieco środka prostującego, by łatwiej było
zrobić na głowie porządek. Jane z zachwytem wpatrywała się
we własne odbicie. Nigdy dotąd nie wyglądała tak dobrze. Ma-
kijaż, którego wykonanie zajęło jej godzinę, wyglądał, jakby go
wcale nie było – i o to właśnie Jane chodziło. Jeszcze odrobina
perfum na nadgarstki i za uszami, i będzie gotowa. Kupiła per-
fumy, o których sprzedawczyni powiedziała, że kiedy ich użyje,
mężczyźni zmiękną jak воск, a kobiety padną z zazdrości. O,
tak.

Jej dobry nastrój rozwiął się na chwilę, kiedy zadała sobie pyta-
nie, jak też zareagowałyby matka, gdyby mogła ją teraz zoba-
czyć.

– Zwyczajna Jane, co? Do diabła z tobą, mamusiu! – powie-
działa, wystawiła środkowy palec i wymaszerowała dumnie z
pokoju.

Było to zwykle przyjęcie bożonarodzeniowe, gdzie mężczyzn
jest więcej niż kobiet i delikatnie dają paniom odczuć, że są w
mniejszości.

Nie obyło się bez poklepywania po plecach, uścisków dłoni i
przyciszonego śmiechu. Kobiety oglądały nawzajem swoje kre-
acje, starając się ocenić, ile mogły kosztować.

Kiedy Jane weszła do pokoju, wszystkie męskie spojrzenia po-
wędrowały natychmiast w jej kierunku. Po raz pierwszy w życiu
gapiono się na nią z uznaniem. Podobało jej się to uczucie. Cie-
kawa była, jak też zareaguje Mike? Ale gdzie on jest? Nie wi-
działa go, spostrzegła za to Sharon Thomas, smakującą serowe
przystawki.

– Wesołych świąt, Sharon – powiedziała Jane, wyciągając rękę.
Uścisk dłoni Sharon był rozmyślnie bolesny. Patrzyła na Jane,
nie ukrywając wrogości. Jane nie bardzo to rozumiała, udała
więc, że w zachowaniu koleżanki nie dostrzega niczego nie-

zwykłego.

– Powiedziałaś, że chcesz ze mną rozmawiać. Porozmawiamy tutaj, czy wolisz wyjść do holu?

– Wyjdźmy, przynajmniej będę mogła zapalić papierosa – odparła Sharon. – Ledwie cię poznałam, Jane.

Jane poczuła, że puchnie z dumy.

– Zrzuciłam parę kilo i zmieniłam fryzurę. Podoba mi się twoja sukienka, Sharon.

– To prawda, że ty i Mike Sorenson jesteście razem? – spytała Sharon, ignorując komplement.

– Tak. – Przytrzymała drzwi, by Sharon mogła przejść. Zaczekała, aż tamta zapali, a potem spytała: – O czym chciałaś ze mną rozmawiać?

Sharon wydmuchnęła doskonale okrągłe kóleczo.

– O mojej pacjentce, Betty Vance.

Jane przesunęła się, by dym nie płynął jej prosto w twarz.

– Jak ona się ma? – spytała, choć znała odpowiedź.

– Miałyby się o wiele lepiej, gdybyś przestała się wtrącać. Jest rozdarta pomiędzy nami dwiema. Szkoda, że odstawiłaś jej valium.

– Jak napisałam w raporcie, ona brała nie tylko valium, które jej przepisałaś, ale dwa inne leki. Łatwo mogła przedawkować. A co do wtrącania się. Betty dzwoni do mnie od czasu do czasu, by porozmawiać o swoim psie. Nie prosi mnie o porady, a ja ich nie udzielam. Nie spotkałam się z nią, od kiedy przekazałam ci jej dokumentację. Sądząc po tym, co mówiła, chyba ma się dobrze.

– Ostrzegłam ją, że przestanę ją leczyć, jeśli dalej będzie z tobą rozmawiać, Jane. Powiedziała nie. To fatalny okres dla naszych pacjentów, wiesz o tym. Betty jest teraz zdana wyłącznie na siebie, tak jak sugerowałaś, choć ja byłam temu przeciwna. To znaczy, że będzie sama w święta, a to szczególnie niebezpieczny

moment dla kogoś takiego jak ona.

Jane była zdecydowana nie wdawać się w publiczny spór z Sharon, zwłaszcza tutaj, gdzie każdy zdawał się mieć dodatkową parę uszu.

– Moja matka chrzestna zaprosiła Betty na bożonarodzeniową kolację, nie będzie więc sama. Bardzo się zaprzyjaźniły i Betty często ją odwiedza. Żałuję, że nie będę mogła się do nich przyłączyć, ale jedziemy z Mike’iem do Nowego Orleanu, do jego rodziców. Co chcesz, żebym zrobiła?

– Zostaw ją w spokoju – powiedziała Sharon lodowatym tonem.

– Nie mogę tego zrobić. Ty też byś tak nie postąpiła. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jestem przyjaciółką Betty, niczym więcej.

– Tak nie można, Jane. Ty mówisz jej jedno, ja drugie. Ona nadal jest nie zrównoważona emocjonalnie, a ta rozterka powoduje u niej jeszcze większe pomieszanie.

– To ty twierdzisz, że jest nie zrównoważona. Ośmielę się z tobą nie zgodzić. Ta młoda kobieta ma w sobie wewnętrzną siłę. Radzi sobie bez prochów. Kiedy ją przejęłam, była tak zaćpana, że nie mogła sama przyjechać na spotkanie. Nie była w stanie normalnie funkcjonować. Jak coś takiego może być dobre?

Przeżyła trudny tydzień, nim jej organizm pozbył się resztek leków. Ale przetrwała. Teraz sypia bez pigułek, ma pracę, którą jest w stanie utrzymać, samodzielne mieszkanie i znowu może prowadzić samochód. Moim zdaniem, to nie lada sukces. Spróbuję rzadziej z nią rozmawiać, ale nie przestanę być jej przyjaciółką. Stawiam tę sprawę jasno, Sharon – powiedziała, patrząc koleżance prosto w oczy. – Sharon zgasiła papierosa, sztywna z gniewu.

– Sharon, to pewnie nie jest odpowiedni moment, by o tym wspominać, ale zamierzam sprzedać praktykę. Jeśli byłabyś zainteresowana, daj nu znać.

– No, no. Widzę, że ta sprawa z Mike’iem to coś poważnego. Pomyślę o tym. Mówię poważnie, Jane. Zostaw Betty w spokoju.

Jane spojrzała na brudną popielniczkę i pożałowała, że nie ma papierosa. Zaciekawilo ją, ilu obecnych tu lekarzy pali. Cofnęła się, kiedy czworo kolegów minęło ją, paląc papierosy. Niezłe dane do raportu naczelnego lekarza. Usiadła w odległym kącie, by zaczekać na Mike’a. Przyjrzała się wyszukany decoracjom. Wszystko wokół wyglądało tak świątecznie! Choinka była świeżo ścięta, jej zapach wręcz oszalał. Prezenty opakowane w srebrny papier i przewiązane czerwoną aksamitną wstążką otaczała balsamiczna woń. Zastanawiała się, czy coś w nich było. Cynicznie stwierdziła, że pewnie nic. To jedynie dekoracja. To przecież nowe tysiąclecie, teraz wszystko jest tylko podróbką i imitacją. Z troszczącymi się o pacjentów psychiatrami włącznie.

Jane zamknęła oczy i spróbowała sobie przypomnieć, jak też wyglądała choinka, gdy ona była dzieckiem. Musiała być zupełnie zwyczajna, ponieważ w ogóle jej nie pamiętała.

Za to choinki Trixie zawsze stanowiły dzieło sztuki. Wieszala na nich wszystko to, co dzieci lubią najbardziej: kolorowe cukierki, ozdobne łańcuchy, różne papierowe zabawki i inne cudeńka. A wszystko to doskonale harmonizowało z bombkami o podobnym kształcie i kolorze.

Jane doskonale pamiętała, jak mieszkając już z Trixie, wypiekała ozdobne ciasteczka, a potem je malowała. Tribcie zawsze wieszala wykonane przez nią ozdoby na samym środku choinki, by każdy mógł je podziwiać. Nazywała je swoimi skarbami. Na wspomnienie tego łzy zapiekły Jane pod powiekami.

– Jane! – zawołał znajomy głos. Odwróciła się pospiesznie.

– Mike! – Wstrzymała oddech. Na tę właśnie chwilę czekała. Przebiegł po niej spojrzeniem.

- Z początku cię nie poznałem. Mój Boże, ścięłaś włosy! Wydawał się być zszokowany. Serce zamarło Jane w piersi.
- Nie... nie podoba ci się?
- Wyglądasz... zupełnie inaczej. Coś ścisnęło ją w żołądku.
- Włosy odrosną – powiedziała przepraszającym tonem. I nagle uświadomiła sobie, że niepotrzebnie się usprawiedliwia. – Zaczekaj chwilę. Tak się składa, że podoba mi się ta fryzura, poza tym łatwo ją utrzymać. Jeśli tobie nie przypadła do gustu, to twój problem! Ja cię nie obrażałam, kiedy postanowiłeś zapuścić brodę – dodała, spoglądając na niego wyzywająco. Mike uśmiechnął się i w kącikach jego oczu pokazały się zmarszczki.
- Zaczekaj chwilę i przestań wyciągać pochopne wnioski. Podoba mi się twoja fryzura. Po prostu mnie zaskoczyłaś, zwłaszcza że teraz wyglądasz zupełnie jak...
- Jak kto? – spytała Jane chłodno.
- Jak Coletta.
- Coletta? Twoja dawna przyjaciółka? Teraz to już zdecydowanie mnie obrażasz, Mike.
- Odwróciła wzrok, zraniona w swojej dumie i wierze w dopiero co odkrytą atrakcyjność.
- Obrażam cię! Też coś! Coletta jest wspaniała. Mogłaby być modelką. Jak mogłem cię obrazić takim porównaniem, Jane? – Spojrzała na niego przymrużonymi z gniewu oczami. – Jane, powinnaś była mnie uprzedzić, że masz zamiar ściąć włosy. Kochałem je, całą tę burzę loków. Nie spodziewałem się – nagle zabrakło mu słów. – Gdybym pragnął drugiej Coletty, to bym jej sobie poszukał.
- Jane obrzuciła go najbardziej miażdżącym spojrzeniem, na jakie tylko mogła się zdobyć.
- Powinieneś zamilknąć, kiedy zacząłeś mówić, Mike. Jakoś twoje porównanie do mnie nie przemawia.

– Przepraszam, Jane. Nie miałem na myśli...

– Akurat! Pora wejść do środka.

Zniecierpliwiona ruszyła ku wejściu do sali bankietowej. Zająła miejsce po lewej stronie stołu. Mike siedział po prawej.

Podczas lunchu gawędziła z sąsiadami i przysłuchiwała się błahym rozmowom, próbując zerknąć poza stojący na środku stójk z kwitnących poinsecji. Rozłożyła jaskrawoczerwoną serwetkę i umieściła ją sobie na kolanach. Oczy błyszczały jej gniewnie, choć bardzo starała się utrzymać emocje na wodzy. Od czasu do czasu zerkała na Mike'a, przysłuchując się nudnym przemowom, których za godzinę nikt już nie będzie pamiętał. Zadowolona, że Mike wygląda na nieszczęśliwego, odprężyła się.

Wygląda lepiej niż kiedykolwiek w życiu, a on, zamiast powiedzieć jej jakiś komplement, stwierdził, że przypomina mu Carlotte, Colette czy jak tam się zwała ta jego była flama.

Kiedy podano deser, Jane udała, że idzie do toalety, choć wcale nie odczuwała takiej potrzeby. Kiedy znalazła się w holu, wyszła z budynku i wsiadła do samochodu. Pojechała prosto do Trixie i Freda. Ci dwoje stanowili w jej życiu jedyne oparcie, bezpieczny port podczas każdej burzy czy szkwału. A czy teraz była to burza czy szkwał? O, nie, nie rozplacze się. Nie ma mowy.

– Lepiej tu podejdz, Fred – zawołała Trixie, przekrzykując zajądłe szczekanie Flasha i Olive. Fred przykuśtykał z gabinetu i stanął obok żony.

– Dlaczego Jane nie wysiada? Jak długo już tak siedzi? Czy coś się stało?

– Dopiero co przyjechała, Fred. Tak, powiedziałabym, że coś się stało. Ona płacze. Dziś miała być na tym świątecznym lunchu. Była taka podekscytowana. Rano obcięła włosy. Poczekaj tylko, aż zobaczysz jej sukienkę. Nasza Janie przeistoczyła się w pięknego łabędzia. W porządku, wydmuchuje nos i wyciera

oczy. Pewnie zaraz wysiądzie. Szybko, usiądź przy stole i udawaj, że o niczym nie wiesz. Zrobię kawę.

Jane weszła do kuchni, uśmiechając się sztucznie. Zanim usiadła przy stole, uklękła i przywitała się z psami.

– Zrób mocną, Trixie i dodaj do niej trzy porcje czegoś jeszcze mocniejszego!

W porządku, kochanie. Chcesz o tym pogadać?

– Spójrzcie na mnie! Powiedzcie prawdę: czy kiedykolwiek wyglądałam lepiej? Nie, nie wyglądałam! Tak się starałam, żeby stracić te parę kilo. Nie, nie starałam się, ja walczyłam! Mdl mi już to noszenie ciotowatych sukienek i przeklętych sztywnych żakietów, nie mówiąc o workowatych kostiumikach z dzianiny. Mam też po uszy staczania nieustannych bojów z włosami i noszenia na okrągło kapelusza, by ukryć brak fryzury! Teraz mogę uczesać się w sekundę. Kiedy weszłam do sali, wszyscy faceci zaczęli się na mnie gapić. No, może nie wszyscy, ale prawie. Nigdy dotąd nic takiego mi się nie przytrafiło. To było bardzo przyjemne.

– Więc co aż tak cię zdenerwowało? – spytała Trixie, wlewając do kubka z kawą solidną porcję bourbona.

– Powiedziałam, trzy porcje, Trixie!

Trixie dołała alkoholu. Zerknęła ostrożnie na Freda, który usiłował patrzeć wszędzie, tylko nie na nią ani na Jane.

– Nic mi nie będzie, nawet jeśli wypiję jeszcze trzy – powiedziała Jane obronnym tonem.

Flash odchylił do tyłu łeb i zawył. Olive przydreptała do Jane i usiadła jej na stopie. Odpowiedziała Flashowi szczeknięciem.

– Skoro tak twierdzisz – odparła Trixie z powątpiewaniem.

Jane piła tak gorącą kawę, że aż łzy stanęły jej w oczach. Otarła je grzbietem dłoni.

– Byłam pewna, że Mike’owi oczy wyjdą na wierzch, kiedy mnie zobaczy. I rzeczywiście, w pewnym sensie tak się właśnie

stało. Powiedział, że wyglądam jak Coletta, jego była dziewczyna. I co wy na to? A potem dodał, że gdyby pragnął drugiej Coletty, to poszedłby i znalazł ją sobie. I... i jeszcze powiedział, że powinnam była go uprzedzić, że zamierzam ściąć włosy. Co on sobie wyobraża? – Pchnęła kubek w stronę Freda i położyła głowę na stole. – Wyszłam, kiedy podawali deser – wymamrotała. – Zapłaciłam za ten paskudny lunch sto dolców. I co dostałam? Kawalek wodnistego łososa, rozgotowane, obrzydliwego koloru brokuły i coś, co pewnie miało być ziemniakami, a było zimne i smakowało jak klej. – Usiadła prosto i skrzywiła się. – Daj mi jeszcze tej kawy, Trixie. To najlepsza kawa, jaką kiedykolwiek zrobiłaś. Może by tak do tego kanapkę z masłem orzechowym i galaretką? – Zrzuciła pantofle i kopnięciem odrzuciła je na drugi koniec kuchni.

– Domyślałam się, że lunch nie był udany pod żadnym względem – powiedziała Trixie.

– Ani odrobiny ciepła i życzliwości. Dzięki, Fred – powiedziała Jane, sięgając po kanapkę. – Ale to nie koniec. Gotowi? No to posłuchajcie. Doktor Thomas, wiecie, ta koleżanka, której pacjentami się opiekowałam, miała czelność powiedzieć mi, że bym trzymała się z dala od Betty Vance. Była naprawdę bardzo przykra. Miałam ochotę walnąć ją w pysk. Nie znoszę bufonady. Szkoda, że jej nie widzieliście! Tak się cieszę, że wkrótce z tym skończę. Nienawidzę tego. Nie znoszę nadętych lekarzy, którzy w mgnieniu oka potrafią nabrać dystansu do swoich pacjentów. Nie znoszę i już.

Trixie usiadła naprzeciw Jane.

– Janie, wiesz, jacy są mężczyźni. Zawsze mówią nie to, co trzeba. Nie sądzę, żeby Mike chciał cię urazić. Myślę, że na swój sposób wyrażał ci uznanie. On cię kocha. Zapewne chciał po prostu powiedzieć, że nie musiałaś zmieniać nic w swoim wyglądzie, gdyż podobałaś mu się taka, jaka byłaś.

– Tak, to zdecydowanie najlepsza kawa, jaką u was piłam. Jaki gatunek zaparzyłaś?

– Stuprocentowy bourbon z Kentucky – odparła Trixie cierpko.

– Nie powiedziałaś mu chyba, żeby pocałował cię w nos, co?

Masz zwyczaj tak mówić, kiedy jesteś naprawdę wkurzona.

– Nie, ale niewiele brakowało. Wokół było zbyt dużo ludzi i bałam się, że nas usłyszą.

Podniosła kubek, ale nie trafiła nim do ust i kawa chlusnęła na blat.

– Jesteś pijana, Janie! – powiedział Fred, chwytając ścierkę, by wytrzeć stół i brodę Jane.

– Po dwóch kubkach kawy! Nie bądź śmieszny. To abs... abs... – wybełkotała Jane, zezując.

Trixie zachichotała. Jane zawsze była taka opanowana.

– Może ustawimy choinkę? Przydałaby mi się odrobina świątecznego nastroju.

Fred spojrzął na Trixie, zmartwiony.

– Choinka już stoi, kochanie. Eli ustawił ją, kiedy przyszedł zawiesić lampki na zewnątrz domu – powiedział. Eli, złota rączka, pracował dorywczo dla Trixie i Freda.

– Ubraliśmy ją wczoraj wieczorem. Chcesz zobaczyć?

– Nie. Chyba pojedę do domu. Dziękuję, że zaopiekowaliście się Olive. Ona to uwielbia. Flash ma dzisiaj wolne?

– Tak, to jego wolny dzień.

– Więc może zabrałabym go do siebie, żebyście mogli pobyc trochę sami? Potrzebuję towarzystwa. Poza tym ten... ten doktor może kręcić się po okolicy i potrzebuję Flasha, żeby go pogonił. Nie jestem jeszcze gotowa, by się z nim zmierzyć. Najlepiej mi jeszcze kawy do tego ślis.. ośliz... kubka, Trixie. Wypiję po drodze.

– Kawa, tak. Bourbon, nie – powiedział Fred stanowczo.

– Mówisz zupełnie jak on – poskarżyła się Jane, ruszając boso

do drzwi. – Nigdy przedtem nie mówiłeś mi, co mam robić, więc nie zaczynaj teraz. A jeśli dobrze się po tym czuję? Już dawno nie czułam się dobrze. Nikomu nie robię krzywdy. Skończyła mi się benzyna. Muszę pożyczyć wasz radiowóz. Odprowadzę go rano. Pojadę przez pola.

– Jesteś pijana – przypomniał jej Fred.

Jane spojrzała na kubek z kawą i zobaczyła dwa.

– Chyba masz rację. Ale skoro tak, to znaczy, że nie jestem w pełni sił. Flash i Olive mogą pobiec do domu, pojadę sama. Pięć mil na godzinę, obiecuję.

– Nie! – wykrzyknęli Fred i Trixie zgodnie.

– Tak! Wy się nie ruszajcie! Mówię poważnie. Więc gdzie ten cholerny kubek? Patrzą na was, więc nawet nie drgnijcie! Możecie zatrzymać buty – dodała wspaniałomyślnie, opierając się o framugę.

– W porządku, Janie, ale jest to sprzeczne z moim przekonaniem

– powiedziała Trixie, mrugając do Freda.

– O co ci chodzi? – zapytał cicho.

– Jeśli z nią pójdę, zaśnie w samochodzie, a ja ją zawiozę. Ty pojedziesz za mną. Zabierzesz mnie z powrotem do domu, a rano Janie pomyśli, że wróciła sama. No jak?

– Myślę, że się uda.

Fred pocałował żonę w policzek i sięgnął po kluczyki. Trixie odprowadziła Jane do radiowozu.

– Posłuchaj, Janie, nie jest wcale łatwo prowadzić ten samochód. Usiądź na siedzeniu pasażera, a ja ci wszystko objaśnię. W porządku?

– Ass-bo-lutnie! – powiedziała Jane, pociągając z kubka solidny łyk.

– Widzisz te przyciski? Tym włącza się policyjny skaner, a to coś uruchamia syrenę. A teraz oprzyj się wygodnie i zamknij oczy, przekonamy się, czy potrafisz je odnaleźć. Kiedy policzę

do piętnastu, otwórz oczy i pokaż mi, jak włącza się syrenę i gdzie wkłada kluczyki.

Po dziesięciu sekundach Trixie zawołała:

– W porządku, śpi! – Wysiadła z samochodu, by wypuścić psy. –

Do samochodu, Flash. Wskakuj, Olive!

Fred tymczasem zapalił silnik bronco.

Po kilku minutach Trixie zaparkowała przed domem Jane. Wysiadła, obeszła radiowóz i przeciągnęła Janie na siedzenie kierowcy. Jeśli jej chrześniaczka nabawiła się przy tym kilku brzydkich siniaków na pupie, co z tego?

– Hej, skarbie, jesteśmy na miejscu – zawołała, potrząsając Jane za ramię. – I co? Nie czułaś się, jakbyś prowadziła czołg?

Jane zamruwała i próbowała skupić wzrok.

Trixie otworzyła zdalnie tylne drzwi i oba psy wyskoczyły.

– No, dalej, Janie. Wysiadaż. Może byś tak wzięła prysznic i napiła się prawdziwej kawy? Doskonale sobie poradziłaś.

– Daj spokój, Trixie. Przywiozłaś mnie do domu i obie o tym wiemy! – wymamrotała Jane, próbując wydostać się z samochodu. – Gdzie moje buty?

Zrzuciłaś je z nóg, kochanie. Skąd wiesz, że to ja cię przywiozłam?

– Bo wcale nie spałam. Zastanawiałam się. Wiesz, można myśleć nawet, jeśli jest się pijanym jak bela. Możecie jechać do domu. Dziękuję, że tak się o mnie troszczycie. Nic mi nie będzie.

Trbcie zagwizdała ostro. Oba psy wraz z jej mężem nadbiegli galopem.

– Wpadniemy do ciebie rano. Nie przejmuj się tak, kochanie. To nie koniec świata, a picie nic tu nie pomoże. Alkohol tylko zagłuszy ból. Zdrzemnij się, a kiedy się obudzisz, zadzwoń do nas, dobrze?

– Jasne. Chodźcie, pieski!

Trixie i Fred przyglądali się, jak ich nieszczęśliwa, zawiana chrześniaczka z trudem wspina się po stopniach werandy.

Trwało to dobrą chwilę, zanim Jane otworzyła drzwi, wpuściła psy i, potykając się, weszła za nimi. Kiedy usłyszeli szczęk zamykanej zasuw, spojrzeli po sobie. – Mogę zostać, Trixie, jeśli uważasz, że to dobry pomysł. Ulokuję się na tylnej werandzie. Zapasowy klucz jest pod parapetem, prawda?

– Nie, Fred. Pojedziemy do domu i wrócimy tu później. Gna musi to odespać. Chyba naprawdę mocno cierpi, skoro tak pije. Zastanawiam się, czy czegoś nie zataiła.

– Spytamy ją, kiedy wytrzeźwieje – powiedział Fred, otaczając żonę ramieniem.

– Zrobiłabym dla tej dziewczyny wszystko, Fred.

– Wiem, kochanie, a ona dla ciebie. Ale skoro nas tu nie chce, jedźmy do domu. Jak powiedziałaś, wrócimy później.

– Dobrze, Fred.

Jane, zataczając się, przeszła przez pokoje, minęła gabinet i znalazła się w holu. Schody wydawały się nie do zdobycia, były niczym wielka góra, na którą musi się wspiąć. Uczepiona poręczy, powlokła się na piętro. Przewyciężając zawroty głowy, weszła chwiejnym krokiem do łazienki, gdzie ściągnęła swoją wystrzałową suknię i rzuciła ją w kąt. Już nigdy jej nie założy. Przenigdy.

Ostre igielki wody z mocno odkręconego prysznica uderzały boleśnie w jej ciało, kiedy wierciła się pod strumieniem gorącej wody. Wyłączyła ją i puściła zimną. Zaczepnęła gwałtownie powietrza, chwytając się poręczy na ręczniki. Kiedy stanęła wreszcie na podłodze łazienki, czuła się przemarznięta do szpiku kości i obolała. Niezdarnie wytarła się ręcznikiem. Wyciągnęła pokryte gęsią skórką ramię i sięgnęła po dres, wiszący na drzwiach łazienki.

– Tak Janie, oto Strój dla ciebie. To właśnie noszą brzydkie kaczątka. Zwyczajna Jane nie zasługuje na nic lepszego. – Spojrzała na czarną sukienkę. – Do cholery z nią! – wymamrotała, przesuwając szczotką po krótko przystrzyżonych włosach. Psy siedziały na progu łazienki, przyglądając się jej uważnie. – Co stało się z tym starym powiedzonkiem: staraj się wydobyć z siebie to, co najlepsze? Czy dotyczy jedynie wojskowych i przystojniaków? Czy ludzie, którzy nie są ładni, nie mogą przynajmniej starać się ładnie wyglądać? Co w tym złego? On tylko na mnie spojrzął i już mnie osądził. A przecież w środku jestem taka sama. Dlaczego tego nie widzi? Czekałam przez całe życie, żeby tak wyglądać. Matka powinna była dać mi na imię Kopuszek. No dobra, wracam do swoich łachmanów. A skoro już mowa o matkach, nienawidzę cię, mamo! – wrzasnęła na cały głos. – Słyszysz mnie? Nienawidzę cię! Zobacz, co mi zrobiłaś! To twoja wina, że tak się czuję. Nie mogłaś kochać mnie choć trochę? Zawsze musiałaś być tak cholernie krytyczna? Nie mogłaś się na to zdobyć, żeby powiedzieć mi choć raz coś miłego? Tylko jedno cholerne miłe słowo. Mam nadzieję, że smażyysz się w piekle!

Osunęła się na podłogę i, wsparta plecami o starą wannę na lwich łapach, zaczęła płakać. Oba psy wpadły do łazienki, przepychając się, by wskoczyć jej na kolana. Jane szlochała rozpaczliwie, wstrząsana łkaniem.

– Jesteś niezwykły, Flash – wykrztusiła, przewycięzając czkawkę, kiedy owczarek polizał jej uszy. – Położę się tu na chwileczkę. Tylko na jedną minutę.

Psy spojrzały po sobie. Jane skuliła się na podłodze. Kiedy równomierny oddech pani podpowiedziało im, że bezpiecznie usnęła, Flash wybiegł z łazienki i ściągnął z oparcia bujaka pled, ozdobiony pośrodku olbrzymim bukietem fioletowych tulipanów. Zaciągnął go do łazienki, a kiedy cichutko zaskomlał,

Olive chwyciła drugi koniec. Powoli, pomagając sobie nosami, popychając i ciągnąc, przykryły Jane aż po samą szyję. Flash wykorzystał w pełni to, czego się nauczył, a nauczono go, że kiedy funkcjonariusz leży i się nie rusza, należy go okryć. Psy wróciły na próg i legły, kładąc łby na wyciągniętych łapach, z czujnie nadstawionymi uszami i otwartymi szeroko oczami. Kiedy łazienka pogrążyła się w ciemności, Olive wstała i zapaliła łapą światło, a potem wróciła na swoje miejsce obok Flasha. Nie zmrużyły oka i leżały nieruchomo aż do ósmej, kiedy to Flash nadstawił uszu, warcząc groźnie. Olive odwróciła głowę i zapatrzyła się na ciemny hol. Bezgłośnie zbiegły po schodach. Gdy światła reflektorów omiotły ściany pogrążonego w ciemności saloniku, Olive podbiegła do frontowego okna i nosem otworzyła żaluzję po jednej stronie. Flash przyglądał się, jak to robi, a potem on także podniósł łapę i nacisnął zatrząsk. Draga żaluzja powędrowała w górę. Psy czekały, z uszami gładko położonymi po sobie i podkulonymi ogonami. Kiedy Mike Sorenson wysiadł z samochodu, na werandzie zapaliło się zewnętrzne światło, zmieniając noc w dzień. Flash trącił lekko Olive łapą, jakby chciał zapytać, czy to wróg? Olive, niepewna, zadrżała. Owczarek jednoznacznie odczytał tę niepewność. Obnażył kły i warcząc, rzucił się do okna. Mike, przyłapany z jedną nogą na stopniu, a drugą w powietrzu, ostrożnie wycofał się z werandy, nie spuszczać wzroku z warczących i szczerzących zęby psów w oknie. Flash warczał, sierść jeżyła mu się na grzbiecie i łbie. Olive odsunęła się od okna, a on za nią. Olive zamknęła nosem żaluzję, on zrobił to samo. Oba psy pobiegły ku tylnym drzwiom. Tu także światło zalało werandę, oświetlając Mike'a, który właśnie ku niej zmierzał. Kiedy usłyszał mrożące krew w żyłach warczenie, zatrzymał się, odwrócił i powoli wszedł do samochodu, nie zauważywszy nawet, że upuścił trzymany w dłoni klucz. Psy

zaczekały, aż dźwięk silnika ucichnie w oddali, a potem wróciły czym prędzej na piętro.

Jane spała głęboko i spokojnie na podłodze łazienki, nieświadoma, że jej obrońcy czuwają.

Mike wprowadził swój elegancki sportowy samochód na parking przed Barem Snuffy'ego. Wszedł do środka i zamówił szkocką z lodem. Lokal Snuffy'ego od dawna stanowił ulubione miejsce spotkań jego kolegów. Rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy znajdzie się ktoś, z kim mógłby pogadać, chociaż właściwie nie był w nastroju do towarzyskich pogawędek.

Co, u licha, napadło wczoraj Jane? I co się stało psom? Wyglądały, jakby chciały pożreć go żywcem, a Olive zachowywała się tak, jakby w ogóle go nie знаła. A najważniejsze, gdzie wtedy była Jane i co robiła? Serce zabiło mu niespokojnie, kiedy przypomniał sobie ich wczorajszą rozmowę. Zdziwił go jej wygląd. Tak bardzo, że chlapnął pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Duży błąd, Sorenson. Ale co on takiego powiedział? Czy nie miał prawa okazać zdziwienia? Do diabła, kochał jej kręcone włosy i uwielbiał, kiedy muskały go po twarzy, gdy się kochali, a on wsuwał dłonie w sprężyste loki. Powinna mu powiedzieć. To przecież nie zbrodnia. Cholera! Po raz kolejny uświadomił sobie, jak niewiele wie o kobietach.

Pociągnął solidny łyk ze szklaneczki i odwrócił się, by popatrzeć na salę. Zobaczył kilka osób, z którymi zwykł wymieniać ukłony, ale nikogo naprawdę znajomego, nikogo, komu mógłby się zwierzyć. Odwrócił się z powrotem i sięgnął po precla.

Skończy drinka, wróci do domu i zadzwoni do matki.

Uzmysłowił sobie raczej niż zobaczył, że ktoś siada obok niego. Doleciał go zapach znajomych perfum. Odwrócił się.

– Coletta!

– Mike! Tak myślałam, że to ty. Jak leci?

– Dobrze, a co u ciebie?

Musiał się stąd wydostać, i to natychmiast. Lepiej, by Jane nie dowiedziała się, że pije drinka ze swoją byłą dziewczyną.

– W porządku. Jesteś sam? Znudziły ci się wakacje?

Była niewątpliwie piękna. Zmrużył oczy, by lepiej jej się przyjrzeć. Wyglądała, jakby ktoś pociągnął ją lakierem. Ciekawe, czy popękałaby jej twarz, gdyby uśmiechnęła się albo skrzywiła?

Nikt nie miał takich brwi. Doskonale łuki. Kiedyś sądził, że mógłby zatonać w tych ciemnych oczach. Kiedyś. Lata świetlne temu. Przyjrzał się jej fryzurze. Włosy miała teraz dłuższe i zaczesane gładko do tyłu. Podobnie jak reszta, one też wyglądały niczym pokryte warstwą lakieru.

– Prawdę mówiąc, nie. Uwielbiam wakacje. Wracalem właśnie do domu i wpadłem na drinka. Miałem nadzieję, że natknę się tu na Jonesy'ego – powiedział. Jonesy był ich wspólnym znajomym. – Nie ma go, więc lepiej pojedę do domu i popracuję nad paroma nudnymi przypadkami. A co ty tu robisz?

– Czekam na przyjaciela, ale jakoś się spóźnia. Słyszałam, że z kimś się spotykasz.

– Rzeczywiście, a ty?

– Tak jakby – odparła Coletta, uśmiechając się. – Znam ją?

– To Jane Lewis. Wątpię, żebyś ją znała. Jest moją koleżanką po fachu.

– Ta, która prowadzi w radiu audycję? – spytała, spoglądając na niego z niedowierzaniem. – Boże, Mike, ona jest zupełnie nieatrakcyjna i taka zaniedbana. Widziałam jej zdjęcie w lokalnej gazecie.

Mike najeżył się.

– Co takiego? Nie jest nieatrakcyjna. Prawdę mówiąc, jest olśniewająca – dodał, wspomniawszy, jak wyglądała poprzedniego dnia.

– Nie chciałam nikogo urazić. Po prostu nie przypuszczałam, że

ona może być w twoim typie. Przecież zawsze uganiałeś się za ślicznotkami.

– Nieprawdą, Coletto. W końcu, rozstałem się z tobą dość szybko, czyż nie? A trudno o kogoś bardziej atrakcyjnego – dodał, zsuwając się ze stołka i rzucając banknot na ladę.

– Do zobaczenia, Coletto.

Wsiadł do samochodu i przymknął na chwilę oczy.

– Myliłem się, Jane. Wcale nie wyglądasz jak Coletta. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Nie wiem, co we mnie wczoraj wstąpiło. Kochałbym cię nawet, gdybyś była łysa.

Gdy tylko Jane się poruszyła, oba psy wstały i zaczęły kręcić się dookoła. Wyraźnie czekały, aż otworzy oczy. A kiedy to zrobiła, skoczyły na nią, machając ogonami, powarkując radośnie i trącając Janosami, by wstała.

Jane jęknęła i z trudem się podniosła. Potworny ból głowy rozdzierał jej czaszkę. Przytrzymała się umywalki i podciągnęła wyżej. Trzy aspiryny same znalazły się w jej dłoni. Podsunęła twarz pod kran i przełknęła lekarstwo, popijając wodą.

– Nigdy więcej! – mruknęła, spoglądając na leżący na skraju umywalki zegarek. Pokazywał drugą trzydzieści nad ranem.

Nie puszczając umywalki, odwróciła się i zobaczyła pled oraz siedzące obok Mego psy. Opadła na kolana i objęła zwierzaki.

– Moi obrońcy! Nie zasługuję na was! Co byście powiedziały, gdybyśmy zeszli na dół i posiedzieli na tylnej werandzie? Może świeże powietrze przegoni ten ból głowy. Pobiegniecie sobie, a ja tymczasem będę kontemplować złe skutki nadużywania alkoholu.

Otworzyła tylne drzwi i wypuściła psy. Pomyślała, że wielka szklanka soku pomidorowego doprawiona sosem Tabasco na pewno dobrze jej zrobi. Szurając stopami, gdyż podnoszenie ich, a potem stawianie potęgowało ból, kręciła się po kuchni. Miała ochotę umrzeć.

By sprawdzić, czy ktoś nie nagrał się na automatyczną sekretarkę, należało albo odwrócić głowę, albo całe ciało. Decyzja okazała się zbyt trudna i Jane poszurała w kółko. Światelko na telefonie, sygnalizujące nagraną wiadomość, nie paliło się. Nikt do niej nie dzwonił, nawet Mike.

Poczuła, jak sok pomidorowy bulgocze jej w żołądku.

– Proszę, uspokój się. – błagała swój żołądek. – Tylko nie wymioty. Naprawdę tego nie znoszę. – Może kawa coś by tu po-

mogła. Mocna, czarna kawa. Uniwersalne lekarstwo Trixie. Fred nie zgadzał się z żoną, twierdząc, że tylko czarna herbata z rumem potrafi wyleczyć wszystko, nawet brodawki na żabie. Powlokła się do wyjścia na werandę i sięgnęła po zakiet, wiążący tuż przy drzwiach. Pchnęła ramieniem staromodne drzwi z moskitierą, z lubością przysłuchując się ich skrzypieniu. Trixie mawiała, że drewniane drzwi powinny skrzypieć i trzeszczeć. Odgłos był równie kojący jak widok pierwszych światełek latem albo majowy deszczyk, kiedy spomiędzy chmur prześwieca słońce;

Jane spojrzała na pole i spostrzegła zbliżające się światła reflektorów. Zmarszczyła brwi. To pewnie Trixie jedzie, by sprawdzić, jak Jane się czuje. Jaka ona dobra i miła. Jaka troskliwa. Jane nigdy nie osiągnęłaby tego, co osiągnęła, gdyby nie Trixie i Fred. Popijając kawę, czekała, aż pojawią się jej rodzice chrzestni.

Flash wskoczył na werandę. Coś błysnęło mu w zębach. Jane pochyliła się i zobaczyła błyszczący klucz. Przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał jak klucz do drzwi wejściowych. Do licha, to naprawdę był ten klucz. Flash zaszczekał.

– Dzięki, Flash, W odpowiedzi pies pokiwał głową w górę i w dół, czego nauczyła go Trixie – uważała, że pies powinien być dobrze wychowany i tak właśnie to sobie wyobrażała. Szkoda, że Olive nie jest równie zdolna, pomyślała Jane, wpatrując się w znaleziony przedmiot. Trixie miała jeden. Drugi przyklejony taśmą był schowany pod parapetem. W ogóle było ich cztery, wliczając ten, który miała przypięty do breloczka. Czy Mike przyjechał, by zwrócić jej klucz? Na myśl o tym serce zamarło jej w piersi.

Radiowóz zahamował ostro. Trixie i Fred wysiedli. Zdumieni, spojrzeli na Jane. Najwidoczniej nie spodziewali się jej tu stać.

- Nic ci nie jest, Janie? – spytał Fred, zatroskany.
- Zła wiadomość to fakt, że nigdy dotąd tak fatalnie się nie czułam. Dobra, że chyba przeżyję – powiedziała. Trixie objęła ją i przytuliła.
- Spójrz, Trixie, co Flash znalazł. Podąła klucz Trixie.
- To chyba Mike’a. Musiałam leżeć jak kłoda, skoro nie usłyszałam, jak nadjeżdża. Jestem pewna, że nie podrzuciłby klucza ot tak, bez słowa. Na pewno pukał, ale nikt mu nie otworzył. Paskudna sprawa, co? Do licha, Trixie, myślałam, że to ten jedyny. Ten jeden jedyny, Trixie! Cholera, kiedy już coś spieprzę, to na całego!
- Nie bądź dla siebie taka surowa, Janie. Po pierwsze, nie masz pewności, czy to klucz Mike’a. To może w ogóle nie być klucz do twojego domu – powiedziała Trixie.
- Och, na pewno jest mój. Są tylko cztery. Nie tak dawno kazałam go dorobić dla Mike’a. Jeszcze cały się błyszczy. Wy macie jeden, ja mam jeden i jeden leży pod parapetem. Wiem, co mówię.
- Trixie usiadła na stopniu obok Jane.
- Może go zgubił. Mógł wpiąć się z breloczka. Istnieją tysiące możliwych powodów, dla których trzymasz go teraz w dłoni. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, kochanie.
- Jane pochyliła się i ukryła twarz między kolanami.
- Nie zadzwonił – jęknęła. – Mógł zadzwonić i zostawić wiadomość. Nie zrobił tego.
- Z tysiąca różnych przyczyn – upierała się Trixie. – Może nie usłyszałaś dzwonka. Czasami ludzie niechętnie zostawiają wiadomości. Zobaczysz, to się wyjaśni. Nie przejmuj się tak teraz, a rano wszystko będzie wyglądało inaczej. Możemy coś dla ciebie zrobić, skarbie?
- Powiedzcie mi, co zrobić, żeby wyrosła mi nowa głowa.
- Jane wiedziała, że to, co mówi, brzmi żałośnie, lecz nic nie mo-

gła na to poradzić. Akurat w tej chwili tak właśnie się czuła. Żalśnie.

– Kac to prawdziwe przekleństwo – zauważył Fred, niestety, po czasie. Teraz jego uwaga nie zda się Jane na nic.

Wyprostowała się, aby pokazać, że z nią jest wszystko w porządku.

– Wysłałam, bo miałam nadzieję, że trochę przejaśni mi się w głowie. Wracajcie do domu, nic mi nie jest. Dziękuję, że przyjechaliście.

– Chcesz, żebyśmy zostawili ci Flasha?

– Nie, dzięki. On chyba tęskni za wami. To wy jesteście podporą jego życia, tak samo, jak i mojego. On was potrzebuje. Mnie i Olive nic nie będzie. Chyba jeszcze się położę. Zadzwoń do was rano.

– Może zadzwoniłabyś też do Mike’a – zasugerowała Trixie. – On cię kocha.

– W porządku, pomyślę o tym – obiecała, chowając klucz do kieszeni.

Wspinanie się na schody stanowiło istną torturę, lecz dokonała tego. Na górze zatrzymała się na chwilę, czekając, aż zelżeje bolesne pulsowanie z tyłu głowy. Nic z tego. Powlokła się więc do sypialni i wczołgała na łóżko. Żalowała, że nie ma przy niej Mike’a, by ją przytulił i pocałował w bolącą głowę.

Mike.

Może źle odczytała jego reakcję na zmianę fryzury. Powiedział, że wygląda zupełnie inaczej. Inaczej, to niekoniecznie znaczy źle. Po prostu inaczej. W końcu, ona też tak pomyślała, gdy popatrzyła na swoje odbicie.

– Boże – jęknęła. – Co ze mną jest nie w porządku? Może kiedy się obudzę, okaże się, że to był tylko zły sen.

– Obejmij dyżur, Olive – mruknęła, odpływając w sen.

Obudziła się raptownie. Ból głowy, który przedtem o mało nie pozbawił jej przytomności, przeszedł w tępe łupanie. Jeszcze trochę aspiryny, filiżanka gorącej herbaty, a zniknie bez śladu. Ostrożnie spuściła nogi z łóżka. Świat nie zaczął się kołysać, więc poszła do łazienki. Wzięła prysznic i wyszorowała zęby, a potem długo wpatrywała się w swoje odbicie. Jej nowa fryzura wyglądała niemal tak dobrze, jak podczas lunchu.

– Podoba mi się. Chyba przy niej zostanę – mruknęła pod nosem, przesuwając szczotką po miękkich, niesfornych lokach. Usłyszała, że zegar na dole wybija dziesiątą. Ani razu w całym swoim życiu nie spała dłużej niż do ósmej. Z drugiej jednak strony, nigdy nie była aż tak pijana.

– Zobaczmy, co świat ma nam dziś do zaoferowania, Olive. Skoro gabinet jest zamknięty, a Mike obrażony, musimy poradzić sobie same. Co oznacza świąteczne zakupy. Możemy iść po choinkę, albo po prostu zostać tutaj i leniuchować, oglądając jakiś łzawy serial. Czego na pewno nie będziemy robić, to użalać się nad sobą, ani rozmyślać o Mike’u Sorensonie.

Powiesiła wilgotny ręcznik i wyszła z łazienki. Olive deptała jej po piętach. Próbowwała nie patrzeć na automatyczną sekretarkę, lecz w końcu się poddała. Serce podskoczyło jej w piersi, gdy zobaczyła, że miga czerwone światelko. Nastawiła wodę w czajniku, odwlekając moment, kiedy wreszcie usłyszy głos Mike’a. A kiedy nie mogła ani chwili dłużej wytrzymać napięcia, nacisnęła przycisk.

– Cholera! – powiedziała, usłyszawszy, kto dzwonił. To była Sharon Thomas.

– Jane, tu Sharon. Chciałabym umówić cię na spotkanie z moim adwokatem. Trzeciego stycznia, jeśli ci to odpowiada. Jestem zainteresowana przejęciem twojej praktyki. A przy okazji, widziałam wczoraj Mike’a u Snuffy’ego. Nabrałaś mnie, mówiąc, że jesteście parą, prawda? Może powinnaś była go uprzedzić.

Był pogrążony w czulej pogawędce ze świetnie zbudowaną dziewczyną w typie modelki. Nie potrafię jej opisać inaczej, jak tylko, że jest oszałamiająca. Powiedz twojemu prawnikowi, żeby porozumiał się z moim... nazywa się Grover Mandel. Przyjemnych ferii, Jane.

Nie było innych wiadomości. Jane opadła na krzesło i wbiła wzrok w filiżankę. Błyszczący klucz leżał na środku stołu. Musiała położyć go tam w nocy. Chwyliła go i rzuciła przez pokój. Olive pobiegła, obwąchała klucz, a potem przyniosła go Jane. – Dzięki, Olive – powiedziała Jane, wrzucając klucz do szuflady z rupieciami.

Jednym haustem dopiła herbatę, a potem pobiegła na górę i przebrała się. W drugiej połowie tygodnia wybierała się do Crowley, na spotkanie z Toddem Prentice'em. Zamierzała do niego zadzwonić i zaprosić na lunch. To znaczy, o ile uda jej się znaleźć jego wizytówkę. Chyba wkładałam ją do szuflady biurka, przypomniała sobie. Dziś sama zje bardzo późny lunch, a potem – zakupy świąteczne!

Usiadła za biurkiem i nagle jej spojrzenie padło na stojące na monitorze plastikowe pudełko z dyskietkami Connie. Doskonale pamiętała, że odstawiła je na skraj biurka i położyła na nim zieloną żabę.

– Kto ruszał...

Umilkła, bojąc się zadać to pytanie głośno.

Przez chwilę wpatrywała się w dyskietki, a potem sięgnęła po nie drżącymi dłońmi. Czyżby sama przestawiła pudełko, a potem o tym zapomniała? Aż za dobrze pamiętała dzień, kiedy obie z Olive przyglądały się, jak skoroszyty same wysuwają się z jej walizeczki. To pewnie znowu te duchy, pomyślała. Nie. Nie ma czegoś takiego jak duchy. Duchy nie istnieją – chyba, że w jej snach. Ktoś poruszył pudełko. Może Mike. Ale jak to możliwe? Olive i Flash nie wpuściłyby nikogo, nawet Mike'a.

Jane rozejrzała się po pokoju. Wszystko zdawało się być na swoim miejscu. Wszystko wyglądało tak samo. Intruz nie zadowolilby się przestawieniem pudełka z dyskietkami, była tego pewna.

Pomasowała skronie.

– Musiałam zrobić to sama – mruknęła. Opuściła rękę i podrapała Olive za uszami. Spanielka machała ogonem tak mocno, że aż poruszało się całe jej ciało. – Ta sprawa wymyka mi się z rąk, malutka – powiedziała. Sięgnęła do pudełka i przeliczyła dyskietki. Nie brakowało żadnej, choć ta wymagająca wpisania hasła znajdowała się teraz z tyłu; – Pamiętam, że położyłam ją z przodu, owiniętą gumką. – Gumka zniknęła, a na jej miejscu znajdował się skrawek papieru z nadrukowanym słowem: JANE.

Dłoń Jane zamarła w pół ruchu. Przełknęła nerwowo ślinę i spojrzała na Olive, która przyglądała się jej wyczekująco.

– To staje się coraz ciekawsze, Olive. Ale cokolwiek się tu dzieje, a coś dzieje się na pewno, my podejmiemy do tego spokojnie. Będziemy poruszać się małymi krokami. Jeden krok za drugim. Na wszystko jest, jakieś wytłumaczenie, zawsze powtarzam to swoim pacjentom. Te wydarzenia są tak dziwaczne, że nawet się nie boję. Jak myślisz, o co tu chodzi? Powinnaś nauczyć się mówić, Olive – stwierdziła zrzędliwie.

Z bijącym mocno sercem włączyła komputer, wsunęła w kieszeń dyskietkę i czekała. Gdy pojawiło się okienko, w którym należało umieścić hasło, wpisała swoje imię tak, jak zostało napisane na kartce, wersalikami. Wstrzymała oddech, czekając, czy pojawi się napis „Brak dostępu”. Nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego pojawiła się lista plików. Na dyskietce znajdowały się trzy pliki: swego rodzaju pamiętnik, kalendarzyk i list zaadresowany do niej.

Jane poczuła zawrót głowy tak silny, że aby się go pozbyć, mu-

siała odsunąć się od biurka i spuścić nisko głowę. Dopiero po dłuższej chwili poczuła się na tyle dobrze, by zabrać się do czytania.

Droga Jane!

Zamierzałam napisać do Ciebie od razu po powrocie, ale byłam zbyt zajęta udawaniem, że wszystko jest jak dawniej, tak żeby nikt nie podejrzewał, co przytrafiło mi się tamtej nocy. Wymagało to tyle energii, że po prostu nie zostało jej już na nic innego. Chciałam jedynie spać. Nie wiem, czy kiedykolwiek wyślę do Ciebie ten list, ale z drugiej strony, kto wie, co może zdarzyć się jutro. Byłaś dla mnie taka dobra. Żałuję teraz, że cię nie posłuchałam. Wstyd i poczucie winy są nie do zniesienia.

Rodzice tak bardzo ucieszyli się z mojego przyjazdu! Ja też udawałam radość, ale wydaje mi się, że mama zaczęła coś podejrzewać. Powtarzam jej, że to tylko zdenerwowanie spowodowane ślubem. Tyle rzeczy chciałabym im powiedzieć, ale nie potrafię. Bo chociaż wiem, że nie przestaliby mnie kochać, patrzyliby już na mnie inaczej. Byłabym dla nich splamiona.

Todd także się zmienił. Z początku sądziłam, że to ja inaczej teraz na niego patrzę, ale nie. Chodzi o niego. Skraca nasze randki i stara się od nas wychodzić jak najwcześniej. I ani razu się nie kochaliśmy. On nie miał ochoty. Uznałam, że to dziwne, ale nawet się ucieszyłam, bo, uczciwie mówiąc, nie wiem, jakbym się wtedy czuła. Todd twierdzi, że to ja się zmieniłam i męczy mnie bez przerwy, żebym powiedziała mu, co się stało. Powtarza stale, że coś przed nim ukrywam i koniecznie chce się dowiedzieć, co to takiego. Jane, nie potrafię tego wyjaśnić, ale zachowuje się tak, jakby wiedział. Potem rodzice pojechali do dziadków i zostałam sama. Zaprosiłam Todda, ugotowałam wspaniały obiad, ubrałam się tak, jak lubi i spróbowałam go uwieść – tylko po to, żeby sobie udowodnić, że nadal coś do

niego czuję i że on czuje coś do mnie.

Wykorzystał każdą znaną wymówkę, żeby nie iść ze mną do łóżka. To upewniło mnie, że on wie. Zaproponowałam, żebyśmy odwołali ślub, a on powiedział, że lepiej będzie go przesunąć.

Zgodziłam się.

Byłam okropnie przygnębiona, Jane, a kiedy dowiedziałam się, że on spotyka się z dziewczyną, która ma nieprzyzwoicie bogatego ojca, poczułam się jeszcze gorzej. Spytałam go o to wprost, a on powiedział, że są tylko przyjaciółmi. Uwierzyłam mu, bo chciałam uwierzyć.

Ale zaczęły mnie męczyć koszmary, i to jeszcze gorsze niż te, które miewałam tuż po powrocie. Ale tym razem na coś się przydały. Przypomniałam sobie dwie rzeczy, które mogłyby pomóc zidentyfikować gwałcicieli. Jeden z nich nosił ciężką, grubą bransoletę z grupą krwi, a drugi miał na szyi medalion, zawieszony na łańcuszku. Kiedy mnie gwałcił, medalion kołysał się na moją głowę niczym wahadło. Nadal nie mam odwagi iść z tym na policję, ale może pewnego dnia się to zmieni. Wiem, że powinnam wtedy cię posłuchać i iść przynajmniej do centrum kryzysowego. Zachowałam się głupio, lekceważąc twoje rady, ale byłam bardzo zakochana i nie chciałam zrobić niczego, co mogłoby narazić na szwank moje plany.

A teraz, pomimo moich wysiłków, nie mam już żadnych planów. W głębi duszy wiem, że między mną a Toddem wszystko skończone. Nie kocham go już tak, jak kiedyś, a i on nie ukrywa, że jego uczucia się zmieniły.

Nie wiem, co zrobię, Jane, ale zdaję sobie sprawę, że coś zrobić muszę. I to szybko. Nie mogę żyć tak jak teraz, w strachu i zakłamaniu.

Chciałabym podziękować ci za wszystko, co wtedy dla mnie zrobiłaś, i przeprosić, że nie pożegnałam się z tobą przed wyjazdem. Nie znałyśmy się zbyt długo – ale przez tę jedną noc

byłaś dla mnie najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

Życzę ci, żebyś była szczęśliwa, Jane.

Connie Bryan

Jane otarła łzy.

– Jak się domyślam, zdecydowałaś, że dłużej żyć nie warto – powiedziała, wpatrując się w monitor. – Do licha, Connie, powinnaś była wysłać ten list. Co teraz po tylu latach mogę zrobić?

Przejrzała pozostałe dyskietki, ale nie znalazła nic, co by jej pomogło. Nie wiedząc, dlaczego to robi, skopiowała list i ukryła dyskietkę pośród książek Trixie i Freda. Po prostu czuła, że tak będzie rozsądnie.

A co się tyczy osoby, która przestawiła pudełko i napisała jej imię na dyskietce, zastosuje metodę Scarlett O'Hary i pomyśli o tym jutro. Teraz ma coś pilniejszego do roboty.

Znalazła wizytówkę Todda Prentice'a i z zaciętą miną wybrała numer. Centrala połączyła ją z sekretarką.

– Chciałabym rozmawiać z panem Prentice'em – powiedziała. – Proszę mu powiedzieć, że dzwoni dr Jane Lewis. – Trixie poradziłyby jej, żeby najpierw dobrze się do tego przygotowała, a dopiero potem rozpoczęła tę rozmowę. No tak, ale telefon Sharon Thomas wprowadził ją już w odpowiedni nastrój.

– Jane Lewis. Miło cię słyszeć. Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – zawołał donośnie Todd po drugiej stronie słuchawki.

– Naszej wspólnej przyjaciółce, Connie Bryan – odparła Jane spokojnie. – Chciałabym zaprosić cię na lunch. Będę w Crowley w czwartek i piątek – powiedziała, mając nadzieję, że Todd wybierze czwartek.

– Pozwól, że zerknę na terminarz. Czwartek odpada, przez cały

dzień jestem zajęty, ale piątek wygląda obiecująco. Chcesz porozmawiać o Connie, tak? Nadal często o niej myślę. Nigdy się nie dowiedziałem, czemu odebrała sobie życie. Co za nieszczęście. Przecież miała po co żyć. Myślałem, że ją znam. Widocznie już tak jest, że tylko nam się wydaje, że znamy bliskich sobie ludzi.

– To prawda, Todd – zgodziła się z nim, myśląc o Mike’u. – Tak naprawdę nie znamy ludzi, nie wiemy, do czego są zdolni. Weźmy na przykład Connie. Byłyśmy dobrymi przyjaciółkami – skłamała, zarzucając przynętę. – Można by pomyśleć, że wspomni coś o swoich zamiarach w liście, który przysłała mi tuż przed tym, jak... no wiesz.

– Byłyście przyjaciółkami? Nie wiedziałem. Nigdy o tobie nie wspominała. Ciekawe, dlaczego.

– Wiesz co? O tobie też nie mówiła zbyt wiele. Och, wiedziałam, że jesteście zaręczeni i tak dalej, ale to wszystko. Rozmawiałyśmy o innych sprawach, no wiesz, o tym, o czym zwykle rozmawiają między sobą dziewczęta – odparła Jane, zmyślając na poczekaniu.

– Rozumiem. Powiedz mi, dlaczego chcesz zjeść ze mną lunch? Czy w jego głosie pojawiły się chłodniejsze nutki, czy to tylko jej wyobraźnia?

Namyślała się przez chwilę.

– Piszę referat na temat narkotyków. Dla periodyku medycznego „JAMA”. Pomyślałam, że mogłabym skorzystać z materiałów waszej firmy, gdybym podała twoje nazwisko. To ogromny zaszczyt, być wymienionym w tak prestiżowym piśmie – dodała, gratulując sobie bystrości.

Ulga w głosie mężczyzny sprawiła, że Jane aż ciarki przeszły po plecach.

– Jasne, czemu nie. Cieszę się, że będę mógł ci pomóc. Więc jutro, o wpół do pierwszej u Rosco.

– Świetnie, może być o wpół do pierwszej. Do zobaczenia. Żalony sukinsynu, dodała w myśli.

Crdy tylko odłożyła słuchawkę, zadzwonił telefon.

– Halo?

– Jane? Tu Mike. Gdzie ty się, u licha, podziewasz? Nic ci nie jest? Przyszedłem do ciebie wieczorem, ale te przekłete psy nie dały mi wejść. Tak mnie wystraszyły, że upuściłem klucz na podjeździe. – Zamilkł na chwilę, czekając, że Jane coś powie. – Posłuchaj, przepraszam cię. Nie wyglądasz wcale jak Coletta. Jesteś prawdziwa i ciepła, i słodka, a na dodatek miła, subtelna i... Kocham cię. Naprawdę. Jeśli miałem jakieś wątpliwości, to już ich nie mam.

– A to dlaczego? – spytała Jane ze ściśniętym gardłem.

– Wracając do domu wpadłem do Snuffy’ego i zgadnij, kogo spotkałem w barze? Colette! Czekala na swego chłopaka, a ja już miałem wychodzić. Kiedy ją zobaczyłem, uświadomiłem sobie, że musiałem być głuchy, głupi i ślepy, że się z nią spotykałem. Jesteś dwa razy bardziej kobieca niż ona. Nie, dziesięć razy.

– Tylko dziesięć? – droczyła się z nim.

– Nie gniewaj się na mnie, Jane. Nie mogę tego znieść. Kochałbym cię nawet, gdybyś była łyśa.

– Słucham? To komplement czy obelga?

– Nawet, gdybyś miała brodawki i tak bym cię kochał.

– Naprawdę, Mike?

– Nawet gdybyś miała nogi jak iksy, też bym cię kochał. Chcę, byśmy zestarzelili się razem. Czy jasno się wyraziłem? Mogę już przestać? – Jane zachichotała. – Chodźmy dziś na spaghetti do Papy Joe’ego, dobrze? Założę czerwony podkoszulek i ty też, więc kiedy kapnie na nie sos, nic nie będzie widać. Wpadnę po ciebie o siódmej. Tęskniłem za tobą Jane.

– Ja za tobą też. Siódma mi odpowiada.

- Co zamierzasz robić po południu?
- Świąteczne zakupy. Teraz albo nigdy. Boże Narodzenie już za sześć dni. A tak przy okazji, może chciałbyś wiedzieć: Sharon Thomas jest zainteresowana odkupieniem mojej praktyki. Ale wiesz co? Nie oddałabym jej moich pacjentów nawet, gdyby była ostatnią chętną osobą na ziemi. To złośliwa, fałszywa, podła kobieta. Prędzej zlikwiduję praktykę, niż ją jej sprzedam.
- Masz rację co do Sharon. Jest nawet gorsza, niż powiedziałaś. Znam kogoś, kto mógłby być zainteresowany. Porozmawiamy o tym wieczorem. Kocham cię, Jane.
- Ja też cię kocham. – Jane odchyliła się na oparcie krzesła. – Słyszałaś, Olive? To powinno cię całkowicie przekonać, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Trzeba być bardzo cierpliwym i trzymać się faktów. To właśnie mówię swoim pacjentom. I trzeba panować nad emocjami, a kiedy się pije, traci się kontrolę – zachichotała. – To fatalnie, że nie przestrzegam własnych rad. Miał wytłumaczenie na wszystko. Boże, jestem taka szczęśliwa, że chyba nie wytrzymam. Zostawię cię dzisiaj w domu, żebyś mogła się wyspać, gdy mnie nie będzie. Muszę tylko zadzwonić do Trixie i poprosić, żeby przyprowadziła mój samochód.
- Olive wsparła się łapami o biurka i zaczęła zajadle szczekać, a potem cofnęła się, chwyciła zębami skraj spodni Jane i lekko pociągnęła. Był to sygnał, że chce, by pani za nią poszła.
- Och, już przyprowadzili samochód. Dobry piesek. Jesteś taka bystra. Kocham cię z całej duszy. A za to, że jesteś taka dobra i mądra, przygotuję ci wegetariańskie hamburgery. A teraz bądź grzeczna, dobrze?

Wróciła do domu przed wpół do szóstej, obładowana owiniętymi w świąteczny papier prezentami i z dwumetrową choinką w bagażniku. Na tylnym siedzeniu leżały ozdoby i kolorowe

lampki.

Za wszelką cenę starała się nie myśleć o dyskietce Connie i o rozmowie z Toddem Prentice'em. Nie miała zamiaru teraz zawracać sobie tym głowy. Teraz należy sobie coli i zadzwoni, żeby zamówić specjalny prezent dla Mike'a. Pewnej deszczowej nocy, kiedy leżeli przytuleni do siebie po szczególnie miłych chwilach w łóżku, spytała go, jakie jest jego sekretne marzenie. Odpowiedział, że chciałby wystartować myśliwcem Tomcat z pokładu USS „Patrick Henry”, najchętniej gdzieś na Adriatyku. Jane postanowiła umożliwić mu to za pomocą rzeczywistości wirtualnej. W Baton Rouge znajdowało się specjalne studio, gdzie można było odbywać wirtualne wycieczki. Bilet wstępu, zawierający szczegółowy opis dostępnych atrakcji, miał zostać do niej wysłany wieczorną pocztą. Przed wigilią owinie go szereką, czerwoną jedwabną wstążką.

Gdy tylko przypominała sobie o prezencie, aż kręciło jej się w głowie na myśl o tym, jaką minę zrobi Mike.

Zanotowała w pamięci, by zadzwonić do Sharon po godzinach pracy i jasno dać do zrozumienia, że nie zamierza odsprzedać jej praktyki.

– No, Olive! Obiecałam ci hamburgery, prawda? I popatrz, zaraz będą.

Nim wzięła się do miksowania i siekania, wyjęła z szuflady klucz i położyła go na środku stołu.

– Wiesz co, Olive. Nie mam ochoty wychodzić. Zadzwoń do Mike'a i powiem mu, żeby przyniósł ze sobą jedzenie. Spędzimy razem wieczór i ubierzemy choinkę. Zupełnie jak rodzina. Wiesz, co czuję, kiedy mówię o rodzinie, prawda, Olive.

– Hau.

Jane leżała na sofie obok Mike'a. Olive skuliła się w zagłębieniu jej kolan. Wszyscy troje wpatrywali się w pięknie przystro-

jone drzewko. Jane westchnęła z zadowoleniem.

– Miałaś rację, Mike. Dekoracje sprawiły, że ten stary pokój znów ożył. I pomyśleć, że dostałam to wszystko w domu towarowym Wallace.

– Sądziłem, że nie zechcesz dekorować domu, ale cieszę się, że zmieniłaś zdanie. Wieczorem wydawałaś się czymś zaabsorbowana. Chcesz o tym pogadać? Jestem dobrym słuchaczem.

Jane opowiedziała mu, jak zaprosiła na lunch Todda Prentice'a i o dyskietkach, które przywiozła ze Slidell.

– Mike, wiem, gdzie odstawiłam pudełko, i dokładnie pamiętam, że położyłam na wierzchu żabę. Pamiętam to tak dobrze, jak pamiętam swoje imię. Więc teraz pytam się ciebie, skąd wziął się ten skrawek papieru z moim imieniem? I... jak wyjaśnisz tę sprawę z hasłem? Wczoraj nie było tu nikogo. Sam powiedziałeś, że psy nie pozwoliły ci wejść. Hasło było właściwe.

– Ciarki przeszły jej po plecach, więc przysunęła się bliżej Mike'a. – Mike, krew dosłownie zastygła mi w żyłach. Rano pokażę ci list. Kiedy go przeczytałam, coś ścisnęło mnie za serce i popłakałam się.

– Zamierzasz coś z tym zrobić, prawda, Jane? Masz dość dowodów, by kogoś oskarżyć?

– Tak, oczywiście, że mam zamiar coś z tym zrobić, ale nie, nie mam dowodów. Jeszcze nie. Ale coś mi się zdaje, że niedługo będę miała. W liście Connie wspomniała o czymś, co może mi pomóc, poza tym jest jeszcze blizna po ugryzieniu i DNA na ubraniu. Poprosiłam znajomego prawnika, aby to sprawdził, i jest tak, jak myślałam: w 1994 roku przegłosowano prawo, zgodnie z którym zbiorowy gwałt nie ulega przedawnieniu, nawet jeśli zdarzył się pięć, dziesięć czy piętnaście lat temu.

– Wszystko przez tego faceta, Ramsey'a, prawda? Jezu, że też musiał przyjść akurat do ciebie! Mam złe przeczucia, Jane. Co takiego spodziewasz się uzyskać, spotykając się z takim łajda-

kiem jak Prentice? Powiedziałaś, że to łajdak, pamiętasz? A jeśli chodzi o hasło, nic nie przychodzi mi do głowy.

– Nie wiem, może z czymś się wygada. Mam teraz list Connie. Ona czuła, że coś tu nie grało i że Todd zachowywał się tak, jakby o wszystkim wiedział. Ale nie rozmawiajmy już o tym. Powiedz, naprawdę znasz kogoś, kto mógłby być zainteresowany odkupieniem mojej praktyki? I co kupiłeś mi na Gwiazdkę? – spytała, łaskoczając go pod pachami.

Chwycił ją za rękę i mocno przytrzymał.

– Wspomniałem o tym Billowi Bennetowi i Carlowi Wylie.

Właśnie przyjęli dwóch nowych pracowników i chcieliby rozwinąć interes. Wydaje mi się, że są bardziej niż zainteresowani. Carl i jeden współpracownik mogliby przejąć twój gabinet, a Bill i jego pomocnik zostaliby w Lafayette. Bill powiedział, że skontaktują się z tobą po Nowym Roku. Twoi pacjenci na pewno by ich polubili. Mogę zająć się formalnościami, Jane, ale czy jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

– Jestem. Już czuję się tak, jakby zdjęto mi z ramion wielki ciężar. Ale nie zmieniaj tematu i powiedz mi, co masz dla mnie na Gwiazdkę?

– Ty pierwsza – powiedział z oczami błyszczącymi oczekiwaniem.

– Ja dam ci coś, czego pragniesz najbardziej na świecie, to wszystko, co mogę teraz powiedzieć. Twoja kolej, daj mi jakąś wskazówkę.

– Najbardziej na świecie pragnę ciebie, Jane. Wszystko poza tobą jest jak lukier na ciastku. Mam dla ciebie coś, co będzie na zawsze. Więcej ci nie powiem. I nie próbuj tego ze mnie wyduścić.

Zastanowiła się nad jego odpowiedzią. Obrączka jest na zawsze. I przysięga małżeńska.

– Jesteś pewien, że twoi rodzice mnie polubią? A jeśli nie, Mi-

ke? Przytulił twarz do jej skroni, potem policzka i szyi.

– Uwierz mi, mama cię pokocha, a ojciec będzie cię uwielbiał. Wiem to. Jestem ich synem.

– Powiedz mi jeszcze raz, jacy oni są. Chciałabym trochę ich poznać, zanim mnie im przedstawiś.

– Mama jest przystojną kobietą, ma sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i wielkie serce. Zawsze ubiera się elegancko, nawet do sprzątanania. Robi najwspanialsze ciasto czekoladowe, jakie kiedykolwiek jadłaś. Na samą myśl aż cieknie mi ślinka. A za jej zupę gumbo można by oddać życie. Rabatki w naszym ogródku są najładniejsze na całej ulicy i nigdzie nie znajdziesz ani jednego chwastu. Bez przerwy robi na drutach kapy, ubranka dziecięce, swetry i zanosí to wszystko na różne aukcje kościelne.

Jane położyła głowę na piersi Mike’a, a on zaczął gładzić ją po włosach.

– Tata jest wysoki, postawny i szeroki w barach. Ma tubalny i zaraźliwy śmiech i nigdy się nie złości. Można powiedzieć, że ma dosyć swobodny sposób bycia. Oczy mu błyszczą i bardzo przejmuję się tym, że traci włosy. Od lat używa preparatów przeciwko wypadaniu włosów, ale bez skutku. Mimo to nie poddaje się. W garażu ma warsztat, gdzie robi zabawki, a potem oddaje je do kościoła, tak jak mama ubrania. Lubi tańczyć. Ma w salonie szafę grającą ze wszystkimi starymi przebojami. On i mama słuchają tego co dzień po kolacji i trochę sobie drepczą. Oboje lubią wędkować, chodzić do kina i udzielać się społecznie. Przez cały czas są zajęci. Dzwonią do mnie w każdą niedzielę, a ja do nich w środy.

Jane wyobraziła sobie rodziców Mike’a, siedzących obok siebie na kanapie, matka w kwiecistej sukni, ojciec w koszulce polo i brązowych spodniach.

– To brzmi cudownie.

- Bo oni są cudowni. Na pewno cię pokochają. Możemy już iść do łóżka? Wczoraj w nocy nawet nie zmrużyłem oka.
- Kto napisał hasło na dyskietce, Mike?
- Nie mam pojęcia... chyba, że... – Chyba, że co?
- To mógł być ten twój duch. Jane prychnęła i wyprostowała się.
- No wiesz, Mike, trochę to naciągane, nie uważasz? – A masz inne wyjaśnienie? – zapytał poważnie. Jane spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:
- Duchy nie istnieją, Mike.

Powietrze było zdecydowanie mroźne. Doskonała pogoda na święta, pomyślała Jane, kiedy wysiadła z samochodu i oddała kluczyki parkingowemu. Rozejrzała się dookoła. Restauracja wydawała się dziś jakaś inna. Być może budynek został odnowiony. Była tu przed laty, a w dodatku późnym wieczorem. Podawano tu wyjątkowe jedzenie, tyle przynajmniej pamiętała. Budynek – długi, wąski, z salami bankietowymi z tyłu, na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby architekt uznał, że nie uda mu się przeprowadzić tego, co sobie zamierzył, więc się poddał. Szare kamienie w połączeniu z oknami w stylu Tudorów stwarzały wrażenie bezładu.

Całość ratowały jedynie świąteczne dekoracje. Właściciele nie żalowali kosztów. Na każdych drzwiach, na każdym oknie, w każdym kąci i każdej szczelinie umieszczono białe światełka, spowite w zieleń, udekorowaną kokardami z czerwonego aksamitu. We wnętrzu panował półmrok, a powietrze przesycone było zapachem aromatycznego balsamu. Jane z zadowoleniem pociągnęła nosem. Od razu dobiegł ją stłumiony dźwięk rozmów i pobrzękiwanie sztućców. To najlepszy okres w roku dla restauratorów, pomyślała. W kącie stała choinka, uginająca się pod ciężarem kosztownych złotych ozdób. Zdaniem Jane, jej drzewko z domu towarowego wyglądało sto razy lepiej. Może dlatego, że wołała proste ozdoby, nie tak wystawne i błyszczące. Usiadła niedaleko wejścia i zerknęła na zegarek. Miała nadzieję, że Todd Prentice jednak przyjdzie na spotkanie.

W pięć minut później wszedł, wnosząc ze sobą podmuch mroźnego powietrza.

– Mam nadzieję, że nie kazałem ci czekać – powiedział, przesuwając dłonią po włosach.

– Nie, dopiero przyszłam odparła, dyskretnie zerkając na jego

kaszmirowy płaszcz i drogie buty. Sam krawat musiał kosztować kilkaset dolarów.

Musiałyby też być ślepa, żeby nie zauważyć monogramu na mankietach jego śnieżnobiałej koszuli, kiedy oddawał płaszcz szatniarce. Przerzucił zręcznie szarą kopertę z jednej ręki do drugiej, sięgnął po płaszcz Jane i uśmiechnął się do niej. Objął dłonią łokieć swej towarzyszki i poprowadził ją w głąb sali, ignorując hostesse.

– Firma ma tu swój stolik w końcu sali. Mój teść sporo buli za ten przywilej – powiedział.

– Jak miło – odparła Jane drewnianym głosem.

– Żebyś wiedziała. Tu zawsze jest tłok, więc dobrze mieć świadomość, że możesz ot tak po prostu sobie wejść i zawsze jest dla ciebie stolik. Nie trzeba czekać, ani wsuwać napiwku hostessie. Dyrektor finansowy firmy ma udziały w tej restauracji, ale to sprawa prywatna.

Prentice poprowadził Jane na koniec sali, przystając po drodze, by się z kimś przywitać lub choćby poklepać jakiegoś znajomego po ramieniu. Miał rację, to najlepszy stolik, pomyślała, kiedy odsunął dla niej krzesło. Ciekawe, co on ma w tej kopercie.

Pewnie materiały, które pomogą jej napisać fikcyjny artykuł.

– No, Jane, czego się napijesz?

– Poproszę mineralną z sokiem z limonki. Prowadzę. Postawiła obok siebie torebkę, a potem rozłożyła na kolanach serwetkę.

– Ja też, mimo to wezmę podwójnego robroya.

Podniósł palec wskazujący i kelner natychmiast się pojawił.

Todd złożył zamówienie i wytrząsnął z paczki papierosa.

– Można tu palić? – spytała Jane, zaskoczona.

– Ja mogę – powiedział, a potem zapytał, przyglądając się jej uważnie: – Wszystko przygotowane do świąt?

– Chyba tak, a u ciebie?

– Żona się tym zajmuje. Wiesz, jakie są żony. Chcą, żeby

wszystko było dopięte na ostatni guzik, i uważają, że my faceci tylko przeszkadzamy. Każdego roku spędzamy święta w naszym apartamencie w Aspen i zostajemy tam do Nowego Roku. Apartament w Aspen. Gdyby to Connie wyszła za tego dandysa, mogłaby liczyć co najwyżej na przejażdżkę saniami po New Jersey.

– Przyniosłem ci trochę materiałów do przejrzania, oszczędzisz w ten sposób nieco czasu. Może byś na nie zerknęła, a ja zadzwonię do biura i sprawdzę, czy wszystko gra. Zostawiłem sekretarce masę poleceń.

Jane sięgnęła po kopertę i przez chwilę udawała, że przegląda fachowe czasopisma i błyszczące broszury, reklamujące najnowsze leki firmy teścia Prentice'a. Tylko raz podniosła głowę i w lustrze naprzeciw siebie zobaczyła Prentice'a, rozmawiającego z telefonu w holu. Jeśli dzwonił do biura, to ona była księdzem. Ledwie zdążyła schować dokumenty do koperty, kiedy pojawił się przy stoliku.

– I co, czy to ci pomoże?

– Jak najbardziej. Trochę mi głupio. Mogłeś przecież włożyć je do koperty i wysłać, a ja zabieram ci czas. Dziękuję, że zechciałeś mi pomóc.

– Kiedy ukaże się artykuł? Jane wzruszyła ramionami.

– Nigdy tego nie mówią. Przypuszczam, że na wiosnę. Dam ci znać albo przyślę egzemplarz. – Dość tych pogaduszek, pomyślała. – Coś nie daje mi spokoju, Todd. Powiedz, dlaczego podszedłeś wtedy do mnie na przyjęciu?

– No cóż, próbowałem być miły, to wszystko. Byłem członkiem komitetu organizacyjnego.

Pomyślała, że kłamie w żywe oczy, ale cóż, niczego innego się nie spodziewała.

– Och – roześmiała się. – A już miałam nadzieję, że szukasz dobrego psychiatry.

Prentice odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. , – Skąd! Nie potrzebuję psychiatry.

– Nie mów tak. Wszyscy potrzebujemy kogoś, przed kim od czasu do czasu moglibyśmy się wygadać. Psychiatrów uczy się, by słuchali, a nie oceniali. Czy chcesz mi powiedzieć, że w twoim życiu nie zdarzyło się nic, o czym chciałbyś porozmawiać? – spytała, zmierzając prosto do celu.

Pokręcił przecząco głową.

– Nic, pani doktor.

– Powiedz mi, bywasz czasami w Slidell?

– Nie, jeśli mogę tego uniknąć – powiedział, przetykając drinka. Pokazał kelnerowi, by uzupełnił trunek. – Moja matka zmarła, kiedy byłem na pierwszym roku college’u, a ojciec przeprowadził się do domu spokojnej starości na Florydzie, żeby być bliżej swoich braci. Nie ma powodu tam wracać. Mieszkasz w Slidell?

– Nie, w Rayne. Żabiej stolicy świata. Prowadzę tam praktykę. Byłam jednak niedawno w Slidell i wstąpiłam do rodziców Connie. Oni jeszcze się nie otrząsnęli. Myślę, że nie da się przeboleć śmierci dziecka. Musiałeś być załamany.

– O, tak, byłem. Miesiącami nie mogłem jeść ani spać. Mieliśmy tyle wspólnych planów. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Jak już mówiłem, nie wiem, dlaczego się zabiła. Jej rodzice też tego nie wiedzą. Nie zostawiła listu ani niczego w tym rodzaju. To był straszny okres. W końcu nie mogłem już wytrzymać i przeprowadziłem się do Crowley – powiedział wszystko jednym tchem, po czym znów sięgnął po drinka. Jane była pewna, że to przećwiczył.

Wiedząc, jakie wrażenie wywrą jej słowa, podniosła szklaneczkę z wodą i powiedziała, starając się, aby zabrzmiało to od niechcienia:

– Więc nie znasz nowin? Connie zostawiła list. Ale nikt o tym nie wiedział, aż do teraz. Zapisała go w komputerze i na dys-

kietce. Adele, matka Connie, zdobyła się końcu na odwagę, żeby uporządkować pokój córki, i kiedy to robiła, przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić, co znajduje się w komputerze. Jedna dyskietka wymagała posłużenia się hasłem. Poprosiła o pomoc znajomego, który dobrze zna się na komputerach. Złamał kod zabezpieczający. W ten sposób znaleźli list.

Jane usłyszała, jak Prentice głośno wciąga powietrze, i spojrzała na niego. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Wyglądał jak duch.
– Nic ci nie jest? Może to ten drink? – spytała z fałszywą troską. Dotąd tylko podejrzewała, że był w coś zamieszany. Teraz była pewna.

– Nie, nie, nic mi nie jest. To tylko... Jezu, zostawiła list?

– Tak, nawet dość długi – powiedziała Jane, popijając ze swej szklanki. Nie znosiła wody mineralnej. Jak można pić coś, co ogóle nie ma smaku! – Wydaje mi się, że kelner chciałby przyjąć zamówienie. Te ferie skłaniają mnie do prawdziwej rozpusty, więc poproszę scampi z krewetek i homara, a na deser mus orzechowy. I dodatkowo francuski sos do sałatek.

– A co dla pana?

– Dla mnie to samo – powiedział Todd. – Masz rację, Jane, to rzeczywiście rozpusta. Jeśli wszystko zjem, będę musiał zrezygnować z kolacji.

Na jego twarz powróciły kolory, a głos brzmiał normalnie. Szybko wraca do siebie, pomyślała Jane, żałując, że szok i zmieszanie nie trwały dłużej. Ale na tym nie koniec. A ona jest cierpliwa.

– Powiedz mi coś, Jane. Dlaczego nigdy nie spotkaliśmy się w college'u? Myślałem, że znam wszystkich przyjaciół Connie. Zadowolona z obrotu spraw, uśmiechnęła się do niego:

– Byłam typowym mołem książkowym. Kiedy nie było zajęć, przesiadywałam w bibliotece. Teraz wydaje mi się, że właściwie nie bywałam nigdzie indziej. Mieszkałyśmy z Connie w tym

samym akademiku, ale nie miałyśmy wspólnych przyjaciół. Po prostu kilka razy w tygodniu spotykałyśmy się w moim pokoju, żeby pogadać. Nawet wieczór przed końcowymi egzaminami spędziłyśmy razem – najpierw w bibliotece, a potem w moim pokoju.

Posmarowała masłem kawałek chleba.

– Ten francuski chleb jest przepyszny. Jak udaje ci się nie utyć, skoro stale tu jadasz?

– Mam dobrą przemianę materii – odparł wymijająco. – No i trzy razy w tygodniu ćwiczę po pracy albo gram w badmintonu.

– Też będę musiała pomyśleć o jakimś sporcie, choć bardzo nie lubię się pocić – powiedziała Jane, sięgając po następną kromkę chleba, na który nie miała ochoty. – A tak przy okazji, znasz może Briana Ramseya? – Machnęła niecierpliwie dłońmi. – Nie, to głupie pytanie. Przecież graliście razem w piłkę. On teraz mieszka w Rayne i tam pracuje. Założę się, że brakuje ci futbolu. Pamiętam, że wtedy sporo o was pisano. Media uwielbiały Bengalskie Tygrysy. – Odgryzła kolejny kęs. – Boże, ale to dobre – powiedziała z pełnymi ustami, aby Todd jej nie przerwał.

– Ciekawe, czy go tu pieką. Mogłabym jeść ten chleb na okrągło. Czy Wy, chłopcy, spotykacie się czasem, żeby pogadać o tamtych meczach i innych męskich sprawach? W filmach faceci zawsze to robią. – Potrząsnęła głową. – A ja nawet nie wiem, gdzie teraz przebywa połowa ludzi z mojego kółka dyskusyjnego, nie mówiąc o dziewczętach z chóru. Powinnam bardziej się starać, żeby podtrzymywać z nimi kontakt, ale dziś wszyscy jesteśmy tacy zajęci. Czy życie nie jest dziwne, Todd? Kto mógłby pomyśleć, że będziemy tu kiedyś siedzieli, jedząc razem lunch? Stary mól książkowy Jane i superbohater ze straszliwych Bengalskich Tygrysów? To gdzie wy, chłopcy, spotykacie się, kiedy chcecie pogadać o dawnych czasach? – spytała ponownie, krojąc ogórek i udając, że nie widzi, jak Todd podnosi ramię,

aby zamówić trzeciego drinka.

– Staramy się spotykać z okazji ostateków w N’awlins. Zwykle dwóch lub trzech nie może przyjechać, ale większość się pojawia. Świętujemy wtedy przez kilka dni!

– To cudowne. Wszyscy starzy kumple znów razem. Założę się, że twojej żonie to się nie podoba – powiedziała, wkładając do ust małego pomidoraka. Rozgryzła go ze smakiem. Todd spojrział na nią z ukosa. – Nic nie jesz, Todd. Sałatka jest wspaniała. Na pewno dobrze się czujesz?

– Oczywiście. Czemu pytasz?

– Pijesz już trzeciego drinka i gapisz się w przestrzeń. Jestem aż tak nudna?

Todd uśmiechnął się, lecz nie wypadło to przekonująco.

– Wcale nie jesteś nudna. Zjadłem trzy pączki na śniadanie, a każdy z nich był o wiele za słodki. Zwykle nie jadam dużo na lunch. Powiedz mi, jak to jest być psychiatrą? Jak sobie z tym radzisz? Czy problemy innych cię nie przytłaczają?

– Czasami. Ale trzeba ludzi wysłuchać, żeby im pomóc. Oczywiście, zdarza mi się żałować, że leczenie nie przebiega szybciej, ale każdy ma swoje własne tempo. Weźmy na przykład państwa Bryan. Powinni byli z kimś porozmawiać po śmierci Connie, lecz nie zrobili tego. Przesiadywałam u nich całymi dniami – kłamała bez mrugnięcia okiem. – Myślę, że rozmowy ze mną im pomogły. To było bardzo satysfakcjonujące doświadczenie. Wyjechałam stamtąd, czując się o wiele lepiej. Co ci przychodzi na myśl, kiedy wspominasz Connie? – spytała, spoglądając na kelnera, który stał nad nimi z tacą.

Kiedy kelner podał Toddowi talerz, Jane nie mogła nie zauważyć, że Prentice znowu zbladł.

– O co chodzi, Todd? To scarnpi nie jest tak dobre, jak się spodziewałeś?

– Nie, nie, jest dobre. To przez te pączki. Powinienem być po-

przestać na sałatce.

– Sałatki też nie zjadłeś. Muszę tu częściej wpadać. O czym to mówiliśmy, Todd?

– Nie pamiętam. Pytałaś mnie o coś, ale akurat podszedł kelner... – zaczął z rozpaczą w głosie.

– Już sobie przypomniałam – powiedziała triumfalnie Jane, znieruchomiawszy z widelcem w dłoni. – Mówiliśmy o Connie i zapytałam cię, o czym myślisz, kiedy ją wspominasz. Oczywiście, o ile jeszcze zdarza ci się o niej myśleć.

– A tak, właśnie – powiedział Todd, wbijając widelec w ociekający masłem kawałek homara. – No cóż, myślę wtedy o college’u, naszych planach na przyszłość, o tym, że mieliśmy się pobrać i mieć dzieci... A ty? – powiedział, sprytnie odbijając piłeczkę.

– Chyba o tym, jak się ubierała. Zawsze była tak gustownie ubrana. Lubiła szyć. Pamiętam nawet, co miała na sobie tego ostatniego wieczoru. Plisowaną czerwoną spódniczkę w kratę, białe bliźniak i tenisówki. Wyglądała jak typowa studentka. Zostawiła ubranie w moim pokoju. Kiedy wyjeżdżałam, zabrałam je ze sobą. Myślę, że nadal jest w starej walizce. Chciałam je odesłać, ale jakoś nigdy się na to nie zdobyłam. Skończyło się na dobrych chęciach. Czasami bywam okropnie leniwa. –

Wskazała widelcem talerz Todda. – Nie potrafisz opisać, co tracisz, Todd. To wstyd, że najadłeś się słodczy na śniadanie. W tym scampi jest tyle czosnku, że chyba już ze mnie paruje. – Pomyślała, że jeszcze jeden kęs i pęknie.

– Chyba daruję sobie deser, Todd. Boże, spójrz tylko, która godzina! Nie obrazisz się, jeśli dokończę i zaraz wyjdę?

– Nie, skądże – zapewnił z widoczną ulgą. – Też muszę już wracać do biura. Jutro wyjeżdżamy do Aspen.

– Proszę, Todd, pozwól, że zapłacę. To ja cię zaprosiłam.

– Mamy tu otwarty rachunek, więc się nie przejmuj. Miło było

cię znowu zobaczyć. Spotkajmy się jeszcze kiedyś.

– Chętnie, no i dziękuję za materiały – powiedziała, wskazując kopertę.

– To drobiazg, Jane. Cieszę się, że mogłem pomóc. Odłożyła serwetkę i wstała.

– Skontaktuję się z tobą w sprawie artykułu. Mogę do ciebie zadzwonić, jeśli czegoś nie zrozumiem?

– Oczywiście.

W holu powiedziała:

– Nie czekaj na mnie, Todd. Wstąpię do toalety. Jeszcze raz dziękuję za lunch.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wręczył szatniarce banknot pięciodolarowy i podał Jane płaszcz.

W gustownie urządzonej toalecie Jane usiadła na obitym aksamitem krzesle i odetchnęła głęboko. Mike ją zamorduje, kiedy się dowie, co zrobiła. Trixie z pewnością powie, że dokopała łajdakowi. Wspaniale.

Jesteś niepoprawną gadułą, Jane – powiedziała do swego odbicia w lustrze. – A jak już raz otworzysz jadaczkę, nie wiesz, kiedy przestać. Teraz on wie, że ty wiesz. – Drgnęła i obejrzała się. – Ale co ja takiego wiem? – powiedziała, odwracając się z powrotem do lustra. Wiedziała, że jeden z gwałcicieli miał na przegubie szeroką bransoletę, a drugi jakiś medalion na szyi. I że Connie podejrzewała, iż Todd wie o gwałcie. Rodzicom Connie nie podobało się, że jej chłopak jako prezent ślubny wolał dostać pieniądze niż jakiś użyteczny sprzęt do domu. I, że Todd kłamał, kiedy mówił, że nie miał pojęcia, co z sobą zrobić po śmierci Connie. Jeśli to prawda, to kiedy poznał kobietę, z którą ożenił się zaledwie w rok później? No i było coś podejrzanego w tym, że Brian Ramsey, jego były kolega z drużyny, poprosił o pomoc akurat Jane. Czegoś tu jednak brakowało, a

ona nie potrafiła dojść, czego.

– Niech to szlag! – podsumowała swoje rozważania.

– W pełni się zgadzam – poparła ją kelnerka, która akurat weszła do toalety.

– Przepraszam, jadłam właśnie lunch z Toddem Prentice’em. On chyba często tu przychodzi. Nie zna go pani przypadkiem? – spytała Jane, korzystając z okazji.

– Żartuje pani? – Kelnerka spojrzała z niedowierzaniem. – Przekładem? On co chwilę próbuje poderwać którąś z nas. To prawdziwy lowelas. A czemu pani pyta?

– Och, mnie też próbował poderwać, więc zastanawiałam się, co to za facet.

– To facet, który zdradza żonę. Moim zdaniem należy go omijać szerokim łukiem.

– Dzięki. Tak zrobię. Wesołych świąt – dodała, wrzucając kopertę do pojemnika na śmiecie.

– Wzajemnie.

Jane wyjechała na autostradę i przyspieszyła do dozwolonej prędkości. Co chwilę spoglądała we wsteczne lusterko, sprawdzając, czy nikt za nią nie jedzie. Miała wrażenie, że zaraz eksploduje, tak była spięta i podminowana.

Skierowała się prosto na farmę, do Trixie i Freda. Oni potrafili ją uspokoić.

Trixie była zmęczona. Pakowanie prezentów to wyczerpujące zajęcie, a ona robiła to już od paru godzin. Wszędzie walały się rolki kolorowej wstążki. Dziesiątki metrów papieru pokrywały długi stół w jadalni, bufet i stolik. Pod ścianami zalegały tuziny prezentów, które Fred miał zawieźć do wydziału policji. W ten właśnie sposób Trixie odwdzięczała się za to, że umożliwiono jej kupno starego radiowozu. Jeśli w ogóle uda jej się skończyć pakowanie, Fred odwiezie prezenty na świąteczne przyjęcie o

siódmej. Jeszcze tylko kilka. Fred był zupełnie bezużyteczny, jeśli chodziło o wiązanie kokard i zaklejanie prezentów taśmą tak, aby nie było na niej zmarszczek. Dwie lewe ręce.

Fiash buszował między paczkami, węsząc i szturchając je nosem. Nagle rzucił się do kuchni, szczekając radośnie, co oznaczało miłe towarzystwo.

– Janie, malutka! Co cię sprowadza tak wcześniej? Pomóż mi, kochanie. Fred musi to zawieźć na siódmą. Czuję, że coś się stało, więc opowiadaj, pakując. Na każdym prezencie jest nazwisko, więc uważaj, wypisując etykiety.

Jane sięgnęła po rolkę papieru.

– Nie uwierzysz, co dzisiaj zrobiłam, Trbrie. Boże, sama w to nie wierzę. Znasz mnie, wiesz, jaka ze mnie gaduła. Parę dni temu doszłam do wniosku, że Todd Prentice musi być jakoś zamieszany w sprawę gwałtu. I wiesz co, Trix, miałam rację. Tak go zdenerwowałam, że o mało nie wyskoczył ze skóry. Wypił trzy, dokładnie trzy podwójne rob roye i nawet nie spróbował jedzenia. Wtedy wydawało mi się, że jestem bardzo sprytna. Teraz nie jestem już tego pewna. Może posunęłam się za daleko.

– Zróbmy sobie przerwę. Kawa czy herbata?

– Ani jedno, ani drugie. Masz imbirowy napój? – Jane usiadła na podłodze i głaszcząc Fiasha po brzuchu, opowiedziała o swoim spotkaniu z Toddem. – Przysięgam na Boga, powiedziałam mu, że nadal mam ubranie Connie. A tak nawiasem mówiąc, to gdzie ono jest? U mnie czy u ciebie? Nie mogę sobie przypomnieć.

– U mnie. Parę razy zamierzałaś je zabrać, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Raz już nawet miałaś je w ręce, ale zmieniłaś zdanie. Chyba że je zabrałaś, a ja nic o tym nie wiem. Kiedy skończymy pakowanie, możemy zajrzeć do garażu. Chcesz iść dziś z nami na przyjęcie?

– Dzięki, ale nie. Mike do mnie wpadnie. Ja też muszę przygotować się do świąt. Wracając do sprawy, co o tym myślisz, Trixie?

– Myślę, że wsadziłaś kij w mrowisko, nie wiem tylko, czy to dobrze, czy źle. I co zamierzasz zrobić dalej?

– Właśnie o to chodzi, Trixie, że nie wiem. Chyba powinnam wziąć szkło powiększające i przejrzeć zdjęcia z college'u, żeby zobaczyć, kto nosił wtedy grubą bransoletę i medalion. Jeśli oni naprawdę byli piłkarzami, mogę się na coś natknąć. No i powinnam sprawdzić pozostałe dyskietki Conne. Ale co poza tym – nie mam pojęcia. A co ty byś zrobiła na moim miejscu?

– Dałabym sobie na jakiś czas spokój – odparła Trixie bez namysłu. – Jeżeli Prentice rzeczywiście jest w to zamieszany, to wzbudziłaś jego czujność. Popraw mnie, jeśli się mylę. Uważasz, że on był osobiście zaangażowany w to, co zdarzyło się tamtej nocy?

– To zależy, co rozumiesz pod słowem osobiście. Nie było go tam, jeśli to miałaś na myśli. O Boże, zapomniałam powiedzieć ci o dyskietce. Zostaw to teraz, Trixie i posłuchaj uważnie. Twarz Trixie, przysłuchującej się opowieści Jane, wyrażała najpierw zaciekawienie, potem zdumienie, a w końcu niedowierzanie.

– Nawet nie zapytam, kto twoim zdaniem umieścił hasło na dyskietce. Teraz rozumiem, co cię tak niepokoi. Nie podoba mi się to, Janie. Jeśli Prentice jest zamieszany w gwałt, choć nie mam pojęcia, jak to możliwe, zaalarmuje pozostałych. Nawet nie wiem, kim oni są. Powinnam dać sobie radę z rozszyfrowaniem tej zagadki, bo tak zarabiam na życie, ale nie potrafię. Ci, którzy skrzywdzili tamtej nocy twoją koleżankę, są dzisiaj dorośli. Mają rodziny i prawdopodobnie dobre posady. Nie dopuszczą do tego, aby coś zakłóciło ich unormowany tryb życia. Jeśli któryś z nich zorientuje się, że robisz zamieszanie, nie wiadomo,

co może się stać. Możesz znaleźć się w niebezpieczeństwie. Uważasz, że Brian Ramsey przyszedł do ciebie ze zmyśloną historyjką? I że wysłano go na wabia? No, żeby się przekonać, czy cokolwiek wiesz. Nie znoszę oklepanych powiedzonek, ale jeśli właśnie tak było, to nie powinni byli wywoływać wilka z lasu.

– Tak samo i ja myślę, Trixie. Ale co z Betty Vance? To też było zaplanowane? A może to tylko zbieg okoliczności? Czy to wszystko po to, by skłonić mnie do jakiegoś działania? Jedna wielka gra?

– Kochanie, nie wzięłabyś Flasha na jakiś czas do siebie? Co dwa psy, to nie jeden. On cię uwielbia, a my będziemy spokojniejsi.

– Nie, Olive wystarczy. Szczeka już kiedy ktoś skręca z autostrady. I dosłownie wyczuwa pocztową furgonetkę. Mike u mnie nocuje i może mógłby się wprowadzić. Mam nadzieję, że się wprowadzi. W dzień i tak nie ma mnie w domu, a kiedy sprzedam praktykę, będę pracowała tu, z wami. Jeśli to was uspokoi, każę założyć alarm na parterze.

– Zrób to, kochanie. Z pewnością będę spokojniejsza.

– Załatwię to zaraz po świętach. Pewnie i tak nic się nie da zrobić przed Nowym Rokiem. Pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem nikt nie pracuje. – Jane wróciła do pakowania prezentów. – A jak wam idzie nowa książka? – spytała, zmieniając temat.

– Masz na myśli Futbolową krwawą łaźnię?

– Jezu! Tak ją zatytułowaliście?

– A jak inaczej? To historia wymordowania całej drużyny futbolowej w pewnym college’u. To był pomysł Freda. Wiesz, jak on kocha futbol.

– I kto jest mordercą? – spytała Jane, zaciekawiona.

– Chyba facet od zapisywania punktów, cokolwiek by to zna-

czyło. Wiesz, ustawione mecze i temu podobne. Byłam tak zajęta opieką nad Flashem, że po prostu dałam Fredowi wolną rękę.

– Aha, Trixie, mogłabym pójść do składziku i wyszukać kilka waszych starych książek, których Mike jeszcze nie ma? Chciałabym dać mu je na Gwiazdkę. Z autografem, o ile to możliwe.

– Pewnie, ale nie mów mu prawdy.

– Nie powiem.

– Znajdź książki, a Fred je podpisze.

– Kocham cię, Trixie – powiedziała Jane, obejmując drobną kobietkę.

Kiedy Jane zaparkowała wreszcie obok tylnej werandy swego domu, było już ciemno. Dochodziła piąta. Włosy zjeżyły się jej na głowie, kiedy wysiadła, wdzięczna Fredowi za to, że skłonił ją do zamontowania oświetlenia z czujnikiem ruchu. Przemknęła po schodach i wpadła do domu. Olive powitała ją tak, jakby nie widziały się od miesiąca.

– Chcesz wyjść na dwór, Olive? W porządku, pobiegaj sobie koło domu, a potem szybko z powrotem. Skorzystaj ze swoich drzwi, bo te zamykam na klucz. Zamierzam się przebrać, ale bądź tu z powrotem, kiedy zejdę na dół. Jasne? – Spanielka spojrzała na nią pytająco, machając energicznie ogonem. – Już dobrze, sama sobie napędzam strachu, choć nie wiem, po co. Daję ci dziesięć minut. – Olive wypadła przez otwór w drzwiach i zniknęła w ogrodzie.

Jane przeszła do gabinetu, zapalając po drodze światła. Obrzuciła spojrzeniem pokój i zatrzymała wzrok na biurku. Pudełko z dyskietkami stało na klawiaturze, a zielona żaba na monitorze. Odwróciła się błyskawicznie, czując, że kolana odmawiają jej posłuszeństwa.

– No dobrze, o co chodzi rym razem? – spytała głosem tak

drżącym, że ledwie mogła go rozpoznać. Odpowiedziała sobie na pytanie, otwierając pudełko i licząc dyskietki – raz, a potem drugi. Żadnej nie brakowało. Gumka nadal leżała na dnie pudełka. Włosy zjeżyły się jej na głowie, a kiedy poczuła za plecami zimny podmuch, o mało nie wyskoczyła ze skóry.

– Jest tam kto? – spytała trwożnie, spoglądając w ciemne zakątki pokoju.

– To tylko ja, Billy – odparł głos. – Jestem tu, obok regału.

Dzieją się złe rzeczy. Musi pani być ostrożna.

Jane zacisnęła dłonie na poręczach krzesła i spojrzała na zjawę. Z jakiegoś dziwnego powodu wcale się nie bała.

– Ja wcale nie śniłam, kiedy cię przedtem widziałam, prawda?

– Mówiłem, że pani nie śni, ale nie chciała mi pani uwierzyć.

– Więc... chcesz mi powiedzieć, że jesteś duchem. Prawdziwym, żywym duchem.

– Tak. Wiem, że nie wierzy pani w duchy, ale my naprawdę istniejemy. I nie wszyscy potrząsamy łańcuchami, próbując nastraszyć ludzi. Wolę określenie duch niż zjawą, a już na pewno nie lubię, jak się mnie nazywa chochlikiem czy psotnym duszkiem.

– W porządku, mogę to uznać. Chyba. Czy to ty przestawiłeś pudełko i przykleiłeś skrawek papieru na dyskietkę?

– Tak. Pomogłem pani?

– Jestem pewna, że znasz odpowiedź na to pytanie. Wyjaśnij mi, skąd wiedziałeś, że na dyskietce jest list? A tak w ogóle, co ty wiesz? Porozmawiajmy, Billy.

– Mieszka pani na kompletnym odludziu. To bardzo stary dom i łatwo się do niego włamać. Ale proszę się nie martwić. Będziemy nad panią czuwać, Jeeter i ja. On teraz bawi się z Olive w kuchni. Myślę, że powinna pani do kogoś zadzwonić.

– Do Mike'a?

– Nie, do swojej przyjaciółki. Tej, która ma kłopoty.

- Jeżeli chodzi ci o Betty, nie mogę tego zrobić. Ona jest pacjentką mojej koleżanki, nie mogę się wtrącać. To nie byłoby profesjonalne.
- Ale ona potrzebuje pomocy.
- Gdyby potrzebowała mojej pomocy, sama by zadzwoniła. Nie dzwoniła przez cały tydzień. W Boże Narodzenie ma być na kolacji u moich rodziców chrzestnych.
- Mogłaby pani do niej pojechać, tak jak pojechała pani do Ramseya, po cichu.
- Nie mogę. Gdybym to zrobiła, Sharon natychmiast oskarżyłaby mnie przed Radą Lekarską. Jeśli Betty sama do mnie zadzwoni, porozmawiam z nią. Dlaczego nie ukazesz się jej i nie podpowiesz, by do mnie zadzwoniła?
- Nie mogę opuścić tego domu. Jestem tu uwięziony na wieki. Mike wjeżdża na podjazd. Proszę na siebie uważać, panno Jane. Zjawa rozwiała się jak dym. Jane patrzyła na regały, niepewna, co właściwie widziała. Miała za sobą trudny dzień i była zmęczona. Może coś jej się przywidziało, albo po prostu się zdrzemnęła. Wstała, by iść na górę, lecz kiedy się odwróciła, zobaczyła Mike’a.
- Podbiegła i rzuciła mu się w ramiona.
- Pocałował ją, a potem się odsunął.
- Widziałeś Olive?
- Biega jak szalona z tyłu domu. Kiedy ją widziałem, kręciła się w kółko, jakby się za coś uganiała. Zupełnie mnie zignorowała – odparł, zdejmując płaszcz.
- Ale ta choinka pachnie! Przyniosłem wieniec na drzwi. Był tam już hak, więc go powiesiłem. Moja mama twierdzi, że wieniec na drzwiach oznacza, iż święta są już za progiem. Chyba ma rację. Chcesz go zobaczyć?
- Naturalnie. Jest na nim czerwona kokarda?
- Oczywiście. A także kilka szyszek i parę innych ozdóbek. –

Otworzył drzwi, by sama mogła się przekonać.

Wieniec był niemal tak duży, jak staromodne drzwi, na których wisiał.

– Jest piękny, Mike. Dziękuję.

– Nie ma za co. Nic ci nie jest? Dziwnie wyglądasz. – Zamknął drzwi i otoczył ją ramieniem. – Nalej wina. Rozpalę na komin-ku, a potem siądziemy sobie spokojnie i opowiesz mi, co cię trapi.

– Wygląda na to, że mnie zawsze coś trapi – powiedziała Jane.

– Lepiej zawołaj Olive, na dworze robi się mroźno.

Lecz Olive była już w kuchni, z nosem wetkniętym w miskę, zupełnie, jak przepowiedział Billy. Jane zobaczyła, że spanielka przesuwają się, jakby robiła komuś miejsce. Czyżby Jeeterowi?

– Duchy nie istnieją – mruknęła pod nosem. Olive odsunęła się jeszcze dalej i Jane musiała zweryfikować swój pogląd, gdyż zobaczyła, jak jedzenie na jej oczach samo znika z miski. Lepiej o tym nie myśl. Potrzebne ci okulary, Jane. Wiesz, że nie widzisz zbyt dobrze.

Chwyciła butelkę, kieliszki i korkociąg, a potem pospiesznie wymknęła się z kuchni. Dodała to, co zdarzyło się przed chwilą do coraz dłuższej listy rzeczy, o których lepiej było nie myśleć.

– I jak ci się podoba ogień? – Mike stał po prawej stronie komin-ka, podziwiając swoje dzieło.

– Wspaniały. Założę się, że byłeś niezłym skautem!

– Tak, i mogę to udowodnić. Mam odznaki. To znaczy, mama je ma. Wszystkie oprawiła w ramki. Matki robią takie rzeczy.

– Naprawdę?

– Jezu, Jane, przepraszam. Nie chciałem...

– Wiem, że nie chciałeś. Co pijamy? Nie mogę uwierzyć, że święta już za trzy dni. Ależ ten czas leci! Co roku to powtarzam. Mike podniósł kieliszek.

– Za święta! Za nas! Za wszystkie nasze jutra, oby były cudow-

ne!

– To bardzo poważny toast, więc wypiję do dna – powiedziała Jane, stukając się z nim kieliszkiem.

– A teraz powiedz mi, co cię martwi.

Opowiedziała mu o lunchu z Toddem i o tym, co wydarzyło się przed chwilą w gabinecie.

– Byłam pewna, że nie śpię, ale widocznie się zdrzemnęłam.

Tak czy inaczej, miałam dziwny sen – o Betty Vance. Jak myślisz, czy byłoby w porządku, gdybym pojechała do niej i podrzuciła prezent? Z jakiegoś powodu ostatnio przywiązuję wagę do swoich snów. Bardzo by mi ulżyło, gdybym mogła się przekonać, że u niej wszystko gra. Choć właściwie mogłabym go zawieźć do Trixie w Wigilię i tam go jej zostawić. Zaprosili Betty na bożonarodzeniowy obiad.

– Uważam, że powinnaś dać sobie z tym spokój. Nie podoba mi się ta sprawa z Prentice'em. Przeczuwam kłopoty, Jane. Co cię u licha opętało, żeby tak się wygadać?

– On siedzi w tym po szyję, choć nie wiem, jak i dlaczego.

– Nie zamierzasz zostawić tej sprawy w spokoju, prawda?

– Nie, Mike, nie zamierzam. Mam powyżej uszu tego, że wciąż czuję się winna. Jeśli coś jeszcze da się zrobić, zrobię to. Gdyby Brian Ramsey do mnie nie przyszedł, pewnie przesłabym przez życie, uginając się pod brzemieniem wstydu i poczucia winy. Ty nie wiesz, jak to jest. Nie aprobujesz mojego postępowania, prawda? – spytała, odsuwając się od niego.

Mike wyciągnął ramię i znów przyciągnął Jane do siebie.

– To nie jest kwestia aprobaty, Jane. Próbujesz zniszczyć ludziom życie. Nikt nie będzie się temu beczynnie przyglądał. W końcu ktoś odda cios, zaatakuje, czy zrobi jeszcze coś innego. Nie chcę, żeby ci się coś stało. Pomyśl, o tym. Mieszkasz tu sama, osiem kilometrów od swoich rodziców chrzestnych, bez sąsiadów. Nawet do autostrady masz ponad kilometr.

- Jeśli próbujesz mnie nastraszyć, to już ci się to udało, Mike.
- I bardzo dobrze. Przynajmniej mnie słuchasz.
- Czy to znaczy, że nie pojedziesz ze mną do Betty, żeby podzucić prezent?
- Posłuchaj, jeśli aż tak się martwisz, zadzwoń do niej. Złóż życzenia i rozłącz się. Nawet Sharon Thomas nie będzie mogła wziąć ci czegoś takiego za złe. Chociaż wolałbym, żebyś tego nie robiła. Musisz się nauczyć, że czasem trzeba zostawić sprawy własnemu biegowi.
- I tak zrobiłam, do licha. Nigdy do niej nie dzwonię. To ona dzwoni. Rozmawiamy o jej pracy, o mieszkaniu, o psie i wizytach u Trixie, a i to me dłużej niż pięć minut. Czasami sam dźwięk przyjaznego głosu może sprawić, że ktoś zrozpaczony i załamany dźwignie się z dołka.
- Dostałem dziś prezent od pacjenta – powiedział, zmieniając temat, nim rozmowa zdążyła zamienić się w kłótnię. – Zgadnij, od kórego?
- Od faceta z bateriami?
- Tak. Podarował mi skarpety narciarskie, rękawice, czapkę i termos, wszystko na baterie. A także zestaw lampek choinkowych, też na baterie i z gwarancją, że będą świeciły przez sześć godzin. I jeszcze ładowarkę.
- Jane wybuchnęła śmiechem.
- To chyba znaczy, że nie zrobiłeś żadnych postępów.
- Ani trochę. On gada, gada i gada, ale nic z tego nie wynika. To aż denerwujące. Któregoś dnia powiedział, że w końcu wpadnę na to, dlaczego jest taki, jaki jest. I ma ogromne zaufanie do mojej wiedzy i zdolności. Dokładnie tak powiedział – że na to wpadnę.
- Ja też w to wierzę, Mike. Prędzej czy później na to wpadniesz
- zaśmiała się Jane.
- Mike się skrzywił.

- Więc jak, chcesz się kochać czy jeść?
- Jeść – powiedziała szybko Jane.
- I bardzo dobrze. Okropnie cuchniesz. Ile czosnku dziś pochłonęłaś? – zapytał. Jane rzuciła za nim poduszką, ale trafiła już tylko w plecy.

Wesołych świąt, Trixie! Wesołych świąt, Fred! – powiedziała Jane, obejmując rodziców chrzestnych. – Mike już idzie z prezentami. Ooo, jak tu pięknie pachnie! Nie wiem, jak wy to robicie. Oboje pracujecie od rana do wieczora, a dom wygląda, jakby dekorowano go przez miesiąc. Lepiej, niż na tych błyszczących rozkładówkach w pismach. Uwielbiam Boże Narodzenie! – Ja też! – powiedział Fred, sięgając po stos prezentów, zza których prawie nie widać było Mike’a. – Położę je pod choinką. – Muszę obrócić jeszcze dwa razy – powiedział Mike, rozcierając ramiona. – Brrr. Założę się, że temperatura spadła do minus dwóch. Dobra pogoda na zupę z okrą, jak mawia moja mama. – Nie tylko ona – wtrąciła Trixie z twarzą rozjaśnioną szczęściem. Z okazji świąt włożyła długą do kostek spódnice z czerwonego aksamitu, obszytą sztucznymi gronostajami i biały sweterek przybrany błyszczącymi paciorkami. Roześmiała się radośnie i nałożyła na bujne loki czapkę świętego Mikołaja. – Flash uwielbia tę czapkę! Kiedy tylko może, chwyta ją i natychmiast ucieka!

Fred dołączył do nich, zacierając ręce z radości.

– To będą wspaniałe święta. Kolacja będzie gotowa nie wcześniej niż za godzinę, więc siadźmy sobie przy ogniu i popatrzmy na ten imponujący stos prezentów. Psy już zwinęły się w kłębek przy palenisku. Napijcie się wina, drinka czy może trochę słynnego ajerkoniaku Trixie?

Jane zachichotała, wpatrując się w reniferowe szelki Freda. Jego głowę zdobiła czapka świętego Mikołaja.

– Oczywiście ajerkoniak, jakżeby inaczej – powiedziała. Kiedy tylko drzwi się otworzyły, Fred zapytał o to samo Mike’a.

– Ajerkoniak proszę.

Mike wręczył Fredowi drugi stos prezentów i odwrócił się, żeby

przynieść trzeci, ostatni.

– Dla kogo, u licha, te wszystkie prezenty? – zapytał, oddychając z trudem.

– Niektóre są dla Trixie i Freda, inne dla Olive i Flasha. No i może jeden czy dwa dla ciebie – odparła Jane, mrugając szelmowsko.

– Robię zakupy w środku nocy, wykręcając 1-800. W tym roku kupiłam też parę rzeczy przez komputer – wyjaśniła radośnie Trixie.

– Ja też – powiedziała Jane, przyjmując z rąk Freda kieliszek z ajerkoniakiem. – Mam nadzieję, że nie weźmiecie mi tego za złe, ale wszystkie telefony do mnie będą kierowane automatycznie na wasz numer. Zastanawialiśmy się, czy nie wyruszyć do Nowego Orleanu prosto od was. Oczywiście, to zależy, ile ajerkoniaku wypijemy dziś wieczór. Nie przypuszczam, żeby ktoś chciał do mnie teraz dzwonić, ale nigdy nie wiadomo. Mike’a ktoś zastępuje, więc z nim nie ma problemu.

– Damy sobie radę z telefonami, nie martw się. Postanowiłaś już coś w sprawie audycji? – zapytał Fred.

– Mój kontrakt wygasa trzeciego stycznia. Jeśli sponsorzy wyrażą zgodę, Mike mógłby ją przejąć. Przez jakiś czas prowadzilibyśmy program razem, żeby zamiana odbyła się gładko i naturalnie. Nie zastanawiałam się nad tym. Co na kolację, Trixie?

– Pieczona gęś, wyborne żeberka, pudding śliwkowy, koktail z krewetek i homara, placek z jabłkami i różne inne pyszności.

– Boże, Trixie, kiedy miałaś czas to zrobić? – spytała Jane zdumiona. Trixie spojrzała na Freda i uśmiechnęła się.

– Pomyśleliśmy, że tym razem naprawdę się postaramy. Więc kiedy w sierpniu otrzymaliśmy katalog Neimana Marcusa, zadzwoniłam do nich i zamówiłam dwie kolacje: jedną na dziś i jedną na jutro. Roznosicie! dostarczył je dziś rano. Wszystko, co musiałam zrobić, to wcisnąć guzik i podgrzać jedzenie. Czujesz

się rozczarowana, że nie przygotowałam kolacji sama? – spytała Trixie z niepokojem.

– Ani trochę – odparła, śmiejąc się, Jane. Neiman Marcus! Boże święty! Kolacja od nich musiała kosztować fortunę, ale nie miała zamiaru pytać, ile dokładnie, bo pewnie odebrałoby jej to apetyt. Lepiej zostawić tę sprawę Trixie.

– Mnie to też nie robi różnicy – powiedział Mike od drzwi. – Jem właściwie wszystko, oprócz mydła.

Wieczór upływał bardzo przyjemnie, a kiedy skończył się ajerkoniak, Fred zaproponował, by razem pośpiewali, a on będzie akompaniował im na pianinie. Śpiewali więc z werwą świąteczne piosenki i kolędy, a psy poszczekiwały w tle. O ósmej Trixie przerwała zabawę i zaprosiła do stołu.

Jane uwielbiała siedzieć w tej staromodnej jadalni, pośród mebli, które Trixie odziedziczyła po babce. Były stare, porysowane i poobijane, ale miały charakter. Trixie polerowała je raz w tygodniu woskiem i potem cytrynowym olejem, żeby drewno nie wyschło. Jane wiedziała, że kiedyś meble będą należały do niej i to ona będzie o nie wówczas dbała.

Obrus, jeszcze jedna pamiątka po babce, choć uszyty z czystego lnu, był prany i prasowany tyle razy, że nabrał połysku satyny. Pośrodku stołu stała wspaniała waza z rżniętego szkła, w której pływały unoszące się na wodzie szkarłatne poinsecje. Wokół poustawiano pięciocentymetrowej średnicy świece o zapachu liści laurowych, które napępniały powietrze odurzającym aromatem. Stół ozdobiono tak, aby przybranie nie przeszkadzało rozmówcom widzieć się nawzajem.

Tradycję wigilijnej kolacji Trixie i Fred zapoczątkowali dawno temu, kiedy Jane była nieszczęśliwym podlotkiem, tęskniącym za uczuciem. Teraz to będzie także tradycja Mike'a. Jane promieniała zadowoleniem. Nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Kiedy wyciągnęła rękę po kryształową czarzkę z deserem, Mike

mrugnął do niej. Zmieszała się tak, że o mało nie upuściła czar-ki.

– Kolacja była wspaniała. Jeśli wszyscy już się najedli, możemy sprzątnąć ze stołu i zająć się prezentami. Kto jest za, niech krzyknie: zgoda! – zaproponowała Jane.

– Zgoda – zawołały cztery głosy jednocześnie.

Uprzątnięcie wszystkiego nie zajęło więcej niż pół godziny.

Fred dołożył do ognia, dał psom smakołyki i usiadł obok Trixie.

– To Janie zawsze wręcza prezenty. Otwieramy je po kolei, żebyśmy mogli pozachwycać się nimi wszyscy. Robimy tak od bardzo dawna. Zajmuje to co prawda mnóstwo czasu, ale wszyscy uwielbiamy szukać, rozpakowywać i wydawać głośne okrzyki, więc przedłużamy przyjemność, jak tylko się da – mówił dalej.

– Chyba w tym roku ktoś powinien mi pomóc – powiedziała Jane, spoglądając na Mike’a, który, jak zauważyła, bardzo uważnie się jej przyglądał.

– Mój stos stoi przede mną, twój przed tobą, trzeci jest dla Trixie i Freda, a czwarty dla psów. Paczuszki z dzwoneczkami, opakowane w srebrny papier, otwieramy na końcu, bo są to specjalne prezenty. Nie zepsuj niczego – powiedziała, grożąc Mike’owi palcem. Czuła, że ze szczęścia aż kręci jej się w głowie. Czy Mike poprosi ją dziś o rękę? Da jej pierścionek? Postanowiła, że jeśli tak się nie stanie, nie będzie się czuła rozczarowana, ale wiedziała, że to po prostu niemożliwe.

– Niech Bóg broni, żebym miał coś zepsuć. – Mike uśmiechnął się i rzucił w wir rozpakowywania.

Przez dwie godziny cała czwórka wykrzykiwała radośnie, ciesząc się zabawnymi głupstewkami i pomrukiwała z nieukrywanym zadowoleniem przy poważniejszych, bardziej przemyślanych prezentach.

– T. F. Dingle! – zawołał w pewnej chwili Mike. – Wszystkie,

których mi brakuje! Mój Boże, nie mogę się doczekać, kiedy zacznę je czytać.

Podniósł wzrok znad książek i spojrzał na Trixie i Freda.

– Pewnie sądzicie, że zwariowałem, ale uwielbiam tego gościa.

Kiedy byłem w college'ui musiałem wybierać pomiędzy jego nową książką a imprezą z trzema beczułkami piwa, zawsze wybierałem książkę. Bez wahania. Nie wiem, jak ci dziękować, Jane, To musiało kosztować sporo wysiłku. Na dodatek są z autografem! – powiedział, uderzając się z podziwem w czoło. – Jak ci się to udało?

– No cóż... ja tylko...

Spojrzała na rodziców chrzestnych, szukając u nich wsparcia.

– Tylko poprosiła nas, żebyśmy je podpisali – wypaliła jak gdyby nigdy nic Trixie. – To my jesteśmy T. F. Dingle, Fred i ja. W całym mieście wie o tym tylko Jane i teraz ty. Proszę, zatrzymaj to dla siebie. Prosiłiśmy Janie, by nic ci nie mówiła. Ale jeśli zamierzasz zostać częścią naszej małej rodziny, masz prawo wiedzieć.

Mike przyglądał się im z niedowierzaniem.

– Nabieracie mnie. Wy nim jesteście? – zapytał, spoglądając na książki w ręce. Fred i Trixie jak na komendę skinęli głowami. – Mój Boże, nie mogę uwierzyć. Nie domyśliłbym się tego nawet za milion lat. Jest was dwoje! Tego też bym się nie domyślił. – Roześmiał się i przesunął dłonią po włosach. – No dobrze, rozumiem. T to Trixie, F to Fred, ale skąd wytrzasnęliście Dingle'a? – Odłożył książki i podszedł do Freda i Trixie. Chwycił ich dłonie, zaczął nimi potrząsać i nie przestał, dopóki Trixie nie jęknęła błagalnie.

– Kiedy Fred był chłopcem, miał psa, który wabił się Dingle – wyjaśniła, chowając dłoń za siebie.

– Jestem zaszczycony. Naprawdę zaszczycony – powtarzał Mike, wracając na swoje miejsce z uśmiechem szerokim jak cały

Teksas. Był tak podekscytowany, że przypominał Jane małego chłopca, który właśnie otrzymał wymarzoną zabawkę.

Uśmiechnęła się do Trixie, dziękując jej w ten sposób, że zdradziła Mike'owi tajemnicę.

– Twoja kolej, Janie – powiedział Fred. Jane otworzyła pudełeczko.

– Kluczyki! Do czego?

– Do nowego rangę rovera z napędem na cztery koła – powiedział Fred takim tonem, jakby właśnie obwieszczał, kto wygrał główną nagrodę. – Będziesz go potrzebowała, jeśli chcesz wejść w ten psi interes Trixie.

Jane siedziała, przypatrując się im z otwartymi ustami.

– Dziękuję – powiedziała ze łzami w oczach. – Bardzo wam dziękuję. Chyba przesadziliście. Zamierzałam sprzedać swój samochód po Nowym Roku. A ten, jakiego jest koloru? – spytała z błyskiem w oku.

– Twój ulubiony, morska zieleń. Stoi w garażu, przykryty plandeką. Jane podeszła i kolejno ich uściskała.

– Nie wiem, jak wam dziękować. Nie możecie być dla mnie tacy dobrzy. Psujecie mnie.

– Nic podobnego – zapewnił ją Fred.

– Ja mam prezent dla was obojga – powiedziała, uśmiechając się tak, że aż widać jej było trzonowe zęby. – Gdybyście nie powiedzieli Mike'owi, że to wy piszecie te książki, zczekałabym do jutra, ale skoro on już wie, możecie otworzyć prezent.

Prezent był duży i stał oparty o ścianę. Trixie i Fred rzucili się do niego jak dzieci i zaczęli niecierpliwie zrywać papier i srebrne dzwoneczki. A potem comęli się i przez chwilę wpatrywali w niemym zdumieniu we wspaniały kolaż, zrobiony ze stron tytułowych ich książek. Trixie otarła łzy rękawem. Fred objął ją ramieniem, a jego oczy podejrzenie zwilgotniały.

– Och, Janie – zawołała Trixie. – Jest po prostu wspaniały! Skąd

ci to przyszło do głowy? Nigdy nie widziałam niczego podobnego. Będziemy mogli wreszcie zdjąć ten okropny malunek ze ściany w gabinecie i zawiesić to sobie nad biurkiem.

– Zobaczyłam coś podobnego w czasopiśmie poświęconym projektowaniu wnętrz. Cieszę się, że wam się podoba. Oczywiście musiałam podkraść okładki z mniej więcej stu waszych książek, ale myślę, że było warto.

– To zbyt skromnie – zapewnił ją Fred, oglądając kolaż z różnych stron.

Jane odwróciła się do Mike’a, który przyglądał się dziełu jak zahipnotyzowany.

– Twoja kolej, Mike. Oto mój prezent dla ciebie – powiedziała z oczami błyszczącymi oczekiwaniem.

W milczeniu patrzyli, jak Mike zrywa opakowanie i czyta zadrukowane stroniczki. Nawet w drugim końcu pokoju Jane usłyszała jego westchnienie.

– Nabierasz mnie? To nie może być prawda. To żart, zgadza się?

– Nic podobnego – zapewniła go Jane. – Nie mogę podarować ci prawdziwego lotu, więc wybrałam to. Podobno przeżycie jest bardziej niesamowite niż w rzeczywistości.

– Co to takiego? Powiedz nam – dopytywała się Trixie.

Mike niechętnie oderwał wzrok od oficjalnie wyglądającego dokumentu.

– Tu jest napisane, że mogę wystartować myśliwcem „Tomcat” z lotniskowca USS „Patrick Henry” gdzieś na Adriatyku – przy użyciu rzeczywistości wirtualnej w Baton Rouge. Wszystko, co muszę zrobić, to tam zadzwonić i się umówić. – Chwycił Jane i zawirował, aż zakreśliło jej się w głowie. – Ach, kochanie, jakie to wspaniałe. Nie mogę uwierzyć! Spełniły się moje marzenia. Prawdę mówiąc, cały ten wieczór jest jak spełnione marzenie. Najpierw T. F. Dingle, a teraz to. Boże, nie wiem, co powie-

dzieć. Słowo dziękuję wydaje się takie niewystar... – Głos mu się załamał. – A co, jeśli się rozbiję i spłonę?

– Wtedy oni zapalą światła, zdejmiesz okulary i wrócisz do realnego świata. Czy Boże Narodzenie nie jest cudowne? – zaśmiała się Jane.

– Na pewno jest. I będzie jeszcze bardziej cudowne. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Sięgnął do kieszeni i wyjął małe pudełeczko z czerwonego aksamitu.

– Oto ostatni prezent. Dla ciebie, Jane.

Jane wiedziała, że zawsze będzie wspominać tę chwilę. Przełknęła nerwowo ślinę i wzięła od niego pudełeczko. A potem, wstrzymując oddech, powoli je otworzyła. W środku, mrugając do niej, leżał pierścionek z brylantem w kształcie oka, najpiękniejszym, jaki kiedykolwiek widziała. Mike przyklęknął i ujął jej dłoń.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał, wyjmując pierścionek z pudełka i wsuwając go jej na palec.

– Tak, tak i jeszcze raz tak – szepnęła, a potem rzuciła mu się w ramiona. Gdy wreszcie odsunęli się od siebie, spytała: – Kiedy?

– W czerwcu. To nie za wcześnie?

– Nie, ani trochę. Czerwiec to bardzo dobry miesiąc. Nawet więcej niż bardzo doby, jest wspaniały, prawda, Trixie? – powiedziała, odwracając się do rodziców chrzestnych.

Trixie kurczowo trzymała Freda za ramię.

– Czerwiec jest po prostu doskonały! Och, skarbie, jestem taka wzruszona! – Nadstawiła policzek, by Fred ją pocałował. I wtedy zadzwonił telefon.

– Ja odbiorę – mruknął Fred i z trudem wstał z sofy. Wskazując palcem Trixie, powiedział: – Pamiętaj, na czym stanęliśmy i nie wykręcaj się sklerozą, kiedy wrócę – dodał, ruszając do kuchni.

– Kto, u licha, może do nas dzwonić w Wigilię? – spytała

Trixie, zdziwiona. – Już wiem, to pewnie z policji. W zeszłym roku też do nas dzwonili, żeby podziękować za wszystko, co dla nich przez cały rok zrobiliśmy. Bądź miły, Fred! – zawołała.

– Zawsze jestem miły – zawołał Fred w odpowiedzi. – Napijesz się kawy, Mike?

– Chętnie, pani McGuire.

– Pani McGuire to była matka Freda – zbesztła go żartobliwie Trixie. – Proszę, mów do mnie Trixie. Wszyscy tak robią. Chcesz kawy, Jane?

– Tak, ja ją przygotowuję, Trixie.

Jane właśnie wstawała, kiedy Fred pchnął ramieniem wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni.

– Miałś rację, Trixie, to była policja, ale nie chcieli rozmawiać z tobą. Mieli sprawę do ciebie, Janie.

– Do mnie? Dlaczego?

– Betty... – Spojrzał na żonę, jakby prosząc ją o pomoc. Trixie natychmiast wstała i podeszła do niego. Fred położył rękę na ramieniu Jane. Twarz miał poważną. – Odebrała sobie życie, Janie. Policja mówi, że stało się to wczoraj albo przedwczoraj. Sąsiedzi wezwali policję, bo pies nie przestawał ujadać. Chcą, żeby ktoś go zabrał.

– Przynieś płaszcz, Fred. Dasz radę z nimi rozmawiać, Janie, czy mam to zrobić za ciebie?

Jane, drżąc na całym ciele, potrząsnęła w milczeniu głową i poszła do kuchni. Dwa razy upuściła słuchawkę, nim była w stanie ją uchwycić:

– Tu Jane Lewis. – Przez chwilę słuchała z pobladłą twarzą. A kiedy wreszcie udało jej się odezwać, powiedziała: – Ona była pod opieką doktor Sharon Thomas. Powinniście do niej zadzwonić. Co mam teraz zrobić? – Zaczekała na odpowiedź. – Tak, mogę tam być za piętnaście minut. – Drżącymi dłońmi odłożyła słuchawkę. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła Mike'a,

Trixie i Freda. Patrzyli na nią wyczekująco. Gardło miała ściśnięte, a oczy pełne łez.

– Wiedziałam, że dzieje się coś złego. Miałam sen o Betty. Powinnam była bardziej się nim przejąć. Chciałam pojechać do niej w piątek wieczorem. Naprawdę chciałam. Uważała mnie za przyjaciółkę. Zawiodłam ją. Boże, Mike, dlaczego ciebie posłuchałam? Powinnam już się nauczyć, że trzeba wierzyć przeczuciom. Za każdym cholernym razem, kiedy kogoś posłucham, dzieje się coś złego. I widzisz, co się stało – powiedziała z płaczem, załamując ręce.

– Jane...

– Nie odzywaj się do mnie, Mike. Nic nie mów, bo mogę powiedzieć coś, czego będę żałować. Muszę tam pojechać. Natychmiast.

– Jadę z tobą – powiedział Mike. Jane otarła łzy.

– Nie, nie potrzebuję twojej pomocy. Nie chcę jej. Idziesz, Trixie?

– Oczywiście. Ja poprowadzę. Wy posprzątaacie – zarządziła, odwracając się do Mike'a i Freda.

W samochodzie, pędząc na złamanie karku, powiedziała:

– Byłaś dla niego trochę za szorstka, Janie.

– Chciałam pojechać do Betty w piątek wieczorem, ale on mi to wyperswadował. Przez cały tydzień miałam złe przeczucia.

Najpierw Sharon mówi, bym odczepiła się od dziewczyny, a potem ona nie dzwoni przez cały tydzień. To do niej niepodobne. No i jeszcze te zwariowane sny. Nie mogę w to uwierzyć, Trixie. Jak mogłam być tak głupia?

– Chwileczkę, Janie. To nie twoja wina. Nawet nie próbuj obwiniać siebie za śmierć tej dziewczyny.

– Co przeoczyłam, Trixie? Czy to z tchórzostwa ugięłam się przed Sharon? Do diabła z etyką. Ta dziewczyna była ważniejsza niż jakaś tam etyka, którą zdaniem Sharon pogwałciłam. No

i jeszcze Mike i ten jego sposób odnoszenia się do pacjentów – bez zaangażowania. Po godzinach to już nie jego sprawa, jakby włączał się i wyłączał na życzenie. Ja taka nie jestem. Do cholery, to jest moja sprawa! Powinnam była pomyśleć o Connie Bryan, co i tak robię bez przerwy. Wtedy to też była moja wina. Powinnam się uprzeć. Dotrzymałam głupiej obietnicy i Connie się zabiła. A teraz ta dziewczyna także nie żyje. Nie jestem godna, żeby być lekarzem. Nie mam odwagi bronić swoich racji, a to sprawia, że jestem tym, za co uważała mnie matka – wielkim zerem!

Trixie tak mocno nacisnęła na hamulce, że bronco zjechał na pobocze, a one poleciały do przodu. Odwróciła się do Jane.

– Nigdy więcej nie chcę tego słyszeć! To nieprawda! Żebyś mi się nie ważyła nawet tak myśleć! Słyszysz, Jane? Nie będę tego tolerować, ani teraz, ani nigdy. Który to dom?

– Tamten na końcu.

Twarz Trixie nieco złagodniała.

– Kiedy tak mówisz, albo nawet myślisz, mam uczucie, że cię zawiedliśmy.

– Och, nie, Trixie – zaprzeczyła Jane gorąco. – Nie zawiedliście mnie. Przepraszam. Staram się tak nie myśleć, naprawdę, ale czasami dzieje się coś takiego, że nie umiem sobie z tym poradzić. Wejdźmy do środka.

Przez całą drogę do mieszkania Betty modliła się, żeby koner zdążył już zabrać ciało. Wtedy musiałyby tylko porozmawiać z miejscową policją.

W małym mieszkaniu panował tłok. Jane rozejrzała się dookoła. Golda podbiegła do Trixie i przytuliła się do niej.

Do Jane podszedł młody człowiek o posępnej twarzy.

– Pamięta mnie pani, doktor Lewis? Jestem Chuck, przyjaciel Betty. Poznaliśmy się tego dnia, kiedy Betty przyszła do pani po raz pierwszy.

– Tak, oczywiście. Strasznie mi przykro. Dzwonili do pana?
– Mówią, że dzwonili, ale ja byłem u przyjaciół. Wpadłem tu po drodze do domu, żeby zostawić prezent. Policja już była, wszyscy inni też – powiedział, wskazując na Sharon Thomas, Briana Ramseya i dwie inne osoby, których Jane nie rozpoznała. Być może byli to sąsiedzi. Dwaj funkcjonariusze pilnowali drzwi. Jane zdusiła szloch.
– Ostrzegałam cię, że może do tego dojść – powiedziała złośliwie Sharon, stając przed nią. Wydawała się bardzo rozgniewana.
– Co ty tu w ogóle robisz?
– Policja poprosiła mnie, żebym przyjechała. O czym ty mówisz, Sharon? Betty była twoją stałą pacjentką, nie moją. To ty ją leczyłaś, nie ja. Nawet nie próbuj mnie za to obwiniać.
– A jednak to twoja wina. Powiedziałam, żebyś trzymała się od niej z daleka.
– To właśnie zrobiłam, i oto rezultat. Powinnaś przyjrzeć się swoim działaniom. A co pan tu robi, panie Ramsey?
– Policja mnie wezwała. Znaleźli moje nazwisko w notesie Betty. Powiedziałem im wszystko, co wiem. – Jak na tak potężnego mężczyznę, wydawał się być naprawdę wstrząśnięty.
– Chciałabym już iść do domu – powiedziała Sharon. – Na miłość Boską, jest Wigilia!
– Pójdzie pani, kiedy pani pozwoli, doktor Thomas – powiedział jeden z policjantów lodowatym tonem. – Muszę spisać zeznania. Możemy zrobić to tutaj albo na posterunku.
– Więc do roboty – powiedziała Sharon. – Pójdę pierwsza, żebym mogła jak najszybciej stąd wyjść. – Podeszła do podniszczonego żółtego fotela. Przyjrzała mu się uważnie, a potem usiadła ostrożnie na poręczu.
Jane usiadła na sofie, obok Briana Ramseya. Miała stąd widok na kuchnię, gdzie Trixie właśnie sprzątała po Goldzie. Biedne stworzenie. Odwróciła się do Briana.

– Dlaczego powiedział mi pan, że jest żonaty? Koniecznie musiał pan kłamać? O co tu chodzi?

Ramsey oparł się głową o sofę.

– Myślałem... cholera, sam nie wiem, co myślałem. Kochałem Betty. Przynajmniej na początku. Powinienem wiedzieć, że nic z tego nie będzie. Ja już się ustatkowałem, a ona była taka młoda. Nie chciałem się bawić, a ona przeciwnie. Nie potrafiłem ani pogodzić się z tym, co jej się przytrafiło, ani pozwolić jej odejść. Próbowałem jakoś jej pomóc, ale było już za późno. Nie wiem, dlaczego stało się to czy tamto. Wiem tylko, że ona nie żyje i że to po części moja wina. Nie wiem, jak sobie z tym poradzę.

Do salonu weszła Trixie.

– Zawiozę Goldę na farmę. Na pewno poczuje się lepiej, kiedy zobaczy Flasha i Olive. Wrócę po ciebie, Jane.

Jane skinęła głową.

– Pani chyba jest doktor Lewis – powiedziała nieznajoma kobieta, przysuwając fotel bliżej sofy. – Ja jestem Inez, mieszkam po sąsiedzku. Wiedziała, że coś musiało się stać, ponieważ pies nie przestawał czekać. Golda jest zwykle bardzo grzeczna. Betty kochała suczkę. Wyprowadzałam ją, kiedy była w pracy. – Jane skinęła głową. – Tu zawsze było bardzo czysto. Dałam nawet Betty sadzonki kwiatów. Proszę tylko na nie spojrzeć. Zmarniały, zupełnie jak ona. Powiedziała mi, co ją spotkało.

– Czy wspomniała może, że coś ostatnio ją zdenerwowało? – spytała Jane.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Wyglądało na to, że dochodzi do siebie. Cieszyła się na te święta. Kupiła nawet małą choinkę i ubrała ją. Powiedziała, że została zaproszona na świąteczną kolację i bardzo była tym poruszona. To nie ma sensu.

– Wie pani, dlaczego mnie wezwano? – spytała Jane.

– Słyszałam, jak policjanci mówili, że zostawiła list zaadresowany do pani. Proszę pozwolić, że coś powiem, pani doktor. Betty ceniła sobie pani przyjaźń. Mówiła, że pani to zupełnie nie to samo, co tamta – sąsiadka skinęła pogardliwie głową w kierunku Sharon. – Betty jej nie lubiła i nawet zamierzała zrezygnować z leczenia się w przychodni. Powiedziała, że ludzie z centrum kryzysowego bardziej jej pomogli i że oni przynajmniej odpowiadają, kiedy się do nich zadzwoni. Powiedziała też, że to, co jej mówili, nie zgadzało się z tym, co twierdziła ta lekarzka. – Spojrzała na policjanta. – Chyba już moja kolej. Pocięszając poklepała Jane po ręce, wstała i ruszyła przez pokój. Jane przyglądała się, jak Sharon zakłada płaszcz. Kaszmirowy. Pomyślała, że może powinna przedstawić ją Toddowi Prentice'owi. Wszyscy w Rayne wiedzieli, że Sharon prowadzi bardzo lukratywną praktykę. Jane zamknęła oczy, żeby przez chwilę pomyśleć, lecz otworzyła je raptownie, wyczuwając czyjaś obecność. Sharon wpatrywała się w nią bez słowa. Przypomniała sobie, jak Trixie twierdziła, że nie należy pozwalać, aby ktoś stał nad głową, kiedy do nas mówi. Błyskawicznie zerwała się z sofy. – To jeszcze nie koniec, Jane. Chcę wiedzieć, co jest w tym liście. – Zejdź mi z oczu, Sharon, nim zrobię coś, czego będę żałować. Już sam fakt, że tu stoisz i oddychasz tym samym powietrzem, przyprawia to mnie o mdłości. Jeżeli Betty napisała do mnie list, a nic o tym nie wiem, to należy on do mnie, nie do ciebie. Nie zamierzam ci niczego pokazywać. Powiedziałaś, że chcesz jak najprędzej stąd wyjść, więc lepiej już idź.

– Jeszcze jedno, Jane. Nawet nie próbuj obciążyć mnie kosztami pogrzebu tej nieudacznicy.

Jane poczuła, że ma dość. Tama pękła. Odchyliła ramię, zaciśnęła dłoń w pięść i walnęła nią Sharon prosto w nos. Krew tryśnęła na wszystkie strony.

– Jezu, pani doktor, nie wiedziałem, że jest pani do tego zdolna!
– zawołał Ramsey z podziwem.
– Widział pan, co ona zrobiła – wrzasnęła Sharon, trzymając się jedną ręką za nos, a drugą szukając w kieszeni chusteczki. – Złamałaś mi nos, dziwko!
– I bardzo dobrze – mruknęła Jane.
– Nic nie widziałem – powiedział Ramsey.
Sharon spojrzała na Chucka, ale on tylko wzruszył ramionami.
– Przykro mi, ja też nic nie widziałem.
Sharon przez chwilę gapiała się na całą trójkę.
– Myślicie, że jesteście tacy sprytni. Gliniarz wszystko widział – odwróciła się do policjanta, ale jego już tam nie było. – Zapłacisz mi za to, dziwko! – wrzasnęła do Jane. – Pozwę cię i oskubię do czysta!
– Krew kapie ci na ten śliczny kaszmirowy płaszczyk – powiedziała Jane.
– No, Ramsey, pańska kolej – powiedział policjant, wychodząc z sypialni.
Po chwili wróciła Trixie.
– Co stało się doktor Jak jej tam? Krwawi.
– Walnęłam ją – przyznała Jane z uśmiechem. – Już dawno nic nie sprawiło mi takiej przyjemności.
– Żartujesz – powiedziała Tracie, spoglądając na Jane z respektem. – Nic ci nie jest, skarbie?
– Czuję się tak dobrze, jak nigdy.
– Mike bardzo się tym przejął, Janie.
– I powinien, do cholery! – odparła Jane szorstko. Trixie spojrzała na nią stanowczo.
– Jane, kocham cię nad życie, ale obie wiemy, że gdybyś bardzo chciała pojechać w piątek do Betty, to byś pojechała, bez względu na to, co powiedziałyby Milce. Musisz jakoś sobie z tym poradzić.

Jane poczuła się jak skarczone dziecko.

– Próbuje, Trix. Naprawdę. Powiedzieli, że zostawiła list zaadresowany do mnie, ale jeszcze mi go nie dali. Ona chyba nie ma żadnych krewnych, poza tą ciotką z kupą dzieciaków. Myślisz, że powinnam zająć się pogrzebem?

– Zrób, co uważasz za słuszne, Jane.

– To mnie wykończy, Trix. Z psem wszystko w porządku?

– Nic jej nie będzie, jest w dobrych rękach. To nie twoja wina, Jane!

– Daj spokój, Trix. Oczywiście, że to moja wina. Tak, jak z Connie. Masz absolutną rację, jeśli chodzi o piątkowy wieczór. Gdybym bardzo chciała tam pojechać, to bym pojechała. Więc widzisz, że to jednak moja wina. Przez chwilę łatwiej mi było winić Mike'a. Zadzwon do niego, Trixie, i powiedz mu, że nie mogę z nim jutro jechać.

– Nie mam zamiaru. Kochanie, Betty odeszła. Nie możesz przywrócić jej do życia. A w święta i tak niczego nie da się załatwić.

– To bez znaczenia. Muszę tu być. Uciekłam, kiedy chodziło o Connie. Nie zamierzam zrobić tego teraz. Obiecałam Betty, że wszystko będzie dobrze, jeśli będzie chodziła na spotkania do centrum i kontynuowała kurację. Robiła postępy, prawda, Trixie? Widywałaś ją raz w tygodniu, gdy przyjeżdżała z psem na trening. Musiałaś zauważyć, że robi postępy.

– Sądziłam, że dochodzi do siebie. Powiedziała, że mocno się zastanawia, czy by nie wstąpić do akademii policyjnej. To opiekunka z centrum podsunęła jej ten pomysł, powiedziała, że ma zadatki na dobrą policjantkę. Betty była tym bardzo podniecona. Mogłaby przystąpić do egzaminu dopiero w przyszłym roku, ale i tak bardzo jato interesowało.

– Doktor Lewis! – zawołał policjant.

- To nie potrwa długo – powiedziała Jane.
Jednak gdy wyszły w końcu w zimną grudniową noc, docho-
dziło wpół do drugiej.
- Jest gwiazdka, Trixie. Czas cudów. Tymczasem wydarzyła się
tragedia. Chyba jeszcze nigdy nie byłam tak zmęczona. Umysł
mam równie odrętwiały jak ciało. Zatrzymajmy się obok ko-
ścioła. Nie chcę wchodzić do środka, po prostu posiedźmy i
popatrzmy sobie na niego. Żłobek powinien być gotowy. Pra-
cowali nad nim już w zeszłym tygodniu.
- Dobrze, kochanie.
- Co Mike i Fred robili, kiedy przyjechałaś z Goldą?
- Pili kawę. Rozmawiali. Bawili się z psami. Mike martwi się o
ciebie, Jane.
- Masz może papierosy?
- Od kiedy to palisz? Papierosy nie są dla ciebie dobre.
- Od teraz. Nic nie jest dla mnie dobre. Jeśli coś jest smaczne, to
znaczy, że jest złe. Jeśli jest białe, to znaczy, że się dla mnie nie
nadaje. Napoje gazowane mają zbyt dużo kofeiny, kawa jest
ciężkostrawna, herbata plami zęby, a smażone potrawy zatykają
arterie. Co pozostaje, Trix? Nic. Więc daj mi papierosa. My-
ślisz, że Sharon poda mnie do sądu? Słyszałam, jak pękła jej
kość. Będzie musiała poddać się operacji, a potem zrobić sobie
lifting, żeby pasowała do nosa. Wyświadczyłam tej jędzy przy-
sługę, ale jest zbyt głupia, żeby to docenić.
- Martwisz się, że cię pozwie?
- Nie.
- Nie było świadków. Jak może cię pozwać?
- Znajdzie sposób, ale kto by się tym przejmował. Trixie za-
trzymała samochód obok żłobka.
- Jest piękny, prawda, Janie? Pamiętasz, zawsze przyjeżdżali-
śmy tu w święta. Raz wyjechałaś dzieciątko z kołyski i zapytałaś,
gdzie jest jego mamusia.

– Pamiętam. Pokój na ziemi, życzliwość wobec wszystkich. Co się tyczy tego ostatniego, to nie ma dziś we mnie ani odrobiny dobrej woli.

– Przeżyłaś szok, Jane. Rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

– To bzdura, Trixie, i dobrze o tym wiesz. Możesz mi wierzyć, będzie coraz gorzej. Możemy już jechać do domu.

– Dobry pomysł – powiedziała Trixie, zmieniając biegi.

Brazowo-biała spanielka podbiegła do Jane, gdy tylko zamknęła za sobą kuchenne drzwi. Zaszczekała na powitanie, a potem wybiegła za Goldą i Flashem.

Wszystko tu wyglądało tak normalnie, tak świątecznie, z grubymi czerwonymi świecami pośród zieleni, cukiernicą i dzbankiem na śmietankę, filiżankami po kawie, łyżeczkami i serwetkami. Na ladzie kuchennej stała butelka bourbona. Fred uznał widocznie, że przydałoby się wzmocnić kawę.

– Jane, tak mi przykro. Czy jest coś, co mógłbym zrobić? – zapytał Mike, obejmując ją ramieniem.

– Wszystkim jest przykro. Nie, nikt już nic nie może zrobić.

Walnęłam Sharon i zламаłam jej nos. Wszędzie było pełni krwi. Teraz mnie pozwie i oskubie do suchej nitki. Koniec cytatu – powiedziała Jane, siadając przy stole.

– Złamałaś jej nos! Czy zachowam się niestosownie, jeśli zapytam, dlaczego? – zapytał Mike, poruszony.

– Powiedziała, że nie zapłaci za pogrzeb Betty i że to wszystko moja wina – burknęła opryskliwie Jane. – Co jeszcze chcesz wiedzieć? Betty nie żyje. Nigdy już do mnie nie zadzwoni, żeby porozmawiać o pogodzie, o swoim psie, czy żeby powiedzieć mi, jak jej się wiedzie. Jest martwa. Czego tu, do cholery, nie rozumiesz?

– Spokojnie, Jane. Nie jestem twoim wrogiem.

– Akurat. Wracam do domu, Trixie. Dziękuję, że ze mną pojechałaś. Zadzwoń do was rano. Dziękuję za wspaniałe prezenty. Chcecie, żebym zabrała Goldę, czy zatrzymacie ją?

– Dobrze jej tu, z Flashem. Zatrzymamy ją. O której wyjeżdżasz? Jeśli bardzo wcześnie, może zostawisz tu Olive od razu?

– Nigdzie nie jadę. Będziesz musiał pojechać sam, Mike. Świąteczny nastrój diabli wzięli. Twoja rodzina nie potrzebuje kogoś takiego, jak ja teraz. Nie chcę się sprzeczać. To twoja rodzina, oczekują cię, więc powinienes jechać. Nie martw się o mnie. Muszę pozalać parę spraw i zająć się pogrzebem. Zawsze są jakieś szczegóły, którymi trzeba się zająć.

Mike podniósł rękę.

– A co ty chcesz zalać w Boże Narodzenie? Od dawna planowaliśmy ten wyjazd. Rodzice nas oczekują. Jane, nie jestem nieczuły, ale bądź rozsądna. Wyjazd dobrze ci zrobi. Poza tym, co ja im powiem?

– Może prawdę? Ktoś, na kim mi zależało, moja była pacjentka, me żyje. Chcesz, żebym siedziała przy stole, jadła i otwierała prezenty? Nie potrafię. Teraz chcę tylko skulić się w jakimś bezpiecznym kącie i obgryzać paznokcie. Muszę wszystko przemyśleć i chcę być przez jakiś czas sama. Jeśli nie możesz trochę mi odpuścić i nie rozumiesz, co czuję, trudno. Przykro mi, ale dokładnie tak to w tej chwili wygląda.

Mike spojrział na Trixie i Freda. Ich twarze nie wyrażały nic. Z tej strony nie mógł spodziewać się pomocy.

– Odwiozę cię do domu.

– Sama się odwiozę – powiedziała Jane, spoglądając na rodziców chrestnych pełnymi łez oczami i błagając ich wzrokiem o zrozumienie.

– W porządku, kochanie – powiedział Fred, podchodząc do niej. Jane przytuliła się do jego piersi.

– Rób to, co uważasz za słuszne, i nie martw się o nas. Mike

może wziąć jeden z naszych samochodów.

Glive trąciła łapą jej nogę i Jane się rozplakała.

– Wskakuj do samochodu, malutka, wracamy do domu. Kości-
ste ramię Trixie zacisnęło się wokół nadgarstka Mike’a, przy-
trzymując go.

– Pozwól jej odejść. Nie chciałabym zmienić zdania na twój
temat, młody człowieku. To poważniejsze, niż ci się wydaje.
Jedź do rodziców i pozwól, żeby Janie zrobiła to, co uważa za
słuszne. Jeśli postąpisz inaczej, będziesz musiał nosić ten pier-
ścionek na małym palcu. To, co przed chwilą powiedziałeś,
brzmiało dość egoistycznie, ale mnie to nie dziwi. Czego tu
wymagać, jesteś przecież mężczyzną!

Mike usiadł. Naprawdę oczekuje pani, że zostawię ją samą w
takiej chwili?

– Nie ja tego oczekuję, lecz Jane. Rodzice czekają na pana, a tu i
tak nie może pan nic zrobić. Niech pan ich uszczęśliwi.

– Ona wini mnie – powiedział Mike żałośnie.

– Tak, owszem, ale siebie także.

– Janie powiedziała, że pańskie rzeczy i prezenty dla rodziny są
w bagażniku. Przełożę je do bronco. Proszę, tu są kluczyki –
powiedział Fred.

– Zostawiłem samochód u Jane. Nie chciałbym sprawiać wam
kłopotu.

– Nie jechałabym do Jane, gdybym była na pańskim miejscu.
Jane powiedziała, że miał pan kłopoty z hamulcami i dlatego
zamierzaliście pojechać jej samochodem. Proszę wziąć bronco i
w drogę. I proszę do nas zadzwonić, gdy dotrze pan na miejsce.
Przygotuję termos z kawą.

– Że też musiało się to wydarzyć akurat dzisiaj. Na dodatek
czuję się winny jak cholera.

– Synu, nie obchodzi mnie, jak się czujesz. Być może jutro się
to zmieni, bo wyglądasz na porządnego faceta, a Janie cię ko-

cha. Teraz jednak obchodzi mnie tylko ona i ten osierocony pies. Jeżeli cię rozczarowałam, to trudno. Rozumiemy się? – spytała Trixie bez ogródek.

Fred zamrugął. Jego żona była w swoim żywiole.

– Tak, proszę pani, zrozumiałem. Dziękuję za kawę, Fred. Zadzwoń do niej, kiedy dojadę na miejsce.

– Nie dzwoń do Jane. Zadzwoń do nas, na farmę. Fred, zapisz mu numer. I pamiętaj, Co powiedziałam o pierścionku.

Mike skinął głową. Wzdrygnął się cały i ruszył do drzwi.

– Wesołych świąt – powiedział chrapliwie.

Nie zdziwił się, nie usłyszawszy odpowiedzi. Dźwięk zatrzaśkiwanych drzwi wydał mu się dziwnie złowróżbny i ostateczny. Znowu się wzdrygnął. Być może sprawy będą wyglądały lepiej, gdy się rozwidni.

Boże Narodzenie.

W głowie Jane panował zamęt. Jechała powoli, nie z powodu ograniczenia prędkości ani stanu drogi, ale dlatego, że łyż przesłaniały jej widok.

Olive siedziała obok, popiskując, jakby chciała powiedzieć, że rozumie.

W końcu podjechała do krawężnika i zatrzymała samochód. A kiedy odwróciła się, by spojrzeć przez tylną szybę, zobaczyła kościół St. Andrew. Przez chwilę przyglądała się żłobkowi, jak przedtem, gdy przyjechała tu z Trixie. Nie bardzo wiedziała, jak się tu znalazła. Z pewnością nie zamierzała wracać do kościoła. A jednak była tutaj. Może tak było jej pisane. Może... Drzwi od strony kierowcy otworzyły się jakby same z siebie. Jane wysiadła. Było tu spokojnie. Pasterka już się skończyła. Ojciec John pewnie słodko chrapie.

Z Olive u boku okrążyła samochód i podeszła do żłobka. Był taki piękny! Czy światła będą się palić przez całą noc? Ukłękła i wyciągnęła rękę po drewnianą figurkę Jezusa.

– Byłam tu niedawno z Trixie. I zapragnęłam wrócić. Nie, to nieprawda. Musiałam wrócić. – Przytuliła figurkę do piersi i zapłakała cicho. Olive zaskomlała u jej boku.

Po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że nie jest już sama. Podniosła wzrok i westchnęła ze zdumieniem.

– Ojciec John! Co... czy ktoś mnie zobaczył i wziął za...

– Nikt cię nie widział, Jane – przerwał jej ksiądz. – Z jakiegoś dziwnego powodu w Wigilię nigdy dobrze nie sypiam i to od kiedy sięgam pamięcią. Zamierzałem wyłączyć górne światła i zapalić mniejsze, ale zobaczyłem, że tu siedzisz. Mogę ci jakoś pomóc, Jane?

– Nie, ojcze, ale i tak dziękuję. Chyba powinnam go odłożyć.

Zmieniła pozycję, by wygodniej jej było sięgnąć do żłobka, lecz

ani na chwilę nie oderwała wzroku od księdza.

– Jeśli chcesz – powiedział, pocieszającym gestem kładąc jej dłoń na ramieniu. – Trzymanie go daje ci pociechę?

– Miałam nadzieję, że tak będzie. Ale, prawdę mówiąc, wcale nie czuję się lepiej. Kiedy byłam dzieckiem, przyjeżdżałam tu na rowerze, kiedy wszyscy usnęli. Było cudownie. Wracalam z uczuciem, że mogę zawojować świat. Nie pamiętam, żebym się modliła, ale chyba musiałam to robić. Dzisiaj się nie modliłam. Jakoś nie wydawało mi się właściwe zrzucanie swoich problemów na barki Boga. Tyle lat się uczyłam, jak radzić sobie z problemami, własnymi i cudzymi. Ale teraz... teraz wydaje mi się, że dalej nic nie wiem. Czuję się jak oszustka. Och, ojczu, tyle spraw zważyło mi się na głowę. Nie wiem, co dalej robić. Chyba wariuję.

– Ja, kiedy nie wiem, co robić, po prostu nie robię nic. Z reguły to działa, przynajmniej w moim przypadku – powiedział ksiądz, siadając obok Jane.

Olive wepchnęła się pomiędzy nich.

– Umiem słuchać, Jane.

– Jeśli zdecyduję się odsłonić przed księdzem duszę, czy zdoła się ksiądz powstrzymać, by nic nie mówić? Potem, kiedy skończę, pojedę do domu i nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać. Możemy tak zrobić? Udawać, że to swego rodzaju spowiedź?

– Jeśli tego właśnie chcesz, Jane.

– Czy Trixie albo Fred dzwonili do księdza?

– Trixie dzwoniła wcześniej. Przypuszczała, że możesz tu przyjść. Czuwałem więc i w zasadzie na ciebie czekałem. Ale nic bym nie powiedział, gdybyś sama nie zaczęła. Mogę zostać z tobą do czasu, aż trzeba będzie się przygotować do mszy o szóstej.

Jane odpięła płaszcz, przytuliła figurkę do piersi i zaczęła mówić.

wić. Od czasu do czasu podnosiła wzrok, by sprawdzić reakcję księdza. Na jego twarzy malowała się jednak tylko miłość i współczucie. Kiedy skończyła, wyjęła figurkę spod płaszcza i położyła z powrotem do żłobka. Uścisnęła dłoń ojca Johna i wstała.

– Jeśli Sharon mnie zaskarzy, będę potrzebowała kogoś, kto wydałby o mnie pozytywną opinię – zawołała przez ramię, odchodząc.

– Możesz na mnie liczyć, dziecko. Przyjdiesz dziś na mszę?
– Chyba nie.

Chciała życzyć mu wesołych świąt, lecz słowa uwieźły jej w gardle.

Kiedy wchodziła po stopniach werandy, czuła się, jakby miała sto lat. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek była aż tak zmarznięta. Na widok wieńca na drzwiach prychnęła pogardliwie. Podarunek bożonarodzeniowy Mike'a. Zdjęła płaszcz, lecz zaraz znowu go założyła. Zapomniała, że przed wyjazdem przykręciła termostat. Nastawiła go ponownie, a potem rozpałała w kominku ogień. Kiedy zrobiło się cieplej, zdjęła płaszcz i włączyła lampki na choince. Wycieczka do łazienki i do kuchni po butelkę wina wyczerpała program jej zajęć. Ścisnęła butelkę kolanami i sięgnęła po korkociąg. Kiedy korek ustąpił, napiła się prosto z butelki.

– To nie jest zwyczajna butelka, ale jedna z tych naprawdę dużych, co oznacza, że mieszczą się w niej dwa litry – powiedziała do Olive. – Dałabym ci trochę, ale wino nie jest dobre dla psów. Dla mnie pewnie też nie. Ale wiesz co, gównu mnie to obchodzi.

Na zewnątrz domu Jane, w spokojną, mroźną noc Trixie McGuire patrzyła na swego męża:

– Picie prosto z butelki jest chyba lepsze niż jeżdżenie bez celu. Kiedy będzie miała dość, uśnie. Myślę, że do jutra rana nic się

jej nie stanie. Dziewczyna cierpi tak bardzo, że niemal to czuję. Musi być jakiś sposób, żeby jej pomóc.

– Ona musi znaleźć własny sposób, Trixie. Wierzę, że dojdzie do siebie i nauczy się żyć ze świadomością że jej przeznaczeniem jest jej charakter. Stawiam na nią. To po prostu jeszcze jedna z tych wyboistych ścieżek, na które wszyscy od czasu do czasu wchodzimy.

– Do licha, Fred, ta dziewczyna nie zna innych ścieżek, jak tylko kręte i wyboiste, i to od dnia narodzin. Kiedy, u licha, wybrukują tę jej drogę? Nie mam zamiaru czekać bezczynnie. Trzeba coś zrobić – powiedziała z wyrazem uporów w oczach. Podmuchała na szczupłe dłonie, aby je ogrzać.

– Wsiadaj do środka, Trixie, zabieram cię do domu. Porozmawiamy o tym nad filiżanką gorącej czekolady.

Trixie nie protestowała i pozwoliła zaprowadzić się do samochodu.

– Czy to przy tego rodzaju okazjach zawsze mówisz mi, że co dwie głowy, to nie jedna? – zrzędziła, zapinając pas. – Nie chcę dziś wysłuchiwać żadnych oklepanych frazesów... ani teraz w nocy, ani rano... a właściwie, która, u licha, jest godzina?

– Za dwadzieścia minut zacznie świtać – powiedział Fred.

Jane wiedziała, że jeśli tylko zamknie oczy, natychmiast zacznie śnić jeden z tych głupich snów. Walczyła z całych sił, ale była taka zmęczona. Zbyt zmęczona.

– No dobrze, Billy, powiedz mi jeszcze raz, dlaczego nie możesz stąd odejść – spytała.

– Tutaj się urodziłem i tu umarłem. Nie nastąpiło to w sposób naturalny, dlatego, dopóki nie zostaną uwolniony, nie mogę iść tam, gdzie inni.

– A kto mógłby cię uwolnić? Musisz zdać jakiś egzamin czy coś w tym rodzaju? Wiesz, co sędzę o zjawach.

Billy spojrział na nią z ukosa.

– Pominę to milczeniem, panno Jane.

– Zapytaj, czy mnie to obchodzi. Mam na głowie ważniejsze sprawy. Powiedz mi coś, proszę. Wiesz, gdzie są teraz mój ojciec i matka?

– Ojciec pani miał czyste serce, więc przeszedł na drugą stronę, ale matka – ona nadal jest tutaj i czeka, żeby ktoś ją uwolnił.

Jane zaśmiała się. Nie był to przyjemny dźwięk.

– A kto, ich zdaniem, mógłby ją uwolnić?

– Pani!

Jane aż popłakała się ze śmiechu.

– A to dobre, Billy. Więc pewnie zostanie po tej stronie przez wieczność, ponieważ ja nie zamierzam tego zrobić. Jeśli o mnie chodzi, może przez wieki smażyć się... no, mniejsza z tym.

– To po co pani pytała?

– Dla podtrzymania rozmowy. Próbuję jakoś uporać się z tymi snami. Jestem kiepskim psychiatrą, ale być może zostanę specjalistką od snów. Kimś, kto tłumaczy ludziom ich znaczenie. Ale nim stanę się ekspertem, potrzebuję kogoś, kto wytłumaczyłby mi moje własne. Więc gdzie utknęła moja matka?

– W waszym starym domu. Nie może stamtąd odejść, tak jak ja nie mogę odejść stąd.

– Więzień we własnym domu. Coś takiego. W porządku, mam następne pytanie. Najwidoczniej wiesz o wszystkim, co się tu dzieje, a to oznacza, że słyszałeś, jak rozmawiamy z Mike'iem o tym facecie od baterii. Jak brzmi odpowiedź?

– Chodzi o energię – Billy uśmiechnął się.

– O energię?

– Tak. Jako chłopiec był chorowity i rodzice bardzo się o niego bali. Rozpieszczali go, ale nie pozwalali bawić się z innymi dziećmi. Siedział więc na ganku i przyglądał się, jak biegają. Nawet kiedy odzyskał zdrowie, fizycznie pozostał słaby, wpadł

więc na pomysł, że noszenie przy sobie baterii doda mu energii. Nie pamięta wczesnego dzieciństwa, ponieważ wspomnienia byłyby zbyt bolesne. Jak pani doskonale wie, umysł to dziwna rzecz, panno Jane.

– Baterie to znaczy energia – powiedziała Jane do siebie, potrząsając głową. – Wiedziałam, że to coś prostego. – Spojrzała z ukosa na Billy’ego. – Pytanie tylko, skąd o tym wiesz? Mówiłeś, że nie możesz opuszczać tego miejsca, – Czytałem materiały doktora Sorensona. Zwykle ma je ze sobą, kiedy tu przychodzi. – Wracajmy do mojej matki. Dlaczego ona nie może przedostać się na drugą stronę? Nie obchodzi mnie to, ale po prostu jestem ciekawa. Moja matka zjawą! Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Trixie.

– Nie powinna pani wyrażać się pogardliwie o zmarłej, panno Jane – upomniał ją, Jane zjeżyła się.

– A ona mogła mówić w ten sposób o mnie, kiedy byłam dzieckiem, tak? To było w porządku? Żywa czy martwa, co za różnica? Jeśli pójdę do naszego starego domu, będę mogła ją zobaczyć i porozmawiać z nią?

– Nie wiem. Wiem tylko, że jest pani jedyną osobą, która może ją uwolnić i sprawić, że zazna spokoju. Chce pani to zrobić?

– Do licha, nie chcę! – wrzasnęła Jane. – Świadomość, że miota się gdzieś po domu, sprawia mi wielką przyjemność, zwłaszcza że tylko ode mnie zależy, czy będzie mogła odejść. – Jane aż krzyknęła z radości. – Właśnie coś takiego nazywam karą boską, Billy. Absolutnie boską!

– To smutne, że tak to pani odczuwa, panno Jane. Bardzo smutne.

– Czy ktoś jeszcze mieszka z nią w tym domu? Zaczekaj, wyrażę to inaczej. Czy w tym domu mieszka jeszcze jakaś żywa istota?

– Nie, ona wszystkich odstrasza. Właśnie wyprowadził się piąty

lokator. Dom jest do wynajęcia.

– A skąd o tym wiesz?

– Po prostu wiem.

– Tak, więc zgadnij, co teraz zrobię? Obudzę się i będziesz mógł odejść.

– Dobrze pani życzę, panno Jane, – Tak, Billy, i po tym oświadczeniu pozwól, że cię opuszczę. Pamiętajcie, musicie poznać zasady, by wiedzieć, jak je łamać – powiedziała, kończąc rozmowę zdaniem, które często wypowiadała podczas audycji.

– Oczywiście, proszę pani. Zabrzmiało to tak, jakby żegnała się pani ze swymi słuchaczami.

Jane przetoczyła się po kanapie i uchyliła powieki. Podniosła ramię i spojrzała na zegarek. Południe! Południe w Boże Narodzenie. Z ognia, który rozpałała, kiedy wróciła do domu, pozostały jedynie żarzące się główne. Światelka na choince mrugały.

Olive polizała ją po twarzy.

– Ja też cię kocham, Olive, ale jestem zbyt zmęczona, żeby teraz wstać. Te sny mnie wykańczają. Chyba jeszcze się zdrzemnę.

Przewróciła się na bok i zamknęła oczy. Kiedy się obudziła, na dworze zapadał zmierzch. Może powinna wziąć prysznic. Po prysznicu zwykle czuła się lepiej. Podobnie było z myciem zębów. To fatalnie, że tak niewiele rzeczy było w stanie sprawić, że czuła się lepiej.

Spojrzała na pierścionek na palcu – piękny pierścionek, który dał jej Mike. Na co jej teraz zaręczynowy pierścionek? Na nic. Zdjęła klejnot, zawięła go w skarpetkę i schowała do szuflady. Czekala ją długa, ponura noc.

Trixie nalala wina do kieliszków i zaniosała je na kuchenny stół.

– To chyba najgorsze Boże Narodzenie, jakie pamiętam –

mruknęła, siadając. Wiedziała, że musi wyglądać parszywie. Tak zresztą się czuła. Ani ona, ani Fred nie spali więcej niż parę godzin. Chyba są już za starzy na takie atrakcje. Ale co mieli zrobić? Ich Janie miała kłopoty i musieli nad nią czuwać. – Powiedziałaś, że masz jakiś pomysł, Fred. Podziel się nim ze mną. Potrzebuję czegoś, co poprawiłoby mi samopoczucie. Jeśli jeszcze raz będę musiała odbyć wycieczkę do domu Janie, chyba mię. Przespała cały wczorajszy dzień, a teraz też śpi, choć jest dopiero siódma. I nic nie jadła. Mike dzwonił sześć razy. Dojrzewam do tego, żeby wyrwać kabel ze ściany. Więc jaki masz pomysł, kochanie?

Fred spojrzął na nią znad kartki papieru, na której machinalnie coś rysował.

– Może byśmy tak przekazali trochę pieniędzy na uniwersytet stanowy? – zapytał, spoglądając na żonę, aby wy badać jej reakcję.

Trixie zamru gnęła niecierpliwie.

– Zapomnij o tym, chcę przeznaczyć pieniądze na szkołę dla psów.

– Wiem, skarbie, ale mam plan. Przez cały dzień o tym myślałem. Posłuchaj: Janie powiedziała nam, że ugryzła jednego z tych chłopaków, którzy zgwałcili jej przyjaciółkę. Ugryzła go do kości. Zgodzisz się chyba ze mną, że takie ugryzienie musiało zostawić paskudną bliznę, prawda?

– Tak – odparła, spoglądając na męża podejrzliwie.

– W porządku, już przechodzę do rzeczy. Napisaliśmy książkę o tym, jak wymordowano całą drużynę piłkarzy, zgadza się? Piłkarzy, Trixie. I jak, twoim zdaniem, powinna wyglądać okładka? Bo ja widzę to tak – para silnych, poznaczonych żyłami rąk trzyma wysoko w górze piłkę, jakby na moment przed rzutem. – Chwycił z misy z owocami melon i unióśł go nad głowę. – Moglibyśmy ogłosić konkurs na najlepszą parę rąk, nadających się

na okładkę. Ręk piłkarza: dużych, silnych i...znaczonych bliznami. Ograniczymy konkurs do graczy drużyny uniwersyteckiej, obecnych i dawnych. Każemy im wypełnić formularz, z którego dowiemy się, kiedy występowali w drużynie. Przeznaczymy sto tysięcy dla uniwersytetu i pięćdziesiąt dla zawodnika, którego wybierzemy. Zrobimy to za pośrednictwem adwokata, w ten sposób pozostaniemy anonimowi – mówił teraz płynnie, coraz bardziej się zapalając. – Ponieważ konkurs obejmie kilka roczników, nie wzbudzi podejrzeń. Wszystko odbędzie się zgodnie z literą prawa, a zarazem pozwoli nam znaleźć faceta, w którego ręce Janie zatopiła zęby. Naprawdę uważam, że to się uda, Trixie. Kto zdobyłby się na to, żeby zrezygnować z pięćdziesięciu tysięcy? Uniwersytet na pewno nie rezygnuje ze swojej stowy, tego jestem pewien. Będzie to dla nich znakomita reklama, dla nas zresztą też. Możemy sobie pozwolić na taki wydatek. – Odłożył melon do miski. – I co ty na to?

– Uważam, że to znakomity pomysł, tylko że Janie nie jest na sto procent pewna, czy to byli futboliści. Powiedziała, że takie sprawiali wrażenie, bo byli wysocy, postawni i silni. Równie dobrze mogli to być zapaśnicy albo nawet trójboiści. Mam nadzieję, że się nie mylisz i że to jednak byli piłkarze.

Fred chwycił jej dłoń i mocno uściskał.

– Janie zawsze miała intuicję, więc skoro powiedziała, że jej zdaniem byli to piłkarze, to mi wystarczy. Musimy wrócić do początku, a to oznacza cofnięcie się do tamtej okropnej nocy. Doprowadzi nas do dnia dzisiejszego i do Betty Vance. Janie jest przekonana, że wszystko jakoś się ze sobą wiąże, a ja uważam, że ma rację. – Przechylił głowę i spojrzał żonie w oczy. – Chciałbym uruchomić sprawę zaraz po pierwszym styczniu, kochanie. Jeśli się zgadzasz, moglibyśmy jutro skontaktować się z adwokatem, żeby zaczął przygotowywać papiery.

Trixie, świadoma, jaki wpływ ma na nią uścisk i przekonujący

ton głosu męża, zabrała rękę z jego dłoni, by móc jasno myśleć.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli znajdziemy piłkarza z blizną, będzie to znaczyło, iż to on popełnił ten straszny czyn. To trochę naciągane, nawet jak na nas, Fred. Mimo to jestem z tobą. Zrobię wszystko, żeby tylko odzyskać naszą dawną Janie.

– Hura! – zakrzyknął Fred, uderzając dłonią o blat stołu.

– Nie tak szybko, Freddie. Założmy, że dopisze nam szczęście, i znajdziemy faceta z blizną na nadgarstku. I co potem?

– Wtedy Janie będzie musiała przejąć pałeczkę. Czy zgadzasz się ze mną także pod tym względem, Trix?

– Dla Janie zrobię absolutnie wszystko. – Trixie odwróciła się, słysząc warczenie. – Spójrz na tę dwójkę! – powiedziała, wskazując na Flasha i Goldę. Psy kotłowały się w pobliżu tylnych drzwi, powarkując radośnie. – Nie mogę się doczekać, kiedy przyjedzie pierwsza partia psów. Mają tu być już pierwszego, a trener czwartego. Psiarnia będzie gotowa jutro. Jak myślisz, Fred, czy pożyjemy na tyle długo, żeby zobaczyć rezultaty? – spytała Trixie niespokojnie. – Wiem, że robimy słusznie. Na pewno nie chcesz przejść na emeryturę, Fred?

– Nie jestem na to gotowy. Myślałem, że tak, ale myliłem się. Chyba noszę w sobie jeszcze kilka historii. Poza tym niewykluczone, że wpadniesz na kolejny pomysł, który będzie wymagał nadszarpnięcia naszych finansów. Dobrze będzie mieć rezerwy. I, oczywiście, dożyjemy rezultatów. Wiesz, że tego słowa na „ś” nie ma w naszym słowniku. Nawet o tym nie wspominaj.

– Ja o tym myślę, Fred. To część życia. Jesteśmy starzy. A kiedy człowiek się starzeje, umiera. Coraz częściej dopadają nas starcze przypadłości. Kochanie, mamy więcej niż dość pieniędzy. Nie chciałbyś pojechać sobie na ryby czy połowić kraby? Albo po prostu poleniuchować?

– Nie.

– No dobrze – westchnęła. – Dlaczego ja nigdy nie potrafię ci

odmówić?

– Bo mnie kochasz – powiedział, obdarzając ją swoim uroczym uśmiechem.

Na to mogła się tylko roześmiać.

– Tak, kocham cię. Zawsze, na zawsze i jeszcze dłużej, pamiętasz? To właśnie obiecaliśmy sobie dawno temu. – Podniosła się, przechyliła przez stół i pocałowała go. – Powinniśmy być dzisiaj w kościele. To pierwsze od czterdziestu pięciu lat Boże Narodzenie bez naszego udziału we mszy.

– W przyszłym tygodniu pójdziemy dwa razy, w sobotę wieczorem i w niedzielę rano. Co ty na to?

– W porządku, Fred. A co będziemy robić teraz? Jest Boże Narodzenie, a noc jeszcze młoda!

– No cóż, moglibyśmy...

Jego spojrzenie dopowiedziało resztę.

– Hmm, tak, moglibyśmy.

Jane otworzyła oczy.

Olive poruszyła się i spojrzała na panią, jakby chciała ocenić, czy Jane wstanie, czy też położy się z powrotem. Kiedy tylko Jane zapaliła światło, spanielka zeskoczyła z łóżka i cierpliwie czekała, by zejść za panią na parter.

– Zamieniam się w wampira, Olive. Śpię w dzień, a poluję nocą.

– Umyła twarz, potem zęby i przeciągnęła szczotką po włosach.

– Muszę wziąć się do roboty. Trzeba zaplanować pogrzeb, no i porządnie wszystko przemyśleć. I zrobić pranie, bo skończyła mi się czysta bielizna. To równie okropne, jak kiedy zabraknie pasty do zębów albo papieru toaletowego. I pewnie nie zaszkodziłoby nam jakieś śniadanie. Idź na dwór, załatw swoje sprawy. Za dziesięć minut czekam na ciebie w kuchni.

W dwadzieścia minut później jajka wpatrywały się w Jane z talerza niczym para gniewnych oczu. Odsunęła talerz i skupiła

uwagę na kubku z kawą i notesie. Zamierzała coś zanotować, zapisać, wypełnić stronę. Odsunęła notes. Spojrzała na Olive, a pies na nią.

– To będzie prosty pogrzeb. Nie możemy poprosić ojca Johna, by odprawił modły, ponieważ Betty nie może zostać pochowana na katolickim cmentarzu. Znajdziemy inne miejsce. Może cmentarz Acadian? Czy wspominałam ci, Olive, że cmentarz St. John jest źle położony? Osoba, która go zaprojektowała, miała zrobić to tak, by obszar pochówku rozciągał się ze wschodu na zachód. No wiesz, wschód i zachód słońca, i tak dalej. A tymczasem cmentarz leży wzdłuż osi północ-południe. Ciekawe, czy zmarłym sprawia to różnicę. St. John to poświęcona ziemia, a ponieważ Betty odebrała sobie życie, nie można jej tam pochować.

O ile była w stanie sobie przypomnieć, poleciła, by ciało odesłano do Domu Pogrzebowego Duhona. Będzie musiała zjechać do ósmej, nim do nich zadzwoni. Nie przeczytała jeszcze listu Betty, choć nie wiedziała, dlaczego. Nie była pewna, czy chce dowiedzieć się, co napisała jej zmarła przyjaciółka. Wzięła głęboki oddech, wstała i weszła do holu, gdzie po przyjściu rzuciła płaszcz i torebkę. To, co napisała Betty, przypominało raczej kartę świąteczną niż list. Papier był sztywny i kwadratowy. Zaniosiła kartę do kuchni i rzuciła na stół. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nią, nim była w stanie zmusić się, by wziąć kopertę do ręki. Ze łzami w oczach przeczytała ostatnie słowa Betty.

Droga doktor Lewis!

Przykro mi, że panią rozczarowuję. Próbowałam postępować tak, jak mi pani radziła. A także tak, jak radziła doktor Thomas i Corinda. Myślałam, że robię postępy. Corinda też tak mówiła. Udało mi się spotkać z Brianem. Rozmawialiśmy długo i nawet przygotowałam dla nas lunch. Wszystko szło dobrze. Trixie i

Fred okazali się bardzo pomocni. Tylko doktor Thomas ciągle mówi, że jestem słaba.

Dziś rano poszłam do drogerii po szampon, maszynkę do golenia i po thorazyne. Usłyszałam, jak jakiś mężczyzna rozmawia z kolegą przy stoisku z męskimi kosmetykami. Rozpoznałam ten głos. To był jeden z nich. Nie mogłam w to uwierzyć. Zobaczyli, że się na nich gapię, i oni też mnie poznali. Nie mogłam się poruszyć, doktor Lewis. Podeszli do mnie, a jeden z nich mnie dotknął. Chyba krzyknęłam, dokładnie nie pamiętam. Wtedy któryś z nich powiedział: „Wiemy, gdzie cię szukać, więc trzymaj głowę na kłódkę”. Dostałam ataku hysterii i sprzedawca zawołał kierownika. Odwieźli mnie do domu. Zamknęłam drzwi i schowałam się z Goldą w łazience. Siedziałyśmy tam przez wiele godzin. Chciałam zadzwonić do pani i do Corindy, ale zamiast tego zadzwoniłam do doktor Thomas. Dzwoniłam do niej cztery razy, ale nie oddzwoniła. Starłam się oddychać głęboko i robiłam pompki tak długo, aż o mało nie zemdlałam. Mimo to dalej się trzęsłam. Nie mogłam swobodnie oddychać. Nie dam rady znów przez to przechodzić. Nie mogę. Proszę nie osądzać mnie zbyt surowo. Dziękuję, że była pani taką dobrą przyjaciółką, doktor Lewis. Proszę zaopiekować się moim psem. Betty Vance

Jane szaszczołała z żalu, uderzając pięściami w stół. Spanielka wskoczyła jej na kolana. Jane przytuliła drżące zwierzę, nadal zanosząc się od płaczu. A kiedy zabrakło jej łez, postawiła Olive na podłodze.

– Jedziemy na przejażdżkę, malutka.

Jeździła przez jakiś czas ulicami Rayne, mijając kwaciarnię Sadie, plac Depot i bulwar. Bezwiednie starała się opóźnić chwilę, gdy będzie musiała skrócić w ulicę, przy której kiedyś mieszkała. Uświadomiła sobie raczej, niż zobaczyła, że właśnie

przejeżdża obok posterunku. To było tak dawno. Całe wieki temu. Co ona tu robi, do cholery? Przyjechała z powodu nieprawdopodobnego snu. Zawsze wracaj na miejsce zbrodni, mawiała Trixie. Jak również: idź śladem pieniędzy, cokolwiek by to znaczyło. Trixie mówiła mnóstwo rzeczy. I przeważnie miała rację. Tu była scena zamordowania jej dzieciństwa. Miała prawo tu być. Nie robiła niczego złego. Wyłączyła światła i otworzyła drzwi samochodu.

– Cicho, Olive, nie szczekaj. Okrążymy budynek i wejdę do środka przez piwnicę. Zaczekaj na mnie, otworzę tylne drzwi. Wiem, jak dostać się do tego domu.

Nie były to czcze przechwałki. Po dziesięciu minutach Jane otworzyła tylne drzwi i wpuściła Olive do kuchni. Księżyc świecił jasno, więc bez trudu przemierzała pomieszczenia, przypominając sobie, jak okropnie się czuła, gdy tutaj mieszkała. Weszła na górę, a Olive za nią, cicho skomląc.

– Mieszkałam tu, Olive. – Otworzyła drzwi na końcu korytarza. – Tu był mój pokój. Niewiele większy od komórki. Powinnam mieć większy pokój. Popatrz, teraz jest tutaj dywan i specjalny wyłącznik światła. Widocznie po mnie mieszkało tu jakieś inne dziecko.

Zamknęła za sobą drzwi i poszła na przeciwległy koniec korytarza, gdzie znajdowała się sypialnia rodziców, też wyłożona dywanem. Stała na środku pomieszczenia i zawołała:

– Jestem tutaj, droga mamusiu! Wyjdź, wyjdź, gdziekolwiek jesteś! – Kiedy nic się nie wydarzyło, wzruszyła ramionami. Usiadła w kucki na podłodze, oparta plecami o ścianę, trzymając na kolanach łeb Olive. – Zaczekamy chwilę. Może musi się podłączyć albo coś w tym rodzaju. Nie wiem, jak działa ten interes z duchami, więc poddamy się biegowi wydarzeń. Ona była królową piękności, Olive. Przepraszam, królową wszystkich festynów w okolicy. Miss Luizjany. – Ziewnęła. – Nie dość

jednak dobrą, by zostać Miss Ameryki. Nosiła tony makijażu. Odkryłam to, gdy miałam około czternastu lat. Malowała się, by ukryć, jak brzydka była w rzeczywistości. Spaliłam wszystko. Każdy cholerny cień do powiek i każdą szminkę. – Zakręciła młynka palcami, spoglądając na drzewo za oknem. Jeśli jest mądra, wróci teraz do domu. Nie ma sensu tu siedzieć, gapiąc się na drzewo na frontowym trawniku. Ziewnęła znowu i zamknęła oczy. Chwilę sobie odpocznie, a potem wróci do domu. – Tak mi się zdawało, że to dęta historia. Powinnam być mądrzejsza. Spróbujmy jeszcze tego: Uwaga, nadchodzi! Panowie i panie, oto Miss Ameeryki...

– Przestań natychmiast! Zawsze byłaś niedobrym dzieckiem!

– Wiedziałam, że to poskutkuje – zawołała Jane, chwytając Olive za pysk. – Spójrz, oto najdroższa mamuska. Więc naprawdę się tu pałętasz, mamó. Coś takiego! Wyglądasz mizernie. Przykro mi to mówić, ale śmierć ci nie służy. – Spojrzała na zjawę z niesmakiem. – Myślałam, że jesteś gdzieś tam, po drugiej stronie. A to guzik! I nie jesteś w stanie nic na to poradzić! Powiedz mi coś. Czy to prawda, że jestem jedyną osobą, która może, że tak się wyrażę, posłać cię kopniakiem na drugą stronę? – Niestety, tak.

Jane śmiała się, aż zabrakło jej tchu. Olive warknęła, trącając ją łapą w pierś.

– To najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. – Znowu zanosła się śmiechem. – Oczywiście, mam na myśli moje życie. Chyba kupię ten dom, po prostu po to, by mieć pewność, że w nim zostaniesz. Od czasu do czasu wpadnę i sprawdzę, czy jeszcze tu jesteś. Zawsze wracaj na miejsce zbrodni, jak mawia Trkie. A to jest scena zbrodni – zbrodni, jaką popełniłaś na mnie! Zamierzam wszystko to rozgryźć, nie wiem jak ani kiedy, ale na pewno to zrobię. I co ty na to, mamusiu? Co masz na swoją obronę?

Olive zaczęła lizać ją po twarzy i nie przestała, dopóki Jane nie otworzyła oczu.

– Możemy już wracać do domu, Olive. Rany, zasnęłam i śniło mi się, że postanowiłam kupić ten dom. Wiesz, to wcale nie taki zły pomysł. Muszę się nad nim zastanowić. Ten sen był po prostu niesamowity. Jeśli ktoś nas tu przyłapie, nie tylko zostaniemy oskarżone o włamanie i wtargnięcie, ale poślą nas do czubków. Cicho, musimy wynieść się stąd bezszelestnie.

Zatrzymała się we Frog City, by kupić paczkę papierosów, bochenek chleba, śmietankę do kawy i skrawki wołowiny dla Olive. Wróciła do domu, kiedy słońce wyłaniało się zza horyzontu.

O ósmej zadzwoniła do Domu Pogrzebowego Duhona. Zamówiła przewóz ciała na trzecią i pogrzeb na czwartą. Zadzwoniła do Trixie i Freda, przyjaciela Betty – Chucka i do Briana Ramseya. Wszyscy obiecali, że przyjdą na pogrzeb. Przez chwilę zastanawiała się, czy zadzwonić do Sharon Thomas, przekonana, że i tak odezwie się automatyczna sekretarka. W końcu zadzwoniła, zostawiła krótką wiadomość i rozłączyła się.

– Nie wiem, co dalej, Olive – powiedziała, płacząc i wykręcając palce. – Olive natychmiast do niej podbiegła. – Co ja bym bez ciebie zrobiła, malutka? – załkała Jane.

To Flash zmusił Freda, by zwrócił uwagę, że przed domem zatrzymuje się samochód.

– Trixie, jakiś obcy wchodzi na naszą werandę. Lepiej wyjdź, nim Flash skoczy na niego przez okno.

Trixie pobiegła, pobrząkując bransoletkami i łańcuszkami. Spokojnie, malutki, spokojnie – powiedziała, chwytając Flasha za obrozę. – Wszystko w porządku, ludzie czasami podchodzą do drzwi. Usiądź i zachowuj się jak dzentelmen. – Uchyliła drzwi, odsuwając nogą pysk Flasha.

– Pani McGuire, jestem Bob Henry. Wróciłem z wakacji i wpadłem, żeby zobaczyć, jak miewa się Flash. Czy mógłbym wejść? Trixie miała ochotę krzyknąć: Nie, nie może pan, Flash to teraz mój pies! Powiedziała jednak:

– Oczywiście, proszę wejść. – Cofnęła się z bijącym mocno sercem i wpadła na Freda.

– Nie może pan go wziąć! On jest teraz mój! – powiedziała gwałtownie.

– Wiem o tym, pani McGuire. Po prostu chciałem go zobaczyć. Tak długo byliśmy partnerami. Chłopcy na posterunku powiedzieli mi, co pani dla niego zrobiła i jakie ma pani plany na przyszłość. Chciałem panią poznać i powiedzieć, że to, co pani zamierza, jest po prostu wspaniałe.

Bob Henry pochylił się do psa.

– Hej, kolego, to ja, Bob! Przywitaj się ze mną!

Wielki pies pozostał u boku Trixie, nie odrywając łap od podłogi. Najwidoczniej nie zamierzał się przywitać. Trixie westchnęła głośno.

– W porządku, Flash – powiedziała, poklepując wielki łeb. – Daj łapę Henry’emu. Bądź miły i daj mu też całusa.

Henry cofnął się tak gwałtownie, że o mało się nie przewrócił.

– Całusa! On teraz daje całusy! Wzięła pani psa zabójcę i nauczyła go całować ludzi! Nie wierzę w to!

– Lepiej niech pan uwierzy – odpaliła Trixie. – Flash jest na emeryturze i mogę go uczyć, czego tylko chcę. Na przykład zachowania w towarzystwie. Ten pies o mało nie umarł, panie Henry. Zrobiłam, co było trzeba, żeby go ocalić. Dobrze nam idzie razem, więc proszenie próbować niczego, co by to zepsuło.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – rzekł Henry, unosząc obronnym gestem dłoń. – Chciałem powiedzieć, że to wydaje się niemożliwe. Z jakiegoś powodu on nie znosił kobiet. Pani jest kobietą. To wspaniałe, co udało się pani osiągnąć. Bardzo się o

niego martwiłem, ale Jake stale mi powtarzał, że Flash ma tu dobrą opiekę.

Ujął w dłonie łeb psa.

– Szczęściarz z ciebie, Flash, więc zachowuj się jak należy. No dobrze, niech będzie. Jeden całus.

Flash polizał go po twarzy, a potem przysunął się do Trixie i Freda, machając szaleńczo ogonem, przebierając łapami i parskając.

– To znak, żebym już sobie poszedł – uśmiechnął się Henry. – On uważa, że wtargnąłem na jego terytorium. Na swój sposób daje nam do zrozumienia, że stare czasy minęły i że podoba mu się jego nowe życie. Do zobaczenia, funkcjonariuszu Flash!

– Hau.

– Tak, hau – powiedziała Trixie, zamykając drzwi. – Widziałeś, Fred? Ta chwila śniła mi się po nocach. Wiedziałałam, że kiedyś Henry się tu pokaże. Bałam się, że Flash będzie chciał pójść za nim. Naprawdę tak myślałam – wykrztusiła.

– Ten pies cię kocha, Trixie, i nie zamierza cię porzucić. Ani teraz, ani nigdy. Jest twój, tak samo jak Golda.

Trixie uklękła, a oba psy momentalnie skoczyły na nią i przewróciły na dywan. Ze śmiechem pozwoliła się tarmosić.

– Pies zabójca, też mi coś. To pięćdziesiąt kilo czystej miłości.

Prawda, Flash? Ty też, Golda. Chodźcie tu, niech was uściskam.

– Muszę wracać do pracy. A ty, co będziesz robiła, kochanie?

– Mam jeszcze trochę roboty w psiarni. John Murray wpadnie później, by mi pokazać, jak będą przebiegały treningi. Chcę być na bieżąco we wszystkim, co się tu będzie działo. John przyjedzie do nas w wolnej chwili, więc muszę się dostosować do jego rozkładu zajęć. Teraz jest na urlopie bezpłatnym. Mam nadzieję, że będziemy mogli zatrudnić go na stałe. Dzwoniłeś do prawnika?

– Tak, mniej więcej pół godziny temu. Powiedział, że nad tym

pracuje, co znaczy, że przygotowuje dokumenty i pisze listy. Zamierza też do nich zadzwonić, zaraz po Nowym Roku. Powiedział, że jeśli będzie trzeba, pojedzie na uniwersytet, żeby przyspieszyć bieg spraw. Uważa, że to dobry pomysł. Dzwoniłaś do Janie?

– Tak ale, ale nie podniosła słuchawki. Nie spodziewałam się, że to zrobi. Potrzebuje czasu. Porozmawiamy w domu pogrzebowym. Włóż niebieski garnitur, Fred. Wyglądasz w nim bardzo dystyngowanie. Może Janie będzie chciała, żebyś powiedział parę słów.

– Dobrze, kochanie.

Kiedy Fred zatrzymał samochód za karawanem, mżyło. Za nim zatrzymały się trzy pojazdy: Chucka, Briana Ramseya i jeszcze jeden, którym przyjechało czworo sąsiadów Betty. Jane rozejrzała się, by sprawdzić, czy jest tu gdzieś Sharon Thomas. Jej koleżanka nie pokazała się jednak.

Ceremonia była przygnębiająco krótka. Obecni kulili się pod parasolami. Jane patrzyła na trumnę, pokrytą stokrotkami. Czy mogła zrobić coś jeszcze? Opłacenie pogrzebu i kwiatów wydawało się niewystarczające.

– Z prochu powstałeś...

Łzy przesłoniły jej wzrok. Wsunęła się do przodu. Chyba powinna coś powiedzieć, ale jak znaleźć słowa, które przydałyby śmierci Betty choć trochę sensu? Chrząknęła. Kątem oka spostrzegła nadjeżdżający samochód.

– Obieramy w życiu różne ścieżki, lecz dokądkolwiek się skierujemy, zabieramy ze sobą częśćkę innych. Amen.

Serce zabiło jej gwałtownie. Podniosła wzrok i zobaczyła Mike'a. Stał obok Freda, który wysunął się do przodu i trzymając w dłoni pojedynczą białą różę, powiedział:

– Znaliśmy Betty krótko, ale dużo dla nas znaczyła, a my dla

niej. Uważam, że prawdziwy przyjaciel, to ktoś, kto zna piosenkę, w rytm której bije nasze serce i potrafi ją zanucić, kiedy zapomnimy słów. Betty była takim przyjacielem. Jest teraz w innym miejscu... Możemy tylko mieć nadzieję, że i tam śpiewa. Jane przytknęła chusteczkę do oczu i ruszyła za trumną. Dlaczego podczas pogrzebów zawsze pada? Padało, kiedy grzebano jej ojca i kiedy kładziono na wieczny spoczynek matkę. Poczuli, że Mike ujmuje ją za łokieć i była mu wdzięczna za wsparcie.

Przy samochodach wymieniła uścisk dłoni z Chuckiem, sąsiadami i Brianem Ramseyem, który wydawał się być wstrząśnięty. Wyglądał tak, jakby od dawna nie spał.

– Chciałbym podziękować za to, co zrobiła pani dla Betty – powiedział. – I za to, że próbowała pani pomóc także mnie.

– Dzwoniłem do ciotki Betty – wtrącił Chuck, wysuwając się do przodu. – Powiedziała, że nie może przyjechać na pogrzeb. Ale jak tylko znajdzie chwilę czasu, wpadnie po samochód Betty i jej osobiste rzeczy – dodał z niesmakiem. Uściskał Jane i wsiadł do swego pickupa.

Sąsiedzi pożegnali się uprzejmie i odeszli bez słowa. W końcu, o czym tu mówić? Młoda kobieta żyła, potem umarła. Początek i koniec. Życie będzie toczyło się dalej.

Jane potarła skronie. Zaczynała ją boleć głowa. Jedyne, na co miała ochotę, to zaszyć się w domu i spać.

– Pojadę z Mike’iem, Trixie. Dzięki za wszystko. Jak tam Golda?

– Od czasu do czasu skamle, poza tym wszystko w porządku. Jest z Flashem. A co z tobą, kochanie? Dobrze się czujesz?

– Nie, nie czuję się dobrze. Ale to się zmieni. Trixie, Sharon nie przyszła na pogrzeb. Jak mogła nie przyjść na pogrzeb swojej pacjentki? Nie rozumiem. A ty rozumiesz?

– Nie, Janie, ja też nie rozumiem. Będzie musiała z tym żyć.

Zrobiłaś, co mogłaś. Zostaw to w spokoju. Jutro będzie nowy dzień.

W domu Jane rzuciła płaszcz i torebkę na stolik w holu.

– Jak się udał wyjazd, Mike? – spytała głosem bezbarwnym i pozbawionym życia. Podeszła do sofy i skuliła się na niej, przytulona do Olive.

Mike spochmurniał. Żadnego całusa, uścisku czy powitalnych serdeczności.

– Gdzie twój pierścionek, Jane?

– Na górze. Dużo myślałam, Mike. Chyba potrzebuję więcej czasu.

– Obwiniasz mnie o to, co się stało, prawda?

– Już nie. Obwiniam siebie. Powinnam być bardziej czujna, bardziej przejęta, pomimo przeszkód ze strony Sharon. Co takiego przegapiłam? I jak mogłam to przegapić? Związek z tobą mnie zaślepił. Powinnam starać się zrobić coś więcej. Kiedy nie zadzwoniła w tygodniu, ja powinnam do niej zadzwonić. Stale zadaję sobie pytanie, dlaczego tego nie zrobiłam. Jedyna odpowiedź, jaka mi się nasuwa, to fakt, że nie chciałam się angażować w nic, co mogłoby zakłócić nasze wzajemne stosunki. Byłeś dla mnie ważniejszy.

– Skąd mogłaś wiedzieć, Jane? Nie jesteśmy jasnowidzami. Zrobiłaś to, czego od ciebie oczekiwano. Nie chcę, żebyś brała na swoje barki coś, co nie jest twoją winą. Nawet gdybyśmy pojechali do Betty tamtego wieczoru, nic by to nie zmieniło. Ona już nie żyła.

– Chcę pobyć trochę sama, Mike. Muszę wiele przemyśleć.

Umówmy się, że do ciebie zadzwonię.

– To zabrzmiało tak... jakby to był koniec.

– Zamknij za sobą drzwi na klucz, proszę.

Mike przez chwilę wpatrywał się bezradnie w kobietę siedzącą na sofie.

– Skóro tego właśnie chcesz. Obiecujesz, że do mnie zadzwonisz?

– Kiedyś na pewno. Ale nie wiem, kiedy. – Po chwili już mocno spała.

Mike miał ochotę pochylić się i pocałować ją na do widzenia, ale wiedział, że spanielka rozerwałaby mu gardło, gdyby zrobił choć jeden ruch w kierunku Jane.

– Opiekuj się nią, Olive – szepnął.

Olive zaskomlała cichutko i polizała Jane po twarzy. A kiedy usłyszała dźwięk przekręcane go klucza, położyła łeb na ramieniu pani i pozostała tak, wpatrzona w drzwi. W końcu i ona zasnęła.

Trixie stała na werandzie z tyłu domu z Flashem i Gołą u boku. Przyglądała się, jak osiemnastokołowa ciężarówka skręca z szosy i parkuje wzdłuż świeżo odnowionej stajni, która miała być teraz psiarnią. Gdzieś, w jakimś punkcie i miejscu coś poszło nie tak i zamiast sześciu psów przyjechało osiem, co wymagało wprowadzenia wielu zmian w programie oraz przebudowania psich kwater.

Fred przyglądał się żonie przez okno gabinetu. Była tak podniekształcona, że on też czuł się z tego powodu szczęśliwy.

Trixie wreszcie znalazła swoje miejsce w życiu. Uśmiechnął się na myśl o tym, ile godzin poświęciła, uganiając się z Flashem po polu, ubrana w mundur, a Flash w kuloodporną kamizelkę. W pewnej chwili zaczął już powątpiewać, czy wystarczy jej siła i ochoty, ale niepotrzebnie się martwił. Był z niej tak dumny, że miał ochotę wykrzyczeć to z dachu. Właśnie rozważał ten pomysł, kiedy zadzwonił telefon.

– Fred, tu Daniel Warner – powiedział adwokat. – Chciałbym cię poinformować, że wszystko załatwione.

– Naprawdę? – zapytał Fred. Nie mógł już się doczekać, żeby przekazać Trixie dobre nowiny.

– Nie żartuję. Czekam tylko na list potwierdzający. Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem. Chcecie, żebym rozesłał zawiadomienia o konkursie jeszcze dziś wieczorem. Termin zgłoszeń upływa za tydzień, tak?

Fred zamknął oczy i wyobraził sobie Jane taką jaką ostatnio ją widział, wymizerowaną i niespokojną.

– Tak Danielu, zależy nam na czasie. Musimy załatwić tę sprawę jak najszybciej.

– Tego się spodziewałem. Jedna z sekretarek już się tym zajmuje. Listy wyjdą z mojego biura dziś po południu, tak, żeby adre-

saci mogli je otrzymać jutro około dziesiątej. Niektórzy gracze pewnie się wyprowadzili, zmienili miejsce zamieszkania i pracę. W Stowarzyszeniu Absolwentów twierdzą, że dane, które posiadają, są aktualne, ale to nic nie znaczy. Możecie też nie otrzymać wszystkich odpowiedzi ze względu na krótki termin. Z drugiej strony, pieniądze na pewno zrobią swoje. Dziekan chciałby zobaczyć czek. Mam go u siebie, więc wyślę razem z dokumentami, których sobie zażyczył. Możesz uznać, że sprawa załatwiona, Fred.

Za oknem kakofonia oszalałego z radości szczekania wybuchła z taką siłą że dalsza rozmowa stała się po prostu niemożliwa.

– Mam nadzieję. Posłuchaj, Danielu, będę kończył. Chyba sprawy wymknęły się nieco spod kontroli i muszę interweniować.

– Skontaktuję się z wami.

Fred pobiegł do kuchni, gdzie natknął się na wchodzącą Trixie.

– Co tu się, u licha, dzieje?

– Nie teraz, Fred. Nie słyszysz, że mam ręce pełne roboty?

Fred wyrzwał przez okno na to, co Trixie nazywała zagrodą i zobaczył osiem monstrualnej wielkości psów, które ganiały się wzajemnie, chwytaly zębami i powarkiwały, próbując rozeznac się w nowej sytuacji. Przyleciały aż z Holandii. Dano im jedynie godzinę odpoczynku, a potem załadowano do samolotu, którym doleciały do Nowego Orleanu, skąd przyjechały do domu McGuire'ów ciężarówką.

– Nie panujesz nad sytuacją, Trixie – zawołał, przekrzykując harmider.

– Za cholerę, Fred! Dzwon do Janie i powiedz jej, żeby się tu natychmiast zjawiała. I nie obchodzi mnie, że akurat użala się nad sobą. Powiedz, że jęczy i ubolewa już od trzech tygodni i moja cierpliwość się wyczerpała. Aha, powiedz jej też, że zgłosiła akces do tego małego przedsięwzięcia, więc jej pomoc by-

łaby mile widziana.

Chwyliła ze stołu papierosy i wyszła na zewnątrz, a Fred za nią. – Zresztą, mniejsza z tym. Powiedz jej tylko, żeby wzięła się w garść i przyjechała mi pomóc. A teraz wracaj do środka, zanim któryś z tych zwierzaków skoczy na ciebie i pogryzie ci tyłek – zawołała, przekrzykując psy.

Fred posłusznie zniknął we wnętrzu domu, zostawiając żonę, by sama stawiała czoło wyzwaniu.

Trixie zapaliła tak bardzo jej potrzebnego papierosa i zaciągnęła się głęboko.

– No dobrze, dość już tego! – krzyknęła głosem sierżanta, prowadzącego musztrę. – Flash, zagoń je w jedno miejsce. Golda, nie próbuj zabierać im kości. Wy dwoje jesteście tu starszyzną. Widzę, że nie ma się co cackać – dodała, wyciągając broń z kabury. Uniosła rewolwer, wycelowała w niebo i wystrzeliła. Zamieszanie nie ustawało, więc wystrzeliła drugi raz, a potem trzeci. W końcu, zdesperowana, skierowała lufę ku ziemi i opróżniła cały magazynek. Psy natychmiast ucichły, a Trixie usiadła na ziemi i zaczęła rozcierać sobie uszy.

Flash i Golda podbiegły do niej.

– Nie, nie, nic mi nie jest, nie musicie mnie ratować – zapewniła. – Po prostu sobie odpoczywam. – Kiedy Flash i Golda się uspokoili, odwróciła głowę, żeby zobaczyć, co robią inne psy. Jeden po drugim podkładały się do ogrodzenia, węsząc, popiskując i warcząc. Flash wyprostował się na całą imponującą wysokość, stanął na dwóch łapach i wydał z siebie dźwięk, od którego Trixie zjeżyły się włosy. Spojrzała na pozostałe psy.

– Posłuchajcie, Flash usiłuje wam powiedzieć, że to on tu rządzi – powiedziała stanowczo. – Ona jest następną w hierarchii – dodała, wskazując na Goldę. – Pies numer trzy właśnie tu jedzie. Przynajmniej taką mam nadzieję. – Wstała i odprawiła psy machnięciem. – No dobrze, pohasałyście sobie, wysiusiałyście

się i tak dalej. Pora na kąpiel, bo strasznie cuchniecie. Nie zamknę was z powrotem w klatkach, więc nie patrzcie tak na mnie. Sięgnęła za koszulę i wyjęła torbę kielbasek. – To tylko tym razem, żebyście wiedziały, że jestem w porządku. Potem będziecie dostawały karmę, która wygląda jak królicze bobki, ale podobno jest dla was zdrowa. No chodźcie, dam wam kielbaski.

– Boże, Trixie – powiedział Fred z werandy – zepsujesz je i to od razu. Janie już jedzie.

– Potrzebuję więcej kielbasek, Fred – zawołała Trixie przez ramię. – Popatrz, milutkie niczym kociaki. No tak, one po prostu się boją. Flash o tym wiedział i Golda też. Co cię zatrzymuje, Fred?

Po chwili Fred wytoczył się na podwórko i wręczył Trixie dwie paczki hot dogów.

– Stań obok mnie, Fred. Chcę, żeby cię poznały. Mów cicho i głaskaj je ostrożnie. To właśnie zapamiętają. Miły ton głosu i jedzenie. Kiedy już raz przyjmą to do wiadomości, nie będzie kłopotów z utrzymaniem karności.

Fred spojrział na Trixie, zdziwiony.

– Skąd o tym wiesz, Trixie?

– Przeczytałam książkę, Fred. Wiesz, tę, która od dwóch tygodni leży na kuchennym stole. Prosiłam cię, żebyś też ją przeczytał.

– Ach, ta książka – odparł Fred, zakłopotany.

– Jakie odniosłeś wrażenie, kiedy rozmawiałeś z Janie? – Trixie skończyła rozdawać kielbaski i wycierała teraz dłonie o dzinsy.

– Takie samo, jak ostatnio, niestety. Wciąż jest w głębokim dołku. – Spojrział zmartwiony na Trixie, ale jego twarz nagle się wypogodziła. – Dzwonił Daniel. Uniwersytet zgodził się na nasz pomysł. Listy pójda jeszcze dzisiaj, nocną pocztą. Mam nadzieję, że dajemy im dość czasu. Zresztą i tak nie mamy wyboru,

biorąc pod uwagę, w jakim stanie jest Jane. A skoro już mowa o Janie, to kiedy jej powiemy?

– Nawet dziś, skoro już tu przyjedzie. Jeśli nie zjawi się w ciągu pół godziny, pojedziesz tam i przywleciesz ją tu za kark. Mówię poważnie, Fred. Jeśli to potrwa choć trochę dłużej, tak zagłębi się w tym dołku, że już nie damy rady jej wydostać. Poza tym powinna porozmawiać z Mike’iem. Mam ochotę go zastrzelić. Oczywiście tylko po to, żeby oszczędzić mu cierpienia.

Fred opuścił dłonie i jeden z psów natychmiast ją powąchał.

– Wiesz, jak one się nazywają, Trixie?

– Tak, ale nie mam pojęcia, który jest który. Mają imiona na obrożach, ale na razie wołałam ich nie dotykać. Mamy tu cztery dziewczynki i czterech chłopców. Są zdrowe iw doskonałej kondycji. A ja i Janie musimy się postarać, żeby tak pozostało. Czyż nie są piękne, Fred? Spójrz, już się uspokoiły. Przedtem po prostu się bały. Postępujemy słusznie, Fred. Robimy coś naprawdę dobrego. Coś, z czego będziemy mogli być dumni.

– Ja już jestem dumny... z ciebie – powiedział, a potem odwrócił głowę wprawo. – Słyszę samochód. To chyba Janie. Chcesz, żebym został, czy mam sobie iść?

– To zależy, czy masz ochotę posłuchać, jak ją będę ochrzaniać. Możemy zabawić się w dobrego i złego gliniarza. Kiedy z nią skończę, na pewno pobiegnie do ciebie. To jedyny sposób, Fred. Ona nie daje sobie rady, a ja nie będę się temu spokojnie przyglądać – powiedziała z determinacją w głosie. – Nie pozwolę, by Janie popadła w depresję.

– Zgadzam się ze wszystkim, co zrobisz, cukiereczku. Wejść do środka i zabiorę się do pracy. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, zagwiżdż.

Kiedy Janie minęła bramę, Trixie nieco się zreflektowała. Kim jest ta osoba, która właśnie zbliża się do niej? Trzy tygodnie nie mogą zmienić kogoś aż tak bardzo, pomyślała. Lecz najwidocz-

niej tak właśnie się stało.

– Cicho – szepnęła do psów, próbując je uciszyć.

– Jestem – powiedziała Janie apatycznie. Nie była umalowana, a jej włosy wyglądały, jakby nie myła ich od tygodnia. Szary dres, który miała na sobie, był na nią za duży i poplamiony.

– Widzę – powiedziała Trixie, mierząc ją spojrzeniem. – Pytanie tylko, czy duszą i ciałem? Nie możesz się z tego wykręcić, Janie

– powiedziała, wskazując na zagrodę pełną psów. – Pierwsza partia zwierząt przyjechała dziś rano. Gdybyś tu wtedy była, bardzo ułatwiłoby mi to robotę. Ale nie, ty wolałaś siedzieć w domu, cierpiąc i uzalając nad sobą. Nie przyjechałaś nawet teraz, gdyby Fred po ciebie nie zadzwonił. Zawarliśmy umowę i mam nadzieję, że jej dotrzymasz. I że naprawdę się w to zaangażujesz. Chcesz porozmawiać o cierpieniu? Proszę bardzo – mówiła dalej stanowczo – pozwól, że coś ci o tym opowiem. Spójrz tylko na te biedne stworzenia. Leciły tu przez dwa dni samolotem, zamknięte w klatkach i nawet nie mogły wyjść, by się załatwić. Cuchną, są głodne i wystraszone. Wszystko tu jest dla nich nowe i nie wiedzą, co z tym zrobić. Teraz są wdzięczne, bo dałam im pić i jeść. Mam nadzieję, że zrozumiałaś, co chciałam ci powiedzieć, bo inaczej będę musiała wytoczyć cięższe działa.

– Posłuchaj, Trixie, przepraszam. Ja... – Głos jej się załamał.

– Nie chcę tego słuchać, Janie. Przeszłość minęła. Nie możesz odwrócić biegu wydarzeń. Istnieje tylko dzień dzisiejszy. Kiedy ostatni raz patrzyłaś w lustro?

– Lustro? A co ma z tym wspólnego lustro?

– Wydaje mi się, że bardzo dużo. – Trixie położyła dłonie na ramionach Jane. – Masz wory pod oczami, które na dodatek są podkrążone. Jesteś wymizerowana i wychudzona. Wyglądasz, jakbyś straciła z osiem kilo, a to oznacza, że nic nie jesz. Masz brudne włosy i cuchniesz prawie tak okropnie, jak te psy. To mi

mówi, że piłaś. Dużo. A zatem pijesz, potem śpisz, budzisz się, nie bierzesz prysznic, bo to zbyt wiele fatygi, palisz, potem znów pijesz i idziesz spać. Budzisz się i tak w kółko...

Jane aż zamrugała, zdziwiona tonem Trixie. Ma dość kłopotów, nie potrzebuje, by Trixie dodawała jej poczucia winy.

– Może zbyt szybko zgodziłam się przystąpić do interesu. Dlaczego tak się zachowujesz? Zawsze cię kochałam. Nie możesz mi choć trochę odpuścić?

– Opuścić? – Trixie opuściła ręce. – Jeśli odpuścimy ci jeszcze choć trochę, zupełnie się pogrążysz. Dość litowania się nad sobą. Stoisz nad przepaścią, Janie. Nie damy ci spokoju, dopóki tego nie przezwycięzysz. Słyszysz? Robimy to, bo cię kochamy i chcemy, żebyś była szczęśliwa. – Umilkła na chwilę, przechyliła głowę i spojrzała badawczo na swoją chrześniaczkę.

– Chyba, że nie masz ochoty być szczęśliwa. Może chcesz być godna pożałowania i sprawiać, by wszyscy wokół ciebie też tak się czuli. – Uniosła brwi. – Nigdy przedtem nie przyszło mi to do głowy, ale może myliliśmy się co do ciebie. Może ty rzeczywiście jesteś taka, jak twoja matka.

W oczach Jane zabłysnął gniew.

– Jak mogłaś coś takiego powiedzieć? Nie jestem do niej ani trochę podobna! Ani trochę!

Trixie poczuła przyływ adrenaliny.

– Czy aby na pewno? Pamiętam, że twojej matce nie raz zdarzało się odgrywać małą, nieszczęśliwą istotkę tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę. W końcu zmądrzeliśmy i zaczęliśmy ignorować takie zachowania. A skoro już mowa o ignorowaniu... Na jak długo, twoim zdaniem, starczy Mike'owi cierpliwości? W tej całej sprawie zachowuje się jak święty, ale uważam, że powinnaś zwrócić mu pierścienek, żeby znowu mógł zająć się swoim życiem. Nie możesz wciąż odtrącać ludzi i tak jak ostatnio marnować ich czasu. A przy okazji, gdzie Olive?

Mam nadzieję, że ją karmiłaś.

– Jest z Fredem, zobaczyła psy i przestraszyła się. Oczywiście, że ją karmiłam. Za kogo ty mnie uważasz? – spytała ostro.

Trixie wyciągnęła ręce i objęła dłońmi twarz Jane.

– Za cudowną, troszczącą się o innych, kochającą osobę, która zboczyła z właściwej ścieżki. To zrozumiałe i można się z tym zgodzić, ale bez przesady. A ty przesadziłaś, Jane, i to bardzo. Łap ryby albo odetnij przynętę, jak mawia Fred. Więc jak będzie, Janie?

– Jest mi bardzo ciężko, Trixie – powiedziała cichym, pełnym udreki głosem. – Potrzebuję więcej czasu.

– Nie, Jane – powiedziała Trixie, potrząsając głową. – Miałś dość czasu. Psy już są tutaj. Jeśli nie mogę na tobie polegać, będziesz musiała opuścić to miejsce. Na dobre. Fred uważa tak samo. Weźmiemy Olive.

– Och, nie, Olive jest moja – powiedziała Jane, zdenerwowana. Miała mieszane uczucia. – Olive zostanie ze mną. Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś. No dobrze, dobrze, wyraziłaś się jasno. Wezmę prysznic, skoro twierdzisz, że śmierdzę, a potem tu wrócę i zrobię, co mi każesz.

Odwróciła się, żeby odejść, ale Trixie położyła jej dłoń na ramieniu i obróciła ją z powrotem.

– To nie może tak być, Jane. Ty musisz tego chcieć, a nie tylko wykonywać polecenia. Powiedziałam, że nie życzę sobie żadnego udawania. Jeśli nie zjawisz się tu za piętnaście minut, uważam naszą umowę za rozwiązaną. Twoje zapasowe ubrania są w szufladzie w gościnniej sypialni.

Jane powlokła się w stronę domu.

– Żadnego powłóczenia nogami, Jane – krzyknęła za nią Trixie.

– Ruszaj się i to żwawo. Najlepiej biegiem. – Uśmiechnęła się, widząc, jak Jane biegnie w stronę domu. Czasami, pomyślała, wiek działa na naszą korzyść. Z pewnością nie było to tak do-

brze zagrane, aby mogło znaleźć się w którymś z filmów Hallmarku.

Olive wbiegła dumnie do zagrody, mając przy boku Flasha. Za nimi posuwała się reszta psów. Wyglądało na to, że momentalnie zorientowały się, kto tu jest psem numer trzy.

Dzień minął bez dalszych kłopotów. Psy zostały wykąpane, wysuszone i ostrzyżone. Kiedy Fred przyniósł kanapki z bekonem, sałata i pomidorem oraz torbę jedzenia dla psów, zrobiły sobie przerwę. Trixie uważnie przyglądała się, jak Jane z trudem przełyka jedzenie. Nie okazała jednak litości.

– Piłaś tak długo, że zapomniałaś, jak się żuje. Zostaniesz u nas przez parę dni, żebym mogła cię przypilnować. Fred pojedzie do ciebie i przywiezie trochę rzeczy.

– Nie zostanę tu, Trixie – zaprotestowała Jane z uporem w głosie.

– Ależ owszem, zostaniesz – powiedział Fred, popierając żonę. Jane wzruszyła ramionami, pokonana.

– No dobrze, zostanę.

– W porządku. Jest coś, o czym chcieliśmy z tobą porozmawiać przy kolacji. Nie rób takiej przerażonej miny, kochanie, to dobra wiadomość. Naprawdę dobra.

– A nie mogłaby poczekać? Jestem zmęczona, Trixie.

– Przestań jęczeć, Jane. Jestem równie zmęczona jak ty, a mam o wiele więcej lat. Podjęłyśmy się tego zadania i nie możemy się od tego wykręcać, bo ty jesteś zmęczona. Powinnaś połknąć trochę witamin i zadzwonić do Mike’a, kiedy skończymy. Jeszcze jeden prysznic, świeże ubranie i możesz siadać do kolacji. Jane się skrzywiła.

– Sharon Thomas wniosła przeciwko mnie oskarżenie. Dziś rano dostałam pozew.

– Nie próbuj mi wmówić, że się tym przejmujesz – zganiła ją Trixie. – Z tym babsztyłem trzeba grać twardo. Uwierz mi, po-

radzimy sobie z nią w mgnieniu oka.

– Na miłość boską, Trixie, złamałam jej nos. Jestem winna.

Może zabrać mi wszystko, co mam.

– Jak ty to zawsze mówisz w radiu? Przestrzegajcie trzech zasad: miejcie szacunek dla samych siebie, szacunek dla innych i bądźcie odpowiedzialni za wszystkie swoje poczynania. Trzymaj się tego.

Jane uśmiechnęła się mimo woli. Trixie znów miała rację.

– John Murray i jego trenerzy będą tu jutro przez cały dzień, ale myślę, że uda nam się wygospodarować trochę czasu, żeby odwiedzić doktor Thomas. Czyż one nie są piękne? – spytała, bez mrugnięcia okiem zmieniając temat.

– Tak, owszem. Sapo prostu wspaniałe. Pytanie brzmi, czy zdołasz się z nimi rozstać, kiedy już przejdą szkolenie?

– Na pewno nie będzie mi łatwo. Wiem jednak, że wyjazd z farmy i służba wyjdą im na dobre. I nie tylko im. Na pewno ocalą niejedno życie. – Spojrzała na Olive. – Olive dobrze się z nimi dogaduje. Psy mają jakieś wewnętrzne wycucie, jeśli chodzi o inne zwierzęta. Nie tak, jak ludzie. Wiedzą, że się o nie troszczymy. Chyba już tak bardzo się nie boją. Jednak dzisiejsza noc będzie dla nich trudna. – Spojrzała na psy.

Westchnęła i odwróciła się do Jane. – Więc jak, zadzwonisz do Mike’a czy nie? On stale tu wpada albo dzwoni, aż mam ochotę go zastrzelić, żeby oszczędzić mu dalszych cierpień. Nie jesteś wobec niego w porządku. Dlaczego nie nosisz pierścionka? On robi to, czego sobie życzyłeś – trzyma się z daleka. Jakbyś się czuła, gdyby znów zwrócił uwagę na tę Barbie, z którą się spotykał? Jak jej na imię?

– Coletta. Chyba by mi się to nie spodobało.

– Do licha, pewnie, że by ci się nie spodobało. Ale to może się stać, o ile czegoś nie zrobisz. Wiesz, że mam rację, Jane.

– Daj spokój, Trixie, dobrze? – mruknęła Jane. – Zadzwonię do

niego. Ostatnie tygodnie były dla mnie naprawdę ciężkie. Tak, piłam za dużo, bo tylko w ten sposób mogłam usnąć.

– Nie jesteś pijaczką, kochanie. Picie to nie sposób na sen. Trzeba stawić czoło problemom. Fred i ja ci pomożemy. Ale ty sama musisz chcieć sobie pomóc. Dziś jest dobry dzień, żeby zacząć. No dalej, wracamy do pracy.

– Przepraszam, że cię zawiodłam – powiedziała Jane, pragnąc z powrotem wkraść się w łaski Trixie. Trixie i Fred to dwie najważniejsze osoby w jej życiu. Nie chciała przysparzać im zmartwień.

– Naprawdę myślałam, że jesteś twardsza – powiedziała Trixie.

– Nie, jestem jak galareta.

– Galareta też tężeje jeśli zostawić ją na dość długo odpaliła Trixie.

– Poddaję się.

– I co sądzisz, Fred? – spytała Trixie szeptem.

– Masz na myśli ten spacerek Janie i Mike’a? Wygląda na to, że sprawy mają się lepiej, ale Janie jeszcze nie całkiem się pozbięrała. Cieszę się, że przekonałaś ją, by u nas została. Jak ci się to udało?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. – Trixie naląła im obojgu kawy.

– Naprawdę dostrzegłam w jej oczach cień zainteresowania, kiedy opowiadałaś o konkursie. Zadała nawet kilka pytań. To dobry znak. Teraz popracujemy nad resztą. – Podała Fredowi filiżankę i usiadła. – Jutro jedziemy spotkać się z jej koleżanką. Już ja jej pokażę. Nie mów tego, Fred. Wiem, co robię. A skoro już będę miała Janie w samochodzie, zawiozę ją do biura prawnika, żeby podpisała formularze, zezwalające Mike’wi na przejęcie audycji. Ostatnio dotrzymanie zobowiązań sprawia jej kłopoty. – Flash ułożył się w pobliżu, więc Trixie zdjęła pantofle i zanurzyła stopy w jego sierści. – Widziałam list, który

Betty napisała do Janie. To smutne, bardzo smutne.

Fred odchylił się na krzesło i pociągnął łyk kawy.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, aby sprawy mogły przybrać aż tak fatalny obrót, żebyś chciał się zabić.

– Ja też – zgodziła się Trixie, przewracając oczami. – Mówiłam ci, że Janie chce odkupić stary dom swoich rodziców? Spytałam ją, dlaczego, i wiesz, co mi odpowiedziała? Przez sentyment.

Akurat! Ona robi I ostatnio same dziwne rzeczy. To pewnie z powodu tych niesamowitych snów, które ostatnio miewa. –

Westchnęła głęboko i również odchyliła się na krzesło. – Mamy tu niezły bigos. – Poradzisz sobie z tym, kochanie. Jak zawsze.

Mogłabyś podrapać mnie po plecach? – Fred odwrócił się i nadstawił plecy.

– Aaa, jak miło. Trochę niżej. O tak, doskonale.

– Mike odjechał – powiedziała Trixie. – Słyszałam, jak uruchamia samochód. Możemy wyjść z kuchni.

– Chyba tak – zgodził się Fred, ziewając szeroko. – Chodźmy do łóżka.

Trixie także ziewnęła.

– Jestem tak zmęczona, że nie wiem, jak się dowlokę do sypialni. – Pozwoliła Fredowi wziąć się za rękę i wyprowadzić.

Flash leżał na pleconym dywaniku w sypialni. Gdy tylko uznał, że państwo zasnęli, wstał i zaczekał, aż Golda wyczołga się spod łóżka. Oba psy zbiegły cichutko na parter, gdzie dołączyła do nich Olive. Flash czekał, jak na dzentelmena przystało, aż obie suczki przejdą przez drzwiczki dla psów. Ponieważ jego rozmiary uniemożliwiały wydostanie się tą drogą, otworzył łapą drzwi, pomagając sobie pyskiem. Po chwili cała trójka biegła już do psiarni.

Ośmioro nowoprzybyłych siedziało, spoglądając wyczekująco.

Nie bardzo wiedziały, na czym ma polegać zabawa. Flash tak długo tańczył i podskakiwał, stając na dwóch łapach, aż psy

zrozumiały, że mają iść za nim. Na zewnątrz, w rześkim, nocnym powietrzu, spojrzały wyczekująco na swego przywódcę. Flash zagonił je z pomocą Olive, a kiedy stały rzędem jeden za drugim, a za nimi Golda, spojrzął za siebie i, usatysfakcjonowany, poprowadził całe stado do domu. Psy szły za nim, zaciekawione, ale spokojne. W kuchni Olive zamknęła nosem drzwi i zasunęła rygiel.

Jedenaście psów przeparadowało w ciszy przez kuchnię, jadalnię, salon i weszło do holu, gdzie siadły u podnóża schodów, czekając na instrukcje. Flash prowadził. Na górze obejrzał się za siebie, jakby chciał policzyć uczestników tego dziwnego marszu, a potem ruszył korytarzem prosto do sypialni Trixie i Freda. Wprowadził psy do środka, dając im do zrozumienia, że mają zachowywać się cicho. Odczekał jeszcze minutę, a potem łapą zapalił światło.

Trixie zamrugała i siadła na łóżku. Kiedy zobaczyła psy, ze zdziwienia aż jej dech zaparło. Potrząsnęła Fredem.

– Obudź się, Fred! Nie uwierzysz! Do licha, Fred! Obudź się! Fred rozejrzał się dookoła.

– O co chodzi? Dom się pali? Źle się czujesz? – A potem zobaczył psy. – Rany boskie! Flash, coś ty zrobił?

Flash wskoczył na łóżko i położył głowę na ramieniu Trixie, później usiadł, oczekując pochwały.

– Nie możemy go łajać, Fred. Myślał, że robi dobrze. Grzeczny piesek – powiedziała, parszkając śmiechem, gdy pierwszy pies wskoczył na łóżko, a potem z niego zeskoczył. Sądząc, że wycieczka do domu to rodzaj zabawy, cała sfera zaczęła szczekać. Szczekały i szczekały.

Jane zajrzała do pokoju i wybuchnęła śmiechem.

– Jak one się tu dostały? – spytała, z trudem łapiąc oddech.

– Myślę, że Olive nauczyła Flasha otwierać drzwi i cała trójka postanowiła... to, co postanowiła. Mamy tu jedenaście psów! –

powiedziała Trixie, obejmując jednego z nowo przybyłych. Inny owczarek usadowił się przed Fredem i zaczął lizać go po brodzie.

– Co teraz? – spytała Jane.

– Niech już tu zostaną, przynajmniej na tę noc – powiedziała ze śmiechem Trixie.

– Oto skutki tego, że starałaś się nauczyć Flasha, czym jest rodzina. – Jane założyła ręce na piersi i oparła się o framugę. – On jest w większym stopniu człowiekiem, niż wy. Jeśli się nad tym zastanowić, zrobił coś naprawdę wspaniałego. Jak mi dziś uświadomiliście, rodzina jest przecież najważniejsza. Taki sposób myślenia powoduje, że ludzie odnoszą sukcesy i są szczęśliwi, a jak widać, dotyczy to również zwierząt.

– Musimy je stąd wyprowadzić – burknął Fred. – Nie zamierzam spać w psiarni.

– Daj spokój, Fred, to potrwa najwyżej kilka dni. Co ci szkodzi? Jeśli się uprzesz, wyniosę nasze łóżko do psiarni i będziesz spał na tapczanie. A sam wiesz najlepiej, że lubisz się przytulać.

– Dobrze już, dobrze! Możemy wreszcie iść spać?

– Możesz spróbować, kochanie. I może nawet ci się uda, kto wie... – powiedziała Trixie, zwijając się w kłębek tuż obok owczarka imieniem Picco.

– Coś tu cudownie pachnie – powiedziała Jane, siadając przy stole. – Uwielbiam zapach smażonego się bekonu i kawy. Zwłaszcza kiedy to nie ja stoję przy kuchni. Wcześniej dziś wstałaś, Fred.

– Nie spałem zbyt dobrze. Nie wiem, jak ja to zniosę, Jane. A dlaczego ty jesteś już na nogach o tej porze?

– W ogóle nie spałam. Siedziałam na łóżku i rozmyślałam. Nawet robiłam notatki. Trixie miała rację, kiedy powiedziała, że zboczyłam z właściwej ścieżki. Ale chyba już się pozbierałam. Może nie do końca, ale to tylko kwestia czasu. Dlaczego ona ma

zawsze rację, Fred?

– Chciałbym to wiedzieć – odparł, kręcąc głową.

– Co ty tu smażysz? I gdzie jest Trixie? Fred uśmiechnął się.

– Naleśniki z orzeszkami, syropem bananowym i topionym masłem. Trixie jest w psiarni z Johnem Murrayem. Powiedziała, że przed ósmą będzie gotowa. Podobno jedziecie obie do miasta.

Ile naleśników, Jane?

– Cztery – odparła pospiesznie Jane. – I cztery plasterki bekonu. Fred z wprawą obrócił w powietrzu naleśnik.

– I jak tam sprawy z Mike’iem?

– Całkiem dobrze. Próbuje nie być na mnie zły, ale oczywiście, jest. Rozumiem, co czuje, choć on nie rozumie tego, co ja czuję. Mówi, że tak, ale to nieprawda. Mike lubi, żeby wszystko było czarne albo białe. Najbardziej ma mi za złe, że nie pojechałam z nim do rodziców. Bierze to do siebie. A jeśli muszę tłumaczyć się przed człowiekiem, który jak twierdzi, mnie kocha, to coś jest nie tak. Wydaje mi się, że kto jak kto, ale on powinien rozumieć, co czuję i dlaczego. Na miłość boską, jest przecież psychiatrą! Poza tym denerwuje go, że nie noszę pierścionka. Anie zamierzam go założyć, dopóki nie oczyścimy przedpoła. Inaczej to nie ma sensu. Zobaczymy, co będzie. A ja naprawdę go kocham.

– Więc wszystko się ułoży. Po prostu bądź cierpliwa. Jane podskoczyła na krześle.

– Widzisz! Widzisz! Ty też tak uważasz! Nie chcę być cierpliwa! – krzyknęła. – Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Jak mówię kochaj mnie, to znaczy kochaj też moje wady. Przyjmij mnie taką, jaka jestem. Nie próbuj mnie zmieniać. Nie wmawiaj mi, że twoja metoda jest lepsza. Nie mogę zmienić swojego sposobu odczuwania, a nawet gdybym mogła, to chyba bym nie chciała. Chcę odczuwać ból, mieć poczucie winy, czuć miłość i gniew. To uczciwe emocje. – Przeszła energicznie

przez kuchnię i wyjrzała przez okno. – Mike ma taki przełącznik, którym włącza i wyłącza uczucia. Nazywa to profesjonalizmem. Ja tak nie potrafię, Fred. Nie jestem taka. Ludzie krwawią, płaczą i cierpią, kiedy coś nie idzie po ich myśli. Jeśli mnie i Mike’owi nie wyjdzie, to właśnie z takich powodów. Czy teraz mogą dostać parę naleśników? – Chwyliła talerz i przysunęła go bliżej patelni.

Było jej przykro, że naskoczyła na Freda, ale miała już dosyć ludzi, którzy sądzili, że cierpliwość to lekarstwo na wszystko.

– Przepraszam, Fred. Nie jestem ostatnio sobą. Wybaczysz mi?

– W porządku, malutka. Trzeba znacznie więcej, niż mały pokaz temperamentu, żeby mnie zdenerwować.

Jane usiadła przy stole i grubo posmarowała naleśniki masłem.

– Jak idzie książka? Chyba dziwnie się czujesz, pracując sam, po tylu latach wspólnego pisania.

– Prawie boję się pokazać ją Trixie. Ona nie znosi wszystkich tych gier, a zwłaszcza futbolu. Mam nadzieję, że trochę upiększy tekst i nie będzie zbyt krytyczna.

– Fred, te naleśniki są wspaniałe. – Jane w sekundę pochłonęła cztery i była gotowa jeść dalsze.

Fred rzucił jej świeżo usmażony naleśnik na talerz.

– Lepiej jedz szybciej, jest siódma piętnaście, a Trixie powiedziała, że chce wyjechać o ósmej.

Jane pochłonęła naleśniki w rekordowym tempie i wstała. Wychodząc z kuchni, podeszła do Freda, objęła go i powiedziała:

– Przepraszam za kilka ostatnich tygodni, Fred. Musiałam się wypłakać, pojęczeć i poużalać nad sobą. Trixie, nie mówiąc tego, dała mi jasno do zrozumienia, że unikam stawiania czoła sytuacji i w pewnym sensie robię to samo, co Connie i Berty. Miała rację. Jeszcze raz przepraszam za wszystkie złe chwile, jakie sprawiłam wam obojgu.

– Najważniejsze, że doszłaś do siebie – powiedział Fred, kiwa-

jąc energicznie głową w górę i w dół. – Odnalazłaś właściwą ścieżkę, a dokąd nią pójdziesz, zależy tylko od ciebie.

– Fred, muszę ci coś powiedzieć, choć pewnie pomyślisz, że mi odbiło.

– Obiecuję, że tego nie zrobię – powiedział Fred, kładąc rękę na sercu.

Jane wzięła głęboki oddech.

– Włamałam się do domu rodziców i w sypialni na górze natknęłam się na coś, co uznałam za ducha matki. Przez chwilę wydawało mi się, że to kolejny sen. Ale teraz... czy wierzysz w duchy?

No cóż, trochę jakby nie z mojego świata, Jane.

– Z początku próbowałam sobie wmówić, że się zdrzemnęłam, ale teraz wiem, że to nieprawda. Nie spałam. Rozmawiałam z nią. Wykrzyczałam jej wszystkie swoje pretensje. Byłam naprawdę podła i niemiła. – Oparła brodę na jego ramieniu. – Nie wiem, czy Trixie ci o tym wspomniała, ale zastanawiam się poważnie, czy nie kupić naszego starego domu. Powody nie są zbyt przyjemne.

– A zatem, dlaczego?

– Aby zatrzymać ją tam, w zapomnieniu, na wieczność. Wygląda na to, że tylko ja mogę ją uwolnić, pomóc jej przejść na drugą stronę. Ja! Czy to nie zabawne?

Fred chwycił Jane za ramię i obrócił ją tak, by musiała spojrzeć mu w twarz.

– Musisz pozwolić jej odejść, Janie. Ona należy do przeszłości. Nie jesteś już małą dziewczynką, której uczucia zraniono. Zrób to, a wtedy sny odejdą i ty też zaznasz spokoju, na który zasługujesz. Tylko ty możesz to zrobić.

– Chcesz powiedzieć, że mam przebaczyć matce to, że mnie nienawidziła, że uczyniła moje życie piekłem na ziemi? Chcesz, żebym wybaczyła jej wszystkie podłe słowa i czyny? Wyraz

odrazy na jej twarzy, gdy na mnie patrzyła, i to, że zostawiła mnie na ganku podczas burzy? Nie. Nigdy w życiu – powiedziała Jane z goryczą.

– Powinnaś spróbować tego, co doradzasz innym – powiedział Fred, odnosząc naczynia do zlewu.

– Nie potrafię – mruknęła pod nosem Jane, wracając do sypialni dla gości.

Budynek; był stary, lecz piękny – z charakterem. Astronomiczny czynsz i długa lista oczekujących na zwolnienie się lokalu czyniły go jeszcze bardziej pożądanym dla ambitnych profesjonalistów, którzy zdawali sobie sprawę, że dobry adres to niemal gwarancja powodzenia i finansowego sukcesu. Jane zastanawiała się, jak Sharon udało się wynająć tutaj gabinet.

Trixie spojrzała znad okularów na imponującą fasadę, a potem na Jane.

– Jak ona się tu wkręciła?

Jane wzruszyła ramionami. Czas i czynniki atmosferyczne sprawiły, że cegła przybrała kolor bladoróżowy. Po murze piął się bluszcz, okalając okna o szybkach w kształcie rombu. Pora stał cały fronton budynku, sięgając aż na boczne ściany. Na drzwiach z tekowego drewna, podwójnych i polakierowanych na wysoki połysk, widniały plakietki z nazwami firm wynajmujących tu lokale. Mosiężna tablica, równie błyszcząca, jak drzwi, informowała, że budynek nazwano od nazwiska właścicieli – The Broussard. Nie nosił tabliczki z nazwą ulicy ani numeru. Po prostu nie było to potrzebne. Wszyscy wiedzieli, gdzie znajduje się Broussard. Uliczka Tulip Street, przy której stał, była wąska, jednokierunkowa, z brukowanymi chodnikami. Ponad nią wznosiły się korony dębów, tworząc rodzaj kopuły. Wyglądały niczym rząd wielkich, zielonych parasoli. U podstawy każdego drzewa stały kolorowe gliniane donice. Posadzono w nich kępy zimowych bratków i innych roślin, odpo-

wiadających barwą pasiastym markizom Brouarda. Otoczenie budynku też było bardzo zadbane. Trixie otworzyła ciężkie drzwi i pociągnęła nosem.

– Ciekawe, czy podają tu lokatorom drogą herbatę albo whisky z lodem – szepnęła, kiedy znalazły się w środku. Powitały ją dywany w kolorze królewskiego błękitu, zasłony tej samej barwy i zapach skóry. W przestronnym holu ustawiono tu i ówdzie krzesła i małe stoliki.

– To biurowiec, a wygląda jak hotelowy hol. Czemu to ma służyć? – Ale wzrok przyciągało przede wszystkim atrium. Na ścianach umieszczono tu olbrzymie, barwne malowidła ze scenami z zabaw karnawałowych. – Popatrz, nie ma windy. Jak to możliwe? Rozumiem, że budynek jest stary, ale żeby zrezygnować z windy? Co mają zrobić starsi ludzie, którzy nie mogą się już wspinać po schodach?

– Wydaje mi się, że gości przyjmuje się na dole, w holu. Ten, do kogo przychodzisz, schodzi i rozmawia z tobą tutaj. Zgadzam się, trzy kondygnacje to za dużo, żeby się wspinać. Na szczęście biuro Sharon znajduje się na parterze.

– Zanim tam wejdziemy, powiedz mi, czemu ta kobieta aż tak cię nie znosi. Z powodu Betty Vance, czy jest coś jeszcze? Musi cenić cię jako lekarza, skoro poprosiła, byś zaopiekowała się jej pacjentami.

– Widocznie nie miała innej możliwości. Kiedy zaczęłam prowadzić tę audycję, umawiała się z Tomem Bradleyem, wiesz, tym z rozgłośni. Nie wiedziałam, że byli parą, więc kiedy mnie zaprosił, zgodziłam się. Pewnego razu spotkaliśmy się wszyscy podczas kolacji. Byłam z Tomem, a ona powiedziała kilka nie miłych słów. Mnóstwo ludzi to słyszało. Tom był zażenowany. Próbowалаm go kryć, mówiąc, że to służbowe spotkanie, ale chyba w to nie uwierzyła.

– Masz przy sobie kopię listu Betty?

– Tak, dlaczego pytasz?

– Daj mi ją i pozwól, że to ja będę mówić. No już, miejmy to wreszcie za sobą.

Jane nie wiedziała, czego się spodziewać, ale i tak wystrój biura Sharon ją zaskoczył. Wszędzie widać było szkło i chrom, na ścianach wisiały kopie obrazów impresjonistów, a podłogę pokrywał gruby dywan. Cienkie drewniane żaluzje nie pasowały do reszty wyposażenia, podobnie jak wykonane z jedwabiu fioletochorózkowe rośliny. Sekretarka Sharon, Emily Quinn, natychmiast poznała Jane.

– Doktor Lewis, miło mi znów panią widzieć. Ojej, umówiła się pani z doktor Thomas? Nic tutaj nie mam – powiedziała, przeglądając terminarz. – Ale to nie szkodzi, proszę wejść, doktor Thomas jest teraz sama. Jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciwko temu. A przy okazji, dziękuję, że robiła pani tak przejrzyste notatki. Nie miałam z nimi żadnych kłopotów.

Jane zapukała do drzwi i zaraz je otworzyła, a potem szybko zamknęła, aby Emily nie usłyszała gniewnych słów Sharon.

– Sharon, to moja matka chrzestna, Trixie McGuire. Trixie, to doktor Thomas.

Trixie natychmiast przejęła inicjatywę.

– Jane otrzymała dokumenty, które jej pani wysłała. Co mamy zrobić, żeby się pani wycofała?

Wydawało się, że Sharon nie ma zamiaru nawet się nad tym zastanawiać.

– Na miłość boską, złamała mi nos! Zobaczymy, ilu spośród tych cwanych świadków o wybiórczej pamięci zechce kłamać dla niej pod przysięgą.

– Jane nie zaprzecza, że panią rąbnęła. Osobiście uważam, że sama jest pani sobie winna. Co z pani za człowiek, skoro nie przyszła pani na pogrzeb Berty? Leczyła ją pani. Tyle przynajmniej była pani winna swojej pacjentce. A skoro już o tym

mowa, po co, u licha, przepisywała jej pani thorazyne? Proszę powiedzieć, ile pani żąda i skończmy z tym.

Sharon wstała zza biurka. – Zrobiłaś ze mnie idiotkę – powiedziała, patrząc na Jane. – Poza tym, podkradłaś mi pacjentkę – dodała, podnosząc głos.

– Podkradłam, a to ci dopiero. Tak, jak Toma Bradleya? Przykro mi, Sharon, ale nie miałam pojęcia, że się z nim spotykałaś.

– Dość tego – powiedziała ostrzegawczym tonem Trixie. – Ta sprawa jest o wiele ważniejsza. – Pomachała kartką przed nosem Sharon. – Oto kopia – powtarzam, kopia – listu Berty Vance. Píše w niej, że tamtego wieczora dzwoniła do pani cztery razy, a pani nie oddzwoniła. Jest tam też parę innych, równie ciekawych informacji. – Trixie rzuciła kartkę na biurko Sharon. – Zastanawiamy się, czy nie opublikować tego listu, by udowodnić, co z pani za lekarz. Chyba że tylko pacjentów z przychodni traktuje pani w ten sposób? Proszę to sobie przemyśleć, doktor Thomas. Jest pani pewna, że chce tego procesu? Czemu nie zachować się rozsądnie? Proszę, póki tu jesteśmy, zadzwonić do swego prawnika i wycofać pozew. W zamian Jane zapłaci za operację nosa. Wystarczy, by chirurg przysłał jej rachunek. Zgoda?

– Prawdziwa dziwka z ciebie, Janę – syknęła Sharon przez zaciśnięte zęby – a ta osoba u twego boku też nie jest lepsza.

Podniosła słuchawkę i wcisnęła przycisk automatycznego wybierania numeru.

– Swój zawsze pozna swego – odpaliła Trixie złośliwie.

Na dole spojrzała na Jane błyszczącymi oczami.

– I jak mi poszło?

– Byłaś wspaniała. Nie wiem, po co w ogóle z tobą przyszłam.

– Przyszedłaś, bo znów jesteś sobą, kobietą z charakterem. To dobre. A tak między nami, myślę, że tanio się wykpiłaś.

- Masz rację. Widziałaś jej nos? Nigdy nie zapomnę, jak się poczułam, kiedy moja pięść się z nim zetknęła. Chyba wyświadczyłam jej przysługę. Gdy chirurg ją zoperuje, będzie prawdziwą pięknoscią. Dziękuję, że się tym zajęłaś. No dobrze, teraz na posterunek, a potem do prawnika.
 - Po co na posterunek? – zdziwiła się Trixie.
 - Przekazać list Betty.
 - W porządku. Kipisz energią, Jane.
 - Czuję się naprawdę wspaniale. Chyba dostałabym kręćka, gdybym musiała pracować w tym budynku.
- Trixie roześmiała się.
- No cóż, nie zawsze dostajesz to, co widzisz, a to, co widzisz, niekoniecznie musi być najlepsze.

Na posterunku Trixie przystanąła, żeby wymienić grzeczności z dyżurnym sierżantem, a Jane poszła na tyły budynku, gdzie miała spotkać się z detektywem Dave'em Mitchelsonem. Chodzili razem do liceum i dobrze go znała. Poprosił ją, by usiadła. Przez chwilę rozmawiali o rodzinie Dave'a, o pogodzie i nowym zajęciu Trixie, a potem Jane przystąpiła do rzeczy.

– Powinam była przyjść wcześniej, ale śmierć Betty bardzo mnie poruszyła. Przez jakiś czas nie mogłam dojść do siebie. – Otworzyła torebkę i wyjęła oryginał listu Betty. – Jeden z funkcjonariuszy dał mi go, kiedy już mnie przesłuchał. – Podała Dave'owi list i zaczęła, aż go przeczyta. Kiedy podniósł na nią wzrok, powiedziała: – Zajmowałam się Betty przez krótki czas, kiedy jej stała terapeutka leżała w szpitalu po operacji wyrostka, więc wiem, co jej się przytrafiło. Betty Vance została zgwałcona przez dwóch mężczyzn. Tak bardzo się wstydziła, że nie zgłosiła gwałtu na policję. Jednak nie potrafiła się z tym uporać i wpadła w depresję. Po kilku miesiącach od napadu skłoniłam ją, żeby zgłosiła się do centrum kryzysowego. Jej tamtejsza opiekunka ma na imię Corinda. Możesz to sprawdzić, jeśli chcesz. – Brak reakcji ze strony Dave'a podpowiedział jej, że policjant nie wie, do czego zmierza jego rozmówczyni. Może tylko przebiegł list wzrokiem, pomyślała, starając się nie wyciągać pochopnych wniosków. – Chodzi o to, że dzięki listowi być może uda się znaleźć sprawców – powiedziała jasno i wyraźnie. – Prawdę mówiąc, dziwię się, że ten policjant mi go dał. Chyba powinien raczej zatrzymać list jako dowód.

– Wybacz, Jane, ale nie bardzo nadążam.

Jane przyglądała mu się przez chwilę. No cóż, w liceum Dave nie uchodził za szczególnie bystrego. Wstała, obeszła biurko i pokazała palcem początek drugiego zdania w drugim akapicie.

– „Rozpoznałam jednego z nich” – przeczytała na głos. – Ona mówi o gwałcicielu, Dave – powiedziała zdecydowana uświadomić mu, co to znaczy. Pokazała następne zdanie i też je przeczytała: – „... sprzedawca zawołał kierownika i odwieźli mnie do domu” – spojrzała na Dave’a i dodała: – A zatem, jeśli pošlecie kogoś do drogerii, sprzedawca i kierownik poświadczą, w jakim stanie była wówczas Betty. Poza tym w sklepie są zapewne kamery, śledzące klientów. Może ci dwaj też zostali sfilmowani, więc moglibyście ich zidentyfikować i przesłuchać. Betty, jak już mówiłam, doskonale pamiętała, jak wyglądali gwałciciele. Corinda ma ich rysopis w aktach. I co ty na to? – Wróciła na swoje miejsce po drugiej stronie biurka i usiadła.

– Przyjrzę się temu, Jane, ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Masz rację, w drogerii są kamery, ale rozmowa w sklepie, nawet jeśli została nagrana na taśmie, niczego nie dowodzi. Sprytny adwokat przypisze atak strachu Betty brakowi równowagi emocjonalnej. Masz rację jeszcze w jednej sprawie. Nawet jeżeli mieliśmy do czynienia z bezspornym samobójstwem, list powinien zostać zatrzymany jako dowód. Dobrze, że go przyniosłaś, Jane potrząsnęła z uporem głową.

– Chyba nie zrozumiałaś, Dave. Betty rozpoznała jednego z mężczyzn. To dlatego była tak przerażona, że aż ktoś musiał odwieźć ją do domu.

– Jak ci już powiedziałem, przyjrzę się temu. Jeszcze raz dzięki, że przyniosłaś list. Może coś z tego wyniknie. Dam ci znać. – Wstał i podszedł do drzwi. – Słyszałem, że prowadzisz audycję w radiu. Wendy uwielbia cię słuchać. Mówi, że prawdziwy z ciebie pistolet.

– Podziękuj jej w moim imieniu i powiedz, że będę występowała gościnnie, dopóki Mike Sorenson całkiem sennie wciągnie. Myślę, że to zda egzamin. Pozdrów ją ode mnie. Musimy się kiedyś spotkać.

- Pewnie. Dam ci znać, jak się sprawy mają.
- Byłabym ci wdzięczna, Dave.
- Wyszła i zaczekała, aż Trixie skończy rozmawiać z sierżantem.
- I jak poszło? – spytała Trixie.
- Mam nadzieję, że nienajgorzej – powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to optymistycznie. – Dałam Dave’owi list Betty i podpowiedziałam, w jaki sposób można dzięki niemu zidentyfikować sprawców gwałtu. Z początku trudno mu było się w tym połapać, ale teraz chyba już wszystko w porządku. Powiedział, że się tym zajmie. Nie jest zbyt bystry, ale to dobry glina, poza tym lubię jego żonę. Nawet jeśli gwałciciele zostali uwiecznieni na taśmie, nie wiadomo, czy to wystarczy, by ich oskarżyć, chyba że się przestraszą lub jeden zacznie zwałać winę na drugiego. Prokuratorzy ciągle dobijają targu z obrońcami, więc na nic nie liczę. No cóż, zrobiłam, co mogłam.
- O ile mnie pamięć nie myli, wymyśliśmy z Fredem podobną intrygę do jednej z naszych wcześniejszych książek. Poszukam jej, kiedy wrócę. Sprytny adwokat pewnie dałby radę wyciągnąć ich z tego, choć z drugiej strony, list Betty to jak wyznanie na łożu śmierci. Jeśli prokurator okaże się bystrzejszy niż przeciętny obrońca, może ich przygwoździ. W każdym razie ty już swoje zrobiłaś. Sprawa jest we właściwych rękach. Co teraz? Biuro prawnika?
- Nie. Agencja Nieruchomości Tysona. Zamierzam złożyć ofertę kupna naszego starego domu.
- Przemyślałaś to, kochanie? Fred powiedział mi, dlaczego chcesz kupić ten dom. Uważam, że robisz błąd. Traktujesz poważnie coś, co było tylko snem. Bardzo realistycznym, ale jednak snem. Nie działaj pochopnie, oto co próbuję ci powiedzieć. Jane wsiadła do nowego rangę rovera, mając przed oczami wizję ducha matki.
- Dzięki za radę, Tracie, ale uważam, że gra jest warta świeczki.

Cokolwiek wtedy zobaczyłam, przywołało tamte czasy. Dzieciństwo stanęło mi przed oczami jak żywe i cała nienawiść wybuchła z dawną siłą. – Zadzwoił telefon komórkowy Jane.

Wysunęła antenę i powiedziała: – Halo?

– Jane, tu Mike. Masz minutkę?

– To Mike – wypowiedziała bezgłośnie do Trixie. – Pewnie, całą masę minut. Jestem w samochodzie z Trixie. Coś się stało?

– Chodzi o faceta z bateriami. Właśnie zadzwonił do mnie lekarz. Znalazł w jego kieszeni moją wizytówkę. Jak zrozumiałem, ktoś włamał się do jego domu, obrabował właściciela i po bił do nieprzytomności. Jest na oddziale intensywnej terapii. To stało się wczoraj, ale dopiero dziś do mnie zadzwonili.

– Czy on wyzdrowieje?

– Lekarz jeszcze tego nie wie. – Mike umilkł, jakby chciał zebrać myśli. – Wiesz, co ten złodziej ukradł? Baterie. Wyłącznie. Wszystkie, co do sztuki, nawet potrójne A. Nie do wiary, co? Myślę, że ktoś śledził mojego pacjenta. Może sądził, że coś jest w tej jego gadaninie o bateriach, skoro tyle ich nagromadził. On nie trzymał tego w tajemnicy. Policja prowadzi dochodzenie. I co ty na to?

– Myślę, że ten złodziej jest na tym samym poziomie co ktoś, kto ukradł butelkę niemowlęciu.

– Nie o to mi chodziło. Myślałem o moim pacjencie. Jane zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, co myśleć o twoim pacjencie, Mike. Wiem o nim tylko tyle, ile mi powiedziałaś. Może porozmawiamy o tym później, kiedy spotkamy się u adwokata, żeby podpisać dokumenty.

– Musiałaś o tym myśleć, choć trochę – nalegał. – Prawdę mówiąc, przydałaby mi się pomoc. Nie wiem, co może się stać, gdy facet się ocknie i zobaczy, że wszystkie jego baterie zniknęły. – Wydawał się tak zrozpaczony, że Jane aż się skrzywiła.

– Nie, Mike, nic nie przychodzi mi do głowy. W tej chwili myślę głównie o sobie. O tym, jak wrócić na właściwą ścieżkę i pozalać swoje sprawy. Wydaje się, że jesteś bardzo zdeenerwowany. Chyba nie zaangażowałeś się osobiście, prawda?

– Przestań się wymądrzać. Nie zaangażowałem się osobiście. Jestem jego lekarzem. Troszczę się o pacjentów, a o tego szczególnie. Pomyślałem, że może ty wpadniesz na jakiś pomysł, ale najwidoczniej zadzwoniłem w nieodpowiedniej chwili. Przepraszam, że zawracam ci głowę.

– Nie ma sprawy. Dzwoni, kiedy chcesz. Po to tu jestem – prychnęła i rozłączyła się.

– Słyszałaś, prawda? – spytała, zerkając spod oka na Trixie.

– Pewnie. Potrafisz być naprawdę wredna, jeśli chcesz. Masz to po mnie. I dobrze. Miałam na myśli to, że odziedziczyłaś po mnie pewne cechy. Ale wydaje mi się, że przechodzisz z jednej skrajności w drugą.

– Aha – zgodziła się Jane. – Nie znoszę, jak ktoś przerzuca na mnie swoje problemy. Co z tobą, Trixie? Najpierw chcesz, żebym otrząsnęła się z przygnębienia, a potem mówisz, że jestem wredna.

– Wszystko dobre, byle z umiarem, Jane. Musisz mieć jakieś zdanie na temat tego człowieka. Zawsze masz i rzadko potrafisz zatrzymać je dla siebie.

Jane poczuła się urażona.

– A to co miało znaczyć? – spytała, wjeżdżając na przestronny parking za Agencją Nieruchomości Tysona.

Trixie wyprostowała się i spojrzała na Jane stanowczo.

– Nie udawaj idiotki. Znam cię. Nadal obwiniasz Mike’a o śmierć Betty. A to znaczy, że jeszcze się w pełni nie pozbierałaś. Musisz sobie wreszcie z tym poradzić. Jeśli Mike potrzebuje twojej pomocy, dlaczego odwracasz się do niego plecami? Myślałam, że kochasz tego faceta i chcesz z nim spędzić resztę ży-

cia.

Łzy napłynęły Jane do oczu. Trixie jak zwykle miała rację.

– Bo go kocham – powiedziała z ciężkim sercem. – Ale nie wiem nic o jego pacjencie. Nie czytałam notatek Mike’a i nawet nie wiem, jak się ten facet nazywa.

– Ale na pewno wyrobiłaś sobie jakąś opinię na podstawie tego, co powiedział ci Mike – upierała się Trixie. – Do licha, nawet ja mam na ten temat zdanie – uważam, że facet zbzikował.

Jane zachichotała mimo woli. Trixie potrafiła być uparta i zawsze miała swoje zdanie.

– Każdy ma swojego bzika, ale nie o taką opinię chodzi Mike’owi – przez chwilę gapiała się w okno, zastanawiając się, czy opowiedzieć Trixie o śnie. W końcu, co jej szkodzi? – No dobrze, coś ci opowiem. Znow miałam ten sen i chłopiec ze snu powiedział, iż pacjent Mike’a uważa, że baterie dostarczają mu energii życiowej.

– Energia. Rozumiem – powiedziała Trixie. – Musisz powiedzieć o tym Mike’owi.

Jane potrząsnęła głową.

– Jak jeden sen może mieć sens, a inny, podobny, nie? Mówię o mojej matce. Naprawdę sądzisz, że Mike doceni radę opartą na tym, co powiedział mi dzieciak „ze snu? Zejdź na ziemię, Trixie.

– Zamierzasz kupić dom, bo coś ci się przyśniło. Wyjaśnij mi, gdzie tu logika – prychnęła Trixie.

Jane, niezdolna dłużej nad sobą panować, załżała się łzami.

– Znow czuję się tak, jakbym stała w wysokiej trawie i poza nią nic nie widziała. To rodzaj testu, Trix. Chcę wierzyć, że Mike na tyle troszczy się o swego pacjenta, że pojedzie do niego do szpitala. Chcę, żeby się o niego martwił. Nie chcę, żeby wyłączył emocje i poszedł grać w tenisa, zapominając o pracy, dopóki znow coś się nie wydarzy. Pacjent Mike’a to człowiek z krwi

i kości. Tak, jak Betty. Ktoś musi troszczyć się o niego na tyle, żeby się osobiście zaangażować. Pięćdziesiąt minut raz na tydzień nie wystarczy. Teraz Mike jest na mnie wściekły. I dobrze, bo to zmusi go do myślenia. Mam straszny zamęt w głowie, Trixie. Twarz Trixie złagodniała.

– Dasz sobie z tym radę, Jane. Jak zawsze. Potrzeba ci tylko czasu. Nie spiesz się tak. Przemyśl wszystko jeszcze raz, a potem podejmij decyzję. Będziemy tu siedziały przez cały ranek, czy masz zamiar wejść i złożyć ofertę na kupno tego domu?

– Idę. Wiem, że tego nie rozumiesz, ale ja po prostu muszę odzyskać ten dom. Nie chcę, ale muszę.

– Więc zrób to wreszcie!

Siedziba biura prawnego spółki Lewellen, Chakis i Dwight była tak nędzna i obskurna, że Jane nie miała ochoty usiąść. Sądząc po wyrazie twarzy Trixie, jej matka chrzestna czuła to samo. Mike, obojętny na wygląd otoczenia, rozmawiał z Tomem Bradleyem, który wydawał się być bardzo ożywiony. Zastanawiała się, czy wiedział, że umawia się z Mike’iem. Zapewne nie. Rozejrzała się po maleńkiej, oszczędnie umeblowanej poczekalni – dwa krzesła, podniszczona wykładzina i porysowany stolik. W plastikowym pudełku, przymocowanym na stałe do ściany, znajdowały się stare czasopisma o postrzępionych okładkach. Wszystko wydawało się zakurzone, nawet drewniane okiennice i oliwkowej barwy zasłony z pajęczyną pośrodku. Jane miała wrażenie, że jeśli kichnie, wszystko wokół się rozpadnie. Jak starzy byli sami prawnicy? Tak jak otaczające ich przedmioty. I najwidoczniej nie przestrzegali godzin urzędowania.

Tom Bradley podszedł do Jane, która przedstawiła go Trixie.

– Jestem zachwycona, że wreszcie mogę pana poznać – powiedziała Trixie, wyciągając dłoń. – Jane często o panu wspomina. Mamy opóźnienie, a może coś się stało?

– Ani jedno, ani drugie. Przejrzałem już umowy, a teraz sekretarka wprowadza zmiany. – Odwrócił się do Jane. – Musiałem dostosować się do żądań sponsorów. Zażyczyli sobie, żebyś prowadziła program wspólnie z Mike’iem dwa razy w miesiącu, nie raz. Ale tylko przez pierwsze cztery miesiące. Potem, jeśli doktor Sorenson się sprawdzi, antena będzie należała wyłącznie do niego. Oczywiście, zawsze będziesz mogła wystąpić w programie jako gość. Stacja telewizyjna z Nowego Orleanu nadal jest zainteresowana zrobieniem programu z tobą w roli głównej. Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. – Dobrze, Tom, dziękuję. – Doktor Sorenson powiedział, że jeśli chodzi o niego, umowa

jest w porządku. Musimy tylko złożyć podpisy na wykropkowanych liniach i będzie po wszystkim. Nie rozmyślałaś się, ani nic takiego, prawda? – zapytał niespokojnie.

– Wszystko w porządku, Tom – zapewniła go. Przynęła się bliżej Mike’a. – Jak widzisz, raczej się na tym nie wzbogacisz, ale to wspinała reklama. A przy okazji pomaga się ludziom. – Potarła pieszczotliwie ramieniem o jego ramię. – Jeśli chcesz, mogę podsunąć ci parę swoich dyżurnych odzywek.

Mike uśmiechnął się i Jane odetchnęła z ulgą. Więc nie jest już na nią zły.

– Masz jakieś wieści na temat swego faceta od baterii? Mike zacisnął wargi i zapatrzył się w przestrzeń.

– Nadal nie wiedzą, czy z tego wyjdzie. To było bezsensowne, bestialskie pobicie.

– I co masz zamiar zrobić? – spytała spokojnie.

– Myślałem o tym, że kiedy stąd wyjdę, mógłbym wpaść do szpitala. Odwołałem wszystkie wizyty aż do lunchu. – Odwrócił się do niej. – Chciałabyś ze mną pojechać? – zapytał z nadzieją. Jane spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że cierpi.

– I zaryzykować, że osobiście zaangażuję się w sprawę twojego pacjenta? Nie sądzę.

– No dobrze, Jane. Miałaś rację, to ja się myliłem. Chcesz, że-
bym padł przed tobą na kolana? Jezu, nie masz pojęcia, jak okropnie się czuję. – Wyglądał mizernie.

Zaczyna rozumieć, pomyślała Jane, w końcu udało mi się go przekonać.

– Prawdę mówiąc, wiem. Chętnie z tobą pojedę. – Odwróciła się i spojrzała na Trixie. – Odprowadzisz mój samochód, Trixie? –

A kiedy Trixie skinęła głową, ujęła dłoń Mike’a i uściśnęła ją.

– Dzięki, kochanie – powiedział, oddychając z widoczną ulgą. – Nienawidzę szpitali. Ludzie umierają w szpitalach. Wszyscy tak mówią. Kiedy tylko powiesz komuś, że twój znajomy jest w

szpitalu, zaraz to usłyszysz. Ludzie wracają tam też do zdrowia, ale o tym jakoś się nie mówi. Ciekawe, dlaczego. Nie chcę, żeby ten chłopak umarł, Jane. Muszę mu pomóc. Próbowałem wszystkiego, żeby dowiedzieć się, na czym polega jego problem. Jane przykro było patrzeć, jak jej ukochany mężczyzna cierpi, ale nie była jeszcze gotowa, by mu powiedzieć, co jest nie tak z jego pacjentem.

– Umowy są już chyba gotowe. Podpiszmy je i jedźmy. A tak przy okazji, złożyłam ofertę na kupno starego domu moich rodziców. Pośrednik mówi, że obecny właściciel chce go szybko sprzedać, więc nie powinno być z tym kłopotów.

– To dobrze. Chcesz go wynająć? Kupujesz, żeby zainwestować pieniądze?

– Mam zamiar go spalić, ze wszystkim, co się w nim znajduje. Trixie westchnęła przerażona, a Mike się roześmiał.

– Z twojego punktu widzenia ma to chyba sens – powiedział, nie przestając się śmiać. – Ale nie będziesz robiła takich rzeczy, kiedy się pobierzemy, prawda?

Jane spojrzała na niego z ukosa.

– Jestem kobietą o wielu obliczach. Zaczekaj, to się przekonasz.

Szpital wyglądał jak wszystkie inne – był miejscem zarówno nadziei, jak i rozpacz. Do tej pory była tu tylko dwa razy. Raz, kiedy umarł jej ojciec, i drugi, kiedy odeszła matka. W przypadku ojca przepełniała ją nadzieja, lecz kiedy umierała matka, doświadczyła jedynie rozpacz. Płakała potem całymi tygodniami. Nawet teraz, gdyby tylko zamknęła oczy, mogłaby bez trudu wyobrazić sobie poczekalnię, hol, zapachy, rodzajowe obrazki na ścianach, małą kaplicę, sklep z upominkami i bar, w którym pachniało lukrecją, kawą i sałatką z jajek.

Usiadła na niebieskim plastikowym krzeselku. Mike rozmawiał z wolontariuszką z recepcji. Krzesła były kiedyś buro-brązowe.

A te stojące na końcu rzędu – pomarańczowe. Nawet plastikowe krzesła nie są wieczne. Nic nie jest wieczne.

Jane weszła do sklepiku z upominkami i rozejrzała się wokół. Nie znalazła tego, czego szukała, zwróciła się więc do ekspedientki.

– Macie tu jakieś baterie? – spytała.

– Pewnie. A jakich pani szuka?

– Typu C, D, wszystko jedno.

Ekspedientka wskazała mały stojak na końcu łady. Jane obróciła go. Jakie baterie powinna kupić? Które z nich mają największą pojemność?

Oczywiście, D. Kupiła dwa komplety baterii D i jeden AAA.

Gdy tylko zapłaciła, rozerwała opakowania i wrzuciła baterie luzem do torebki. Kiedy wróciła na swoje krzeselko, Mike właśnie do niej podchodził.

– Pozwolą nam się z nim zobaczyć. Rodzina jeszcze tu nie dotarła, ale kiedy wyjaśniłem im, że jesteśmy jego terapeutami, zgodzili się nas wpuścić.

– Naginamy zasady, co? To mój wpływ, czy też sam doszedłeś w końcu do wniosku, że nie zawsze musisz tak dokładnie przestrzegać zasad? – Wiedziała, że przypiera go do muru, ale lepiej zrobić to teraz, kiedy jej uwagi mają szansę zapaść mu w pamięć, niż później, gdy będzie mógł puścić je mimo uszu.

– Jedno i drugie. Jego lekarz, doktor Jim Yafaner, jest teraz na oddziale. Może z nami porozmawia.

W milczeniu wjechali windą na drugie piętro. Mike skierował się do dyżurki pielęgniarek, gdzie dwaj lekarze sprzeczali się o coś nad kartą choroby. Podnieśli wzrok i spostrzegli Mike'a, poznali go i przywitani się.

Jane czekała z boku. Dochodziły do niej jedynie oderwane fragmenty rozmowy. Pacjent, o którym rozmawiano, nazywał się William Winslet. Może to ten sam William Winslet, który w

podstawówce chodził z nią do jednej klasy.

Mike chwycił ją za rękę.

– Możemy wejść, ale tylko na dziesięć minut.

– Zaczekaj chwilę, Mike. Twój pacjent nazywa się William Winslet?

– Tak, skąd wiesz? – zapytał, zdumiony.

– Słyszałam, jak jeden z lekarzy wymienił to nazwisko. Chodziłam z Willigim do jednej klasy. Rodzice zabrali go ze szkoły, kiedy był w siódmej klasie i potem uczył się w domu. Był wątpliwy i słabowity, choć nie pamiętam, co tak naprawdę mu dolegało. Co powiedział lekarz?

– Powiedział, że Willie doznał wstrząsu, ma połamane żebra, wyłamany bark i uszkodzoną śledzionę. Unieruchomili mu żebra, nastawili ramię i usunęli śledzionę. Trochę to potrwa, ale fizycznie dojdzie do siebie. Uraz psychiczny to zupełnie inna sprawa. Jim mówi, że nie ma z pacjentem kontaktu. On w ogóle nie reaguje, a lekarz nie może zrozumieć, dlaczego.

Weszli do sali i spojrzeli na mizernie wyglądającego mężczyznę na łóżku.

– Wiem, dlaczego on nie reaguje, Mike. Nie jestem magikiem, więc nie patrz tak mnie. Ale spójrz na to. – Jane wyjęła z torebki dwie baterie typu D, podeszła do łóżka i włożyła po jednej w dłonie Willego. Baterię AAA umieściła mu pod karkiem.

Mike chwycił ją i odciągnął od łóżka.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? Te baterie nie są sterylne. Jesteśmy na oddziale intensywnej terapii. Nie możesz robić takich rzeczy na OIOM-ie – syknął.

Jane zignorowała go i dalej przyglądała się Wiliemu.

– Spójrz, Mike!

Willie otworzył powoli oczy i zamrugął.

– Co pan tu robi, doktorze? – zapytał ochryple. Podniósł rękę i spojrzął na baterię. – Dzięki, człowieku. Ten sukinsyn zabrał mi

wszystkie baterie. Co do sztuki. Jak się pan dowiedział, że tu jestem?

Mike puścił dłoń Jane i podszedł do łóżka.

– Policja znalazła w twojej kieszeni moją wizytówkę. Zadzwo-nili do mnie. Lekarz powiedział, że wyzdrowiejesz. Ktokolwiek cię napadł, nieźle ci dołożył. Możesz mi powiedzieć, co się właściwie stało?

– Ten cholerny sukinsyn włamał się do mojego domu i zaczął mnie tłuc. Chciał zabrać baterie. Chyba w końcu straciłem przytomność, a kiedy się ocknąłem, byłem już tutaj. Kto jest z tobą? – zapytał, wskazując na Jane, – To ja, Jane Lewis, Willie – powiedziała. – Siedziałeś za mną w auli podstawówki. Pamię-tasz mnie?

– Tak. Miałaś tyle włosów, że przesłaniały mi widok. Dzwoni-łem do ciebie podczas audycji. Zachowywałaś się tak, jakbyś się naprawdę przejmowała. Pamiętasz, jak powiedziałaś, żeby nie ufać nikomu^ kto całuje z otwartymi oczami? Rozstałem się przez to z dziewczyną.

Jane roześmiała się i dyskretnie wsunęła Mike’owi do ręki jesz-cze dwie baterie.

Mike otworzył dłonie i pokazał baterie Wiliemu.

– Tu masz zapasowe, na wypadek, gdybyś ich potrzebował – powiedział, kładąc baterie na nocnym stoliku, Głos miał tak zduszony, że Jane musiała się odwrócić, by ukryć łzy w oczach.

– Hej, dzięki, że przyszliście... i że się o mnie troszczycie – po-wiedział Willie, uśmiechając się niepewnie. – Wy, psychiatrzy, wcale nie jesteście takimi zimnymi rybami. To nieprawda, co o was mówią.

– Zostawimy cię teraz samego, Willie. Powiedzieli, że możemy być z tobą tylko przez kilka minut. Jeśli będziesz mnie potrze-bował, poproś pielęgniarkę, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze? Jane objęła Mike’a w pasie i przytuliła się.

– On zasnął, Mike. Spójrz, jak spokojnie teraz wygląda.

– Tak, rzeczywiście.

Nim wyszli ze szpitala, Mike odszukał doktora Yahnera i zapowiedział mu, żeby pod żadnym pozorem nie zabierać Wiliemu baterii.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, odwrócił się do Jane.

– No już, wyrzuć to z siebie.

Jane westchnęła głęboko. Bała się tej chwili.

– Znów miałam sen, Mike. A kiedy się obudziłam, wszystko było jasne. – To nie odbyło zupełnie tak, ale lepiej, żeby Mike sądził, iż po prostu obudziła się z gotowym rozwiązaniem, niż że to chłopiec ze snuje podsunął. Obserwowała twarz Mike’a, aby przekonać się, co myśli. Jak na razie, uwierzył w jej opowieść. – Teraz, kiedy już wiem, że to Willie jest twoim pacjentem, to zaczyna mieć sens. Kiedy był w szkole, nie miał w sobie energii ani woli życia. Był ciągle błądny i niespokojny. Mógł tylko siedzieć. Nie wiem, czy z tego wyrósł, ale w pewnej chwili coś musiało zaniepokoić go do tego stopnia, że zaczął kupować baterie, sądząc, że dostarczą mu energii. Powiedziałeś, że kiedy pierwszy raz się u ciebie pojawił, był zdrowy i krzepki. Myślę, że nim zaczął się z tobą widywać, musiał doznać swego rodzaju szoku. W pewnym sensie to nawet logiczne. Starzy Winsletowie mieszkają nadal w mieście, mógłbyś z nimi porozmawiać. Ale ostrzegam cię, jeśli to zrobisz, jeszcze bardziej się zaangażujesz. Gdyby to był mój pacjent, tak właśnie bym postąpiła. Mógłbyś zastanowić się też nad hipnozą. W przeciwnym razie Willie do końca życia nie uwolni się od tej obsesji. Mike pochylił się i pocałował ją.

– Muszę przyznać, że sprytna z ciebie osóbką, wiesz o tym?

– To może zafundowałbyś mi lunch? Konam z głodu. A przy okazji pomógłbyś mi zdecydować, co mam zrobić z Toddem Prentice’em i Brianem Ramseyem. Nie uwierzysz, co wymyślili

Trixie i Fred. Sama w to nie wierzę – powiedziała, uśmiechając się do niego. – To będzie drogi lunch, Sorenson, chyba na niego zasłużyłam.

Punktualnie o pierwszej Mike podrzucił Jane na farmę.

– Chciałbym tu trochę zostać, ale muszę wracać. Zobaczymy się mniej więcej o siódmej, dobrze?

– Będę czekała. Teraz, kiedy Murray zajmuje się psami, nie ma tu zbyt wiele pracy. Masa papierkowej roboty, to wszystko. Muszę się do tego zabrać. Przywieziesz kolację czy mam coś ugotować?

– Dawno nie jedliśmy nic od Chefa Roya. Co byś powiedziała na zupełną okrągłą i langustą dla ciebie i krewetkami en brochette dla mnie? Do tego sałatka ziemniaczana i figi w sosie vinaigrette.

Jane oblizwała się ze smakiem.

– Świetnie. Weź jeszcze półmisek jarzyn na parze dla Olive, tylko upewnij się, żeby je dobrze doprawili.

Mike objął ją i przyciągnął do siebie.

– Kocham cię, lane. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie musiałem się zastanowić, co bym zrobił bez ciebie. – Pocałował Jane lekko w czoło i spojrzał na nią. – Naprawdę zamierzasz spalić ten stary dom?

– Niekoniecznie. Może wysadzę go w powietrze. Muszę się popytać, jak to zrobić. Tak czy inaczej, zamierzam go zniszczyć.

– Do zobaczenia wieczorem.

Jane patrzyła w ślad za oddalającym się sportowym samochodem, aż zniknął jej z oczu. Czowała się dziwnie samotna i opuszczona, przynajmniej dopóki nie podbiegły do niej Golda i Olive.

– On wróci. Muszę zmienić ubranie i wziąć się do pracy, ale najpierw porozmawiam z Trixie – powiedziała, przytrzymując moskitierę, by psy mogły wejść do środka. – Trixie! – zawołała.

- Jestem w kuchni, Janie. Jak było w szpitalu?
- Mike i ja wreszcie mówimy tym samym językiem. Zastanawiam się, czy by nie zarzucić przynęty. Mogłabym pojechać do firmy Briana Ramseya i porozmawiać z nim. Czuję, że to właściwy moment. Tej nocy, kiedy znaleźli Betty, poznałam go od zupełnie innej strony. Chętnie bym się mu bliżej przyjrzała.
- Lepiej teraz niż później – powiedziała Trixie. – W przyszłym tygodniu na farmie pojawiają się funkcjonariusze, którym zamierzamy przydzielić psy, więc będzie tu niezły rozgardiasz. John już przygotowuje zwierzęta, a Flash mu pomaga. Nie masz pojęcia, jaki ten pies jest mądry. Moim zdaniem to prawie człowiek. Olive też niezłe orientuje się we wszystkim. A Golda jest jak do tego stworzona.
- W porządku, będę tu bladym świtem, zwarta i gotowa. A tak przy okazji, Mike bardzo dobrze poradził sobie ze swoim pacjentem. Dziś byłam z niego bardzo dumna. W końcu położył uszy po sobie. Widocznie, jak każdy z nas, ma swoje czułe miejsce. Dziś je ujawnił. Wszystko będzie dobrze. Chyba właśnie pozbyłam się ostatnich wątpliwości, jeśli chodzi o niego. Pa, do jutra.

Jane zaparkowała swego rovera obok chevy blazera i rozejrzała się dookoła. Pokręciła głową z podziwem. Firma przewozowa Ramseya stanowiła najwidoczniej dochodowe przedsięwzięcie. Pomieszczenia biurowe były niewielkie, ale czyste i przytulne. Recepcjonistka, kobieta w średnim wieku, uśmiechnęła się do niej ciepło. Jane odwzajemniła uśmiech.

- Widać, że ma pani dobrą rękę do roślin – powiedziała, wskazując ręką otoczenie.
- Nie, to zasługa pana Ramseya. To on opiekuje się roślinami. Ma nawet małą szklarnię z tyłu budynku. Powinna pani zobaczyć jego afrykańskie fiołki. Podlewa je za pomocą tamponu ze

starych, obciętych rajstop. Czym mogę pani służyć?

– Chciałabym zobaczyć się z Brianem. Mogłaby go pani zawiadomić, że przyszła Jane Lewis?

– Jasne. Brian, ktoś do ciebie! – krzyknęła przez ramię.

Gdy Ramsey stanął w progu, szok, malujący się na jego twarzy zaskoczył Jane.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Możemy wyjść na zewnątrz? Chciałabym zobaczyć twoją cieplarnię.

– Odbieraj telefony, Louise. To mi nie zajmie dużo czasu.

– Jasne.

– Nie powiedziałam jej, że jestem psychiatrą, Brian. To twoje życie prywatne, poza tym nie zostałam tu wezwana jako lekarz. Muszę z tobą porozmawiać. Po pierwsze, chcę ci pokazać kopię listu, który zostawiła dla mnie Betty. Oryginał oddałam policji. Jeśli wolisz tego nie czytać, w porządku, zrozumiem.

Nie, chcę go przeczytać. Parę dni temu zaniósłem kwiaty na cmentarz. Czulem się równie okropnie, jak teraz. Chciałem jej pomóc, przysięgam na Boga, naprawdę chciałem. Ale źle się do tego zabrałem. Obwiniam siebie za wiele rzeczy, które ją spotkały. Była taka młoda. Ze względu na nią wołałbym, żebyśmy nigdy się nie poznali.

Przeczytał list, zamrugał, by strząsnąć łzy z rzęs i oddał go Jane.

– Chcę, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz. Każdy najmniejszy szczegół. Nie przejmuj się, jeśli wyjdzie na jaw, że nie jesteś człowiekiem, za jakiego się dotąd uważałeś. Sama ocenię fakty. Jeśli teraz nie masz czasu, możemy umówić się na inny termin. Będę zajęta do środy włącznie, więc może w czwartek? Jest jeszcze coś, Brian. Coś równie poważnego, ale o wiele bardziej paskudnego. – Czerstwa twarz Briana wyraźnie zbladła. Podprowadziła go do stosu skrzynek z sałatą, stojących na zewnątrz ostatniego budynku. Przysiadła na skraju skrzynki, a on zrobił to samo.

Pokręcił przecząco głową.

– W przyszły czwartek muszę pojechać na uczelnię. Urządzają tam coś w rodzaju konkursu dla wszystkich piłkarzy. Sponsorzy dają uniwersytetowi hojną dotację, sto tysięcy dolarów. Jestem członkiem Komitetu Absolwentów, więc muszę tam być. Jeden z uczestników ma szansę wygrać pięćdziesiąt tysięcy. Możemy spotkać się po moim powrocie?

Jane gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Jasne – powiedziała, starając się, aby jej głos brzmiał normalnie. – Więc może w piątek?

– Mniej więcej o tej porze. Postaram się mieć tyle czasu, żebyśmy mogli rozmawiać tak długo, jak będzie pani chciała. Jane wstała.

– Byłeś rok niżej ode mnie, prawda? Nie bardzo interesowałam się sportem, ale pamiętam twoje nazwisko. Wy, dawni sportowcy, pewnie trzymacie się razem, co?

Brian zeszytniał.

– Nie przez cały czas, ale na ogół tak. Wszyscy należeliśmy do tego samego bractwa.

– Niech no pomyślę – powiedziała Jane, opierając brodę na dłoni – wszyscy, to znaczy ty, Todd Prentice i kto jeszcze?

– Dlaczego chce pani to wiedzieć, pani doktor? Jane uśmiechnęła się niewinnie.

– Wiesz, jacy są psychiatrzy. Lubią szczegóły. Znasz to powiedzenie – diabeł tkwi w szczegółach.

– Więc kim byli pozostali? – spytała, patrząc mu prosto w oczy.

– Wiem, że nie zapomniawsz.

Brian zaczął się pocić.

– Zwykle trzymałem się z Marcusem Appletonem, Tonym Larsenem, Mitchem Iversonem, Petem Zacharym i Benem Nolanem. Wszyscy skończyli studia rok przede mną, tak jak pani, ale należeliśmy do tego samego bractwa.

– Bracia, co?

Brian otarł czoło rękawem.

– Można by tak powiedzieć, choć ja tak naprawdę nigdy do nich nie należałem: Poszedłem na uniwersytet, żeby się uczyć i grać w piłkę. Skończyłem z oceną 4, a oni byli szczęśliwi, jeśli udało im się uzyskać 2, 2. Nawet mój dyplom oceniono powyżej średniej. Jeśli chce pani znać moje zdanie, nie byli wiele warci. Trzymałem z nimi, bo musiałem. Mogłem studiować tylko dzięki stypendium piłkarskiemu.

– Czy oni też zamierzają wziąć udział w tym konkursie?

– Tak, żeby zgarnąć pięćdziesiąt tysięcy. Nie dla dobra uczelni. Nic ich nie obchodzi, czy uniwersytet dostanie pieniądze. Na tym polega różnica. Mnie na tym zależy. Proszę posłuchać, pani doktor, nie urodziłem się wczoraj i wiem, do czego to zmierza. Nie jestem facetem, którego pani szuka.

– Wiem o tym – odparła Jane, krzyżując na piersi ramiona. – Powiedz mi jedno. Jak tam twoje sumienie?

– Nie lepiej ani nie gorzej niż u każdego innego faceta – powiedział Ramsey, wkładając ręce do kieszeni.

– Zła odpowiedź, Brian. To się tak nie skończy, zapewniam cię. Nie chciałbyś wreszcie zaznać spokoju? Znaleźć sobie jakąś miłą kobietę i założyć rodzinę, nie bojąc się, że z przeszłości wychyną nagle potwory? Czy masz pojęcie, jakie cudowne i czyste byłoby twoje życie, gdybyś potrafił zebrać się na odwagę? Zadzwoń do ciebie w piątek, zgoda? – Brian skinął głową.

– No to do zobaczenia.

– Pani doktor?

Jane odwróciła się. – Tak, Brian?

– Ile z tego przedostanie się do wiadomości publicznej?

– Ile będzie trzeba. Dlatego byłoby dobrze, żebyś oczyścił się jak najwcześniej – że tak powiem, pierwszy minął bramkę. Zwykle najłatwiej jest to zrobić, nim cała reszta zacznie się

przepychać. Nigdy nie przyszło ci na myśl, że ktoś mógł was widzieć? Że mógł być jakiś świadek? – Jane nie przypuszczała dotąd, że człowiek może dosłownie skurczyć się na jej oczach. Lecz Brian Ramsey właśnie to zrobił.

Jane wykorzystała wszelkie możliwe skróty i boczne uliczki, by jak najszybciej znaleźć się z powrotem na farmie i opowiedzieć Trixie, czego się dowiedziała. Kiedy wpadła wreszcie do kuchni, ledwie mogła oddychać.

– To będzie w następny czwartek, Trix. Brian Ramsey jedzie na uniwersytet i pozostali też. To już za tydzień! Jest wystraszony jak diabli. Dałam mu sporo do myślenia. Teraz może albo powiedzieć pozostałym, albo zatrzymać wszystko dla siebie i kiedy się do niego dobiorą, próbować wykręcić się sianem. Gdyby nie ten bagaż z przeszłości, Brian byłby zupełnie miłym facetem. Powiedział, że zaniósł kwiaty na grób Betty. O mało się przy tym nie rozplakał. To coś znaczy. Kiedy wracałam, próbowałam jeszcze raz sobie wszystko przypomnieć. Jeżeli, powtarzam, jeżeli to on był tym szóstym chłopakiem, nie zrobił nic złego. Stał z boku i nawet klócił się z którymś z pozostałych. Byłam tak przerażona, że nic nie usłyszałam. Poza tym oni tylko warczeli do siebie gniewnie i trudno było cokolwiek zrozumieć. Przysięgam na Boga, on nie miał pojęcia, że to ja jestem tą drugą dziewczyną. Dopiero teraz pouklada sobie wszystko w głowie. Skoro ukończył studia z końcową oceną 4, nie może być tępy, zwłaszcza że i na dyplomie ma ocenę powyżej średniej. Żałuję... Boże, Trixie, żałuję tylu rzeczy...

– Nie wszystko naraz, Janie. Teraz już doprowadzisz sprawę do końca.

– Zajęło mi to sporo czasu. Ale chyba dobrze robię, prawda, Trixie? Wiem, że ich życie się zmieni, ucierpią rodziny. Czy mam prawo robić to, co robię?

– Skarbie, lepiej zadaj sobie pytanie, czy Connie Bryan miała

prawo żyć. Albo czy inni mieli prawo stosować wobec niej przemoc. Wtedy zrobiłaś to, co uznałaś za słuszne – dotrzymałaś obietnicy. Znasz moją życiową filozofię. Najpierw wal, a potem pytaj kto, co i dlaczego.

– Wracam do domu, Trixie. Muszę się zastanowić.

– Zaczekaj chwilę. Byłabym zapomniała. Dzwonili z agencji Tysona. Właściciele przyjęli twoją ofertę. Podejrzanie chętnie, moim zdaniem. Lepiej zastanów się i nad tym, skoro już jesteś w odpowiednim nastroju.

– Dobrze, Trixie – powiedziała Jane ponuro.

Jane przewróciła się na bok i natychmiast uświadomiła sobie, że nie ma przy niej Mike'a. Pomacała dłonią w poszukiwaniu zegarka. Piąta czterdzieści pięć rano. Miała godzinę i piętnaście minut, zanim będzie musiała pojechać przez pola do domu Trixie. Zakopała się głębiej w pościel, starając się przywołać z powrotem przerwany sen. Olive przytuliła się do niej i zaczęła lizać ją po twarzy.

– Myślałem, że nigdy się pani nie obudzi, panno Jane.

– Idź sobie. Nie jesteś w moim śnie. Należysz do zupełnie innego snu. Doceniam twoją pomoc, ale denerwujesz mnie. Zaczynam się zastanawiać, czy jednak nie jesteś zjawą.

Billy, stojący w nogach łóżka, roześmiał się.

– Już czas! – Uśmiech zniknął z jego twarzy równie szybko, jak się pojawił. – Chcę pani coś powiedzieć, panno Jane. Nie musi pani palić domu ani wysadzać go w powietrze. Wystarczy, jeśli powie pani matce, że jej wybacza, a wtedy ona spokojnie przejdzie na drugą stronę.

Jane skrzywiła się.

– To nie twoja sprawa, Billy. W sprawy dotyczące mojej matki, lepiej się nie wtrącaj – zbesztala go. – Prędzej piekło zamarznie, niż jej wybaczę. Mam nadzieję, że będzie się tak miotala do końca świata. Dyskusja skończona. Ale powiedz mi, jak mogłabym uwolnić ciebie. Chętnie to zrobię. Nie wskoczyłeś sam do tej studni, prawda?

– Nie. Bawiłem się z bratem i nagle coś się stało. Popchnął mnie i wpadłem do studni, a on bał się o tym powiedzieć. Minęły godziny, zanim mnie znaleziono, ale wtedy było już za późno. Utonąłem. Jeśli naprawdę chce mi pani pomóc, proszę zlikwidować tę studnię. Jest w niej głaz, który nie pozwala mi się uwolnić. Gdyby mogła to pani dla mnie zrobić, byłbym nie-

skończenie wdzięczny.

– Nie ma sprawy. Jesteś pewien, że tego chcesz? A co z Jeeterem?

– Będę go mocno trzymał i przejdzie razem ze mną.

– W porządku, chłopcze, pakuj manatki. Zrobię to jeszcze dzisiaj. Uważają mnie tu za wariatkę, więc nie bądź zdziwiony, jeśli fachowcy nie będą się zbyt spieszyc. Obiecuję jednak, że się postaram.

– Co mogę zrobić dla pani w zamian, panno Jane? To byłoby w porządku.

– Nic, Billy. Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy. Próbuję uporządkować swoje sprawy. Jeśli wyjdę za Mike'a, nie życzyłabym sobie, żeby przeszłość rzucała cień na nasze życie. Poza tym zamierzam mieszkać tu do śmierci i wołałabym, żebyś nie straszył moich dzieci. Ani mnie. Lubię cię, ale twoje miejsce jest gdzie indziej.

– Mogę powiedzieć pani matce, jaką jest pani miłą osobą, kiedy już oboje znajdziemy się po drugiej stronie.

– Nic takiego się nie zdarzy, więc przestań o tym mówić, bo zmienię zdanie.

– Dlaczego jest pani taka rozdrażniona? Przecież jeszcze nawet nie wstała pani z łóżka.

– Dlaczego nie zajmiesz się swoimi sprawami?

– Pani jest jedną z nich, panno Jane.

– Więc akurat o tej zapomnij. Proszę.

– Chciałem pani powiedzieć, że Jeeter dużo się nauczył podczas tych treningów.

– Co takiego?

– On może robić wszystko, co robią inne psy. Może też pobiec na farmę, ponieważ zmarł śmiercią naturalną. Jestem z niego taki dumny.

– Jeśli już przejdiesz na drugą stronę, to czy będziesz mógł tu

wracać? No wiesz, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają.

– Myślę, że tak, ale tylko jeśli naprawdę będzie mnie pani potrzebowała. Najpierw musi pani uwierzyć, a potem przestać nazywać mnie jakimś chochlikiem.

– W porządku, jesteś duchem, a moja matka jest chochlikiem. Pasuje?

– Pani angielszczyzna pozostawia wiele do życzenia, panno Jane. – Pochylił się i oparł dłonie na poręczu łóżka. ‘ – Wiem, co pani myśli, ale matka jednak panią kochała, a teraz ciągle płacze, ponieważ jest jej przykro, że tak panią traktowała.

– Guzik prawda! Ona i skrucha, akurat! Ten płacz to sztuczka. Zawsze tak robiła, gdy chciała wymusić coś na moim ojcu. To nigdy nie były prawdziwe łzy. Bo gdyby płakała naprawdę, całe to paskudztwo na jej twarzy rozplęnęłoby się i wyglądałaby jak upiór. To ona cię do mnie przysłała?

– Nie. Niech pani nie będzie taka podejrzliwa. Powiedziałem prawdę. Ona panią kochała, a teraz jest jej przykro. Czeka na panią w tym starym domu. Jeśli chce pani być szczęśliwa, będzie pani musiała ją uwolnić. Spalenie domu nic nie da. Co powie pani swoim dzieciom, gdy zapytają o babkę?

– Prawdę. Że była wstrętną dziwką, opętaną nienawiścią.

– Jeśli pani to zrobi, one przekonają się, że pani też nosi w sobie nienawiść. Nie wolno pani do tego dopuścić. Wiem, że jest pani bystra. Nie rozumie pani tego?

– Posłuchaj, chłopcze. Zamierzam się obudzić i lepiej, żeby cię tu wtedy nie było. Nie dawaj mi więcej rad* nawet jeśli o nie poproszę.

– Teraz to już powiedziała pani coś naprawdę głupiego.

– Równie głupiego, jak być chochlikiem?

Olive zaczęła gwałtownie szczekać i Jane zerwała się z łóżka.

– Już wstaje, uspokój się! Chcesz, żebym za tobą poszła? Dobrze już, dobrze. – Założyła kapcie, narzuciła szlafrok, a potem

począpiała za Olive przez dom i ogród do starej studni. Było już na tyle widno, że mogła dostrzec małego psa o cętkowanej sierści. – Jeeter?

Pies zaszczekał w odpowiedzi.

Jane uszczypnęła się, żeby sprawdzić, czy na pewno nie śni. Nie spała. A koło studni biegał Jeeter, a raczej jego duch, niezbyt wyraźny i lekko przezroczysty.

– Dobrze, już dobrze, malutka – powiedziała, poklepując Olive.

– Idź, pobaw się z nim. Ja się ubiorę, a potem wykonam kilka telefonów. – Potrząsnęła głową, żeby rozjaśnić myśli. Duchy, zjawy i upiory. Czyżby zaczynała wierzyć w ich istnienie? Dlaczego nie biegła teraz, wrzeszcząc ile sił w płucach, jak zrobiłaby większość ludzi na samo Wspomnienie słowa duch? Znów potrząsnęła głową.

– Zobaczycie znaczy uwierzyć – mruknęła pod nosem.

Jeśli chce odesłać Billy'ego i Jeetera do domu, gdziekolwiek by byli – w niebie, w zaświatach czy po drugiej stronie – musi zacząć działać.

Kiedy John Murray obwieścił koniec porannego treningu, dochodziło południe.

Jane wyszła na słońce i wykonała kilka ćwiczeń, żeby rozciągnąć obolały kręgosłup. Trenowanie psów wymagało ciągłego schylania się i garbienia.

– Chyba daruję sobie lunch, Trixie. Mam coś do załatwienia.

Dzwonili może z uniwersytetu?

– Jeszcze nie. Chyba zanosi się na deszcz. Powiedziałabym nawet, że będzie solidna burza. Lepiej załatw, co masz do załatwienia, zanim się zacznie. Czy to dzisiaj spotykasz się z Ramseyem?

– Tak. Uporałam się już z papierkową robotą. Pracowałam przez cały wieczór. W przyszłym tygodniu przyjeżdża kolejnych dwanaście psów. – Spojrzała przez podwórko na barak z prefa-

brykatów, który budowlący postawili podczas weekendu.

– Chyba damy sobie radę. No dobrze, do zobaczenia później. Wpadnę po Olive w drodze powrotnej.

Jechała przez miasto, spoglądając to na drogę, to na zbliżające się burzowe chmury. Na szybie pojawiła się delikatna mgiełka. Poczowała, że zaczynają jej drżeć nogi. Niedługo cała będzie się trzęsła ze strachu, jak zawsze podczas burzy. Kiedy zobaczyła tabliczkę z nazwą ulicy, westchnęła głośno. Rosemont Street. Tym razem nie będzie musiała wkradać się przez piwnicę. Tym razem, dzięki agencji Tysona ma klucze.

Spalenie domu nic pani nie da. Słowa Billy’ego dźwięczały jej w uszach, kiedy przekreślała klucz w zamku. Więc co powinna zrobić? Nim zdążyła odpowiedzieć sobie na to pytanie, drzwi się otworzyły.

Lunęło, gdy znalazła się w środku. Przez chwilę stała nieruchomo z rękami przyciśniętymi do piersi, wyglądając ze strachem przez frontowe okno. Niebo przecinały błyskawice, a ponad jej głową przetoczył się grzmot. Dokąd mogła pójść? Pokoje były otwarte i puste, a okna niczym nie przysłonięte. Nie było gdzie się ukryć. Nagle znów stała się przerażonym dzieckiem, przemierzającym pokoje w poszukiwaniu kryjówki.

– Chodź ze mną, Jane. Wiem, gdzie jest bezpiecznie.

– Mama?

– Pospiesz się, Jane. Weź mnie za rękę.

Dłoń matki wydawała się taka miękka, ciepła i bezpieczna.

– Pod schodami jest komórka. – Poprowadziła Jane ku schodom i otworzyła drzwiczki małego pomieszczenia w końcu korytarza.

– Trzymaliśmy w tym schowku narzędzia taty. Jest tu dość miejsca dla nas obydwu. Nie bój się, jestem przy tobie.

Jane opadła na klęczki i wczołgała się do środka. W komórce było ciemno, ale czuła się bezpieczna.

- Podoba mi się. Tak tu przytulnie.
- To była twoja ulubiona kryjówka. Nie pamiętasz?
- Pamiętam. Schowałam się tutaj, kiedy spaliłam twoje rzeczy. Obserwowałaś mnie wtedy?
- Tak. I wiem, dlaczego to zrobiłaś. – Objęła Jane i przytuliła do siebie. – Przykro mi, Jane. Byłam niedobłą żoną, a jeszcze gorszą matką.
- Dlaczego byłaś taka podła, taka okrutna?
- Bo nie umiałam kochać innych. Kochałam wyłącznie siebie. Moje ciało, moją urodę. Myślałam tylko o swoich włosach, ubraniach, o tym, jak wyglądam. Przepraszam, że nie byłam taką matką, jakiej potrzebowałaś. Nie będziesz taka jak ja, kiedy już urodzisz dzieci, prawda?
- Nie. Zamierzam kochać swoje dzieci. I zawsze mieć dla nich czas. Nauczę je, jak być dobrym dla innych, troszczyć się o nich. Chcę, żeby wyrosły na ludzi silnych, niezależnych i oddanych. Mike mi w tym pomoże. Nie będę taka jak ty, nigdy. Nie chcę, by moje dzieci mnie nienawidziły.
- A ty naprawdę mnie nienawidzisz, Jane? Jane wyswobodziła się z objęć matki.
- Tak. Próbuję z tym walczyć, ale to na nic. I co ja powiem dzieciom, kiedy spytają mnie o babcię? Czy mam im powiedzieć, że mnie nie kochałaś, a mimo to dorosłam i założyłam rodzinę? Albo że byłaś tak zapatrzona w siebie, że nie miałaś czasu dla nikogo innego? A może powinnam przywieźć je do tego domu, żeby zobaczyły, jak straszysz? Nie sądzę. Do licha, nie mogę nawet powiedzieć, że umarłaś i poszłaś do nieba, bo to nieprawda. I wiesz co? Wcale nie jesteś piękna. To tylko kosmetyki sprawiły, że ładnie wyglądałaś. Bez nich jesteś niemal brzydka.
- Uważaj, Jane, mówisz jak ja kiedyś – ostrzegła ją matka.
- Powiedz mi coś, droga mamusiu. Czy gdyby jakimś cudem

udało ci się przedostać na drugą stronę, byłabyś taka sama jak tutaj? To znaczy brzydka, podła i przepełniona nienawiścią?

– Myślę, że tam wszystko wygląda inaczej. Nie jesteś zwolenniczką przebaczenia i dawania drugiej szansy, co, Jane?

– Nie, jeśli chodzi o ciebie, matko.

– Możesz w to wierzyć lub nie, ale ja cię kochałam. Gdy byłaś malutka przychodziłam do twego pokoju i przyglądałam się, jak śpisz. Zawsze cię okrywałam i nastawiałam pozytywkę, nawet jeśli spałaś jak zabita. Czasami nawet ci śpiewałam. Nie miałam najlepszego głosu, więc na ogół tylko nuciłam. I czytywałam ci bajki. Obiecywałam też sobie, że się zmienię, że zabiorę cię do zoo, do kina i na lody. Jednak nigdy tego nie zrobiłam.

– Nie wierzę ci. Nigdy mnie nie otulałaś, nie śpiewałaś mi, ani nie czytałaś. Pamiętałabym, gdyby tak było.

– Spałaś. Jak możesz pamiętać? Teraz też musisz się przespać, Jane. A gdy się obudzisz, burza będzie daleko. Położę się obok ciebie.

– Nie nabiorę się na twoje sztuczki. Po prostu chcesz, żebym cię uwolniła.

– Teraz interesuje mnie tylko, żebyś ty była spokojna i szczęśliwa. Cicho, zaśpiewam ci piosenkę, tak jak śpiewałam wtedy. Ciepło ci? Przysuń się, to cię przytulę. Cicho, maleńka...

Kiedy się obudziła, była tak zdenerwowana, że zaczęła krzyczeć i walić pięściami w drzwi. Czyżby traciła rozum? A może już go straciła i nawet o tym nie wie? Wyczołgała się z komórki i rozejrzała dokoła. Burza właściwie minęła, ale nadal padało. Podniosła się z klęczek, otrzepała ubranie, a potem odwróciła się, by zajrzeć do komórki. Z sufitu zwieszała się żarówka na drucie. Nie zapalała jej, a jednak światło się paliło. Pociągnęła za łańcuszek. Nagła ciemność przyprawiła ją o dreszcz.

– Mamo – szepnęła.

– Jestem, Jane. Teraz możesz już wyjść. Bądź ostrożna, drogi są

śliskie. Wszystko w porządku, niczego mi nie obiecałaś.

– Mamo – szepnęła znowu. Poczowała, że coś dotyka jej policzka, coś ciepłego i lekkiego jak piórko. Czyżby matka ją pocałowała? Dotknęła twarzy i poczuła pod palcami wilgoć.

– Odwiedź mnie znowu, Jane. Czuję się tu taka samotna.

Jane wybiegła z domu, wskoczyła do samochodu i odjechała pełnym gazem. Dopiero w połowie drogi do firmy Ramseya przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi na klucz. Żałowała, że nie zabrała ze sobą Olive.

Ledwie zaparkowała na miejscu dla gości, a już Brian Ramsey podszedł do niej. W spodniach koloru khaki i białej, rozpiętej pod szyją koszuli z podwiniętymi rękawami wyglądał niezwykle schludnie. Na nosie miał okulary słoneczne. Ciekawe, po co mu okulary w taki pochmurny dzień, pomyślała Jane. Lecz kiedy weszli do szklarni i Brian zdjął szkła, sprawa się wyjaśniła.

Wokół oka miał wielki siniak. Jane aż się skrzywiła.

– Boli?

– Pewnie, boli jak cholera. Wczoraj było jeszcze gorzej. Dzisiaj przynajmniej mogę uchylić powiekę. Usiądźmy, pani doktor i pogadajmy – powiedział, wskazując sekwojową ławę.

Jane usiadła i założyła nogę na nogę. Pomimo tego, co zdarzyło się wcześniej, czuła się zadziwiająco dobrze. Odczuwała dziwny spokój, a właściwie nie tyle spokój, co zadowolenie. Utkwiła wzrok w Brianie i czekała.

– Proszę mi coś wyjaśnić – zaczął. – Rozmawialiśmy o nastraszeniu Connie Bryan, tak?

– Nastraszeniu? – powtórzyła Jane. – Tak nazywasz zbiorowy gwałt? Ja bym to określiła inaczej. Pamiętaj, że ktoś was widział.

Na twarzy Briana widać było przerażenie.

– Chwileczkę, pani doktor. Chyba nie mówimy o tym samym. –

Pokręcił głową, spoglądając na Jane błędnym wzrokiem.

– Owszem, rozmawiamy. Mówię o nocy przed końcowymi egzaminami. Była mniej więcej dziesiąta wieczór. Sześciu facetów. Wysokich i postawnych. Futbolistów. Trzech z nich zgwałciło Connie. I nawet nie próbuj mi wmówić, że o tym nie wiedziałeś. Nie jesteś głupi. A może się mylę?

– Myli się pani. Oni mieli ją tylko nastraszyć – upierał się. – Była z nią droga dziewczyna, pewnie ta, która wszystko widziała. Niech ją pani znajdzie i zapyta. Powie, że nie było żadnego gwałtu.

Jane wstała, wściekła.

– Nie muszę nikogo pytać, Brian. To ja jestem tą drugą dziewczyną, ja byłam świadkiem tego, co się tam stało – powiedziała, stukając się palcem w pierś. – Być może teraz wyglądam inaczej, ale zapewniam cię, że tam byłam. Wiem, co się wydarzyło. To nie było żadne straszenie, to był gwałt. Zbiorowy gwałt. – Umilkła na chwilę, żeby się opanować. – Potem uciekliście wszyscy jak tchórze, którymi przecież jesteście. Pomogłam Connie wrócić do akademika i próbowałam ją pocieszyć. Ale tego po prostu nie dało się zrobić. Ze wstydu i strachu omal nie oszalała. Kazała mi wyrzucić swoje ubrania, żeby nie przypominały jej tego, co się stało. Aleja ich nie wyrzuciłam, Brian. Schowałam je do papierowej torby i przechowałam. Mam je nadal. Jest na nich mnóstwo DNA. To dowód. Zatrzymałam nawet zdjęcia obrażeń Connie. Zrobiłam je polaroidem. – Spojrzała na rząd ciemnofioletowych fiołków afrykańskich za plecami Briana. Starając się opanować zamęt w głowie, mimo woli chłonęła piękno kwiatów. Wszystkie fiołki, jakie kiedykolwiek zasadziła, więdły po paru miesiącach. – Connie wymusiła na mnie obietnicę, że nie powiem, co jej się przytrafiło, dlatego przez wszystkie te lata milczałam. Ale dość tego. Pora wymierzyć sprawiedliwość. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Kiedy

pierwszy raz pojawiłeś się w moim gabinecie, to Wszystko do mnie wróciło i odtąd prześladowe mnie z nową siłą. Jakiś czas temu uznałam, że nie mogę tak dłużej żyć. Muszę wszystko ujawnić. – Odetchnęła głęboko i usiadła. – Powiesz mi, skąd ten siniak?

Twarz Briana przybrała ponury wyraz, a jego potężne ramiona opadły.

– Odbyłem kilka rundek z Benem Nolanem. Twierdził, że nie pamięta tamtego wieczoru. No, to już sobie na pewno przypomniał. – Zaciśnął dłonie w pięści. – Proszę sobie tylko nie wyobrażać, że jestem bratałem. On mnie sprowokował, tak jak tamta lekarka Betty sprowokowała panią. O ile wiem, nigdy nikt potem nie rozmawiał o tym, co się stało tamtej nocy. Byłem wtedy na trzecim roku. Pozostali skończyli studia wcześniej, ale spotykałem się z nimi przez te lata i żaden nie pisał o tym ani słowa. – Oberwał uschnięty kwiat fiołka i przez chwilę obracał go między palcami. – Widuję się z Prentice’em z okazji różnego rodzaju spotkań, związanych z działalnością Komitetu Absolutów. Na ogół ledwie skinie mi głową i patrzy tak, jakby mnie nie widział. – Odwrócił się na ławie. – O śmierci Connie dowiedziałem się po roku, a o tym, że odebrała sobie życie, po czterech czy pięciu. Nigdy o nic nie pytałem. Ona nie grała w mojej lidze, podobnie jak większość tamtych facetów. Przysięgam na Boga, że nie wiedziałem o gwałcie, choć teraz wszystko nabrało sensu. Ma pani rację, potrzebuję adwokata. Niech pani posłucha, Tony i Mitch zorientowali się, że zostawiłem ich tamtego wieczoru. Byli zbyt zajęci przytrzymywaniem tamtej dziewczyny... pani, by mi przeszkodzić. Spotkałem się z nimi wcześniej w bibliotece i Marcus powiedział, że trzeba oddać przysługę jednemu z naszych braci. Sukinsyn!

– A na czym miała polegać ta przysługa?

– Mieliśmy trochę zmierzwić piórka Connie. Todd chciał z nią

zerwać, gdyż poznał tę bogatą dziewczynę, ale data ślubu była już wyznaczona. Mieli się pobrać za sześć tygodni. Chyba już nawet rozesłano zaproszenia. Zamierzał sprowokować kłótnię, a potem zerwać zaręczyny. Byłem pewien, że tak się stało, skoro poślubił pannę Bogacką.

– Może tak ci powiedzieli, ale Todd nie to miał na myśli. Pojechałam zobaczyć się z rodzicami Connie, gdyż przez cały czas dręczyło mnie poczucie winy. Dali mi kilka dyskietek córki, coś w rodzaju jej pamiętnika. Pisała tam o wizytach Todda, o ich rozmowach, jego oskarżeniach. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział o gwałcie. Wszystko, co powiedziałaś o Betty, kiedy pojawiłeś się u mnie po raz pierwszy – to samo napisała Connie. Obawiała się, że Todd jej nie zechce, kiedy się dowie, że została zgwałcona. Była ofiarą, tak jak Betty. A teraz obie nie żyją. Brian ukrył twarz w dłoniach.

– I co pani zamierza, pani doktor?

– Zamierzam przekazać dowody policji z Baton Rouge. Potem zadzwonię do rodziców Connie. A kiedy już dojdzie do procesu, będę świadkiem. Państwo Bryan z pewnością tak tego zostawią. I nie powinni. Connie była ich jedyną córką, jedynym dzieckiem. Mieli prawo oczekiwać, że jej życie będzie szczęśliwe i że da im wnuki. Gdybym była na twoim miejscu, Brian, skontaktowałabym się z tymi dwoma kolegami, którzy, jak twierdzisz, nic nie zrobili, i złożyłabym zeznanie. I chyba powinienś sprzedać firmę, nim to całe bagno was wszystkich pochłonie. Na pewno rzucają się na to media. Życie wielu ludzi zmieni się bezpowrotnie. Jeśli się dobrze zastanowić, to jedynym, który na tym skorzystał, był Todd Prentice. Pozbył się Connie, poślubił bogatą dziewczynę i dostał ciepłą posadkę w firmie jej ojca. – Jane oparła się o ścianę. Gardło miała ściśnięte z emocji. Tuż obok niej siedział człowiek odpowiedzialny po części za długie lata jej rozterek i śmierć Connie. Powinna czuć

wobec niego jedynie nienawiść. Nienawiść i wstręt. A tymczasem, o ironio, do pewnego stopnia mu współczuła. Ponieważ lata cierpień miał dopiero przed sobą.

– Więc, co mam zrobić, pani doktor.

– Najpierw musisz się przyznać, że brałeś w tym udział. Idź do pozostałych, przedstaw im sytuację i znajdźcie sobie prawnika. Musisz zgłosić się sam, Brian, bo inaczej powieszą cię za jaja. Mogę do pewnego stopnia potwierdzić twoje zeznanie. To ty byłeś tym facetem, który stał z boku, prawda? Nie widziałam twojej twarzy, ale zauważyłam, że odszedłeś. Twarzy innych też nie widziałam. Ale ugryzłam jednego z was, i to do kości. Na pewno ma teraz piękną bliznę.

– O rany! To po to był ten konkurs!

– Zgadza się.

– Boję się, pani doktor.

– Strach to zdrowe uczucie. Jedyne, co musisz zrobić, to powiedzieć prawdę. Na mnie już czas, Brian.

Brian skinął głową.

– Proszę to wziąć – powiedział, wręczając jej piękny okaz fiołka. – Ta odmiana nazywa się Wistaria, ze względu na kolor. Dałem jeden Betty, kiedy ostatni raz się z nią widziałem. Ona kochała kwiaty i zieleń.

Jane przyjęła prezent i wstała.

– Tak, oczywiście. Dzięki.

– Nie chciałbym pani straszyć, ale jeśli powiem rym facetom, że zamierza pani rozdmuchać sprawę, może się pani znaleźć w niebezpieczeństwie.

Jane wzruszyła ramionami.

– Zanim im powiesz, mój adwokat będzie już miał ich nazwiska i moje dowody: dyskietki, torbę z ubraniami, zdjęcia, wszystko. Chyba rozumieją, że nie warto jeszcze bardziej się pograżać. Weź się za to od razu, Brian. Nie trać czasu. Sytuacja pogarsza

się z każdą minutą.

Westchnęła głęboko i wyszła ze szklami.

– Nie rozumiem, dlaczego daje mi pani szansę. To prawda, wtedy uciekłem, ale wiedziałem, że zamierzają nastraszyć Connie. A kiedy przyszedłem do pani jako pacjent, zachowałem się jak palant. Kłamałem i nawet nie okazałem szacunku, na jaki pani zasługuje. A więc, dlaczego? – zapytał, oddychając z wysiłkiem.

Ruszyła przed siebie, zastanawiając się.

– Ponieważ zmusiłeś mnie, żebym dobrze się sobie przyjrzała – powiedziała w końcu, odwracając się. – Bardzo długo nie byłam do tego zdolna. Już dawno chciałam zgłosić się na policję. Choć zabrzmiałoby to dziwnie, to właśnie ty dodałeś mi odwagi i teraz czuję, że ten okropny ciężar, który dźwigałam tak długo, zaczyna zsuwać mi się z barków. Poza tym, skoro stałeś z boku, zasługujesz na to, by potraktować cię inaczej. To wspaniałe uczucie, Brian, kiedy ciężar spada ci z serca.

Jane spojrzała na kuchenny zegar, Dochodziła dwudziesta.

Trixie powiedziała, że łapie ją przeziębienie i chyba się wcześniej położy. Mike przez cały wieczór będzie brał udział w seminarium, więc się dziś nie zobaczą. Spojrzała na talerz z kolacją. Od kiedy poznała Mike'a, nie lubiła jadać samotnie. Olive pochłonęła swoją porcję i teraz spała pod stołem. Mogłaby pójść do gabinetu i popłacić rachunki za pośrednictwem komputera, przejrzeć jeszcze raz dyskietki Connie albo pogapić się w telewizor.

Choć prawdę mówiąc powinna usiąść, porządnie się nad wszystkim zastanowić i obmyślić jakiś plan. Musiała wykonać co najmniej setkę telefonów. Może powinna to załatwić najpierw, nim zajmie się innymi sprawami. Jeśli Trixie jutro też będzie się źle czuła, na Jane czeka podwójna porcja obowiąz-

ków.

Przesunęła talerz z sałatką na środek stołu. Kubek z zupą pomidorową powędrował w ślad za nim. Z filiżanką kawy w dłoni ruszyła do gabinetu i komputera. Na ekranie pojawił się motyw wygaszacza ekranu – zły pies. Jak zwykle uśmiechnęła się na ten widok. Wpisała hasło i otworzyła swoje pliki. Weszła do pliku „Lista spraw do załatwienia” i zaczęła gorączkowo pisać. Po trzydziestu minutach sprawdziła to, co zapisała. Fachowcy od kopania studni przyjadą wcześniej rano. Co się tyczy sprawy Connie Bryan... jadąc do adwokata, podrzuci rano dowody i dyskietki na policję w Baton Rouge. Do zał.: Mike... ślub. Do zał.: Matka – przemyśleć sprawę rozbiórki domu. Do zał.: Brian. Do zał.: Todd Prentice. Do zał.: pozostali gwałciciele. Do zał.: Betty – w rękach policji.

Już miała zamknąć plik, kiedy zadzwonił telefon.

Doktor Lewis, mówi Brian Ramsey. Wpadli do mnie Tony Larsen i Mitch Iverson. Pytają, czy mogliby z panią porozmawiać. Możemy wpaść do pani albo niech pani przyjdzie do mnie. Wie pani, gdzie mieszkam. Tak, widziałem panią przez okno tamtej nocy. Nie jest chyba zbyt późno na wizytę, prawda? Oni skontaktowali się dziś rano z adwokatem.

Jane się zawahała. Jak to będzie, gościć pod swoim dachem trzech z szóstki mężczyzn, którzy zgwałcili Cormie? Mike powiedziałby, że zwariowała, skoro w ogóle z nimi rozmawia, nie mówiąc o zapraszaniu ich do domu. Ale ona to nie Mike.

– Przyjedźcie, jeśli chcecie, ale i tak nie mogę nic zrobić.

Chciałabym, żebyś im to jasno powiedział.

– Powiedziałem. Nadal chcę z panią rozmawiać. Jane czekała.

Gdy otworzyła drzwi, aż skurczyła się w sobie. Wyglądali dokładnie tak, jak ich sobie wyobrażała. Obaj nieco przytyli i stracili trochę włosów. I obaj mieli ten sam przerażony wyraz twa-

rzy. Brian przedstawił kolegów.

Zaprosiła ich do saloniku, zaproponowała kawę, a kiedy odmówili, usiadła w fotelu jak najbliższej kominka. Napaliła w nim tuż po telefonie Briana. Porządny ogień zawsze dodawał jej otuchy. Olive biegła pomiędzy krzesłami z podwiniętym ogonem i czujnie przyglądała się gościom, Usiedli we trójkę na kanapie. – Chciałem, żeby pani wiedziała, że ja nic nie zrobiłem – wyrzucił z siebie Tony Larsen. – Brian i Mitch też nie. Marcus powiedział, że Todd chce, żebyśmy trochę poszarпали się z Connie i trochę ją postraszyli, a wtedy on będzie miał pretekst, żeby się z nią pokłócić i zerwać zaręczyny. Tak nam przynajmniej powiedział. Nie zgwałciłem Connie, więc na ubraniu nie będzie mojego DNA. Brian zmył się pierwszy, a my tuż za nim. – Złożył dłonie w błagalnym geście. – Proszę posłuchać, jeśli to wyjdzie na jaw, zniszczy moją rodzinę. Postąpiliśmy wtedy jak ostatni idioci. Ale nie chcieliśmy skrzywdzić Connie. Wtedy wydawało się nam, że po prostu pomagamy kumplowi. Nawet to było złe. Powinniśmy mieć więcej rozumu. Nie mam zamiaru pokutować za Marcusa, Bena i Pete’a, a Todd może iść prosto do piekła. Wszyscy zeznamy, że to był jego wymysł. Od początku do końca.

– I jak to się, waszym zdaniem, skończy? todd Prentice ma bogatego teścia. Stać go na najlepszego adwokata. Jego DNA nie ma na ubraniu.

Kiedy gwałcono Connie, był prawdopodobnie bardzo daleko stamtąd, a potwierdzi to sześćdziesięcioro świadków. Jednym słowem, zostajecie tylko wy.

– A co z dyskiecikami Connie? Nie obciążają go? – spytał Mitch. – Sprytny adwokat i z tym sobie poradzi – powiedziała Jane. – Będzie utrzymywał, że Todd zerwał zaręczyny i Connie była przygnębiona. Dziewczęta często prowadzą pamiętniki i czasami mijają się z prawdą w tym, co tam wypisują. Twój kumpel,

Todd, się z tego wywinie. Czy nie takiego określenia używają w filmach kryminalnych?

Tych dwóch nie budziło w niej litości. Ale nie czuła też satysfakcji, że w końcu zmusiła ich, by padli przed nią na kolana.

– Więc nie pomoże nam pani? – zapytał Mitch błagalnie.

– Nic nie mogę zrobić. Jak powiedziałam Brianowi, sprawa nie jest już w moich rękach. Oddałam dowody swojemu prawnikowi, który przekazał je policji. I nawet nie próbujcie prosić, bym dla was skłamała. Rodzice Connie stracili jedyne dziecko. Connie nie żyje, a ja zmarnowałam najlepsze lata życia, zmagając się z poczuciem winy. Czy wam się to podoba, czy nie, tkwicie w tym bagnie po uszy. Najwyższa pora wszystko powiedzieć. – Siedziała naprzeciw nich, przyciskając do piersi małą poduszkę.

– Nie znam się na prawie, ale zapewniam was, że w Luizjanie, w przeciwieństwie do innych stanów, nadal obowiązuje Kodeks Napoleoński. To dla was niedobrze. Radziłabym, żebyście jeszcze raz wszystko omówili i zastanowili się, jak sobie pomóc.

Szukajcie na przykład osób, które zaświadczą o waszym charakterze, zbierajcie świadectwa pracy i tym podobne. Nie zapomnijcie tylko, że wasz kumpel, Todd, też jest wplątany w sprawę. Być może będziecie chcieli zwrócić na to uwagę władz.

– A co by pani powiedziała, gdybyśmy odwiedzili panią całą siódemką? – zapytał Brian.

– Po co?

– Reszta też powinna usłyszeć, co ma pani do powiedzenia. Zgoda? Kto raz zachowa się jak głupiec, zawsze już będzie głupcem.

– Jasne. Może być jutro o ósmej wieczorem? Wszyscy trzej skinęli głowami.

– No dobrze, zobaczą się z wami. Zadzwońcie, jeśli reszta nie zgodzi się przyjść. Nie mam ochoty tracić czasu, więc albo zjawicie się wszyscy – łącznie z Toddem – albo nie przychodźcie

w ogóle.

Kiedy światła samochodu Briana rozplynęły się w mroku, odetchnęła z ulgą. Nic złego się nie stanie. Była tego niemal pewna. Mimo to potrzebny jej jakiś plan, ot tak, na wszelki wypadek.

Zatrzymano buldożer i studniarze stanęli jak wryci, wpatrując się w spoczywający na dnie studni szkielet.

– Te opowieści musiały być prawdziwe – powiedział brygadzi-
sta.

– Tuben, idź po panią Lewis. Henry, daj mi komórkę, zadzwonię po policję.

Jane wytarła dłonie w ścierkę i pospieszyła za Dannym Tubenem. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy zobaczyła szkielet – szczątki Billy’ego Jensena. Przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w studnię, a Olive kuliła się u jej stóp, popiskując z cicha.

– Jak pani uważa, co powinniśmy zrobić? – spytał brygadzi-
sta. – To pani teren. Zadzwoniłem po policję, ale oni pewnie zostawią decyzję pani. Na pewno ma pani tu dość ziemi, żeby pochować szczątki tego chłopca.

– Nie możemy... nie możemy... – wykrztusiła z trudem. – Ja... zadzwonię do domu pogrzebowego i każę im dostarczyć trumnę. Jeśli policja wyrazi zgodę, pochowamy chłopca jak należy w ogrodzie kwiatowym. Macie odpowiednie narzędzia, prawda?

– Tak, proszę pani, damy radę to zrobić. Proszę tylko wybrać miejsce. – Odwrócił się do swoich ludzi. – Niczego tu nie ruszajcie. Najpierw musi swoje zrobić policja i coroner.

Jane wskazała odległy kraniec ogrodu.

– Może gdzieś tam. Znaleźliście w studni głaz?

– Jasne, proszę pani – powiedział, wskazując motyką. – Wielki, waży dobrze ponad sto kilo. Moim zdaniem, to on/zabił chłopaka, kiedy na niego spadł. Choć z drugiej strony, mógł on przedtem utonąć.

– Nie chcę o tym mówić – powiedziała Jakie, spoglądając na głaz. – Proszę, zabierzcie go stąd albo rozbijcie, nie może tu

zostać. Jeśli będę musiała zapłacić dodatkowo, nie ma sprawy. Odwróciła się i uciekła do domu, a Olive za nią.

Zadzwoniła najpierw do domu pogrzebowego, a potem do ojca Johna. Usłyszała dźwięk policyjnej syreny. Ciekawe, po co ten pośpiech. Chłopiec nie żyje od ponad stu lat. Miała ochotę się rozplakać.

Nagle wszystkie emocje wróciły do niej ze zdwojoną siłą. Przebiegła przez dom, nawołując Billy'ego, ale na próżno. W końcu zrezygnowała.

– On chyba odszedł, Olive. Przeszedł na drugą stronę i nawet się nie pożegnaliśmy. Nie wiedziałam, że to nastąpi aż tak szybko. Myślałam, że będziemy mieli dość czasu...

Olive położyła się na brzuchu i zaskomlała.

Jane usiadła na łóżku i rozplakała się. W końcu, po dłuższej chwili, otarła zaczerwienione oczy i z Olive u boku zesza, by otworzyć drzwi. Ksiądz John wchodził właśnie po stopniach werandy.

– Nie martw się, Jane, wszystkim się zajmę. Policjanci powiedzieli, że można przenieść... szczątki, więc złożę szkielet do trumny i zamknę ją. Potem odmówię modlitwę za zmarłych i złożymy trumnę do grobu.

– On... on nazywał się Billy Jensen – wykrztusiła Jane, przyciskając dłoń do ust, aby powstrzymać szloch.

Kiedy wróciła w końcu z ogrodu, dochodziło wpół do szóstej. Czowała się tak, jakby straciła bliskiego przyjaciela. Zagryzła wargi, by się znów nie rozplakać i poszła do starej studni. Głaz zniknął, a studnię właśnie zasypywano. Robotnicy wyrównywali ziemię. Jeszcze godzina i nikt nie domyśli się, że kiedyś była tu studnia. Może na wiosnę położy w tym miejscu darń, posadzi drzewo i wokół posieje kwiaty. Wtedy będzie tu, jak na Tulip Street. To by się na pewno spodobało Billy'emu. Mógłby siedzieć sobie pod drzewem i patrzeć, jak Jeeter rozkopuje grząd-

ki. Długo wstrzymywane łzy popłynęły znowu z jej oczu i Jane pobiegła do domu.

Było już późno i należało wziąć się w garść. Brian nie zadzwonił, co oznaczało, że spotkanie się odbędzie. Musi zadzwonić do Trixie i wprowadzić w życie swój plan. Chwała Bogu, Mike pojechał na weekend do rodziców, by odebrać ojca ze szpitala. Starszy pan Sorenson przeszedł operację kolana i Mike chciał być w pobliżu, aby upewnić się, że ojciec przestrzega zaleceń lekarzy. Pomysł dzisiejszego spotkania z pewnością nie spotkałby się z jego aprobatą. Dobrze się też złożyło, że Trixie przepędziła chorobę, wypijając prawie ćwierć litra bourbona z Kentucky i była znowu na chodzie. Bez Trixie plan nie miałby szans się powieść.

– Chodźmy na górę, Olive. No chodź, malutka. To nie koniec świata, choć tak się w tej chwili wydaje. Muszę przygotować się na wieczór. Wezmę szybki prysznic, przebiorę się i zrobię kolację. – Olive usiadła, spoglądając na nią, z ogonem nadal płasko przyciśniętym do podłogi. – Proszę, Olive, przez ciebie czuję się jeszcze gorzej. Gdybyś tylko umiała mówić... – Spanielka ani drgnęła, więc Jane przysiadła na podłodze i objęła ją. :

– Nasz dom to nie było miejsce dla Billy’ego i Jeetera, Olive. Teraz Są u siebie. To nie byłoby w porządku z naszej strony, zatrzymywać ich tutaj, skoro miałam... jakby to powiedzieć... możliwość, by wszystko wyprostować. Posłuchaj, nie wiem, czy to zdarzyło się naprawdę. Jakkolwiek było, musimy z tym żyć. Nie zmuszaj mnie, żebym wzięła cię na ręce, Olive. No już, wstawaj! – powiedziała najbardziej stanowczo, jak tylko potrafiła. – Olive zaskomlała, lecz posłuchała. Weszła za Jane na górę i powlokła się do swego legowiska w kącie. Nigdy w nim nie sypiała, ale trzymała tam wszystkie swoje zabawki i skarby wraz z kilkoma kośćmi.

Jane już miała wejść do łazienki, gdy Olive zaszczekała, głośno

i radośnie. Jane odwróciła się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Olive przewracała nosem swoje posłanie. Jane podeszła, żeby bliżej się temu przyjrzeć. Na stosie wypchanych zwierzaków leżała postrzępiona piłeczka z konopnego sznurka. Spanielka delikatnie zsunęła piłeczkę ze stosu, a kiedy zabawka stoczyła się na ziemię, popchnęła ją w kierunku Jane.

– To piłka Jeetera, prawda? – powiedziała Jane, wstrzymując szloch. – Zostawił ci ją. Widzisz, mówiłam, że wszystko w porządku. – Olive podrzucała i toczyła piłeczkę, aż wreszcie zabawka znalazła się pod jej brodą. Wtedy westchnęła z zadowoleniem i zamknęła oczy.

– Dziękuję, Billy – powiedziała Jane. Przez chwilę czekała na odpowiedź, a kiedy nic się nie wydarzyło, otarła oczy rękawem i poszła wziąć prysznic.

Obserwowała ich przyjazd przez małe okno na podeście schodów prowadzących na pierwsze piętro. Brian musiał użyć jakichś nadzwyczajnych mocy, albo też potrafił mówić bardziej przekonująco, niż skłonna była przyznać.

Byli tu wszyscy, nawet Todd Prentice. Szli podzieleni na dwie grupy – dobrzy, jak zwykle o nich myśleć: Brian, Tony i Mitch oraz źli: Marcus, Ben i Pete. Todd Prentice zamykał pochód. Parias. Nawet ślepy by zauważył, że pozostali starali się od niego odseparować.

Długo tłumiona nienawiść ogarnęła Jane, kiedy patrzyła przy-mrużonymi oczami na tych, którzy przyczynili się do śmierci Connie. Żałowała, że nie ma dość odwagi, aby ich od razu powystrzelać. Zaklinała się pod nosem, aby nie zrobić niczego, czego mogłaby później żałować. Te sukinsyny są tutaj, w jej domu. Zamknęła na chwilę oczy, by przezwyciężyć zawrót głowy. Przypomniła sobie przytrzymujące ją mocne dłonie, woń strachu swojego i Connie.

Gdy usłyszała dzwonek, o mało nie wyskoczyła ze skóry. Od-

dychając głęboko, zmusiła się, by podejść do drzwi.

– Proszę, panowie. Zapraszam do salonu. Mogę zaproponować wam kawę lub piwo. – Nie było chętnych.

Dlaczego, u licha, jestem taka uprzejma? Bo jestem dobrze wychowana, a oni nie – odpowiedziała sama sobie.

Meble w salonie były ustawione na kształt litery U, by wyeksponować kominek. Czterech byłych piłkarzy usadowiło się ciasno jeden obok drugiego na sofie za stolikiem do kawy, dwaj inni usiedli na miękkich fotelach po obu krótszych końcach stołu, a Todd na jednym z dwóch krzeseł z prostym oparciem, stojących po obu stronach kominka.

Marcus wyjął z kieszeni paczkę marlboro.

– Mogę zapalić?

– Proszę bardzo.

Wyjęła dwie duże popielniczki z szuflady i postawiła je na stole. Trzej zapalili. Wkrótce pokój wypełni się dymem i będzie musiała długo wietrzyć dom.

Brian zaczął rozmowę.

– Przekazałem im to, co mi pani powiedziała. Pete, Ben i Marcus mi nie uwierzyli. Powiedzieli, że tylko trochę potarmosili Connie. Wspomniałem im o dowodach. Może to pani wyjaśni. Oni nie wierzą nawet, że to pani była tą drugą dziewczyną – powiedział, spoglądając jej prosto w oczy.

Jane nie znosiła, gdy wszyscy się na nią gapili. Ci mężczyźni byli w dodatku tacy potężni, tacy... groźni. Zupełnie jak wtedy, tamtej nocy. Musiała być niespełna rozumu, kiedy zgodziła się z nimi spotkać, ale teraz... teraz było za późno. Z udaną pewnością siebie usiadła i założyła nogę na nogę.

– Wszystko, co Brian wam powiedział, jest prawdą. Ja byłem tą dziewczyną, której nie zaciągnęliście w krzaki. Jeśli nadal mi nie wierzycie, mogę wam pokazać zdjęcia... zdjęcia siniaków i zadrapań Connie. Mam też, a raczej, miałam, ubrania, które no-

siła tego wieczoru. Teraz ma je policja – skłamała z zimną krwią. – Wasze DNA, drodzy panowie, zostało zabezpieczone do badań. Nie mogę pokazać wam fizycznych dowodów, ale możecie zobaczyć zdjęcia. Doskonale zdajecie sobie sprawę, co to oznacza. – Odwróciła się do Todda.

– Jedyne ty nie byłeś tam wtedy fizycznie obecny, Todd – powiedziała, z trudem zachowując uprzejmy ton głosu, choć jej spojrzenie wyrażało odrazę. – Jeśli naprawdę chcecie, żeby on jeden wyszedł z tego bez szwanku i nadal żył sobie wygodnie, kiedy wasze życie rozpadnie się w gruzy, możecie dalej go osłaniać.

Wstała, podeszła do sekretarzyka z czeresniowego drewna, otworzyła szufladę i wyjęła kopertę, pełną komputerowo odtworzonych zdjęć, zeskanowanych z wykonanych polaroidem oryginałów. Podała zdjęcia Brianowi.

– Jak widzicie, pierwsze trzy zdjęcia przedstawiają Connie, następne zaś jej ubranie, pełne waszego DNA. Wystarczy jedna jedyna kropla i bingo! Już was mają! Jeśli dobrze się przyjrzy-cie, zobaczycie naszywki z jej imieniem na ubraniu. – Choć można by to wziąć za perwersję, ich strach sprawiał jej przyjemność. – Gaże waszych adwokatów będą astronomiczne. Rodziny zaczną spoglądać na was z obrzydzeniem, a żony może nawet się z wami rozwiodą. Koledzy będą dokuczać w szkole waszym dzieciom. Bez względu na to, co o tym myślicie, wasze życie już nigdy nie będzie takie samo. Tak jak moje po tej okropnej nocy. Wszyscy wiemy, co stało się z Connie. Stanęła za sofą. Marcus, Pete i Ben oglądali właśnie fotografie. Zobaczyła na dłoni Marcusa bliznę i coś w niej pękło.

– Ty najmocniej utkwiełeś mi w pamięci, chory sukinsynu! Dziwię się, że mnie nie pamiętasz. To ja cię ugryzłam i zostawiłam ci tę śliczną bliznę. Nazwałeś mnie tłusta maciorą i beką sadła, pamiętasz? Connie umarła także przez ciebie!

Marcus zerwał się z sofy i odwrócił do Jane.

– Nie mam zamiaru tego słuchać. I co z tego, że mam bliźnę? Miliony ludzi mają bliźny na rękach. Nawet nie wiem, kim ty, u diabła, jesteś. Ramsey powiedział, że pojawisz się u nas w domach i opowiesz jakąś zwariowaną historyjkę. Przyszedłem tu tylko dlatego, żeby się przekonać, jak bardzo masz nie po kolei. No dalej, chłopaki, chodźmy stąd.

Zdażył zrobić tylko jeden krok.

– Proszę siadać, panie Appleton – powiedziała, Jane, wyciągając ku niemu palec. – Wyjdzie pan, kiedy powiem, że może pan wyjść. I ani minuty wcześniej. – Mogło się wydawać, że trzyma w dłoni nabity pistolet, gdyż Marcus zatrzymał się wpół kroku i stał jak skamieniały. – A wy, reszta, co macie do powiedzenia?

– To był pomysł Todda – wypalił Pete. – On wymyślił ten plan. Obiecał, że da nam dobre posady w firmie ojca żony. Choć wtedy mówił o niej jako o swojej dziewczynie.

– To jakaś bzdura! – krzyknął Todd, zrywając się z miejsca i zaciskając dłonie w pięści.

Nim zdażył powiedzieć coś więcej, Ben Nolan już do niego doskoczył.

– Nawet nie próbuj się wykręcać, Prentice. Jeżeli wyląduję w więzieniu, to nie sam. Jak my pójdziemy na dno, pociągniemy za sobą ciebie.

– Ja tam donikąd się nie wybieram – wtrącił Brian. – Nie miałem nic wspólnego z gwałtem, Mitch i Tony też nie. Oni tylko przytrzymywali panią doktor. A ja odszedłem, nim się cokolwiek zaczęło. Tony i Mitch mogą to potwierdzić. Przyjmijmy karę, jaką sąd zechce nam wymierzyć, ale dość na tym. Za resztę będziecie odpowiadali sami.

– Nie próbujcie zwalić tego na mnie – odgrażał się Prentice. – Nikt was do niczego nie zmuszał. Działaliście na własną rękę. Nie kazałem wam nic robić i niczego takiego mi nie udowodni-

cie. Spadam stąd.

– Siadaj, Todd – wrzasnęła Jane, zatrzymując go w miejscu. – Trixie, to chyba dobry moment, żeby wytoczyć cięższe działa. Flash i Kimba, odziane w kamizelki kuloodporne, z plakietkami identyfikacyjnymi przy obrożach, wbiegły truchtem do pokoju i ustawiły się po obu stronach kominka.

Wszyscy natychmiast umilkli i słychać było tylko skrzyp skórzanych siedzeń. Jane, pewna, że pojawianie się psów zostało dobrze zrozumiane, usiadła naprzeciw Todda i założyła nogę na nogę.

– Flash, Kimba, siad – powiedziała spokojnie, choć stanowczo. Psy posłuchały natychmiast. Spoglądając na nie, kiedy siedziały, pomyślała, że przypominają jej dwa posążki kamiennych lwów, strzegących wejścia do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej.

– Mówiłeś coś, Todd? Chyba nie dosłyszałam – powiedziała zimno.

– Co ta się, do cholery, dzieje?

– Nic wielkiego – odparła, spoglądając na niego niewinnie. – Ach, masz na myśli psy. Denerwują cię? Wiem, że są duże i groźnie wyglądają, ale zapewniam, że doskonale je wytresowałam. Zrobią, co tylko im każę.

Wyraz irytującej pewności siebie znikł z twarzy Todda.

– O czym to ja mówiłam? A tak... W jednym z listów Connie...

O rany, zapomniałam wam powiedzieć o listach, prawda? – Klepnęła się lekko po policzku i cmoknęła głośno językiem.

– Pozwólcie, chłopcy, że trochę przyspieszę. Odwiedziłam rodziców Connie i oni dali mi jej dyskietki komputerowe. Były na nich listy. – Spojrzała prosto na Todda.

– Pisała na przykład, że kiedy się pobierzecie, będziecie mieli psa i kota. Więc lubisz psy, prawda, Todd? Proszę, jeśli chcesz wyjść, nie krępuj się. – Rozejrzała się po pokoju. – Wszyscy możecie wyjść, jeśli tylko chcecie. – A raczej, jeśli się odważy-

cie, dodała w myśli. O mało się nie roześmiała. – Trixie, masz może jakieś przekąski? Kakao i te małe galaretki lub trochę imbirowych ciasteczek?

– Posługuje się pani psami, żeby zatrzymać nas tu wbrew naszej woli. To niezgodne z prawem – wybuchnął Ben Nolan.

Jane udała zaskoczenie.

– Ależ pan chyba żartuje, panie Nolan – powiedziała, zerkając na niego spod oka. – Jeżeli chce pan wyjść, proszę bardzo. Ja z pewnością nie będę się starała pana zatrzymać.

– Tak, pewnie. Gdy tylko jeden z nas zrobi choć krok w kierunku drzwi, te psy przyczepią się do niego jak smród do gówna.

– Do gówna? Hm. Interesujące porównanie. No, no, panowie – powiedziała, znów cmokając językiem. – Flash i Kimba to dwa wytresowane psy policyjne. Nigdy nie atakują, dopóki nie dostaną rozkazu, że mają schwytać złego faceta. No wiecie, rabusia, złodzieja czy gwałciiciela.

– Niech pani przestanie pieprzyć. To jasne jak słońce, że próbuje nas pani zastraszyć – warknął Pete Zachary, wciśnięty tak głęboko między poduszki kanapy, że jeszcze trochę i znalazłby się po drugiej stronie oparcia. – Nie może pani tego robić. To niezgodne z prawem. Grozi nam pani i przetrzymuje nas wbrew naszej woli, bo ma pani nadzieję, że powiemy to, co chce pani usłyszeć.

Jane znowu cmoknęła.

– Przekonajmy się, czy dobrze zrozumiałam. Uważacie, że wam grożę i posługuję się psami, żeby przetrzymać was tu wbrew waszej woli. – Przyłożyła do nosa palec wskazujący, udając, że się zastanawia.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale czy wy nie groziliście Connie i rennie? Nie trzymaliście nas wbrew naszej woli? Nie sądzicie, że się bałyśmy? J jak to smakuje, wy żalosne, śmier-

dzące sukinsyny? – zawołała, podnosząc głos.

– Nie mam nic do powiedzenia – oznajmił Marcus z twarzą wykrzywioną strachem. – Mój adwokat się z panią skontaktuje. Zamierzam panią pozwać.

Jane się zjeżyła.

– Nie boję się adwokatów i procesów. Ani was. Już nie. Wyrzucicie to z siebie i idźcie do diabła. Poklepała łeb Flasha. – To jak będzie?

– Pieprz się – powiedział Marcus gniewnie.

Kimba, smukły, złoto-czarny owczarek o wadze czterdziestu paru kilo, groźnie zawarczał.

– Wszystko w porządku, malutki. Nie mówiłeś poważnie, prawda, Marcus? Musisz bardzo uważać, kiedy w pobliżu są te psy. Łatwo je zdenerwować, do tego są bardzo wrażliwe na ton głosu i wyczuwają emocje.

Weszła Trixie, niosąc na tacy dwa kubki i talerz z czterema ciasteczkami.

– Ooo, doskonale. Właśnie o coś takiego mi chodziło. – Jane odwróciła się plecami do mężczyzn w pokoju i mrugnęła do Trixie. – Posłuchaj, Trix, potrzebuję rady – powiedziała na tyle głośno, by pozostali ją słyszeli. – Jak myślisz, co powinnam na siebie włożyć, gdy w przyszłym tygodniu pojedę z pierwszą wizytą do rodziców Mike’a? Mogłabym założyć ciemnopomarańczową sukienkę, którą kupiłam przed Bożym Narodzeniem albo ten frywolny ciuszek wykończony wokół szyi koronką. Jak sądzisz?

– Mnie bardziej podoba się żurawinowa sukienka z rozcięciem z boku. Mogłabyś założyć do niej apaszkę od Very Wang. I grube złote kolczyki. Na pewno dobrze byś wyglądała.

– Co oni robią? – szepnęła Jane.

Trixie uniosła brwi i zerknęła na mężczyzn.

– Chyba pomarli. W ogóle się nie ruszają. Nawet nie drgną –

syknęła.

– Zapalmy. Oni wszyscy palą i na pewno umierają teraz z chęci, by sięgnąć po papierosa. Postaraj się wydmuchiwać dym w ich stronę.

Nigdy dotąd papieros nie smakował Jane aż tak bardzo. Kiedy skończyła, zgmiotła niedopałek w popielniczkę, chwyciła dwa psie ciasteczka i wróciła na swoje krzesło. Rzuciła psom po ciasteczku. Ich pyski otworzyły się i błyskawicznie zamknęły, nie dość jednak szybko, by nie można było zobaczyć imponującego garnituru ostrych zębów.

– Wy trzej – powiedziała, wskazując na Mitcha, Tony’ego i Briana – możecie iść. Jeśli chcecie mnie o coś oskarżyć, proszę bardzo. I żeby było jasne: nigdy nie zapomnę, ani nie przebaczę wam tego, co zrobiliście tamtej nocy. Nie uronię też ani jednej łzy, jeśli zostaniecie skazani. A zostaniecie. To pewne jak dwa razy dwa jest cztery.

Cała trójka obeszła kanapę, poruszając się niezwykle ostrożnie.

– Nie sądzę, by któryś z nas chciał panią o cokolwiek oskarżyć, pani doktor – powiedział Brian.

– Czekałem tyle lat, by to się stało – powiedział Tony Larsen. – I wie pani co? Nawet jestem zadowolony, że sprawa wreszcie wyszła na jaw. Przyjmę karę, jaką wymierzy mi sąd i wreszcie będę miał to za sobą.

– Ja uważam tak samo – dodał Mitch Iverson.

– Odprowadzę was do drzwi. – Jane gestem nakazała im, że mają iść przed nią. – Chcę, żebyście wiedzieli, że nie widziałam wówczas niczyjej twarzy, więc mogę opierać się tylko na przecuciu. Tak naprawdę nie wiem, kto co zrobił.

– Powiedzieliśmy pani prawdę. To nie my zgwałciliśmy Connie

– zapewnił ją Brian. – Analiza DNA nas oczyści.

Jane skinęła głową.

– Wierzę wam. Jak myślicie, jak długo wytrzymają? – spytała,

spoglądając za siebie.

– Kto wie – odparł Brian ponuro. – Todd nigdy się nie przyzna. Ma zbyt wiele do stracenia. Może będzie pani musiała zadzwonić do jego teścia.

Odprowadziła ich do drzwi i patrzyła, jak odchodzą, a potem weszła do kuchni, gdzie Trixie zaparzała właśnie kawę. Olive i Golda kręciły się wokół jej nóg.

– Nie wiem, co zaplanowałaś, Jane – powiedziała Trixie. – Jak długo możesz to przeciągać?

– Posunęłam się już tak daleko, że mogę poczekać, aż się przyznają. W końcu nie wytrzymają. Wiesz co, Trixie? Gdybym wcześniej wpadła na ten pomysł, nie musielibyście urządzać konkursu. Myślę, że dziś będzie po wszystkim.

– To bez znaczenia, kochanie. Dotacja na rzecz uniwersytetu to nigdy nie są stracone pieniądze. Cieszę się, że to zrobiliśmy. A Fred uważa, że pomysł z parą rąk futbolisty na okładce jest naprawdę świetny.

Jane uśmiechnęła się słabo.

– Nie czuję już nienawiści, Trixie. Gniew i cierpienie, wszystko odeszło. Jestem jak nowo narodzona. Kiedy weszłam do tego pokoju, wydawało mi się, że mogłabym ich zabić. Gdybym akurat miała przy sobie pistolet, pewnie bym wystrzeliła. Nigdy nie czułam takiej ślepej furii. W tym momencie byłam wręcz opętana gniewem, za chwilę jednak nie było już po nim śladu. Trixie objęła ją szczupłymi ramionami.

– Dobrze, że tak się stało. Jestem pewna, że gdybym chciała, mogłabym osnuć na tym wydarzeniu całą serię książek. To, co robimy, jest całkowicie bezprawne – dodała radośnie, podekscytowana sytuacją.

– Wiem. Nawet jeżeli oni się przyznają, a my nagramy ich wyznania, nie wiadomo, czy będzie to dla sądu wystarczający dowód. Mam nadzieję, że tak. Do licha, Trixie, wątpię, czy ta

sprawa w ogóle trafi do sądu. Nie wiem, co dalej robić.

– A co chciałabyś zrobić?

– Jeszcze godzinę temu powiedziałabym, że mam ochotę obciąć im jaja, ale teraz po prostu nie wiem. Ta sytuacja mnie przerasta i obie dobrze o tym wiemy.

– Dajmy im jeszcze godzinę czy coś koło tego, a potem postraszmy ich trochę za pomocą telefonu. Masz w gabinecie drugą linię. Mogłabym tam pójść i wyłączyć brzęczyk, a wtedy ty wybrałabyś ten numer i udawała, że dzwonisz do kogoś tam. Masz informacje na temat tych dupków, wzięte ze Stowarzyszenia Absolwentów, prawda?

– Naprawdę myślisz, że się na to nabiorą?

– W tej chwili nabiorą się na cokolwiek zechcesz. Wyglądają na mocno pozieleniałych, ale może to sprawa oświelenia. Czy nasze pieski nie są wspaniałe? – zanuciła radośnie.

– Ty naprawdę zamierzasz wyjść z tego obronną ręką, prawda?

– powiedziała gwałtownie Jane.

Z salonu dochodziło jedynie głośnie posapywanie psów.

Wszystko tu wyglądało dokładnie tak, jak przedtem... brudna popielniczka i dwa kubki kakao na stole. Do licha, coś chyba powinno było się zmienić, pomyślała Jane.

Usiadła i założyła nogę na nogę.

– Może ktoś chciałby coś powiedzieć? – Spojrzała na każdego z mężczyzn po kolei. – Nie? A co powiecie na to. Za minutę, jeśli żaden z was nie zacznie mówić i nie powie tego, co chcę usłyszeć, zadzwonię do waszych rodzin, na policję i gorącą linię stacji telewizyjnych. Więc pytam grzecznie, czy ktokolwiek ma mi coś do powiedzenia?

– Zwariowałaś – powiedział Todd, spoglądając na Flasha, a potem na Kimbę. – Jeżeli ta trójka zgwałciła Connie, zrobili to na własny rachunek. Powiedziałem kumplom, że chcę z nią zerwać i poprosiłem o radę. To wszystko. Nie chciałem, by stała jej się

krzywda. Byłem młody i głupi. Powiniennem mieć dość odwagi, by do niej pójść i samemu wszystko powiedzieć. Ale nie miałem. Jak u licha można powiedzieć komuś, z kim się sypia i kto jest tak miły jak Connie, że kocha się kogoś innego?

– Ty kłamco! – wrzasnął Marcus Appleton. – Wszystko ukartowałeś! Narysowałeś nawet cholerny plan, żebyśmy wiedzieli, gdzie to zrobić i jak daleko możemy się posunąć. Byłeś tak dokładny, że chciało mi się rzygać. I wiesz co, zachowałem ten cholerny plan na wypadek; gdyby kiedyś coś się wydało. Został narysowany i napisany twoją ręką. – Odwrócił się do Jane i roześmiał. – A teraz najlepsza część. Nie stanął mi tamtej nocy, więc na ubraniu Connie nie będzie mojego DNA. I to właśnie ja, panno Odchudzona, wałnąłem cię wtedy w brzuch. Zrobiłem to, kiedy oni gwałcili Connie. Jeśli pomyślisz, na pewno sobie przypomnisz. To Ben i Pete zgwałcili dziewczynę. I tak, ja jestem tym, którego ugryzłaś. To by było na tyle, jeśli chodzi o oskarżanie mnie o gwałt.

– Czy mógłbyś to wszystko napisać? – spytała Jane, starając się opanować zamęt w głowie. Plan. Todd Prentice sporządził plan. Jej też chciało się wymiotować.

– Przyrzeknij, że psy mnie nie zaatakują, a napiszę ci to wszystko wielkimi literami, – I... – naciskała Jane.

– I nie oskarżę cię o napaść. Składam zeznanie z własnej woli. Zawołaj tę drugą damę, niech to poświadczy. Ale nie dam ci planu, dostanie go mój adwokat.

Trixie z niewzruszoną miną podała mu blok papieru i pióro.

– W porządku. Ale lepiej postaraj się o dobrego adwokata, synu – powiedziała spokojnie, Obie przyglądały się, jak Appleton z zapalem skrobie coś na papierze.

W pokoju nadal nic się nie zmieniło. Dlaczego? Wszyscy oddychali tak samo płytko, bojąc się przyciągnąć uwagę psów. Na końcu blatu stołu ukazało się srebrne odbicie tarczy księżyca

świecącego za oknem. To było coś nowego. Jeszcze przed chwilą tego nie było. Ale czy można to uznać za zmianę? To, i odgłos skrobania pióra Appletona.

Jane czekała cierpliwie, aż Marcus skończy pisać. Czterej załatwieni. Zostało jeszcze trzech. Staram się, jak mogę, Connie. Moje metody są może ciut niekonwencjonalne, ale jeśli się uda, kogo to będzie obchodzić? Spróbuję załatwić sprawę tak, by twoi rodzice nie musieli oglądać planu. Chyba by tego nie zniesli.

– Lepiej niech pani to przeczyta, bo dragi raz nie dam się przyszpilić – powiedział Appleton, zdenerwowany.

Jane uważnie przeczytała jego wyznanie. Było bardzo jasne, dokładne i wyraźnie napisane. Wręczyła kartkę Trixie.

– W porządku, umieść datę, a potem poświadczymy je swoimi podpisami i będziesz mógł wyjść.

Trixie odprowadziła byłego piłkarza do drzwi. Po chwili do uszu Jane dobiegł przeraźliwy pisk opon.

– No dobrze, kto następny? – spytała, trzymając aparat za antenę.

– Żądam adwokata – powiedział Zachary.

– Ja też – poparł go Ben Nolan.

– Słyszałaś, Trixie? Chłopcy żądają adwokata. Chyba będziemy musiały ich wypuścić. Jak tylko podejrzany wspomina o adwokacie, pora się wycofać. Odprowadź panów do drzwi, Flash!

Jane rozejrzała się wokół siebie. Pokój nadal wyglądał tak samo. Do licha, ona właśnie dokonała czegoś znaczącego, a wokół nic się nie zmieniło. W końcu udało jej się pomścić Connie Bryan.

– Zostałeś już tylko ty, Prentice. Chcę ci powiedzieć, że jesteś najgorszym sukinsynem na świecie. Wszystko skończone. Myślałeś, że to się nigdy nie wyda, prawda? Plan? Sporządziłeś plan? Jest pan chorym skurwysynem, panie Prentice. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że już po tobie. Kiedy Pete i

Ben zaczął sypać, zostaniesz sam na placu boju. A pewnie zeznają, że czaileś się w krzakach, wykrzykując instrukcje. Nawiasem mówiąc, artykuł 571. 1 kodeksu karnego stanowi, że zbiorowy gwałt z naruszeniem nietykalności osobistej nie ulega przedawnieniu. Twój adwokat będzie znał odpowiednie paragrafy. A teraz wynoś się stąd, zanim nie pognam cię kopniakami do samego Baton Rouge.

– Co za żałosna imitacja mężczyzny – powiedziała Trixie, otwierając butelkę piwa. Podała ją Jane, a potem pociągnęła ze swojej długiej łyki i powiedziała:

– Dokonałeś tego, Jane. Ujawniłaś całą sprawę. Muszę przyznać, że momentami trochę się bałam. Ten facet naprawdę sporządził plan. To najbardziej chora rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałam.

– Ja też przeżyłam kilka trudnych chwil – powiedziała Jane. – Czuję się tak, jakbym właśnie wróciła z wojny. Myślałam, że kiedy to się skończy, poczuję się lepiej, ale nic podobnego. Sama nie wiem, co czuję. A powinnam odczuwać przynajmniej ulgę, gdyż w końcu odważyłam się doprowadzić sprawę do kulminacyjnego punktu. Może jutro będzie inaczej. Jak sądzisz, co stanie się dalej?

– Sprawa trafi do sądu. Wszyscy zaczną zawierać układy. Ale choćby nie wiem, jak się starali utrzymać media z dala od sprawy, dziennikarze i tak się do tego dobiorą. Jeśli chodzi o wyrok, to nie mam pojęcia. Gdyby to była książka, którą piszę, Todd Prentice straciłby wszystko, co ma i żonę na dodatek. Nie bądź zdziwiona, jeśli tak się stanie. Po prostu nie wiem, Jane. Dla ciebie sprawa już się skończyła. Dusza twojej przyjaciółki może teraz zaznać spokoju.

– Mam nadzieję.

– Gdybyś pomogła mi załadować psy, chętnie pojechałabym już do domu. Mój facet czeka, żeby dowiedzieć się, jak nam poszło.

Spij dobrze, kochanie.

– Jestem zbyt podekscytowana, żeby zasnąć. Chyba po prostu trochę sobie posiedzę. Tylko ja i Olive. Może później zadzwoni Mike. Tęsknię za nim. Nie sądzisz, że któryś z nich mógłby tu wrócić, prawda?

Trixie roześmiała się.

– Możesz mi wierzyć jesteś ostatnią osobą, jaką chcieliby dziś oglądać.

– Dzięki, Trixie – powiedziała Jane, zaganiając psy do furgonetki. – Do jutra.

Trixie pomachała, zatrąbiła donośnie i ruszyła na przełaj przez pola.

Wiosna zawitała do Rayne w Luizjanie tak samo, jak każdego roku. Przez jakiś czas skąpe deszcze rosily ziemię wieczorami, po których następowały długie, leniwe dni pełne słońca. Ta doskonała przeplatanka deszczu i słońca była wszystkim, czego potrzebowała ziemia, aby powrócić do życia.

Tego roku jednak kwiaty zdawały się być bardziej bujne, kolorowe i niewiarygodnie pachnące. Byliny na grządkach rosily i kwitły jak szalone, stanowiąc doskonale tło dla ogromnej magnolii, którą Jane zasadziła na grobie Billy 'ego Jensena. Wpatrywała się teraz z zachwytem we wspaniałe drzewo, ocieniające bujnym, szmaragdowym, jakby woskowanym listowiem miejsce wiecznego spoczynku chłopca.

Wiosna to zawsze czas, kiedy wszystko zaczyna się do nowa, pomyślała Jane. Gdy tylko zaczęły się wiosenne deszcze, przywykła spędzać całe godziny na werandzie z tyłu domu, zastanawiając się i rozmyślając nad wszystkim. W końcu doszła do wniosku, że deszcz miał zbawienny, oczyszczający wpływ nie tylko na ziemię, ale i na jej duszę. Billy miał rację. Musisz dać temu spokój, powtarzał. Oznaczało to, że pora zapomnieć o starej nienawiści i poczuciu bezwartościowości, które dla niej zawsze wiązały się z matką.

Daj temu spokój. Daj temu spokój. Daj temu spokój. Ileż to razy powtarzała te słowa swoim pacjentom? Setki. A gdyby zapytali ją jak to zrobić, powiedziałyby: Przebaczcie im.

Upiła łyk kawy z filiżanki, trzeciej tego ranka. Lubiła siadywać z Olive na schodach werandy, ubrana tylko w koszulę nocną i patrzeć na wschodzące słońce. To była jej ulubiona pora, kiedy nie było jeszcze wiadomo, co przyniesie dzień. Czas, kiedy mogła decydować czy zrobić coś, czy zrezygnować. Cenny czas. Chwila prywatności.

Oparła się o słupek wspierający dach i zamknęła oczy. Daj temu spokój, Jane. Wybacz i zapomnij. Wkrótce zaczniesz nowe życie. Nie wnoś ani śladu starego bagażu do swojego związku z Mike'iem. Po prostu otwórz serce i daj temu spokój. Jane spojrzała na ogród. Był drugi kwietnia. Od czasu pamiętnego spotkania z gwałcicielami minęło ponad dwa miesiące. Dwa miesiące od chwili, kiedy przekazała swojemu prawnikowi dyskiety, torbę z ubraniami i zdjęciami.

Po początkowej fali gorączkowego zainteresowania sprawa przycichła. Media ożywiły się dopiero, kiedy gwałciciele postawiono w stan oskarżenia, a atmosfera podgrzała się, gdy do miasta przyjechali rodzice Connie i zaczęli udzielać wywiadów każdemu, kto tylko zechciał wysłuchać ich historii. Wpadli też do Jane i podziękowali jej, dając w prezencie poduszeczkę na igły, którą Cormie zrobiła ostatniego lata przed śmiercią. Sprawa skończona. Przekazała dowody, złożyła zeznania. Jeśli o nią chodzi, zrobiła wszystko, co mogła. Poradziła sobie już nawet z wyrzutami sumienia, że złamała obietnicę daną Connie. Czasami cel uświęca środki. Nie dalej jak wczoraj Trixie spytała ją, czy wie, co słyszeć w sprawie Briana, Pete'a i reszty. Poza tym, że wyszli za kaucją, nie wiedziała nic. Nie obchodziło jej to. Jej życie będzie toczyło się dalej bez względu na to, co stanie się z nimi.

Filiżanka była już pusta. Pora wrócić do domu i przygotować się do wyjścia. Od jutra, przez następnych trzydzieści dni, będą zajmowały się jedynie papierkową robotą, a potem na farmie pojawi się nowa partia psów. Zamierzała wykorzystać okres przestoju, by przygotować się do ślubu, którego termin ustalili na koniec czerwca.

Spojrzała na Olive. Zawsze wierną, zawsze lojalną i oddaną. – Założę się, że jeśli naprawdę się postaramy, za czterdzieści pięć minut będziemy już przy pracy. Gotowa na trochę porannej

krzątani?

– Hau!

Jane już miała odstawić filiżankę na nocny stolik, kiedy uświadomiła sobie, że nie ma na nim miejsca. Obok lampy, pomiędzy budzikiem i zdjęciem jej i Mike’a, stała przepiękna, kwitnąca azalia o kwiatach w kolorze lawendy. Obok leżała piłeczka Jeetera. Jane odwróciła się błyskawicznie.

– Billy! Jeeter!

Przeszukała pokój, lecz nie znalazła chłopca ani psa.

– Gdzie oni są, Olive?

Olive trąciła łapą piłkę, a kiedy ta spadła na podłogę, wzięła ją do pyska i zaniósła na swoje posłanie.

Jane zerwała delikatny kwiat. Był doskonały w każdym szczególe i niewiarygodnie świeży. Dlaczego azalie nie pachną? Coś tak wspaniałego powinno pachnieć równie oszałamiająco, jak wygląda.

– Myślę, że Billy’emu spodobało się to, co zrobiliśmy i podziękował nam w ten sposób – powiedziała.

Olive przechyliła głowę na bok, jakby chciała powiedzieć: Więc w końcu uwierzyłaś? – Wiem, wiem, byłam niewiernym Tomaszem, ale teraz wierzę. Żałuję nawet, że nazywałam go chochlikiem.

Weszła do łazienki, wypłukała kubek do mycia zębów, naląła do niego wody i wróciła do sypialni. Postawiła kubek na nocnym stoliku tuż obok fotografii na której stała z Mike’iem przed dopiero co posadzoną drzewką magnolii.

– Dziękuję, Billy – szepnęła.

Wkrótce potem już parkowała pod bramą farmy Trixie.

– Widzisz, Olive, zabrało nam to zaledwie pięćdziesiąt jeden minut. Powinnam zostać księżową, skoro tak dobrze radzę sobie z liczbami. Choć z drugiej strony, to takie nudne. Ja po prostu jestem punktualna. Zobaczmy, jaką robotę ma dla nas dzisiaj

Trixie.

Trixie stała w kuchni z nogą opartą na krześle i papierosem zwisającym z kącika ust. Ubrana była w swój ulubiony strój do wizyt na posterunku – kombinezon o wzorze w ćetki leoparda.

– Usiądź, Janie – powiedziała.

– Wyglądasz, jakbyś się dokądś wybierała, Trixie.

– Zabieram Flasha i Goldę na posterunek. Pracowaliśmy bez wytchnienia, więc należy nam się dzień wolny. Chętnie zabiorę też Olive. Lunch zjemy w Burger Kingu. Już tęsknię za Johnem i psami, a przecież wyjechali zaledwie wczoraj. Mam nadzieję, że dobrze wybrałyśmy opiekunów – dodała po chwili.

– Trixie, zafundowałaś im przesłuchanie trzeciego stopnia, prześwietliłaś ich dokładnie i zagroziłaś kastracją. Bardzo malowniczo przedstawiłaś też, co się z nimi stanie, jeśli któryś z psów choć się zadrapie. Nie sądzę, żebyś musiała się o nie martwić.

Trixie zdjęła nogę z krzesła i popatrzyła na panującego w kuchni rozgardiasz.

– Jak myślisz, dlaczego nigdy nie zatrudniłam gosposi?

– Nie chciałaś, żeby ktoś obcy plątał ci się pod nogami, a poza tym bałaś się, że nie potrafiłaby dochować tajemnicy.

– Powiedz Fredowi, że dziś jego kolej na sprzątanie. Nie rób tego za niego. Robi się leniwy, jeśli chodzi o obowiązki domowe. Mówię poważnie, Jane.

– Dobrze, dobrze. Mogłabym wziąć sobie wolne, kiedy już wprowadzę wszystko do komputera? Chciałabym rozejrzeć się za suknią ślubną. Czas ucieka, a ja jeszcze prawie nic nie zrobiłam.

– Weź sobie tyle wolnego, ile tylko chcesz. Trzeba tylko przygotować dokumenty związane ze służbowymi plakietkami psów, reszta nie jest tak pilna.

– Zrobię to rano i po drodze zawiozę dokumenty na pocztę. Mi-

tego dnia, Trixie.

– Życzę ci tego samego, kochanie. No, zgraja, zabierajcie tyłki i do samochodu! – krzyknęła, otwierając moskitierę. Jane śmiała się przez cały CZ0S, jaki zajęło jej sprzątanie kuchni.

Siedziała w samochodzie przed starym domem rodziców i wpatrywała się w budynek. Ciekawe, jak w ogóle mogła pomyśleć, że zburzenie go zapewni jej spokój. Widocznie nie myślała wtedy racjonalnie. Dom to tylko dom: drewno, kamienne ściany i gonty.

Przed dwoma tygodniami podpisała dokumenty, odbyła obowiązkową wycieczkę z pośrednikiem i więcej tu nie wróciła. Patrzyła teraz na dom, starając się wyrzucić z pamięci złe wspomnienia. Przeszłość minęła, a ona obiecała sobie, że pozwoli jej odejść. Pora dotrzymać obietnicy i zawrzeć rozejm z matką.

Poczuła, że musi zadzwonić do Mike'a. Gdy usłyszała jego głos, opuściło ją napięcie. Oparła się wygodnie o oparcie i odprężyła.

– Cześć, to ja. Co porabiasz?

– Właśnie siedziałem, rozmyślając o tobie i jedząc lunch, nawiasem mówiąc, o trzy godziny spóźniony. Zanim zapytasz – to jabłko i jogurt. Gdzie jesteś?

– Siedzę w samochodzie przed domem rodziców. Donoszę ci z radością, że właśnie dziś rano wybrałam suknię ślubną. Nie jest specjalnie wyszukana, ale mnie się podoba. Długa do kostek. To raczej suknia koktajlowa, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Znalazłam też welon i buty, więc jestem gotowa.

– Wspaniale. Widzisz? Niepotrzebnie się denerwowałam. Wiedziałem, że znajdziesz coś, co będzie ci odpowiadało. Do licha, jak dla mnie, mogłabyś mieć na sobie worek i ten śmieszny kapelusik i też byłoby dobrze. Tęsknię za tobą, Jane. Nie widzieliśmy się od trzech dni.

- A czyja to wina?
- Moja. Tak właśnie jest, gdy dasz się wciągnąć w jakąś sprawę. Twój czas nie należy już do ciebie. Choć z drugiej strony, to wspaniałe uczucie. A tak nawiasem mówiąc, Willie nosi przy sobie już tylko jedną baterię. Hipnoza zadziałała. Teraz mówi, że nosi ją po prostu na szczęście. Mnie to nie przeszkadza i jemu też. Jeszcze kilka sesji i chyba przestanę się z nim widywać. Nie uwierzysz, jak bardzo się zmienił. Przesłał mi do gabinetu kosz owoców.
- Jane spojrzała na dzieci, grające w piłkę na środku ulicy.
- To wspaniałe, Mike. I co było przyczyną wstrząsu?
- Oglądał kiedyś film w telewizji. Na filmie chłopiec-inwalida stracił kontrolę nad swoim fotelem, zjechał ze wzgórza, wpadł do stawu i utonął. To zapoczątkowało obsesję.
- Teraz już wszystko będzie dobrze. Posłuchaj, Mike, dziś rano zdarzyło się coś dziwnego. Powiedz, co o tym sądzisz.
- Opisała mu epizod z azalią.
- Wystarczy, gdy o tym słucham, a już ciarki przechodzą mi po plecach – powiedział Mike. – I co, uwierzyłaś w duchy?
- Prawie tak. Myślałam o Billym, kiedy siedziałam na stopniach, pijąc kawę. Potem weszłam na górę... Kwiat to coś rzeczywistego, namacalnego. Możesz go dotknąć, poczuć, powąchać. To znaczy, azalie nie pachną, ale wiesz, co mam na myśli.
- Możesz w to wierzyć albo nie. Wybór należy do ciebie. Posłuchaj, muszę lecieć. Za chwilę mam następną sesję. A przy okazji, co sądzisz o dzisiejszej audycji? Jak się spisałem?
- Jane nie miała serca mu powiedzieć, że nie włączyła radia.
- Byłeś porywający, Mike – skłamała. Niewinne kłamstwo jest dozwolone, jeśli dzięki niemu ktoś lepiej się poczuje.
- Słuchacze chyba zaczynają się do mnie przyzwyczajać – powiedział podekscytowanym głosem. – Miałaś rację, wystarczy się rozluźnić i płynąć z prądem. Zadzwoił Willie i świetnie

nam poszło. Muszę kończyć. Do zobaczenia koło dziewiątej, dobrze? Kocham cię.

– Też cię kocham – powiedziała Jane i rozłączyła się.

Wysiadła z samochodu i podeszła bliżej domu, w którym się wychowała. Zerknęła na sąsiednie budynki. Ledwie je pamiętała. To, co zobaczyła, powiedziało jej, że sąsiedzi mogą być dumni ze swoich trawników i kolekcji krzewów. Tylko dom jej rodziców niekorzystnie się wyróżniał. Zarośnięty trawnik i niepoprzycinane krzewy potęgowały wrażenie opuszczenia. Z całego serca nienawidziła tego miejsca. Właśnie miejsca. Teraz albo nigdy, pomyślała smętnie, otwierając kuchenne drzwi. W domu panował nieprzyjemny chłód. Drżała, mijając kolejne pomieszczenia.

– Jestem, mamó! No pokaż się, pokaż – wołała śpiewnie. – To będzie najlepszy dzień, jaki zdarzył ci się od dawna. Gdzie jesteś? No już, nie mam zbyt wiele czasu. Do dzieła – ? powiedziała i otworzyła drzwi do schowka pod schodami. Pociągnęła za łańcuszek, ale światło nie rozbłysło.

– Tu jestem, za tobą.

Jane odwróciła się błyskawicznie.

– Wiem, po co przyszłaś, Jane. To zły powód. Nie chcę słuchać tego, co masz mi do powiedzenia.

– Skąd możesz wiedzieć, po co przyszłam? Zdecydowałam się dopiero przed chwilą. Przyszłam, żeby...

Coś dotknęło delikatnie jej warg i Jane umilkła.

– Nie mów tego. Kiedy słowa zostaną już wypowiedziane, będzie za późno. Proszę, usiądź tam pod oknem i wysłuchaj mnie. Nie chcę, żebyś mi przebaczyła, Jane. I wysłała mnie na drugą stronę. Proszę, pozwól mi zostać tutaj, żeby odpokutować za moje błędy. Powiedziałam ci ostatnim razem, że czuję się samotna. Jeśli pozwolisz mi zostać, będziesz mogła od czasu do czasu mnie odwiedzać. Kiedy urodzisz dzieci, możesz je tu

przyprowadzić, bym mogła zobaczyć wnuki. Proszę cię, nie chcę odchodzić – błagała.

Jane oparła się o ścianę i potarła skronie. Czuła, że zaczyna ją boleć głowa.

– Zaraz, zaraz. Nie chcesz, żebym ci wybaczyła. Chcesz zostać w tym opustoszałym domu i błąkać się tu przez wieczność.

Spodziewasz się, że będę tu przychodzić i jeszcze przyprowadzę ze sobą dzieci, jeśli w ogóle będę je miała. Wtedy poczujesz się lepiej i nie będziesz miała aż takich wyrzutów sumienia, że byłaś parszywą matką?

– Tak.

– Dlaczego miałabym się na to zgodzić?

– Ponieważ mimo moich błędów wyrosłaś na wspaniałą i piękną istotę. Chcę udowodnić, że cię kocham, że mi na tobie zależy. A pozostanie tutaj to jedyny sposób, jaki znam, by tego dokonać.

– Jedna z nas oszalała i to na pewno nie ja – mruknęła Jane pod nosem. – Trixie zawsze mówiła, że jesteś wariatką. Ona cienie cierpi... to znaczy nie cierpiała. Fred też nigdy cię nie lubił. Ale czy ktokolwiek cię lubił? Miałaś przyjaciół? Oczywiście, że nie. Kochałaś tylko siebie i to ci wystarczało. Mam dość słuchania ciebie.

Przyciągnęła kolana do brody i wyjrzała przez frontowe okno.

– W czerwcu wychodzę za mąż – powiedziała, nie wiedząc, dlaczego to robi. – Wybrałam dziś suknię, welon i buty. Fred poprowadzi mnie do ołtarza, a Trixie będzie pełnić honory domu i zastępować mi matkę. Nie mów, tego, co z pewnością miałabyś ochotę powiedzieć. Trixie będzie doskonała w tej roli.

– Tak, na pewno. Szkoda, że tego nie zobaczę.

– A chciałabyś? – spytała Jane z niedowierzaniem. – Oczywiście.

Jane, zaskoczona, skinęła tylko głową.

– Właściwie mogłabym wziąć ślub tutaj – powiedziała z namy-

słem. – Mogłabyś wtedy... no wiesz, krążyć w pobliżu, błąkać się, czy co tam robią duchy. Mike pewnie by się zgodził. Fredowi i Trixie ten pomysł nie bardzo by się spodobał, ale gdybym powiedziała, że tego chcę, w końcu by ulegli. Pomyślę o tym.

– Głowa Coraz bardziej cię boli. Powinnaś się przespać. To złagodzi ból. Więc zgadzasz się, żebyś tu została?

– Jeśli tego właśnie chcesz, możesz zostać.

– Cicho... już cicho... śpij maleńka...

Gdy Jane w końcu się obudziła, było już ciemno. Zwisająca z sufitu żarówka świeciła jej prosto w oczy. Przeciągnęła się i rozejrzała. Jak długo mogła spać? Zostawiła zegarek w samochodzie. Potrząsnęła głową.

– Nawet nie będę się starała tego zrozumieć – mruknęła.

Chwyliła gałkę u drzwi kuchennych i już miała wyjść, lecz odwróciła się jeszcze i powiedziała:

– Dobranoc, mamó.

– Dobranoc, Jane. Wrócisz tu jeszcze? ‘

– Tak, wrócę. Jak myślisz, czy mogłabyś mnie uściskać?

– Myślałam, że nigdy o to nie zapytasz.

Nie był to ani potężny uścisk Freda, ani delikatne objęcie kościstych ramion Trixie, ani miłosne przytulenie Mike’a. To było eteryczne, ciepłe i kojące jak ciepła woda i przejrzysty woal, pieszczący dotykiem jej ciało. Kiedy wyszła z domu, chciało jej się śpiewać. Odwróciła się za siebie i przez chwilę wydawało się jej, że widzi matkę, machającą do niej zza frontowego okna. Stanęła i śmiejąc się, poruszyła palcami. Tak musi się czuć ktoś, kto właśnie dostał Oscara, pomyślała.

Oczy Mike’a pojaśniały. Uśmiechnął się pod seksownymi, świeżo zapuszczonymi wąsami. Jane podbiegła i rzuciła mu się w ramiona. Wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi i objęła go

ciasno ramionami, jakby chciała wtopić się w niego. Zaczęła go całować, z początku delikatnie, potem coraz mocniej, ze wzrastającą namiętnością.

Mike wydawał się nieco przytłoczony okazywanym mu uczuciem, ale pierwotna potrzeba wzięła górę, więc chwycił Jane w objęcia i zaniósł na górę, do sypialni.

Drżącymi z niecierpliwości palcami rozpięła mu koszulę i pasek, mrużąc pod nosem słowa, wyrażające rozpaczliwe pożądanie. W końcu jej dłonie dotknęły nagiej . piersi mężczyzny i przesunęły się po niej pieścizotliwie. W ślad za nimi powędrowały usta. Zniecierpliwiona przeszkoda, jaką stanowiło ubranie, praktycznie zerwała je z siebie, a potem zmusiła Mike'a, by zrobił to samo.

W końcu poczuła go nagiego na sobie. Ich ciała niemal stopiły się ze sobą, a serca biły w jednym rytmie. Jane przytuliła się do Mike'a, bez reszty oddając się chwili i pożądaniu, – Kochaj mnie, Mike! – błagała, rzucając się pod nim szaleńczo. – Kochaj mnie teraz!

Lecz słowa namiętności nie zdołały ukryć rozpaczliwego napięcia w jej głosie. Mike przykrył ją sobą i zaczął się kołysać w miłosnym rytmie. Jane objęła go kurczowo rękami i udami.

Wiedziała, że miłość skłoni go, by zaspokoił jej pragnienie.

Próbowała zatracić się w ramionach mężczyzny, którego kochała. Ukryć się w nim, schować bezpiecznie przed mglistymi zjawami, które wtargnęły w jej życie. Mike odsunął się, a wyraz jego twarzy jasno mówił, że zdaje sobie sprawę, iż coś ją gnębi. – Chcesz o tym porozmawiać, Jane?

Powiedziała mu o swojej decyzji, by nie niszczyć domu i uporządkować stosunki z matką.

– Widziałam jej ducha, Mike, widziałam tak wyraźnie, jak teraz widzę ciebie. Rozmawialiśmy i powiedziała mi, że wie, po co przyszłam, ale nie chce, bym jej przebaczyła. Że pragnie odpo-

kutować za swoje winy. Błagała mnie, bym pozwoliła jej zostać w domu i odwiedzała ją od czasu do czasu. – Jane spojrzała za okno. – Powiedziałam jej, że wychodzę za męża, a jej było przykro, że nie będzie mogła być obecna na moim ślubie. – Spojrzała na Mike’a.

– Dałoby się to załatwić, Mike, żebyśmy wzięli ślub w tym starym domu. Myślisz, że zwariowałam? – spytała, roztrzęsiona i niepewna.

Mike objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej siebie.

– Oczywiście, że nie. To doskonały pomysł. Od lat próbowałam uporządkować swoje życie, uporać się z tym, co matka ci robiła. Ten ślub... to doskonały sposób na pojednanie.

– Więc mi wierzysz? No, że widziałam ducha.

– Do licha, pewnie że tak. Nie zapomniałem spotkania z tym, jak mu tam, Billym, chociaż zdarzyło się to tylko raz. Do dzisiaj nie wiem, czy się zdrzemnąłem, czy też naprawdę zobaczyłem ducha. Był taki cholernie rzeczywisty. Niektórych rzeczy po prostu nie da się wyjaśnić, Jane. Na przykład istnienia duchów. Cokolwiek postanowisz, zgadzam się na wszystko, poza jednym – żebyś na mnie wrzeszczała. Powiedzmy to sobie jasno i wyraźnie.

Jane usiadła na łóżku i przesunęła się na skraj;

– Nigdy już tego nie zrobię. Hej! Mam ochotę na hot doga, a ty?

– Czemu nie? Znowu zaczęłaś jeść mięso?

– Nie, po prostu czasami nachodzi mnie na coś ochota. – Zdjęła szlafrok z wieszaka przy drzwiach. – Mike, a kiedy mnie objęła? To było takie realne. I to był chyba najwspanialszy uścisk, jaki spotkał mnie w życiu.

Poklepał ją lekko po policzku.

– Boże, prawie zapomniałem! Jak ci poszło? – zapytał, nawiązując do spotkania w sprawie odsprzedaży praktyki.

– Przełożyli spotkanie na jutro o trzeciej. Jest mi trochę smutno

– powiedziała, zapinając szlafrok. – Tyle rozdziałów mojego życia zostało ostatnio zamkniętych. Wkrótce nie będę się już miała o co martwić. – Spojrzała mu w oczy.

– Chciałabym od razu zejść w ciążę – wypaliła.

Mike uniósł brwi.

– Naprawdę? To wspaniale. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę ojcem. Założę się, że będziesz najlepszą matką na świecie.

– To chyba najmiłsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałam – powiedziała Jane, przytulając się do jego ramienia. – Ty posiekasz cebulkę i przygotujesz kwaszoną kapustę, a ja zajmę się chili, bułeczkami i kielbaskami.

– Jeśli zjemy to wszystko, nie będziemy mogli zasnąć.

– Wiem o tym – powiedziała Jane przeciągle, uśmiechając się łobuzersko. Mike gonił ją przez całą drogę do kuchni.

Jane stała cierpliwie przy wejściu do salonu meblowego Tramway, czekając, aż właściciel zaparkuje samochód i otworzy sklep. Była za dwie minuty dziewiąta.

Kiedy znalazła się w środku, przebiegła jak burza pomiędzy stoiskami, mówiąc:

– To, to i to. I jeszcze tamto. – Pięc po dziesiątej wyszła ze sklepu. Wybrane meble miały być natychmiast zabrane z ekspozycji i przewiezione do domu jej rodziców. O wpół do pierwszej będą już na miejscu.

Czuła się wspaniale, idąc do sklepu Richa, gdzie od razu skierowała się do działu kosmetyków i kupiła po dwie sztuki z każdego rodzaju wystawionego towaru, łącznie z sześcioma flakonikami różnych perfum. Kiedy odeszła od lady z kosmetykami, skierowała się do działu odzieży, gdzie tak długo buszowała pomiędzy wieszakami, aż wybrała ubrania, które spodobałyby się jej matce. Stamtąd było już niedaleko do stoiska z bielizną, gdzie też kupiła po dwie sztuki z każdego rodzaju, a im bardziej

były frywolne i ozdobione koronką, tym bardziej się cieszyła. Mając już tylko dwadzieścia minut, pognała do stoiska z butami i torebkami i powiedziała do sprzedawcy:

– To, to i tamto i proszę pomóc mi odnieść pakunki do samochodu. Gdyby Trixie widziała, jak jedzie do domu, byłaby z niej dumna, bo pędziła jak rakieta. Kiedy wjeżdżała na podjazd, zobaczyła ciężarówkę ze sklepu meblowego, a potem samą Trixie, wymachującą rękami i pokrzykującą na tragarzy. Gdy tylko ciężarówka znikła za rogiem, Jane obróciła kilka razy i złożyła resztę zakupów na środku salonu. Kiedy skończyła, pojechała natychmiast do sklepu tekstylnego, a potem do szkółki ogrodniczej. Pieniądze mówią, zawsze powtarzała Trixie i miała rację. One nie tylko mówią, one krzyczą, pomyślała Jane, wypisując czek za czekiem. Zanim skończyła, zdążyła się umówić z pracownikami obu sklepów, że przyjdą, wezmą miarę na zasłony i firanki oraz pomierzą grządki w ogródku i posadzą na nich kwiaty.

Pognała z powrotem do domu, przebrała się, umalowała i ruszyła z piskiem opon do biura prawnego, gdzie podpisała się na tuzinie dokumentów, chwyciła czek i wybiegła, nawet na niego nie spojrzawszy. Kiedy znów weszła do domu swego dzieciństwa, było mniej więcej dziesięć po czwartej.

– No dobrze, jestem głupia. A może nawet szalona i mam obsesję zakupów – mruknęła, opróżniając kolejne torby i pudła. O piątej trzydzieści wyniosła puste opakowania do pojemnika na śmieci, który pozostawili poprzedni lokatorzy. – Cholera! – zakląła, zmartwiona. Zapomniała o naczyniach. Wskoczyła z powrotem do samochodu i pojechała do domu towarowego z naczyniami i przyborami kuchennymi. Kupiła talerze, garnki, patelnie i sztućce. O szóstej trzydzieści wszystko było wymyte i ułożone na półkach i w szufladach.

Za dziesięć siódma dotarła do swojego domu. Mike siedział

przy kuchennym stole.

– Jak poszło? – zapytał.

– Mike, to był najbardziej wyczerpujący dzień w moim życiu. Nie odpoczywałam nawet przez dwie minuty. Wierz mi lub nie, ale dopiero teraz mam chwilę, żeby usiąść. Nie mogę się doczekać, żeby ci opowiedzieć, jaką sprawiło mi to przyjemność. To było tak podniecające i cudowne.

– Jezu, a ja myślałam, że sprzedaż praktyki cię przygnębi.

– Sprzedaż praktyki? Ach, to! Poszło jak z płatką. Nie o tym mówię.

– A o czym?

Jane opowiedziała mu o tym, co zrobiła.

– Do licha, zapomniałam o pościeli – westchnęła. – No cóż, mogę to załatwić jutro. Dlaczego na mnie patrzysz? Myślisz, że zwariowałam?

– Naprawdę sądzisz, że twoja matka...

– Nie, nie. Chcę tylko, żeby widziała, że to tam jest. Spaliłam wszystkie jej rzeczy, więc chyba powinnam je zastąpić. A poza tym, jeśli kiedykolwiek się pokłócimy, a na pewno tak się stanie, nawet nie próbuj zaprzeczać, albo kiedy któreś z nas będzie chciało odpocząć od dzieci, może schronić się tam, żeby ochłonać. Potraktuj to jako drugi dom. Ja już naprawdę uporałam się z przeszłością. To takie wspaniałe, dające zadowolenie uczucie. Muszą być lepsze słowa, by je opisać, ale ja ich nie znam. Teraz, w tej chwili, naprawdę wierzę, że moja matka rzeczywiście tam jest. Wierna że z czasem to uczucie zblednie i wtedy będę w stanie odesłać ją w zaświaty, jeśli będzie chciała. Nie mówmy już o tym, dobrze?

– W porządku. Chodź tutaj.

Jane usiadła mu na kolanach.

– Kocham pana, panie Sorenson.

– Ja kocham panią bardziej, pani Lewis. Boże, Jane, słuchałaś

dziś wiadomości? Wiedziałem, że mam ci o czymś powiedzieć. Postawili wstań oskarżenia facetów, którzy zgwałcili Betty Vance. To było niesamowite. Sprawa nie budziła wątpliwości, ponieważ nagranie wideo ze sklepowej kamery pokazało, jak rozmawiają z Betty, a przy tym jeden z nich był winien pieniądze innemu łobuzowi, który wsypał ich obu. Powiedział, że bez przerwy się przechwalali, jak to nastraszyli Betty w sklepie. Wszystko było dzisiaj w wiadomościach.

– A więc wszystko załatwione – powiedziała Jane. – Teraz mogę już tylko myśleć i martwić się o ciebie. Ale wiesz co? Bardzo mi to odpowiada. Nocujesz czy tylko będziesz tu tak siedział do rana?

– Chyba nocuję. Mam ochotę na długie, wspólne prysznic. A ty?
– To, panie Sorenson, jest najlepsza propozycja, jaką dziś otrzymałam.

Niewielki ogród z tyłu domu został dosłownie odizolowany od otoczenia przez żywopłot, którym zakryto płot, uzyskując w ten sposób piękny, zaciszny zakątek. Poza księdzem i narzeczonymi obecna była II tylko najbliższa rodzina. Dzień, był jak wymarzony na tego rodzaju, uroczystość – słoneczny i ciepły.

Jane obserwowała przez okno sypialni, jak ojciec John bada czubkiem buta trawę. Była wilgotna, a połączenia pomiędzy płatami darni nadal były widoczne. Rozejrzał się wokół ze zdziwieniem. Widać było, że duchowny uważa ten ślub za najdziwniejszy ze wszystkich, jakich udzielił. Trizie zadzwoniła do niego i zażyczyła sobie, by ceremonia odbyła się najpierw w ogrodzie, a w godzinę później w kościele.

– Przynajmniej nie przyszło ci do głowy, żeby jak niektórzy nasi parafianie wziąć ślub w Las Vegas w jednej z tych kaplic dla zmotoryzowanych – powiedział wcześniej. Jane zachichotała, choć duchowny wcale nie żartował.

Widziała z góry, jak ksiądz spojrział na zegarek. Czyżby się denerwował? Jane spojrzała na mały podróżny budzik. Jeszcze tylko dziesięć minut. Jest tu już od ponad godziny, a matka się nie pokazała. Czy tylko wyobraziła sobie poprzednie spotkania, czy też matka trzyma się na uboczu po prostu z nieśmiałości? Jane roześmiała się. Jej matka nie bywała nieśmiała. Nigdy.

Trixie poprawiła jej welon.

– Kochanie, nigdy dotąd nie wyglądałaś tak pięknie. Nie potrafisz wyrazić, jak bardzo jesteśmy z Fredem szczęśliwi. Czy ona tu jest, Janie? Mamy tylko dziesięć minut, a potem zacznie się ceremonia. Fred, Mike i jego rodzice są w kuchni. Może należałoby... no nie wiem... zagwizdać albo coś w tym rodzaju, by ją przywołać. Ja nie czuję nic niezwykłego. Czy nie powinien pojawić się jakiś powiew lub coś podobnego? – Rozejrzała się po

pokoju.

– Nie, tutaj jej nie ma. Wołałam ją kilka razy. Nie rozumiem... chyba, że nigdy jej tu nie było, a ja to sobie tylko wyobraziłam. Zaczynam się martwić, Trixie. To wszystko było dla niej. A przy okazji, Trixie, dziękuję, że powstrzymałaś się od komentarza na temat mebli. Domyślam się, że uważasz to za niemądre. Ale musiałam tak zrobić.

– Nie wkładaj mi nie moich słów w usta, Janie. Wcale nie uważam, że umeblowanie i wyposażenie tego domu było głupie. Uważam... uważam, że to, co zrobiłaś, jest cudowne. Świadczy o tym, że wreszcie dorosłaś – jako człowiek i jako kobieta.

– Ty zawsze wiesz, co powiedzieć, Trix. Między innymi dlatego tak bardzo cię kocham. – Jane ucałowała pokryty różem policzek. – Do licha, gdzie ona jest? Zaczekaj tu na mnie, poprawię szminkę. Zaraz będę z powrotem.

Trixie usiadła na skraju łóżka. Zamknęła oczy i spróbowała sobie wyobrazić matkę Jane.

– Margaret Lewis, lepiej przywlecz tu natychmiast swój piękny tyłek, bo pożałujesz. Ta dziewczyna zadała sobie mnóstwo trudu, żebyś mogła być obecna na jej ślubie, a obie wiemy, że na to nie zasłużyłaś. – Trixie rozejrzała się po pokoju. – Kiedy żyłaś, nigdy nie ukrywałam, że cię nie znoszę. Ale teraz nienawidzę cię jeszcze bardziej za to, że w tak podstępny sposób wdarałaś się w życie Jane. Mamy tylko kilka minut. Jeśli się nie pokażesz, Janie już nigdy tu nie przyjdzie. Lepiej zdaj sobie z tego sprawę, Margaret.

– Trixie, Trixie, nic się nie zmieniłaś. Jestem tu i nie zamierzam przegapić ślubu mojej córki. A przy okazji, ja też nigdy cię nie lubiłam. Zwłaszcza po tym, jak ukradłaś mi Janie. Nigdy ci tego nie wybaczę.

– Lepiej daj sobie z tym spokój, Margaret. Odrzuciłaś to dziecko, a Fred i ja dziękujemy codziennie Bogu, że byliśmy w po-

blizu i mogliśmy je przygarnąć. Ach, i na wypadek, gdybyś nie wiedziała: nikt nie płakał na twoim pogrzebie – powiedziała Trixie, niezdolna się powstrzymać. – Jane chciała, ale nic z tego nie wyszło. Zabrakło jej łez. A potem spaliła wszystkie twoje rzeczy. To było takie smutne! Swoją drogą chciałabym wiedzieć, dlaczego nie smażysz się w piekle za to, co jej zrobiłaś! – To jest moje piekło, Trixie. Zrozum mnie trochę, co? Próbuję odpokutować. Nie mogę tego zrobić w jeden dzień, ale w końcu mi się uda, jeśli wszyscy będziemy współpracowali. Może uda mi się pogodzić nawet z tobą. Nie mówiłam poważnie, kiedy ci dokuczałam. Po prostu zawsze potrafiłaś zaleźć mi za skórę. Trixie roześmiała się.

– Nie jestem hipokrytką, Margaret. Ja miałam na myśli dokładnie to, co powiedziałam, a nawet więcej.

Jane właśnie nakładała szminkę, gdy zobaczyła w lustrze odbicie matki.

– Wyglądasz pięknie, Jane. Ja nigdy tak nie wyglądałam. Chyba dlatego, że ty jesteś piękna zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz. Ja taka nie byłam, dlatego potrafię to dostrzec.

– Mamusiu – westchnęła Jane z ulgą. – Już się martwiłam, że nie przyjdiesz.

Margaret uśmiechnęła się.

– Wiem, że nadal masz co do mnie wątpliwości, ale uwierz mi, za nic nie opuściłabym twojego ślubu. – Pochyliła się i pocałowała córkę w policzek. – Dziękuję, że mi to umożliwiłaś. Nie jestem w stanie ci powiedzieć, ile to dla mnie znaczy.

Jane uśmiechnęła się. Teraz wszystko było w najlepszym porządku. Dotknęła policzka czubkiem palca i poczuła ciepło. Z twarzą rozjaśnioną uśmiechem wsunęła głowę do sypialni i powiedziała:

– Ona tu jest, możemy zaczynać.

– Ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą. Mike podniósł welon i uśmiechnął się.

– Już drugi raz w ciągu jednego dnia całuję pannę młodą. Daj buzi. Jane zachichotała. To był pocałunek, który obiecywał nieskończenie wiele szczęśliwych dni.

Zabrzmiały początkowe akordy marsza weselnego. Doktor Sorenson i jego żona ruszyli nawą, uśmiechając się radośnie.

Przed kościołem, w ciepłym słonecznym blasku, państwo młodzi chichotali i śmiali się, gdy rozradowani goście wypuścili ze specjalnych trójkątnych pudełeczek sto kolorowych motyli.

– Czy jesteś tak szczęśliwa, na jaką wyglądasz? – szepnęła Trixie.

– Och, Trixie, nie potrafię tego wyrazić, jak bardzo. Miałam dziś dwa śluby i dwa razy poślubiłam tego samego, wspaniałego mężczyznę. Czuję się tak, jakbym dostała to, czego zawsze pragnęłam, a nawet trochę więcej. A wszystko dzięki tobie i Fredowi. Gdyby nie wy, nie byłabym dziś tym, kim jestem. Przepraszam, jeśli nie dość często mówiłam wam, jak bardzo was kocham. Obiecuję, że się poprawię. – Objęła Trixie, a potem Freda. – Nie spodziewałam się, że tyle ludzi przyjdzie do kościoła. Większość z nich to pewnie koledzy Mike’a.

– Janie, ja chyba widziałam...

Jane przyłożyła palec do warg Trixie i uśmiechnęła się.

– Cicho, wiem. Mama mi powiedziała. Powiedziała też, że nie najlepiej ci w zielonym. Woli cię w kombinezonie w cętki leoparda.

Oczy o mało nie wyskoczyły Trixie z orbit.

– Fredddd!

– Wyjeżdżają! Państwo młodzi wyjeżdżają! – krzyknęła Trixie.

– Jane będzie rzucała bukiet! Wszystkie panny niech się ustawią tutaj – powiedziała, wskazując okrąg pośrodku dziedzińca. Jane

posłusznie odwróciła się i rzuciła za siebie bukiet lilii. Shaion Thomas aż pisnęła, kiedy udało jej się schwytać kwiaty. Tom Bradley, towarzyszący Sharon, uśmiechał się od ucha do ucha.

– Domyślam się że będziesz następna, Sharon. – Pochyliła się i szepnęła: – Podoba mi się twój nowy nos, Powieki też wyglądają nie najgorzej.

– Tak, wszystko się zgadza. Tom nawet nie zauważył. Posłuchaj, Jane...

– Popeliłam, błąd, ty te? – powstrzymała ją Jane. – Zostawmy, to. Zaproś ranie na wesele i będziemy kwita. – Odwróciła się, żeby odejść.

– Jane. ! – krzyknęła za nią Sharon.

– Co takiego?

Sharon uśmiechnęła się.

– Jesteś cudowną panną młodą. Bądź szczęśliwa, dobrze?

– Będę, Sharon. Tobie też tego życzę – Jane odwzajemniła uśmiech.

– No dalej, niech się pani pospieszy, pani Sorenson – powiedział Mike, przywołując ją do samochodu, – Samolot nie będzie czekał. Pomyśl tylko, całe trzydzieści dni w słońcu Hawajów! – Przytrzymał drzwi dla swojej nowo poślubionej żony, a potem pochylił się i szepnął jej do ucha: – Najlepiej. od razu zróbmy dziecko.

Jane rzuciła mu się na szyję.

– Och, Mike, jesteś pewny?

– Jestem. Chcę, żeby po naszym domu biegały tabuny małych Jane.

– A jeśli skończy się na tabunie małych Mike'ów?

– Weźmiemy, co dadzą. Boże, kocham cię, Jane.

– Ja kocham cię bardziej. – Uszczypnęła go lekko w nos. – Ale nie będziemy się o to kłócić, prawda?

- Nie ma mowy. Zabrałaś ten śmieszny kapelutek?
 - To była pierwsza rzecz, jaką zapakowałam – zachichotała Jane. To zabawne, że on tak lubi ten kapelusik.
- Mike nacisnął klakson i wyjechali na drogę, pozostawiając za sobą klaszczących i pogwizdujących weselników.
- Pół godziny później, kiedy odeszli ostatni goście, pojawili się pracownicy firmy cateringowej. Kiedy uwijali się, sprzątając pozostałości przyjęcia Trixie usiadła obok Freda na stopniach werandy.
- Ślub i przyjęcie były bardzo udane. Dzieciaki mają paru sympatycznych znajomych. Nawet była rywalka Jane okazała się całkiem miłą. Chciałabym o coś cię zapytać, Fred. Jestem starą kobietą, nieuchronnie zbliżam się do osiemdziesiątki. Więc jak to możliwe, że moje serce i umysł czują tak, jakbym dopiero co przekroczyła dwudziestkę? Mam takie cudowne wspomnienia. Kiedy grała muzyka, czułam się znowu młoda. Tańczyłam w myślach, przyglądając się, jak tańczą młodzi. Moje uczucia wobec ciebie, się nie zmieniły. Nie rozumiem tego, Fred. Jestem stara. Ty jesteś stary. Wyglądamy staro. Czasami zachowujemy się jak starcy, a jeszcze częściej się tak czujemy. Przynajmniej ja, gdy patrzę w lustro. Ostatnio robię to coraz rzadziej. Odpowiedz mi, Fred, Fred otoczył żonę ramieniem.
 - Myślę, że czujesz się młodo, ho myślisz, jak nastolatka. – Spojrzał jej w oczy. – A także dlatego, że nadal się kochamy. Miłość sprawia, że ludzie wolniej się starzeją. A nam trafiła się najpiękniejsza z nich. Nigdy nie zwątpiliśmy, nie zбочyliśmy z kursu. Szanowałaś mnie, a ja ciebie. Mamy wspaniałe wspomnienia. Jeśli chcesz czegoś więcej, to kup sobie książkę na ten temat albo, jeszcze lepiej, sama ją napisz.
 - Chyba powinniśmy pójść na górę i wypuścić psy. Dość się nasiedziały w zamknięciu.
 - Wystarczy, że gwizdniesz, Fred. Flash umie otwierać te drzwi.

Fred zagwizdał i dwa psy, owczarek i labrador, natychmiast znalazły się przy nich. Za nimi przybiegła Olive, która od razu przywarła do nóg Trixie. Trixie posunęła się, by zrobić miejsce dla pozostałych.

– Mamy tu niezłą rodzinę, prawda, Fred?

– Trixie, kochanie, nie mogłaby być lepsza.

Epilog

Uniwersytet Stanu Luizjana
Baton Rouge, Luizjana

Zgromadzenie było bardzo widowiskowe. Jane aż westchnęła, gdy rozejrzawszy się, spostrzegła furgonetki stacji telewizyjnych, tłumy ludzi, reprezentantów różnych wydziałów policji i, oczywiście, Korpusu Psów Policyjnych stanów Luizjana, Kentucky i Alabama.

Wszyscy zebrali się, aby uhonorować Trixie i Freda za ich hojność oraz oddanie, z jakim prowadzili stworzony przez siebie Korpus Psów Policyjnych. Nawet pogoda zdawała się im sprzyjać. Świeciło słońce, a lekki wietrzyk łagodził skwar. Doskonały dzień na tego rodzaju uroczystość. Tylko gdzie się podzieli honorowi goście?

Jane odwróciła głowę i rozejrzała się. Pisk radości przyciągnął jej uwagę akurat w porę, aby zdążyła zobaczyć, jak jej sześciomiesięczna córeczka uśmiecha się i grucha z radości na widok żółtego motyla, który przysiadł na obudowie podwójnego wózka. Mickey, dwuletni brat niemowlęcia, spróbował się pochwycić delikatne stworzonko pulchnymi paluszkami. Roześmiał się radośnie, gdy motyl rozłożył skrzydła i zaczął zataczać kręgi nad ich głowami.

– Jak bardzo się spóźniłam, Janie? – spytała Trixie bez tchu, stając obok swojej chrześniaczki. – Musiałam porozmawiać z jednym z członków komisji. Powiedział, że nie zgadza się liczba plakietek. Wiesz coś o tym?

Jane zachowała kamienną twarz. Oczywiście, wiedziała, ale nie zamierzała się przyznać.

– Co to znaczy, że się nie zgadza?

– Jest ich o jedną za dużo. Powiedziałam mu, że nie ma się

czym przejmować. Zaczął marudzić i Flash uświadomił mu jasno, że nie podzielamy jego nastawienia. Facet od razu się wycofał i powiedział, że sprawa na pewno się wyjaśni i że to chyba błąd komputera. Jane skinęła głową.

– Tak, zapewne. Nie ma się czym przejmować. – Spojrzała na prawo. – Widziałas może Mike’a?

– Poszedł tamtędy z Fredem. Trixie pochyliła się nad wózkiem.

– A jak tam moje dwa kochania? – Uszczypnęła dzieci lekko w policzki i pocałowała je. – Och, jesteście aż za milutcy. – Wyprostowała się i rozejrzała dokoła. – Boże, Jane, ile tu ludzi.

– Aha. Denerwujesz się? – Trixie syknęła. – Musisz poczekać, aż pojawi się uniwersytecki zespół muzyczny Golden Band.

John Murray poprowadzi cię, Freda i Flasha na plac apelowy, gdzie dokonasz przeglądu szeregów. – Jane ujęła Trixie za ramię i uściśnęła je. – Będzie tam sto trzydzieści siedem psów z opiekunami. Chyba cały stan przyjechał, żeby zobaczyć tę uroczystość.

– Myślisz, że któryś z tych psów będzie mnie pamiętał? – spytała Trixie z niepokojem.

– Każdy cholerny pies będzie cię pamiętał, Trixie – stwierdziła Jane tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. – Sama się przekonasz! Och! Widzę zespół. Wyprostuj się, oto twoje pięć minut sławy. Ciesz się nimi.

Trixie skrzywiła twarz.

– Czuję się nieswojo.

– Teraz to ty marudzisz. Przestań natychmiast – złązała ją Jane. Golden Band z Krainy Tygrysa, jak lubili, by ich nazywać, wmaszerował na plac apelowy. John Murray ujął Trixie pod ramię.

– Nie wiem, czy dam radę – powiedziała płaczliwie Trixie, spoglądając na zgromadzony tłum.

Jane pochyliła się ku niej i szepnęła:

– Musisz. Kupiłaś ten wystrzałowy strój specjalnie na tę okazję. A Flash chce zobaczyć starych kumpli. Jestem z ciebie taka dumna, że chyba zaraz pękne. – Chwyciła Trixie i objęła ją, a potem odwróciła i popchnęła lekko we właściwym kierunku. – No już, ruszamy, proszę pani!

– Powinnaś być tam ze mną – rzuciła jeszcze Trixie przez ramię.

– Zrobiłaś tyle samo, co ja.

– Ruszaj! – poleciła Jane stanowczo.

– Dobrze, już dobrze, idę.

Gdy tylko Trixie zmieszała się z tłumem, Jane zwróciła się do męża.

– Mógłbyś popilnować przez chwilę dzieci, Mike? Muszę coś załatwić. Zaraz wracam.

– Tylko szybko, bo przegapisz początek – zawołał Mike.

Jane pobiegła w kierunku siedziby Związku Studentów. Bez tchu oparła się o drzewo i otworzyła zaciśniętą pięść, w której błysnęła lśniaca plakietka. Funkcjonariusz Policji Jeeter, odznaka numer 138. Ponownie zaciśnęła pięść.

– Billy, to ja, Jane. Powiedziałeś, że jeśli będę cię potrzebowała, to się pojawisz. Więc cię wzywam. Słyszysz mnie, Billy? Pospiesz się, proszę.

– Jestem tu, panno Jane. Proszę się odwrócić – dobiegł ją odległy głos.

Jane odwróciła się i zobaczyła go na szczycie schodów. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Nadal był chłopcem i zawsze nim pozostanie. Westchnęła z ulgą. Podniosła rękę i zawołała:

– Łap! – Rzuciła policyjną odznakę i uśmiechnęła się, gdy chłopiec ją pochwycił.

– Pospiesz się, Billy. Musisz założyć ją Jeeterowi!

Billy czym prędzej zawiązał wokół szyi psa jaskrawoniebieską apaszkę i przyczepił do niej odznakę.

– Ruszaj, Jeeter!

Nakrapiany pies pobiegł na plac apelowy i stanął obok Fiasha, który dostosował krok do możliwości swego przyjaciela z zaświatów, a potem ruszył przed siebie, machając szaleńczo ogonem.

Jane klasnęła w dłonie z radości. Łzy popłynęły jej po policzkach. Skinęła na Billy'ego.

– Chodź ze mną, poznaj moją rodzinę. Będziesz mógł lepiej widzieć Jeetera.

Mike przyciągnął żonę do siebie.

– Prawie się spóźniłaś. Co ci zabrało tyle czasu?

– Musiałam coś zrobić, kochanie. To niesamowite, prawda? – powiedziała, spoglądając z miłością na paradujące psy, które obie z Trixie tresowały i kochały.

– Dlaczego grają hymn marines? – zdziwił się Mike, przytupując stopą do rytmu.

– To był jeden z warunków Trixie. Grałyśmy to przez cały czas, żeby zachęcić psy. Uwielbiają tę melodię. Widzisz, jak maszerują? Pamiętają go. Boże, spójrz tylko na Fiasha!

Olbrzymi owczarek, z dużym cętkowanym psiakiem u boku, popychał właśnie nosem dwa psy, by wyrównały szereg.

– Chyba muszę sprawić sobie okulary powiedział Mike, mrugając. – Przez chwilę wydawało mi się, że widzę obok Fiasha biało-brązowego, łaciatego psa.

Gdy przegląd dobiegł końca, Trixie wyjęła z kieszeni gwizdek i zagwizdała ostro trzy razy.

– Koniec musztry! Spocznij! No chodźcie, połaście się trochę do Trixie! Po kolei, mamy mnóstwo czasu! – krzyknęła.

– Jezus Maria, Jane! Widziałaś kiedyś coś podobnego? – zawołał Mike, gdy wszystkie sto trzydzieści siedem psów zaczęło ciągnąć swych opiekunów w kierunku Trixie. – Ona chyba trzyma coś na kolanach, jak myślisz, Jane?

– Tak. To Jeeter, Mike. Widzisz, ma nawet odznakę. Pierwsza komenda, jakiej nauczyła je Trixie, brzmiała: Połaście się trochę do Trixie. I one miałyby jej nie pamiętać! Widzisz go, Mike? Naprawdę widzisz Jeetera?

– Ja... tak, widzę go. To znaczy, że BilJy też tutaj jest, prawia, Jane?

– Tam. – Wskazała dłonią uśmiechniętego chłopca.

– Teraz już wiem, po co była ta dodatkowa plakietka.

– Aha.

Mike objął Jane i mocno ją przytulił.

– Kocham cię, – On cię. kocha, mamusiu – zachichotał dwuletni Mickey. Jane pogłaskała go po główce.

– Wiem, Mickey, ja też go kocham.

– Teraz i na zawsze – powiedział Mike.

– Teraz, na zawsze, i jeszcze dłużej – przebiła go Jane.